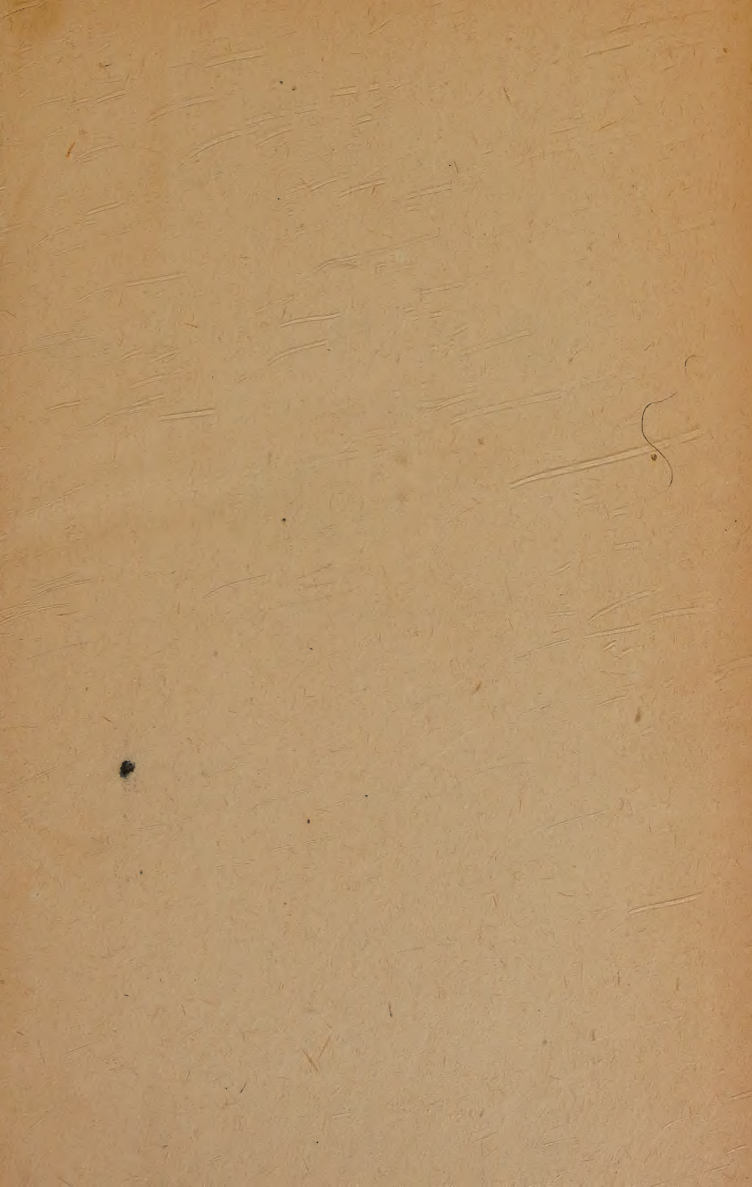




Aleksander Świętochowski

1849-1938

 Pisma



Obrazki Powieściowe.

Wydanie drugie
powiększone.

Warszawa

1908.

DAMIAN CAPENKO.

Z Łuby, kamienieckiego powiatu, podolskiej gubernii, pogranicznej straży, zawichostskiej brygady, trzeciej rot, pierwszego oddziału gefrejter — tak się w urzędowym stylu rekomendował jednym tohem Damian Capenko. Pytany wszakże prywatnie, odpowiadał krótko: Małoros. Właściwie, objaśnienie to było zbyt cichym, bo gdyby nawet czarne, rozmarzone oczy, śniada twarz i w wyraz smutnej łagodności ułożone usta nie uprzedzały o pochodzeniu Capenki, to sama jego pieszczonemi brzmieniami śpiewająca mowa zaraz by je zdradziła. Mowa ta, przez lingwistów z Przesmyka uważana za język pokaleczony, była czystym małoruskiem narzeczem, w które się wplątało kilkadziesiąt służbowych zwrotów żołnierskich. Po polsku wyrażał się Capenko bardzo poprawnie, przeciągał tylko zbyt jedne dźwięki a zmiękczał drugie, zachowując akcenty rodzinne. Wychowany przy dworze polaka, dziedzica Łuby na Podolu, gdzie ojciec jego był pasiecznikiem, potem jako rekrut przewieziony do straży pogranicznej w Przesmyku, miał spo-

sobność tak przyswoić sobie język polski, że nim zarówno chłopom wymyślał, jak i pannie ekonomównie grzeczności prawił. Ta ostatnia otrzymała nawet podobno od niego na imieniny powinszowanie, szczęśliwymi rymami złożone.

Sprawiedliwość przyznać każe, iż wszystkiemu temu, cośmy o naszym bohaterze na podstawie różnych źródeł powiedzieli, przeczył stanowczo niejaki Edward Tabor, handlarz zbożem, a jak mówiono, herszt kontrabandzistów w Przesmyku, który twierdził, że Capenko jest kałmukiem, że żadnego porządnego języka nie zna, że sobie do napisania owych rymów kogoś wynajął i że do panny Motylińskiej zaleca się dlatego tylko, ażeby od jej ojca dostać w podarku piękną, ze srebrnym cybuszkiem fajkę. Zwracamy jednakże uwagę sumiennego czytelnika, że Tabor, który na pniu swego izraelskiego rodu zaszczerpił we własnej osobie aż trzy narodowościowe płonki: niemiecką, polską i rosyjską, sam żadnym językiem dobrze nie władał; że nadto jako konkurent do panny ekonomówny, a więc współzawodnik Capenki, musiał z tego względu w swych sądach o nim być stronny. Ściśle nawet biorąc, stronność ta ujawniała się jaszkrawo.

Pewnego jesiennego dnia Tabor, idąc nad granicą i ogarniając okiem położenie, jak gdyby badał pole zbliżającej się walki, spostrzegł państwa Motylińskich, zajętych w ogrodzie przy kopaniu kartofli. Staął,

począł aż każda z kopaczek głowę od motyki podniosła, wreszcie gdy ostatniej się przyjrzał, klasnął językiem, przymrużył małeńkie oczki, wywinął tłuste wargi i zsunąwszy czapkę na tył kędzierzawej głowy, zwrócił się do domu. Wkrótce jednak wyszedł znowu i szybkim krokiem podążył w kierunku oficyn dworskich. Panna Hortensya Motylińska, dziewczyna w ciało bogata, czerwonością pulchnej twarzy czarowna, a niegasnącym w oczach i ustach uśmiechem zwyciężająca, siedziała właśnie w swym gniazdku przy oknie, dzierżąc żółtą, włóczkową chusteczkę. Spostrzegłszy idącego Tabora, roześmiała się, wysunęła przeciw niemu urągliwie język i odbiegła od okna. Odbiegła po to tylko, ażeby się przejrzeć w zwierciadle i z bukietu astrów, stojącego w szklance na komodzie wpiąć kilka kwiatów w cieniutkie, wypomadowane warkoczyki, które przez szerokość jej dużej głowy ledwie do siebie sięgnąć i w mały węzełek z tyłu zawiązać się mogły.

— Niema taty—rzekła z chmurką na czole, z której przeświecały promienie wesołej kokieterii.

— Po co nam tata?—odparł Tabor, wyjmując z pod palta i kładąc na stole sztuczkę perkaliku, którego brzeg zręcznie odwinął.

Widok wzorzystej materii—której barwy pięknie łączyły rumieniec twarzy, żółtość chusteczki i zieloność sukni panny Hortensyi — przykuł do siebie jej zdumione oczy. Wkrótce jednak opamiętała się i ogryzając paznokcie, rzekła:

— Pan ma to na sprzedaż?

— Ja na sprzedaż dla panna Hortensya nie nie mam, ale wszystko mam na darowanie.

— Nie potrzebuję, nie potrzebuję — wołała panna Hortensya, spoglądając ukradkiem na perkalik. Niech pan sobie zabierze.

— Panno, aniele, czy to ja nie wiem, że mogłabyś lepszą rzecz sobie kupić, ale czemu nie przyjąć ten drobiazg, kiedy ja z otwartem sercem daję?

Ujął ją za czerwoną rękę i oblizując wargi, wpatrywał się w tłustą jej talię z takim zachwytem, jak gdyby przyspieszony rytm jej skrzypiącego oddechu wszystko mu obiecywał.

— Panno, aniele...

Drgnął, uciał nagle, bo drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Capenko.

— Idź pan do kaduka! — zawołała panna Hortensya, odtrącając Tabora.

W jej słowach i geście wyczytał Capenko wyraźny dowód wierności, a domyśliwszy się, że trafił na scenę kuszenia, spytał gniewnie:

— Skąd ten perkal?

— Ze sklepu — odrzekł zuchwale Tabor.

— A gdzie plomba?

— Co plomba, czy to medal albo order, który nosić trzeba? Ja tego nie sprzedaję, tylko kupilem, mnie plombę oderwać wolno.

— A mnie wolno zabrać — krzyczał Capenko — to kontrabanda!

— Co pan gwałt robisz, pańskie miejsce na granicy, pan nie masz rozkazu dom rewidować!

Capenko jednak nie dał się odstraszyć, porwał perkalik, chwycił Tabora za ramię, krzycząc:

— Pójdziemy do kapitana, do kapitana!

— Nie zjem mnie, nie zje! — wrzeszczał, opierając się Tabor.

Ale panna Hortensya, której podczas tego szamotania uśmiech przygasł i rumieńce pobladły, przerażona obawą odpowiedzialności a może i utratą podarku, przybiegła do Capenki.

— Panie Damianie, mój kochany, najdroższy panie Damianie, dajmu pokój, niech go tam kaczkę zdepczą.

— Czy on to dla pani przyniósł?

— Nie chciałam — mówiła zawstydzona — a on koniecznie i koniecznie...

— No — rzekł Capenko — ja daruję, bo ta pani prosi; ale żebyś nie dawał jej rzeczy przemycanych, to ja ten perkalik od pana kupię. Masz rubla!

— Oj, oj, jaki pan — drwił Tabor — rubla za sztuczkę perkaliku po 30 centów łokieć! Daj kopiejkę!

— Nie chcesz pan, to ja darmo mieć będę, a pan jeszcze karę zapłacisz.

— Weź pan, weź — namawiała panna Hortensya.

— Juści wezmę, bo co mam ze zbójem robić — rzekł rozgniewany Tabor i wyszedł.

Gdyby Capenko był przez okno dostrzegł, że jego przeciwnik udał się do kapitana, byłby w słodkich chwilach rozkosznego sam-na-sam z panną Hortensyą poczuł gorzką kroplę niepokoju. Ale on, uśmierzywszy gniew kilkoma przekleństwami, zatopił się w własnym wylewie miłości do panny Hortensyi, która, nie licząc innych względów, w zadowoleniu jej prośby i sztuczce perkaliku miała dość powodów do wynagrodzenia go obfitszą niż zwykle łaskawością.

Jakie zamiary narodziły się skrycie w głowie wzburzonego Tabora, z jego martwej, gęsto obrosłej twarzy odgadnąć było trudno. Przyszedłszy wszakże do kapitana, zażądał tylko kartki na przejście granicy.

— Wszystko to dobrze, mój panie Tabor — rzekł kapitan — ale mnie znowu donoszą, że pan najmujesz chłopów, którzy dla ciebie przemycają towary.

— Ja, ja, co czterdzieści lat *przeciwzakonn*ie nie pomyślałem? Panie majorze — jestem chrześcian, żebym moje zbawienie nie doczekał, jeśli kto dowiedzie taki *feler* w moim charakterze. Czy to nie prowadzę handel, żebym się w kontrabandę bawił? Jak pan major mógł nawet dopuścić taki *donos*?

— No, ja teraz nie dopuszczam, ale ostrzegam, że jak złapię, będzie źle.

— Niech będzie źle, niech mnie pojma, niech zastrzela, niech prawo ze mną robi, co najbardziej zechce, ja spokojny. Ach, panie majorze, wiem, kto mnie

prześladuje — Capenko, chociaż ja na niego dotąd nie powiedział.

— A cóżbyś pan mógł powiedzieć?

— No, nie, bo że pannie Motylińskiej dał dziś sztuczkę austriackiego perkaliku, niewielka rzecz.

— Nie kłam pan, Capenko wierny żołnierz.

— Być może, ale i wierny kochanek.

— Ja słyszałem, że to pan koło Motylińskiej tańczysz.

— Tańczę koło jej ojca, żeby mi u dziedzica dzierżawę ogrodu przy kordonie odnowił.

— Na co panu ten ogród, jeśli ja krzaki przy nim wyciąć każę?

— Pan major znowu mnie przytyka. Czy ja graniczny złodziej; kto widział, żebym w tych krzakach co ukrył?

— No, może jeszcze zobaczymy.

— Niech pan major takie rzeczy nie gada bo słuchać przykro. Nie ma pan co do Szczurowy—ja tam jadę.

— Nic.

— Ja kawy dla pani przywiozę.

Tabor oddalił się.

Przeszedłszy granicę, o kilka staj za nią spotkał leżącego przy drodze, znanego w okolicy Postułek. Był to jeden z najzręczniejszych kontrabandzistów, zuch, który się chwalił, że jeszcze w życiu nie rozmawiał ze strażnikiem granicznym, nie mając przy sobie jakiegoś

ukrytego towaru. Postulka nie dosięgnął jeszcze lat pięćdziesięciu, twarz jednak miał tak pofałdowaną zmarszczkami, jak gdyby cudzą, dla niego za dużą nosił na sobie skórę. Pod wysokiem, opalonem czołem migotały mu bystre i ruchliwe oczy, których źrenice co chwila gwałtownie się rozszerzały. Ujrawszy Tabora, podniósł głowę, z której spadła żołnierska czapeczka austriacka, ziewnął głośno i, otrzepując kapotę z piasku, spytał:

— No, cóż, *fertig*?

— Ani jutro—odrzekł Tabor.

— Czemu?

— Żaden nie chce. Kos powiada, że nie ma czasu, Kędzior, że się boi, bo strażnicy go uważają.

— Zjedli po parę dyabłów, będę czekał, aż im pozwolą?

— Toć mówiłem.

— Niechby przynajmniej jeden z furmanką w lesie stanął, a to inaczej wszyscy się we wsi o tem płótnie dowiedzą. Przecież długo leżeć nie może.

— Oho—zawołał Tabor przysłaniając oczy ręką,— kapitan na granicy.

Postulka podniósł się do połowy, popatrzył i rzekł:

— Na karym koniu? To Capenko.

— Ach — westchnął Tabor — oddałbym wszystko to płótno, dodałbym drugie tyle, żeby stąd wzięli tego kałmuka...

— Capenkę? Łapie, jak każdy inny... Ale on wam podobno czego innego przemycać nie pozwala...

— Głupie gadanie. On mnie postanowił zgubę, przed kapitanem zadenuncyował i ciebie także.

— To i co ma innego robić. A zresztą, na nim dyabeł niedługo stąd wyjedzie.

— Jakto?

— Za miesiąc kończy mu się służba, bierze odstawkę i idzie do domu.

— Postułka, ty wiesz na pewno?

— Cóż to za wielka tajemnica, wszyscy wiedzą.

— Bogu dzięki, Bogu dzięki! To ja jemu dam na drogę. Prawdziwe szczęście, ani się spodziewałem. Aj, aj!

— Ogród wydzierżawiliście?

— Nie jeszcze.

— Przecież trzeba się upewnić, a dobrze byłoby i tę chałupinę, co w nim pustką stoi, wynająć i Kosa osadzić. Jaki tam *loch*, widzieliście?

— Nie.

— Ba, dobry! No chodźmy do wsi, trzeba zaradzić, żeby kto płótna nie wyszpiegował.

Postułka wstał i z Taborem poszedł ku blizkiej, austriackiej wiosce, gdzie była ukryta kontrabanda, którą do Królestwa przeprowadzić chcieli.

Koci, do zwierzęcej bystrości posunięty wzrok Postułki nie dojrzał jednak, że za nimi z daleka śledziło orle oko Capenki. Gefrejter długo przyglądał

się z konia dwu postaciom, posuwającym się z wolna na drugiej stronie kordonu, wreszcie, gdy je stracił z widoku, rzekł, podjechawszy do żołnierza:

— Ten meches będzie pewnie dziś w nocy coś przemycał. Pilnować!

Spiął konia i popędził wzdłuż pasa granicznego. Nagle, jak gdyby coś dostrzegł, zwolnił biegu i zwrócił się na miedzę obszernego łąna kartofli. Miedzą tą szedł rzeczywiście pan Bróg, dziedzic Przesmyka. Dobrego wzrostu, wygolony na całej guzowatej twarzy, po nad którą w starannym porządku zwieszały się białe włosy, w szlafroku, z obnażoną głową i fajką w ustach, postępował powoli, puszczając przed siebie niedostrzegalne kłaczki dymu. Tak ubrany, mimo żartów sąsiedzkich, wychodził zawsze na pole, na którem większą część dnia przebywał. Była to może resztką nałogu i przywiązania do stepów, w których Bróg młodość spędził. Sprzedawszy rozległy majątek na Podolu, przeniósł się do Królestwa, nabył Przesmyk, a że go starość znienacka zaskoczyła, a jakieś tam wspomnienia do małżeństwa zniechęciły, więc w starokawalerstwie postanowił życia dokończyć. Dziki nieco i szorstki w stosunkach z ludźmi, Capenkę jako ziomka lubił i zawsze mu obiecywał dać list do jednego przyjaciela na Podolu...

— Aha, -- zawołał spostrzegłszy gefrejtera, który zszedł z konia i czapką nisko się uklonił — po cóż mi to rolę tratujesz?

— Ot zobaczył pana i pomyślał prosić.

— Co nowego?

— Sprzedajcie mi ten ogród, co Tabor dzierżawi.

— A tobie na licha? Za dwa miesiące odchodzisz.

— Jak sprzedacie, nie odejdę.

— W głowie tobie czort głupstwo wysiedział, chcesz się tu osiedlić? Toż na Podolu masz rodziców.

— Możeby przyjechali.

— Człeku, co tobie? Czyś ty się tam nie wychował, że chcesz starych tu zwłóczyć? Pewnie kanalia polubił dziewczynę — hę?

— Już nie odrobić.

— A którą?

— Motylińską.

— Hulaj głupi! A to oszalał — nie znalazłbyś między swemi ładniejszych?

— To i cóż, ta się podobala.

— I myślisz się żenić?

— Koniecznie. Powiedziała, żeby kupić kawałek gruntu i z tem przyszedł do pana.

— Nie sprzedam, gubić cię nie chcę. To zwodnica.

— Nie gańcie panie, płocha malutka, ale się uspokoi.

— Ho, ho, nie na tym świecie. A masz pieniądze?

— Sto piędziesiąt rubli zebrał.

— Nie starczy.

— Pożyczę.

— Wtedy gadaj.

— Nie wydzierżawicie panie Taborowi?

— Poczekam, przyjdź do mnie jutro, pogadamy.

— Dziękuję za łaskę.

— Dotąd nie masz za co. Bywaj zdrow.

A gdy Capenko skłoniwszy się, siadł na konia, Bróg zawołał:

— Jutro, raniutko!

Już była godzina dziesiąta w nocy, kiedy słuchający zameldował Brogowi, że Tabor chce się z nim widzieć.

— Powiedz mu, że u mnie dzień się skończył.

Jakoż istotnie dziedzic Przesmyka, wytarłszy się mokrymi ręcznikami, legł spać.

Odprawiony Tabor, postawszy chwilę na dziedzińcu, podsunął się cicho pod okna oficyny, gdzie mieszkali Motylińscy, i zajrzał. Przy stole siedział Capenko z panną Hortensyą, pisząc coś powoli. Tabor mruknął pod nosem, wsunął się szybko między drzewą ogrodu i zniknął. Kto wie nawet, czy w tej chwili nie był po części wdzięczny gefreiterowi, że ten zamiast pilnować granicy, miłosną poił się rozmową.

Właściwie Capenko pisał list do rodziców, w którym ich uwiadamał o swym zamiarze poślubienia panny Hortensyi i osiedlenia się w Przesmyku. Ponieważ zaś tak ważnego aktu nie odważył się sporządzić bez wiedzy swej lubej, więc do wspólki z nią go układał. Brulion już był gotowy.

— No a teraz—rzekł gefrejter—panna Hortensya

posłucha i może jakie słówko wtrąci: „Przenajukochańszy rodzicu...”

— Fe — zawołała panna Hortensya — kto pisze: „przenajukochańszy“ i jeszcze „rodzicu“. U nas się mówi: „kochany tatu i mamciu“.

— Dobrze — rzekł Capenko — poprawiając nagłówek listu, poczem czytał dalej. „Z łaski Boga i za pomocą mojego miłościwego patrona, wybrałem sobie za żonę...”

— Tak źle — przerwała panna Hortensya — trzeba napisać: serce moje miłością udręczone i pałające...

— To piękniej — mówił gefrejter, zapisując podyktowane słowa. „Pałające do Hortensyi...”

— Co znowu? O pannie porządnej tak się odzywać! „Do Wielmożnej Panny — przez duże P. — Hortensyi Motylińskiej, córki rządcy dóbr Przesmyk...”

Capenko z zachwytem przeniósł na papier te słowa.

— „Bardzo ona piękna, rosła, zdrowa, troszkę tylko przytłusta...”

— Tfu — splunęła panna Hortensya — piszesz pan jak o dworskiej dziewczce. Przytłusta, przytłusta!... Panna Kulicz z Wólki Gałęckiej, co jak drzazga wyschła, to lepsza. Wolę być taką, jak jestem, niż żeby mnie można było przeciągnąć przez dziurkę od igły.

— Więc jak? — spytał zawstydzony Capenko.

— Tabor to umie się wyrażać — odrzekła panna Hortensya. — On mówi na mnie: anioł, a panu jak się podoba.

— „Prawdziwy anioł“ — pisał pospiesznie gefrejter. „Chociaż majątek ma chudy, ale...”

— Co takiego? — krzyknęła panna Hortensya. — Kiedy ja dla pana za tłusta, a mój majątek za chudy, to poszukaj sobie takiej...

— Ale panienko droga, aniołku, gołabeczko — błagał Capenko — ja przecież nie chciałem obrazić.

— To po cóż pan takie głupstwa piszesz?

— Napiszę, co każesz, panienko...

— Powiedz pan, że mam majątek szlachecki, a garderobę taką, że niech się niejedna dziedziczka w nos ukąsi. Ot, patrz pan!

To rzekłszy, otworzyła na oścież szafę, w której wisiały różnobarwne sukienki, chustki i szuba królikami podbita.

— Co prawda, to prawda — mówił zdumiony Capenko, przekreślając cały ustęp swego listu. — „I dlatego całuję po synowskiu wasze kolana — czytał dalej — i proszę nie odmówcie nam swego błogosławieństwa...”

— Proszę, proszę... — przedrzeźniała panna Hortensya — jakbym ja to była na drodze znaleziona. Niby oni mnie łaskę robią. Co syn bartnika, to nie córka rządcy. Niech oni się za panem do mojego taty i mamci wstawią — tak trzeba napisać. Ja panu powiadam... uh!

Panna Hortensya krzyknęła, gdyż na dworze rozległ się strzał. Capenko, usłyszawszy huk i domy-

śliwszy się, że na granicy musi być jakieś starcie, wypadł na dziedziniec i wszedł na uwiązanego przy płocie konia. Od kordonu dolatywał gwar. Jeden z wartowników, dostrzegłszy w krzakach jakąś postać, przemykającą się do ogrodu Taboru i nie otrzymawszy na wezwanie żadnej odpowiedzi, strzelił. Ugodzony kulą kontrabandzista krzyknął i upadł. W tej chwili z krzaków zaczęło uciekać kilku ludzi, za którymi przybiegli na strzał żołnierze puścili się w pogoń. Właśnie Capenko nadjechał, gdy gromadka strażników granicznych otaczała zabitego. Był to syn Postułka. Obok niego leżał worek napełniony sztukami płótna. Obszukawszy dalej, znaleziono kilka takichże pakunków, przerzuconych do ogrodu.

— Podły meches — zawołał Capenko — on uciekł, chociaż on powinien tu zostać! Wy jego nie widzieli?

— Nie — odrzekli żołnierze.

— Jego kontrabanda — mówił gefrejter — ja go po południu widziałem z Postułką.

Gdy Capenko jechał do kapitana zdać raport, spostrzegł Tabora, siedzącego na ganku w swym domu i gwiżdżącego jakąś wesołą melodyę.

— Dobry wieczór! — zawołał handlarz z dzikim śmiechem.

— Ja nie umrę, jeśli ciebie nie złapię — mruknął gefrejter i popędził dalej. Opowiedziawszy kapitanowi zajście, jako czuły kochanek pojechał natychmiast Capenko do swojej lubej, spodziewając się, że go czeka

niespokojnie. Lecz jakież było jego zdumienie, gdy znalazł okno ciemne. Słuchał, nawet lekko zapukał, nikt się wewnątrz domu nie ruszył. Panna Hortensya spała, jak należało kochance zdrowej i trochę przytłustej. Ach, Capenko, po coś ty taki list napisał — możeby przemogła sen i czuwała!..

O ile ona przespała noc spokojnie, o tyle on przemęczył się dręczony przykrymi snami. Rano, zaraz po wschodzie słońca przyjechał do kapitana. Ten wydawszy rozporządzenia, dotyczące wczorajszego wypadku, wręczył mu list — od rodziny. Capenko nie mógł żołnierską sztywnością pokryć nadzwyczajnej radości. Wybiegłszy na podwórze, złamał pieczętkę koperty i zaczął czytać. Ledwie jednak przebiegł oczyma kilka wierszy, jęknął, opuścił ręce, usiadł bezwładnie na pobliskim kłocu i wyszeptał:

— Umarł, biedny rodzic i mnie widzieć nie doczekał...

Długo tak siedział boleśnie zadumany, zanim zdołał na tyle odzyskać przytomność, ażeby dokończyć czytania długiego listu. Matka donosiła mu, że ojciec, spadłszy z wysokiej barci, w kilka dni zakończył życie, że dziedzic, wynagradzając wdowie wierną służbę męża, darował jej kilkadziesiąt ulów i że ona wygląda niecierpliwie chwili, kiedy syn wróci i w starości ją wesprze.

„A nie zostań tam, mój Damianku, mój ptaku — jabym tu ze strapienia się zagryzła” — pisała w końcu.

I tacy ludzie, jak Capenko, mają swoje chwile strasznej rozpaczliwej walki uczuć, walki rozdzielającej serce i mieszającej myśli w szalony obłąd. Co zrobić: czy porzucić pannę Hortensyę, czy starą, nieszczęśliwą matkę? Biedny tonął z bólesci i nie widział żadnego w niej ratunku. Nareszcie, jak gdyby go szczęśliwa myśl olśniła, zerwał się, wskoczył na konia i popędził do domu. Gdyby kapitan widział go siadającego w izdebce do pisania wtedy, kiedy mu polecił natychmiast uwiadomić komorę o wczorajszym wypadku, nie poznałby swego gefrejtra. Capenko bowiem pisał list do matki, pisał sam, bez udziału panny Hortensyi, a tak wyglądał, jak gdyby jej nie pozwolił na żadne poprawki. Bezwiedne czyny ludzkie objawiają czasem więcej rozumu, niż świadome. Capenko bezwiednie czuł, że na to jego pismo kochanka wpłynąć nie mogła. Lżejszy po zrzuceniu z piersi pierwszego smutku pojechał na komorę, gdzie przedewszystkiem list oddał. W dwie godziny przybiegł z powrotem i zaraz pospieszył do dworu.

— To u ciebie teraz dopiero raniutko? — zawołał ubierający się do wyjścia Bróg.

— Wczoraj kontrabandę złapali, człowieka zabili — tłumaczył się Capenko — musiałem jeździć po służbie.

— Jakże, ogród ci przez noc z głowy nie wywietrzał?

— Nie, panie, ja was dziś jeszcze serdeczniej proszę — sprzedajcie.

— A juści komuś sprzedam, bo do dyabła pomyślą,

że ja z niego kontrabandzistom kryjówkę zrobiłem. Słyszę, że i w chałupie coś schowali?

— Tylko woreczek jedwabiu.

— Urwisy.

— Więc sprzedajcie panie.

— Cóż tak płaczliwie mówisz?

— Pismo dziś od matki otrzymałem, ojciec umarł.

— O, to głupio. Ale na cóż ci teraz ogród? Jedź do matki, gdy uwolnienie z wojska dostaniesz.

— Napisałem, żeby tu przyjechała.

— Człowieku, tyś nie wart mieć matki. Starą kobietę przez tyle świata wlec będziesz?

— Przyjedzie żelazną drogą.

— Ty przeklniesz kiedyś tę dziewczkę, co cię tak opętała. Nie, ogrodu nie sprzedam, kup sobie inny.

— Nikt do zbycia nie ma. Zmiłujcie się.

— Nie dziś. Jak będziesz się żenił, przyjdź do mnie, pogadamy.

— Pamiętajcie o mnie, panie.

— Lepiej ty sam o sobie nie zapominaj.

Jakkolwiek Bróg ogrodu jeszcze nie sprzedał, a nawet nie wiadomo było, ile zań zażąda, to przecież Capenko wyszedł weselszy.

Gdy smutek długo się wpatruje w prostą naturę człowieka, jeden uśmiech radości zdoła go czasem rozproszyć. Od wczoraj gefrejter nie widział kochanki, do niej więc na chwilę pobiegł. Zbliżając się ku jej mieszkaniu rozmyślał w duszy, czy mu wczorajsze

swoje niezadowolenie z listu w imię dzisiejszej jego żałoby przebaczy, gdy na progu spotkał wychodzącego od Motylińskich Tabora. Obaj przeciwnicy zmierzili się groźnym wzrokiem, który w handlarzu zdradzał ukryte szyderstwo a w gefrejterze—stłumiony gniew. Panna Hortensya była w domu sama, co nowym kolcem zraniło zazdrość Capenki.

— Dzień dobry — rzekł drżącym głosem.

— Dobry—odpowiedziała—nie odwracając się od lustra, przed którem przymierała skończoną już żółtą chusteczkę.

— Panna Hortensya zdrowa, nie przestraszyła się wczoraj?

— Ja tam nie kuropatwa, żebym się strzałów bała.

— Człowieka zabili, a mówią, że Tabor go namówił.

— Widziałeś pan, że gadasz? Wszystkiemu Tabor winien. Żeby na wierzbie gruszki urosły, to także byś pan na Tabora zmówił.

— Złodziej on, wybrany...

Pannę Hortensyę widocznie rozdrażniły słowa Capenki, bo oparłszy się na oknie, zaczęła z udaną wesołością nucić krakowiaka.

— Niech panna Hortensya mnie pożałuje — odezwał się po chwili milczenia—mam wielkie nieszczęście. Ojciec mi umarł.

Są dwa wyrazy i dwa wypadki: śmierć i małżeństwo, które zdolne są zawsze otworzyć usta kobiecie tego rodzaju, jak panna Hortensya.

— Umarł! — zawołała zdziwiona, wychodząc ze swej roli.

— Tak jest, dziś odebrałem list od matki, w którym mi donosi, że spadł z barci.

Na wspomnienie barci ekonomówna skrzywiła się i odzyskując swój zadasany humor, rzekła:

— Młody może kitkę odwalić, stary musi.

Wzgardliwe te słowa głęboko zraniły Capenkę; to też bez namysłu rzekł:

— Jak tylko dadzą odstawkę, pojedę do matki.

Pannie Hortensyi pociemniało w oczach. Przeraziła ją bowiem obawa utraty konkurenta, którego czasami przeważał w jej sercu Tabor, ale który najbardziej ją ku sobie pociągał, zwłaszcza teraz, gdy go stracić miała. Stary meches, jako jedyny zalotnik, stanął przed jej oczyma tak szkaradny, jak przed chwilą był ponętny.

— Jedź pan — mówiła — przecież się nie utopię.

— Po cóż panienka ma się topić—wtrącił gefrejter—kiedy Tabor zostanie.

— Zabierz pan sobie tego merynosa.

Odpowiedź ta rozbroiła Capenkę. Poczul on litość nad kochanką i wyrzut, że ją tak niemiłosiernie doświadczał.

— Nie, panno Hortensyo — zawołał wzruszony — napisałem do matki, żeby do nas przyjechała.

— Żeby tu przyjechała, a cóż ona będzie robić? — spytała podniesionym głosem panna Hortensya, od-

zyskawszy utraconą przewagę. Przecież to prosta kobieta.

— Prosta, czy nie prosta — odparł poważnie Capenko — ale moja matka. Jej miejsce przy mnie.

Panna Hortensya milczała.

— Poradziłem jej, żeby sprzedała pasiekę, krowy, konia, trzodę, wszystkie graty i dopóki jeszcze ciepło, ruszyła w drogę.

— Posłałeś pan już list? — spytała panna Hortensya po chwili namysłu.

— Posłałem.

— To napisz pan drugi — rzekła rozkazującym tonem — żeby mi przywiozła kilka kawonów, kiedy u was tak się rodzą, bo u nas, u tego psa ogrodnika nie można się ani kawałka doprosić.

— A, bodaj mnie — krzyknął, uderzając się w czoło gefrejter — zupełnie zapomniałem, tak mi nieboszczyk rodzić rozum poplątał. Napiszę zaraz.

— Proszę powiedzieć, że mnie tem przyjemność zrobi.

— I to powiem — zapewniał Capenko, ściskając rękę kochanki i wpatrując się w nią czule.

— *Adiu, adiu* — mówiła, bo muszę iść do mamci na ogród.

Gdy Capenko wyszedł, panna Hortensya, przekonawszy się, że odjechał, stanęła przed zwierciadłem, zrzuciła żółtą chusteczkę, pod którą ukazał się na szyi sznur wielkich niebieskich paciorków. Uśmiechem

szczerego zadowolenia podziękowała w myśli — komu? Rzecz dziwna, że Capence w tej chwili koń na równej drodze się nie potknął.

Może dlatego, że w tejże chwili Tabor wybierał się w daleką a przynajmniej w długą podróż. Zaniepokojony wczorajszym wypadkiem, w którym udział głucha wieść mu przypisywała, obawiając się rewizyi, a przytem chcąc porobić zakupy zboża w okolicy, postanowił na kilka tygodni wyjechać i wywieźć wszystko, co w domu niedość bezpiecznem było. Ażeby zaś nie budzić krzywdzących jego honor podejrzeń, upakował się i wyruszył prędzej, niż na ten odjazd zdołano zwrócić uwagę.

Gdy Capenko skończył drugi list do matki z prośbą o kawony, już Tabora w Przesmyku nie było, a dokąd się udał, wróble na dachach nie świergotały.

Gefrejter z jednej strony żałował, że lisa z łupem wypuścił, ale z drugiej strony rad był, że się od jego zdrad, zwłaszcza w stosunku do panny Hortensyi, uwolnił. A potrzebował rzeczywiście spokoju, bo oto za miesiąc miał wystąpić z wojska, przygotować sobie dom, gospodarstwo, gniazdo dla żony. Co do tej ostatniej, jakkolwiek częste paroksyzmy Hortensyi nadcinały snujące się pasmo przyszłego ich połączenia, Capenko jednak porwane nici ciągle związywał i nie tracił nadziei, że na nich swe szczęście zawiesi.

Inaczej nie byłby przecież sprowadzał matki i nie kazał jej przywozić kawonów.

Ponieważ Bróg ze sprzedażą ogrodu się ociągał a jednocześnie pozwolił uprawić go a nawet pustką stojący dom zająć, więc Capenko z wolna, o ile służba nie przeszkadzała, zaczął gospodarować. Kilka szczęśliwych *poimek* pomnożyło mu znacznie kasę, ale w 150 rublach trudno znaleźć zbawienie.

— Ty waryat jesteś — rzekł raz do niego Bróg — chcesz ogród odemnie nabyć, ale przecież ziemi jeść nie będziesz, a choćbyś tych kilka morgów zasiał, to i tak ci nie wystarczy. Ja pieniędzy twoich zaraz nie łaknę, kup sobie naprzd jakie sprzęty, krowę, drobiu, trzody chlewnej.

Capenko czuł w słowach dziedzica przyjacielską radę i dlatego jej usłuchał, a nawet objawił znaczną pomysłowość. Nietylko bowiem zaczął powoli gromadzić przyszłe swoje gospodarstwo, ale nawet zamierzył spróbować przemysłu. Jako syn pasiecznika, obznajmiony z hodowlą pszczół, nabył dziesięć ulów i zaraz po otrzymaniu dymisy miał je sprowadzić do ogrodu.

Nareszcie zbliżył się ten upragniony dzień. Kapitan zawezwał gefrejtera i oznajmił mu, że wysłużywszy pięciolecie, może dalej pozostać w wojsku lub zeń wystąpić. Capenko prosił o uwolnienie. Zdjąwszy mundur i przebrawszy się w strój przesmyckiego obywatela, doznał tych samych wrażeń, jakich doznaje student, opuszczający szkołę: poczuł radość, ale zarazem pewien niepokój, niepokój najprostszej zagadki: czy będzie mógł żyć? Jakkolwiek pytanie to było po-

ważnem a jego rozwiązanie trudnem, nie mogło ono w pierwszej chwili zajmować ex-gefrejtera. Włożywszy krochmalną, z zakładkami koszulę, nowy, w Kielcach kupiony surdut i fantastyczną z prążkowanego kortu czapkę, uśmiechnięty Capenko przejrzał się w lustrze i, zadowolony ze swego widoku poszedł przedstawić się naprzód pannie Hortensyi. W tym jednak dniu silnych wrażeń jeszcze jedno, a może najsilniejsze go oczekiwało. Zbliżając się do mieszkania Motylińskich, spostrzegł idącego naprzeciw, od kilku dygodni niewidzianego Tabora. Zimny i przykry dreszcz przebiegł po nim w kilkakrotnych prądach. Handlarz zawsze był dlań upiorem, tem straszniejszym jednak obecnie, gdy się już nie bał jego minionej gefrejterskiej władzy. W miarę jak dwaj przeciwnicy zbliżali się do siebie, na twarzach ich malowało się wzburzenie.

— *Git, git*, panie Łapajko—odezwał się szyderczo pierwszy Tabor — wyglądasz pan jak przesmycki konsul. Pan podobno między nami się osiedla i ogród kupuje?

— A panu co do tego? — spytał groźnie Capenko.

— Nu, ja chciałby się tylko dowiedzieć, co pan teraz łapać będzie.

— Złapię ja ciebie naprzód za łeb, jeśli będziesz ciekawy! — krzyknął ex-gefrejter i tak gwałtownie przyskoczył do Tabora, że ten ledwie odbiedz zdołał. Poczekaj, jeszcze ja ciebie bez munduru z towarem w nocy upoluję!

W cichej, niemej walce dwu nieprzyjaciół był to drugi gwałtowny wybuch Capenki, prawie zadziwiający w jego łagodnym i miękkim charakterze. I dzięki może właśnie temu wybuchowi, wszedł on do panny Hortensyi swobodniejszy i weselszy, niżby się po takim spotkaniu spodziewać należało.

— No proszę mnie pochwalić, żem piękny—rzekł prawie wesoło.

Panna Hortensya spojrzała nań skrzywiona i bąknęła.

— Lepiej panu było w mundurze: w tem patrzysz pan na szewca.

— Aby tylko ładnego szewca, to mniejsza. No, panno Hortensyo, od dziś jestem wolny, trzeba nam pomyśleć o naszym gospodarstwie. Mam już dom, dwie krowy, troje prosiaków, dziesięć pni pszczoł i ogród.

— Co to za gadanie — przecież z tego nie wyżyjemy.

— Nie bój się Panno Hortensyo, zostało mi jeszcze pięćdziesiąt rubli a potem więcej się znajdzie.

— Ja tam bogatych lizać nie chcę, kiedy sama mogę być bogatą. Gdzie mam mieszkać? W ruderze, w której nawet stołka niema?

— Kupi się i stołek.

— Mebli trzeba, mebli, rozumiesz pan?

— To będą i meble.

Skąd jednak, Capenko dobrze nie wiedział. Do małżeństwa zabierał się trochę po żołniersku, lekceważąc

konieczne warunki materyalne. To tylko było niezawodnem, że pracować i wywalczyć sobie byt pragnął, oraz że dasy panny Hortensyi ze złudzeń go odzierały.

— Matka nie przyjeżdża — rzekł smutnie — myślałem, że trochę grosza wcześniej mi przywiezie.

— Ślicznie dostałam kawony!

— Cóż ja winien? — tłumaczył się Capenko. — Więc jakże panno Hortensyo?

— Naprzód pan dom urządź, niech będą kwiaty, firanki, lustro.

— Zrobi się — rzekł machinalnie — i wyszedł — do dworu.

Bróg przechadzał się po ogrodzie i próbował owoców. Spostrzegłszy Capenkę, długo mu się przyglądał z daleka, wreszcie zawołał.

— A to, panie, elegant! Cóż tak się przedzierzgunałeś?

— W odstawce już — rzekł, kłaniając się Capenko.

— Jedziesz na Podole?

— Zostaję.

— Trudno, głupim umrzesz. I cóż myślisz robić?

— Przyszedłem jeszcze was prosić o sprzedanie ogrodu.

— Toż siedzisz już w nim. Ja ci powiedziałem: nie sprzedam aż w dzień ślubu, może się jeszcze namyślisz, nie chcę cię przykuwać. A zresztą, co przede mną kryjesz? Ja wiem, że pieniędzy wiele nie masz i na zagospodarowanie ci ich nie starczy. Czemu mnie męczysz, żebym ci ostatni grosz zabrał? Zamieszkaj

w tej chałupie, zasiej ziemię, sprowadź sobie pszczoły, kiedy je kupiłeś, a jak zasmakujesz tu, pogadamy. Słuchaj, Capenko — mówił dalej Bróg po chwili — Motylińscy za córką posagu wiele nie dadzą, ziemia i ule was nie wyżywią — powinienes pomyśleć o zarobku. Ot, co ci powiem. Jesteś człowiekiem roztroprnym, rzetelnym, zacznij pośredniczyć w sprzedaży zboża z kupcami zagranicznymi, możesz mieć za to procent. Ja cię zrobię moim agentem i innych obywateli zjednam.

Jakaś oślepiająca jasność oblała oczarowanego Capenkę. Stał niemy, drżący, z półotwartymi ustami, po których igrał lekki uśmiech, wreszcie rzucił się do ręki Broga i zaczął ją namiętnie całować.

— Dobrodzieju mój! — wołał rozrzewniony — mój ojczel!

— Baba z ciebie, za co dziękujesz, ja za ciebie robić nie będę. Lepiej oto rozważ rzecz dobrze. Był u mnie dziś Tabor, który zboże od nas kupuje, powiedziałem mu, że tobie sprzedawać będę. Nie zawstydz mnie.

Capenko nic nie mówił, tylko kłaniał się, łzy ocierał i rozczulony odszedł. Jak był lekki, jak uniesiony, jak śmiało w przyszłość spoglądał, ten tylko wie, kto szukając pracy, niespodziewanie ją znalazł. Dla Capenki, który właściwie nie obmyślił sobie żadnego sposobu życia, lada projekt, nawet tak marzycielski, jak Broga, któremu się zdawało, że niedoświadczony w handlu ex-gefrejter wytrzyma współzawodnictwo

z Taborami, był nie deską, ale całym okrętem zbawienia.

W pół godziny wszyscy we wsi już wiedzieli, że ex-gefrejter będzie komisantem najbogatszego w okolicy obywatela, a naturalnie wiedział o tem przed innymi Tabor. Gdy mu jednak o tem mówiono, rozśmiał się ironicznie.

— Ja u Capenki zostanę faktorem.

Na drugi dzień po tym wypadku udał się Tabor za granicę. W tenże samem miejscu, co przed kilku tygodniami, spotkał leżącego przy drodze Postułka.

— No i cóż — rzekł — Capenko zostaje w Przesmyku; kupił ogród od Broga i obiecuje strażnikom w łapaniu nas pomagać.

Postułka mileżał.

— Na miejscu, gdzie ci syna zabił, będzie sadził kartofle.

— A czy to on zabił? Wiecie już na pewno?

— Pociągnąłem za język żołnierzy, wygadali.

— Ha zbój! — targnął się Postułka.

— Albo to tylko ta jedna kula była na świecie, którą on wystrzelił — rzekł Tabor.

Przez chwilę obaj milezeli.

— Swojemu nie żal ustąpić — odezwał się handlarz — ale nie takiemu kałmukowi, co z końca świata przypędzony, zamiast iść do domu, ludziom chleb wydiera nawet wtedy, gdy go sam nie zje. Czy my jemu na Podole włączymy? Czy my kiedy powiedzieliśmy: pójdziemy tam zakładać pasieki. A gdybyśmy poje-

chali, on by nas wygnał, on by krzyczał, co to jego ojczyzna. Jego ojczyzna wszędzie, gdzie on postawi swoje korytko. Wiecie, on będzie zbożem handlował.

— Ma pieniądze?

— Nie nakradł nam towaru? Mówi, że z głodu nie umrze, dopóki Postułka żyje.

— Razem nie umrzemy — rzekł posępnie kontrabandzista, wstając z murawy i idąc z Taborem do wsi.— Co on teraz robi?

— Dniem i nocą płot grodzi. I w święta... Myślisz, że chrześcijan? *Heide*. U księdza się spowiada, a dyabła się radzi. Śpiewa jakieś czarnoksiężstwa, co rano ziemię całuje. On nam nieszczęście na wieś sprowadzi. Wczoraj w nocy stał w ogrodzie i do księżycy coś gadał.

Poszli. I tym razem widział ich z okna swej wzniesionej na górze chaty Capenko, ale co oni jego już wtedy obchodzić mogli? Cały teraz zajęty swoim gospodarstwem, olśniony nadzieją szczęśliwej przyszłości, o niej tylko myślał.

Nazajutrz rano wstał ze wschodem słońca i zabierał się do opatrywania drzewek, gdy mu żołnierz przyniósł list od matki. Z nieopisanem drżeniem rozerwał Capenko kopertę. Co za radość! Matka donosiła, że wyprzedala już wszystko i że za dwa dni przyjedzie z kawonami, prosząc, ażeby przysłano po nią furmankę do kolei. Trudno się było taką wiadomością nie podzielić z panną Hortensyą, która przyjęła ją dumnie, ale łaskawie.

— Myślałam, że matka pańska nie będzie grzeczną.

— No, panno Hortensyo kochana, rzekł Capenko, teraz już wszystko gotowe, dajmy na zapowiedzi.

— O, nie, nie, nie pilnego.

— Ja czekać nie myślę.

— Ale ja myślę—odpowiedziała panna Hortensya stanowczo.

Capenko się poddał i smutny do domu wrócił. Dom ten przedstawiał już obraz schludnego i w potrzebne sprzęty zaopatrzonego mieszkania. Były w jednej izdebce nawet i firanki, kwiaty i lustro, nie mówiąc o nowej, zupełnie nowej komodzie, nad którą wisiała fotografia kochanki, ubranej w rękawiczki, z trzema na nich pierścionkami o wielkich oczkach. Jeszcze Capenko nie zdołał się przebrać, kiedy służąca Motylińskich przyniosła od panny Hortensyi kartkę, w której luba go uwiadamała, że poddaje się rozkazowi ojca i na zapowiedzie zezwala.

No, teraz już do miary jego szczęścia nic nie brakowało. Był gospodarzem, miał być komisantem zbożowym Broga i mężem panny Hortensyi. Przez cały też dzień śpiewał i sadził drzewka w ogrodzie. Już noc zapadła, a on jeszcze śpiewał zmęczony, spocony, myśląc o przyszłości zajęty. A przyszłość rozpościerała przed nim wszystkie barwy, jak gdyby ich pożyczala od ubrania panny Hortensyi. Dla nasycenia się rozkoszą tych jasnych chwil, nawet ojciec zmartwychwstał i rozpromieniony patrzył na szczęście syna.

Właśnie Capenko wziął do ręki ostatnie drzewko, gdy usłyszał na granicy jakieś krzyki, tętent koni i nawoływanie strażników.

Oswojony z tego rodzaju wypadkami nie uczuł trwogi, ale raczej chęć udzielenia pomocy swym byłym towarzyszom. Machinalnie podszedł do otaczających ogród krzaków, gdy wtem rozległ się w nich strzał. Capenko jęknął i z drzewkiem w ręku padł martwy. Na odgłos huku przybiegło kilku żołnierzy. Kto strzelił w tem miejscu odległym od drogi, którędy się jakiś człowiek z pustym workiem, jak gdyby dla ściągnięcia żołnierzy, przemykał, dlaczego zabił Capenkę — nikt nie wiedział, nawet Tabor, który przez cały ten czas siedział u siebie na ganku, wesoło pogwizdując.

Kiedy matka jechała z kawonami, Capenkę wieziono na cmentarz w towarzystwie nielicznej gromadki przyjaciół zmarłego, między którymi znajdował się i Tabor. Był on potrzebnym dla pocieszenia panny Hortensyi, która nad grobem serdecznie płakała i jeszcze wracając do domu, wzdychała. Co jednak najbardziej dziwiło wszystkich na pogrzebie, to obecność Broga. Kiedy grób zasypano, odwrócił on się, utkwiał wzrok w odległy punkt za granicą i długo patrzył na jakiegoś człowieka w austriackiej czapeczce, leżącego na drodze, który zdawał się pogrzebowi przypatrywać.

— Biedny Capenko, ja ci to, żeś chciał być moim bratem i na naszej ziemi pracować—przebaczam.



CHAWA RUBIN.

Zwracam uwagę szanownych czytelników, że osoby i wypadki, które tu opowiedzieć zamierzam, należą do warstwy społecznej, niewynagradzającej swych rzeźników, że więc ja podjąłem się tego opisu całkiem bezinteresownie. Zastrzeżenie to uważam za konieczne, ażeby trybunał opinii publicznej, wyrokując o pobudkach moich w tym względzie, nie odnalazł między niemi takiej, któraby mnie o chęć zasłużenia się współwyznawcom moich bohaterów oskarżała. I dlatego przedewszystkiem winienem wytłómaczyć, że nazwisko *Rubin* oznaczać mogło jedynie, czem Chawa i jej mąż Symcha być chcieli, ale nie czem rzeczywiście byli. Byli bowiem tak biedni, że bez ubliżenia swej zamożności mogliby się przezwąć najzwyklejszymi Piaskowcami. Pradziad Symchy, chcąc posiąść bodaj nazwę klejnotu i na swoje rodzeństwo przenieść jego czarodziejskie słowo, nazwał się Rubinem. Nie pomogło to wszakże nic ani jemu, ani potomkom. Symcha był rubinem, oprawnym w najdoskonalszą nędzę. Nie brakło mu rzeczywiście niczego, co tylko do uduszenia bie-

daka jest potrzebne. Jako „husyt“ przesiadywał ciągle w bóżnicy; przekonany, że pochodzi z „bardzo dobrej rodziny“, uznawał się za znakomitość, którą świat wspierać powinien i której umrzeć nie da; wreszcie od lat kilku chory na piersi, był niezdolnym do żadnej ręcznej pracy. Śmierć ojca zgubiła go ostatecznie. Dostał bowiem w spadku ćwierć domu w Kazimierzu nad Wisłą, ćwierć walącej się rudery, której dolna krawędź okien już niżej poziomu błotnej uliczki zapadła i którą nawet kasyer miejski, jako przeznaczoną do rozebrania, od podatku uwolnił. Mimo to Symcha był dumnym ze swego dziedzictwa, które go obdarzyło tytułem „gospodarza“. Przyjąwszy do swej izby, stanowiącej całą jego własność, dwu lokatorów, odtąd albo się kłócił z nimi, albo obiecywał na „wiosnę“ reperacyę, albo siedział na ławce przed domem i wygrzewał się na słońcu lub rzucał trzem kurom gotowane łupiny kartofli. Nawet bóżnicę zaniedbywał. Choroba, głód, duma rodowa, wreszcie uczucie godności gospodarskiej — wszystko to wprawiało biednego żyda w stan zupełnego bezwładu. Gdy mu próżniactwo dokuczyło, wychodził na rynek i rozprawiał z przechodniami o licznych kupcach na jego posiadłość, której nikt nie pożył. Ponieważ lokatorowie mu się nie wypłacali, więc zapytasz czytelniku, z czego Symcha z czworgiem dzieci żył?

Dla rozwiązania tej zagadki potrzebna nam jest właśnie Chawa Rubin.

Artysta, umiejący odnawiać uszkodzone obrazy, po-

wiedziałyby, że trzydziestoletnia Chawa była kobietą piękną. Rzeczywiście, każdy mógł w niej jeszcze dostrzedz regularny kontur twarzy, zgrabny nos, ogniste czarne oko, małe modelowe ucho, pociągający uśmiech, ale wszystko to oszpecone było tyloma znamionami nędzy, że wolę mówić o pracowitości Chawy, niż o jej urodzie. Była ona zaś pracowitą tak, jak tylko być musi żydówka, utrzymująca męża i czworo dzieci z handlu, w którym trzy ruble jest całą sumą kapitału obrotowego. Gdyby Chawa urodziła się katoliczką, zarabiałaby dziennie kilka złotych i żyła dostatnio; jako żydówka, znajdującą zbyt wiele rodzajów trefnej pracy, musiała trudnić się wyłącznie pośrednictwem w nabywaniu niezbędnych artykułów życia, co jej dawało w zwykłym biegu rzeczy 20 do 25 groszy dziennie czystego zarobku. I to jedynie przy bardzo wielkich wysiłkach! Trzeba było rano pobiedz do kolonii o 3 wiorsty za miastem, odebrać dzierżawione mleko i roznieść po domach; trzeba było oblecieć kilka wsi i kupić parę garnczków masła lub sera dla żon urzędników; trzeba było do sąsiadującego z miastem folwarku dostarczyć nafty—i tak dalej. W małej miejscinie, gdzie każdy ma wszystko w domu, albo łatwo nabyć może, pośrednictwo w kupnie musi być bardzo ograniczone i tylko kosztem skromnych wy magań utrzymać się daje. To też Chawa od świtu do nocy biegła za 25 groszami. Zakłętym kołem jej ubóstwa był szczupły kapitał zakładowy, który nie po-

zwał na szerszy handel. Gdyby miała do rozporządzenia 50 rubli, niezawodnie w ciągu lat trzech nosiłaby w szabas atlasowe suknie i odbierała od kazimierskiej arystokracji grzeczne ukłony. Ale ona posiadała w ruchu tylko trzy ruble. Rozszerzyć pieniężną podstawę swego handlu mogła tylko jednym sposobem: szeregiem śmiałych i szczęśliwych operacyj. Nie brakło jej do tego dwu najważniejszych przymiotów: ambicyi i odwagi. Ciągłe marzyła o zamożności i ryzyku. Raz nawet, przybiegłszy do pewnej wioski, o mało nie zadatkowała dziesięciu garncy miodu, powstrzymała się jednak z obawy stracenia całej swojej gotówki. Gdy jednak dowiedziała się, że jej znajomy kupił ów miód i zarobił na nim cztery ruble, rozplakała się i postanowiła przy pierwszej sposobności odważyć się na krok stanowczy.

Pewnego dnia pobiegła nad Wisłę kupić kilka węgorzy. Zbliżywszy się do rybaków, zauważyła nadzwyczajne między nimi ożywienie. Powodem były cztery świeżo złowione jesiotry. Chawie błysnęła natychmiast szalona myśl: a gdyby kupić? Z drżeniem w głosie spytała o cenę.

— Hurtem po pięć groszy za funt—odrzekł jeden z rybaków.—Będzie funtów sto pięćdziesiąt.

Chawa zaczęła się namiętnie targować.

— Co tam gadać — mówił rybak—już z miesiąc jesiotra nie złapaliśmy. Sprzedacie po złotówce.

Chawa tak była olśniona nadzieją zysku, że zgo-

dziła się na cenę i dała „tymczasem“ trzy ruble. Resztę spodziewała się dopłacić z natychmiastowej sprzedaży. Idąc z rybakami do miasta, rozgorączkowana wzruszeniem, które jej twarz rumieniło, przebiegła myślą wszystkie domy, gdzie znaleźć mogła zbyt na swój towar. Podsędek, pisarz, podpisarz, rejent, burmistrz, kasyer, garbarz... piętnaście groszy za funt, dwadzieścia, złoty, może nawet... Na tę myśl oczy Chawy zaiskrzyły się dawno zgasłym blaskiem, koło ust przewinął się rozkoszny uśmiech. Poprawiła czepek, zaczęła biec tak prędko, że obciążeni jesiotrami rybacy ledwo za nią zdążyć mogli. A jeśli nikt nie kupi?

Sto pięćdziesiąt funtów ryb na sam Kazimierz, gdzie w dzień powszedni ledwie trzydzieści osób może sobie pozwolić takiego zbytku... Przystanęła strwożona, tchu jej w piersiach zabrakło, ale wkrótce znowu ożywiona, zsunąwszy chustkę z głowy, pobięła.

— Idźcie do mojej chałupy — rzekła do rybaków, wyrwawszy im jednego jesiotra — i poczekajcie trochę, ja zaraz przylecę, tylko pieniądze rozmienię.

I nie czekając odpowiedzi, popędziła ciasną uliczką na inny kraniec miasta. Chawa zbyt była w swym handlu doświadczona, ażeby odrazu nie spostrzegła, że jeżeli chce sprzedać tyle funtów ryb, musi z niemi obchodzić możnowładztwo małomiasteczkowe koleją godności. To też jakkolwiek mieszkania innych pań miała po drodze, pobięła w przeciwną stronę miasta

do podsędkowej. Rachunek nie zawiódł. Pani podsędkowa, po niedługim stosunkowo targu, kupiła całego jesiotra za trzy ruble, to jest przeszło po jedenaście groszy za funt.

Upojona jeszcze nadzieją wielkiego zarobku, z drugiej strony niespokojna o dalszy ciąg sprzedaży, Chawa w drodze do domu naprzemian doznawała uczuć żalu i radości.

— No, co tam—myślała, biegnąc zmęczona—taniej raz, drożej drugi raz. Wzięła całego, dała odrazu pieniądze, mogłabym oba tamte jesiotry darować i miałabym moje trzy ruble.

— Moje trzy ruble — zawołała głośno, ściskając w kieszeni papierek. — Pięć złotych im się należy, więc dopłacę—dwa jesiotry pięć złotych niewarte?...

Zdaleka ujrzała Chawa przed domem męża rozprawiającego z rybakami i szturgającego kijem jesiotry, którym dzieci bojaźliwie się przyglądały.

— Jakie ryby, co mi za ryby—mówił pogardliwie. Kto to je? — głodny; a kto zapłaci? — głupi. Oj, oj, specyał! Nie dała zadatku?

— Dała—odparł jeden z biedaków—ale z resztą nie przychodzi.

— Gwałt, nie przychodzi, to ja nie mam kamienicy, ja nie gospodarz, mój majątek nie wart pięć złotych?!

Spostrzegłszy nadchodzącą żonę, Symcha podniósł nagle o kilka tonów głos swej dumy.

— Na moja hipoteka nie siedzi ani grosz, to dwa

jesiotry się zmieszczą. Ja nie takie głupstwa handluje, ja powiedział, ja mam dom, Symcha gospodarz.

Uspokoiwszy męża ostrem napomnieniem, Chawa odezwiała się do rybaków:

— Trzy złote mam dopłacić..

— Pięć!—zawołali rybacy.

— Jak to? Po rublu i złotówce sztuka.

Rozpoczął się spór. Chawa z nałogu i w nadziei wynagrodzenia sobie taniej, jak mniemała, sprzedaży pierwszego jesiotra, chciała coś wytargować; usiłowania jej wszakże okazały się daremne.

Po odejściu rybaków usiadła na ławce przed domem i zaczęła obcierać fartuchem twarz z potu, nie odpowiadając na płaczliwe krzyki dzieci, które ją w cztery strony szarpały. Wreszcie wyjęła z kieszeni dwie gruszki, rozgryzła je na połowy i zatkała nimi czworo rozwartych ust.

— Symcha — zawołała na męża, który z rękami w tył założonemi przypatrywał się omszałym gontom swego domu. — Zanieś ryby do izby.

— Tu im nie zimno — poleżą... — odrzekł flegmatycznie i kaszląc powlókł się ku miastu.

Chawa zatrzęsała się od gniewu a w oczach jej błysnęły dwie pełne łzy. Nienawidziła ona męża za lenistwo i chorobę, o ile w jarzmie ciężkiej pracy nienawidzieć można. Gdyby Symcha był zdrowym, czułaby do niego pewne przywiązanie; gdyby próżnował tylko z religijnych pobudek, cierpliwie sama znosiłaby całe

brzemie utrzymywania rodziny. Ale Symcha unikał najdrobniejszego zajęcia przez nałóg chasyda i skutkiem naturalnej w stanie jego zdrowia bezwładności. Pasorzyt chory a rozmnażający się — czy może być coś okropniejszego dla karmiącej całą rodzinę ubogiej żony?

Chawa ciągle milczała, zajęta jesiotrami, których prędko należało się pozbyć, ażeby im skwar lipcowy nie zaszkodził. Głucha na ponowne wrzaski dzieci, powstała szybko i pobiegła do leżącego nieopodal domu, do jednej ze swoich klientek, pani kasyerowej, którą spotkała w ogródku.

— Aj, aj, pani kochana, co ja dla pani mam, nikomu jeszcze nie pisnęłam... Świeżutki, piękny, bardzo piękny jesiotr.

— Jesiotr—rzekła kasyerowa—to nie ryba, to nie ryba. Przeszłego roku zamarynowałam dwadzieścia funtów i połowę wyrzuciłam, bo nawet dzieci jeść nie chciały.

— Co pani mówi, co pani mówi... Nieboszczyk rejent to wołał, niż smażone grzyby... Pani podsędkowa zawsze przypomina: Symchowa, Symchowa, a kiedy dla mnie będzie jesiotr?

— Wreszcie, jeśli tanio...

— No, dla pani po złotówce funt.

— Idźcie dalej, za tę cenę będę miała łososia.

— Mnie samą dwadzieścia pięć groszy kosztuje, muszę coś zarobić.

— Piętnaście groszy dam i wezmę trzydzieści funtów.

— Co ja zresztą zrobię? Ach, pani kochana, taka smaczna ryba, aż żal jeść. No polecę do burmistrzowej, może ona do wspólki weźmie.

Tymczasem pani burmistrzowa, dowiedziawszy się, że Chawa — która o przestrzeganiu stopni znaczenia na chwilę zapomniała — zgłosiła się naprzód do kasyerowej, żydówkę za drzwi wyrzuciła.

— Szelma — krzyczała, zatrzaskując drzwi — ona mnie będzie częstować tem, co jakiejs kasyerowej od gęby odpadnie. Ja ci to przypomnę!

Chawa nie miała nawet czasu zmartwić się tem przyjęciem i popędziła dalej. Bóg handlu jednak widocznie postanowił ciężkiem dopuszczeniem ukarać ją za zuchwałą próbę, bo nigdzie ani całego, ani połowy jesiotra sprzedać nie mogła. W jednym domu nie było państwa, w innym — pieniędzy, tak że Chawa obleciawszy daremnie całe miasto, wróciła zgnębiona do domu.

Co zrobić? Pytanie to jest równie straszną marą przed oczyma kupca, którego naładowany towarami okręt na morzu się przedziurawił, jak i przed oczyma ubogiej handlarki, od której nikt nie chce nabyć dwu jesiotrów. W chwili takich niebezpieczeństw pierwszą myślą jest ratowanie swego kapitału. Po dopłacie rybakom brakowało Chawie do włożonej sumy pięciu złotych. To też szybko przecięła siekierą jednego je-

siostra i zaniósła połowę do kasyerowej. Jeżeli odbierze całą należność, będzie miała dwa ruble czystego zarobku, chociażby reszta ryb zgniła. O, słodka nadziejo, o rzadki dniu szczęścia! Dwa ruble zarobku, za kilka godzin latania! Zamożniejsi od Chawy pod warunkiem takiego powodzenia handlowaliby rybami.

Dnia tego wszakże omal ziemia pod jej stopami na wodę się nie zmieniła.

Pani kasyerowa bowiem oświadczyła naprzód, że po piętnaście groszy za funt nie da, tylko po dziesięć, i że zapłaci dopiero nazajutrz. A więc Chawa swoich trzech rubli w kieszeni nie miała, gotowizną ani grosza przez większą część dnia nie zarobiła! Odurzona tą myślą, z wyrazem dziwnej stanowczości w twarzy, szła zadumana do domu. Była godzina pierwsza po południu. Symcha, skubiąc liście buraka, rzucał je kurom, które daremnie oszukać próbował. Dzieci, siedząc w kupce pod ścianą, żuły łupiny niedojrzałych strączków grochu, których garść ojciec im z miasta przyniósł. Spostrzegłszy matkę, gwałtownie krzyczeć poczęły. Chawa podniosła najmniejsze, pocałowała i weszła do izby.

— Kup im funt chleba—rzekła do komornicy, kładąc cztery grosze—bo ja wylecieć muszę.

I nie zważając na krzyk dziecka, wybiegła z domu, porwała leżącego pod oknem jesiotra i zarzuciwszy go na ramię, popędziła ulicą, wiodącą za miasto.

— A dokąd to Symchowa? — spytała jakaś staruszka, siedząca na ganku z pończochą w ręku.

— Do Puław, kochana pani—rzekła Chawa, zbliżywszy się i ucałowawszy rękę staruszki.

— Niesiesz jesiotra? Dla kogo?

— Albo ja wiem, dla kogo. Tu nie mogę sprzedać. Mam jeszcze połowę w domu.

— Ja ją wezmę. Przyjechał do mnie na wakacje wnuczek z dobrym apetytem. Ale czy ty taki ciężar do Puław zadźwigasz?

— Ach moja pani, ledwie stoję. Jeszcze dziś nie jadłam, nie wiem nawet, czy dzieciom zdążę ugotować. Ale cóż robić? Ryby nie mogę długo trzymać. Kupiłam trzy jesiotry, jednego wzięła pani podsędkowa po jedenaście groszy funt, połowę pani kasyerowa po dziesięć, resztę mam i lecę do Puław. Dotąd nie zarobiłam, nawet całych trzech rubli nie odebrałam. A jak te pieniądze od pani stracę, to już chyba z dziećmi ziemię gryźć będę musiała.

Staruszka, przed którą Chawa tak szczerze się spowiadała, była wdową po ogrodniku książąt Czartoryskich w Puławach. Straciwszy ukochanych państwa a potem męża, nie mogąc żyć w miejscu tylu smutnych dla niej pamiątek, przeniosła się do Kazimierza, gdzie ze skromnego fundusiku i wsparć licznej rodziny utrzymywała się z ułomną, niezamężną córką. Ona to przed dwoma laty pożyczyła owe trzy ruble, którym Chawa zawdzięczała wszystkie swoje operacje

handlowe i których całości ze szczególnem staraniem strzegła. Najpomysłniejsze zyski w niedalekiej przyszłości nie zdołały jej zabezpieczyć od niepokoju, jaki uczuwała, ile razy czarodziejskie trzy ruble bodaj na chwilę, bodaj częściowo z rąk jej się wysunęły. Wtedy doznawała nieopisanego strachu, widziała się nad przepaścią, w którą wraz z całym rodzeństwem wpadnie. Z tej także bojaźni płynęła jej gwałtowna chęć natychmiastowego sprzedania jesiotrów. Do trzech rubli brakło jej pięciu złotych.

Charakterystycznym znamieniem stosunku Chawy do babci Włostowickiej była szczerłość żydówki. Ona, która przy sprzedaży okłamywała wszystkie małowia-
steczkowe panie, tej jednej mówiła sumienną prawdę.

— Po czemuż kupiłaś jesiotry?—spytała staruszka.

— Po pięć groszy funt—odrzekła Chawa.

— To zarobiłaś.

— U pani podsędkowej, bo kasyerowa nie oddała mi pieniędzy.

— No idź, moja kochana, nie wiem ja, kto tam teraz w Puławach mieszka, ale podobno dużo państwa zjechało.

Chawa ucałowała rękę staruszki i pobiegła. Z Kazimierza do Puław wiorst dziesięć, niełatwem więc było odbycie tej drogi z ciężarem pięćdziesięciu funtów na plecach. To też przewieszony przez ramię żydówki jesiotr zdawał się sceptycznie kiwać głową nad jej śmiałem przedsięwzięciem. Mimo to ona, chociaż

głodna i strudzona, szła ostrym krokiem. Na trzeciej wiorście odpoczęła. Jakiś przejeżdżający obywatel, spostrzegłszy u jej nóg rybę, kazał stanąć.

— A co to macie?—spytał.

— Jesiotra — odrzekła Chawa z bijącym sercem.

— E, jesiotra—bąknął wzgardliwie i pojechał dalej.

Może w Puławach każdy tak kiwnie? Chawa porwała się i ruszyła w drogę. Po dwu wiorstach znowu spoczęła. Rozmyślając nad swoim strapieniem, ujrzała nadjeżdżającą w tymże kierunku biedkę, na której obok furmana siedział zabrany po drodze żyd. Znany w Kazimierzu roznosiciel listów, dymisyonowany żołnierz, wyklęty z ambony i obijany w magistracie pijak, jechał z pocztą i na własny rachunek wziętym pasażerem.

— Franek, Franek!—wołała—poczekaj.

— Czego?—odrzekł furman, zatrzymując konia.

— Weź mnie do Puław.

— Chyba doprzężecie swoją rybę, bo moja szkapa nas nie uciągnie.

— Czy to daleko—trzy skoki zająca.

— To skaczcie.

— Nie gadaj, nie gadaj.

— Ale gdzie usiądziecie, Mośkowi na kolanach?

— Znajdzie się i dla mnie miejsce.

Nie czekając pozwolenia, zaczęła się wdrapywać.

— Dawać naprzód złotówkę—wołał Franek.

— Głupiś, ja cię nie skrzywdzę.

Pojechali.

— Dlaczego ty dziś z pocztą jedziesz? — spytała.

— Jędrzejowi dziecko umarło — odrzekł Franek — mnie pan wysłał. Czort nie robota.

— Lepiej z listami miasto obchodzić i na wsie piechotą latać?

— Niby latam! Pies by tam buty zdzierał. Trzeba list do jakiego dworu odnieść, to szukam furmanki. Jest — dobrze, nie — to czekam. Papier nie kwiatek, nie uschnie.

— A jak pilno?

— Mnie nie pilno, chyba *karman* pusty.

— Dużo miewacie listów na wsie?

— Czort liczył. Toć wszystkich nie odnoszę, tylko te, co napisane, żeby przez posłańca wyprowadzić i co panowie sobie z poczty każą do domu dostawiać, za kwitem; *zakażne, strachowe*.

— Dobrze ci za drogę płacą.

— Ot, bzdura. Czasem kopiejek dadzą, a czasem kaszy. Ja temu z Uściąża powiedział w tamtą niedzielę, że ja nie wróbel, żeby on mnie kaszę sypał. Z Polanówki dobry szlachcic: wczoraj rubla za list rzucił.

— Rubla! — zawołała wzruszona Chawa. — Toć do Polanówki nie ma mili drogi.

— Sześć wiorst. Łyknął sobie człowiek parę *stakanów*, poczhalterowi się sprzeciwił, poczhalter *wszeję*, ja jego *wyrugał*. Mówił, co mnie odprawi — *sobaka*. No już poczta niedaleko, żydy wysiadać.

Chawa zeskoczyła.

— Bóg zapłać—rzekła.

— Co, psia wiaro, ja do twego boga mam iść po zapłatę? Złotówkę dawaj.

— Franek, ty oszalał. Za kawałeczek drogi złotówkę!

— Jak dziesięciu kopiejek nie położysz, kawał ryby sobie ukroję.

To mówiąc, wyjął nóż, gotów do spełnienia groźby.

— Szelma, co robisz!—krzyknęła rozpaczliwie żydówka—masz, masz zbóju.

Wyrzuciwszy jesiotra i ściągnawszy opłatę od Mośka, Franek gwizdząc pojechał dalej. Chawa ze swym ładunkiem na plecach pośpieszyła tąż samą drogą i wróciła się w aleję ku Instytutowi Maryjskiemu. Tam najpewniej spodziewała się sprzedać. Zaraz na wstępie jednak spotkał ją zawód. Gospodyni bowiem objaśniła ją, że wszystkie artykuły żywności nabywa tylko większymi partjami i że kilkanaście lub kilka jesiotrów chętnieby wzięła, ale jeden nie przedstawia dla niej żadnego użytku.

Opuszczając Instytut, Chawa się rozplakała. A jeżeli wszędzie odmówią?—pomyślała. Ryba długo czekać nie może. Włókła się przez ulicę z jesiotrem na plecach, w nadziei, że kto z przechodniów ją zaczepi. Gapiów zgromadziło się dużo, ale nikt nie zatargował. Wreszcie jakiś niemłody jegomość przystanąwszy, zapytał:

— Dla kogo to?

— Na sprzedaż—odrzekła Chawa.

— Świeży?

— Dopiero co złapany.

Obejrzał rybę.

— Ile chcecie za całą sztukę?

— Pięć rubli.

— Cztery weźmiecie?

Chawę opanovało radosne wzruszenie.

— Ach, wielmożny panie—błagała—to zamało.

Mnie samą tyle kosztuje.

— Weźmiecie?

— Gdzie zanieść?

— Do tego domu, do doktora Pryskiego. Tam zapłacą.

Napisawszy kilka wyrazów na bilecie, wręczył go żydówce i odszedł.

Gdyby Chawa była żona Lota a na Puławy miał spaść deszcz siarczasty, nie załatwiłaby sprzedaży i nie uciekła prędzej. Są istoty, którym kilka rubli zarobku skrzydła do ramion przypina. Chawa biegnąc do domu, śmiała się, klaskała w ręce, opowiadała sobie coś przyjemnego i objawiała taką radość, jak gdyby dla uczczenia zyskanych kilku rubli zwaryować miała. Ciało jednak, chociaż chwilowe odurzenie potrzeby jego usmierzy, w końcu upomina się o swoje prawa. Żydówka, prócz kilku suchych, z zeszłego dnia pozostałych kartofli, od rana nie w ustach nie miała, a dzień już chylił się ku wieczorowi. Wycieńczona głodem, strudzona całodziennem lataniem, gdy paroksyzm radości prze-

minął, uczuła gwałtowne w nogach omdlenie. Dowlokłszy się więc do najbliższej wioski, weszła do karczmy. Za stołem siedział Franek obok młodego, nieznajomego człowieka, z którym przeglądał pakiet pocztowy i raczył się wódką. Stojący nieopodal żyd, karczmarz, przypatrywał się ciekawie tej wesołej biesiadzie.

— Niektóre ludzie w pocztowej służbie — mówił nieco już podchmielony Franek do swego towarzysza — mają takie w palcach czucie, co odrazu poznają, czy w liście są pieniądze.

— W tym być muszą — odrzekł towarzysz — grube, tłusciuteńkie. Możeby wypatroszyć?

— No!

Chawa, zajęta swojemi myślami, nie zauważyła dobrze tej sceny i kupiwszy dwa placki, wyszła przed karczmę, usiadła na kłocu i jeść zaczęła. Przez otwarte okno dolatywały do jej uszu głośnie śmiechy, a raz nawet wyraźna, niezrozumiała dla niej groźba Franka:

— Ja by ją naznaczył!

Po chwili Franek wyszedł z karczmy pijany i zataczył się do swojej biedki, na którą z wielkim trudem usiadł.

— Hej, żydówka, jedziesz ze mną? — zawołał.

— Nie — odrzekła Chawa.

Franek rozśmiał się, ciął ją po plecach biczem, potem uderzył konia, i odjeżdżając, zawołał:

— Ty wiedźma myślisz, że ja by się do ciebie zalecał?!

Chawa krzyknęła z bólu, rzuciła kilka przekleństw, chwilę popłakała, wreszcie straciwszy w żalu apetyt, schowała resztę placka do kieszeni i puściła się w drogę. O czem idąc nie myślała, trudno było powiedzieć. O połowie jesiotra w domu, o dwu sprzedanych, o kosztach podróży, o głodnych dzieciach, o zbyt kosztownej, dla nich kolacyi, o roznoszeniu listów, o Franku o jego biczu... Może tylko mąż nie zajmował jej wcale. Z twarzy Chawy widać było, że jej mózg ustawicznie pracuje, z ust zaś wypadały oderwane cyfry groszowego rachunku. My, znający jej tajemnicę handlu jesiotrami, nie będziemy się temu dziwili. Wszakże nie licząc należności od kasyerowej, Chawa już tego dnia zarobiła przeszło trzy ruble. Trzy ruble czystego zarobku! Trzeba być wilczycą, ażeby zrozumieć radość ze zdobycia wołowego uda dla dzieci.

Już zmierzch zapadał, gdy Chawa doszła do sąsiadującej z Kazimierzem wioski. Idąc nad rowem, usłyszała jakieś głośnie chrapanie a niedaleko spostrzegła konia, włóczącego po błoniu przewróconą biedkę. Domyśliwszy się, że to pewnie pijany Franek przyspiesza troskliwie listowną wymianę myśli, i przypomniawszy sobie skuteczność jego bicia, zaczęła klusem uciekać.

Myliłbyś się kochany czytelniku, gdybyś sądził, że Chawa pod wpływem tego spotkania rozpamiętywała może, na jakie kaprysy losu narażona jest u nas

korespondeneya; bynajmniej, ona po prostu myślała, jaki ten Franek szczęśliwy, że listy roznosi i w Polanówce rubla za drogę dostaje...

Ujrzawszy światelko w oknie swego domu, poczuła przyjemny dreszcz, przebiegający jej ciało. Dawno już nie wracała z tak obfitym zarobkiem, dawno już nie mogła wyprawić tak zbytkownej jak dziś kolacyi. Cieszyło ją nadewszystko to, że dziesięciomiesięczny Icek, którego przez cały dzień uspakajano kartoflami, zje wreszcie jakiś przysmak, odpowiedni jego wiekowi. Ażeby czasu nie tracić, pobiegła naprzód na rynek, kupiła kwartę maki, za trzy grosze masła, kwaterkę mleka i jedną figę. Już zdala usłyszała w izbie rozpaczliwy płacz dzieci. Innej sfery matka przeraziłaby się niezawodnie, sądząc, że w jej rodzinie stało się jakieś nieszczęście. Chawa wiedziała, że jest to tylko chór czworga głodnych żołądków.

— No, cicho, cicho moje małe—zawołała, wpadając do izby, w której dwu chłopców szlochało po kątach a dziewczynka starała się uspokoić najgłośniejszym krzyżącym Icka.

Chawa, ucałowawszy go, włożyła mu w usta figę, między troje innych rozdzieliła niodojedzony w drodze placek i tym sposobem wkrótce uspokoiła całe gniazdo.

— Gdzie ojciec?—spytała najstarszej córki.

— Poszedł ślub dawać, będzie na weselu.

— Nie gotował nic?

— Nie jadł.

Jeszcze nie upłynęła godzina, kiedy skrzętna Chawa już zasiadła z dziećmi do spożycia rzadkiej wieczerzy—klusków z kartoflami, okraszonych masłem, a dla Ieka zaprawionych mlekiem. Kluski były głównym przysmakiem tej uczyty, gdyż budżet zwykłych wydatków na życie, ograniczający się do piętnastu groszy dziennie, na zbytki podobne nie pozwalał. Kartofle, ułęgałki, kasza jęczmienna, oto były powszednie artykuły żywności w rodzinie Rubinów.

Jak rozkoszny miała Chawa sen tej nocy, daremnie siliłbym się opisać. Był to sen szczęśliwca, który wygrał na loteryi, nędzarza, który znalazł wór złota, albo jak rzekłem, wilczycy, która koło legowiska zagrzebała ledwie napoczęte udo wołowe.

— Gdzie się włóczysz — gderał na drugi dzień Symcha—ty nie masz męża, nie masz dzieci, na spacer sobie chodzisz. Coś zarobiła?

Chawa milczała, nie chcąc zdradzić swych kapitałów, ażeby mąż, który już od trzech lat myślał o sprawieniu sobie nowego szlafroka, bez czego obywatelskiej godności przyzwoicie piastować nie mógł i który dom miał odnowić, nie zechciał ich zagarnąć.

— Ty pani—mówił dalej—ty dla siebie kupujesz jesiotry. Co będzie z tą połową, kto weźmie?

— Sprzedam — odrzekła Chawa krótko i wyszła, zabrawszy resztę ryby. Dokąd? Prawie wszystkie domy obeszła; przebiegając jednak wspomnieniem wypadki dnia wczorajszego, dzięki zajściu z Frankiem przypo-

niała sobie pocztę. Wprawdzie pan Chrzastkiewicz żonie pensję kredytem wypłacał i długów nie pokrywał, ale czasem, gdy miał, szczególnie gdy jaka chłopka pieniądze mężowi służącemu w wojsku posyłała, poczhalter na wydatki domowe nie żałował i gotowizną płacił. Obawiała się Chawa z początku awantury z Frankiem, ale wreszcie wytłomaczyła sobie, że Franek wobec pana Chrzastkiewicza nie jest Frankiem w drodze do Puław. Poszła.

Urząd pocztowy mieścił się w Kazimierzu na wysokiej górze, prawdopodobnie dla tego, żeby dwa rumaki pana Chrzastkiewicza, zaprzężone do ekstra-pocztowej bryczki, mogły ruszyć z miejsca galopem i bodaj na chwilę przekonać pasażera, że one nie są tak flegmatyczne, jak wyglądają. Jeszcze Chawa była u spodu góry, gdy już usłyszała groźny, miotający gromy przekleństw głos poczhaltera. W takiej chwili przybyć z jesiotrem, nie było bezpiecznie, ale znowu nie dowiedzieć się, o co rzecz idzie—przykro. To też Chawa po chwili namysłu wsunęła się w krzaki i pod ich osłoną zaczęła ostrożnie postępować ku górze. Za każdym krokiem coraz wyraźniej rozpoznawała powody awantury.

— W kajdany cię zakuć każe—krzyczał do kogoś Chrzastkiewicz — gdzie dwa listy podziałeś zbrodniarzu? Dla czego ten rozeiety? Gdzieś był do rana? Czy ty myślisz podły hultaju, że ja za ciebie odpo-

wiadać będę? Zgnijesz w kryminale i świata nie ujrzysz, tak, zgnijesz psie...

Po tych słowach nastąpiły uderzenia, straszny ryk, szamotanie się, a wreszcie skok jakiegoś ciała, łamiącego krzaki i spadającego na ukrytą w nich Chawę. Był to Franek, uciekający przed pogonią poczhaltera. Żydówka krzyknęła i naturalnym popędem pobięła naprzeciw goniącego.

— A, złodziej — wołał Chrząstkiewicz, sapiąc, spostrzegłszy ją i osadziwszy się na miejscu — ja jego jeszcze nastaluję!

— Co on ukradł? — spytała bojaźliwie Chawa.

— Pocztę, listy porozcinał, pogubił, czy poniszczył. O, nie daruję, nie daruję mu tego — krzyczał Chrząstkiewicz, uderzając kijem o ziemię. Jędrzeju! Idź do miasta i przynieś mi librę papieru, zaraz raport spiszę.

Podczas gdy Jędrzej pobięł po papier a jego pan zamknął się w kancelaryi dla obmyślenia raportu, Chawa weszła do kuchni. Zmartwiona wypadkiem poczhalterowa nie mogła z początku o czem innem mówić, ale z wolna dała się naprowadzić na sprawę jesiotra.

— Kupiłabym — rzekła — gdyby mi Fercio dał pieniędzy. Ale wątpię, ten szelma zrabował pocztę, może tam i dla nas co było, straty dużo...

— On zrabował — pocieszała Chawa — on pójdzie do kozy. No, zmartwienie, ale co państwo temu winni?

— Ile funtów w tym kawałku?

— Dwadzieścia pięć, albo więcej. Nie drogo sprzedam.

Nagle drzwi się otworzyły i wpadł Chrzastkiewicz.

— Masz ty czas Symchowa?— spytał.

— Na co?

— Pan Kopf z Uściąża pisał do mnie wczoraj, ażeby mu natychmiast przysłać list, jeśli nadejdzie. Ten łotr dopiero dziś z pocztą wrócił, jego już wypędziłem, czybyś więc nie mogła listu Kopfowi odnieść? On ci wynagrodzi.

— Kiedy pan każe, zaraz pójdę — odrzekła Chawa i porzuciwszy jesiotra w kuchni wybiegła.

Widocznie w księdze jej przeznaczeń los przewrócił nową ich kartę. Wczoraj Chawa marzyła o szczęściu Franka, a dziś już szła z listem do Uściąża. Wprawdzie do tego Uściąża, którym Franek gardził, gdzie za drogę płacono tylko kaszą, ale naprzód kasza nie była dla Chawy wynagrodzeniem pogardy godnem, a powtóre kto mógł zaręczyć, że poczalter nie pośle jej jutro do Polanówki, gdzie rubla dają? Wszakże Franek przestał być roznosicielem, trzeba więc tylko wkraść się do łask pana Chrzastkiewicza...

W tym punkcie swych dumań Chawa rozśmiała się radośnie, jak gdyby jej wielka, oślepiająca myśl zabłysnęła. Co to była za myśl, odgadniemy później, tymczasem winniśmy oddać sprawiedliwość Kopfowi, że za przyniesienie listu wynagrodził żydówkę pocciwie. Kazał jej dać pół garnea grochu, kwartę mąki, kilkanaście marchwi, a nawet jako rzeczywisty znawca

piękności, z przyjemnością pogłaskał ją pod brodę i rzekł:

— Powiem panu Chrząstkiewiczowi, ażeby mi listy zawsze przez siebie przysyłał.

Chawa ukloniła się pokornie i odeszła. I tego dnia przeznaczonem jej było zjeść z dziećmi kolację wystawną.

Już wróciła na pocztę z pokwitowaniem, a Chrząstkiewicz jeszcze raportów nie ukończył. Z doniesieniem władzy, że dwierekomendowane korespondencyę przez pocztę zgonia w drodze zatraczone zostały, załatwił się prędko; ale z raportem do burmistrza, śmiertelnego swego wroga, żądającym przyaresztowania Franka, daremnie od godziny się pasował. Zmieniał wyrażenia, kreślił, przepisywał, nareszcie po długich mozolach wypracował akt, który zdaje się odpowiadał w zupełności jego powadze i ważności wypadku.

— Frankowi dałem dymisyę — rzekł do Chawy dumnie, otrzepując o stół pióro z atramentu — jeżeli byś służyła dobrze, dałbym ci posadę roznosicielki.

Żydówka ukloniła się, dziękując niemem poruszeniem ust. W tej chwili weszła służąca.

— Czy pan będzie jadł jesiotra na zimno? — spytała.

— Ach, prawda, zawołał Chrząstkiewicz, ileż ci się należy za tego jesiotra?

— Drobną rzecz — odrzekła Chawa.

— No przyjdź po listy.

Wyszedł. Dnia więc 13 lipca 18** roku Chawa Ru-

bin została formalnie zatwierdzoną w godności roznosicielki listów zwyczajnych i rekomendawanych, po mieście i wsiach, za opłatą co łaska. Wieść o tym wypadku rozbiegła się szybko po Kazimierzu a nawet jednocześnie z raportem doszła do magistratu.

— Słyszałeś, słyszałeś — zawołała pani burmistrzowa, wpadając do kancelaryi męża — Franka Chrzastkiewicz wygnał i tę śledziarkę, Symchowę na jego miejsce..

— Właśnie tu do mnie złożył raport o popełnionej przez Franka kradzieży, żądając, abym go do kozy wsadził.

— Jużbym cię miała za gawrona, gdybyś na to przystał. Czy ty nie pamiętasz, jak ci Chrzastkiewicz u rejentów ubliżył? Ty mu wierzysz, że to Franek pocztę okradł? A jeszcze ta podła żydówka, która mi wczoraj śmiała przynieść resztę jesiotra, co kasjerowej z nosa spadło. Rób zresztą, jak chcesz, a ja Franka na stróża już zgodziłam.

— Ale kiedy on rzeczywiście jest złodziejem — odparł burmistrz.

— U nas nie będzie — a w końcu musimy postawić na swoim.

Jakoż rzeczywiście burmistrz postawił na swoim, bo przyaresztowania Franka odmówił i do służby w magistracie go przyjął.

Franek nie należał nigdy do ludzi, łatwo innym ustępujących z drogi, a tem mniej dawał się z niej

usunąć wtedy, gdy go wspierało tak potężne ramię, jak burmistrza a raczej burmistrzowej. Znając przytem wiele drażliwych tajemnic urzędu pocztowego, był pewnym, że Chrzastkiewicz winy jego zbyt nie rozmaże i na odwet się nie narazi. Nietylko więc postanowił burzy śmiało czoło stawić, ale nadto zemścić się na żydówce, która miejsce jego zajęła i którą o zdradzenie rewizyi listów w karczmie podejrzywał.

Sprawiedliwość przyznać każe, iż pobudki, jakimi Franek gniew swój motywował, były bardzo obywatelskie i jak gdyby poczerpnięte z uczonych dzieł, wydawanych w celu wytepienia żydowstwa. Prawdziwe światło przenika czasem promieniami swymi aż do nizin społecznych. Dowodem właśnie Franek, który nigdy żadnej rozprawy przeciw żydom nie czytał, a jednakże odczuwał w sobie potrzebne do takiej pracy natchnienia.

— Czort weź służbę — mówił do swego kolegi, drugiego stróża w magistracie — człowiek nie dziś upieczony, robotę znajdzie i znalazł. Ale żeby taka podła żydówka chleb odbierała, to ludziom wstyd i Bogu obraza.

— Albo on ją trzymać będzie?

— Będzie, on za spodnicą w ogień, a za żydem w wodę. A zresztą myślicie, że jemu się coś z tego nie okroi? Ja do mojej kieszeni tylko sam rękę wkładałem i co zarobiłem, to było moje; ale ona będzie musiała duszą się z nim podzielić. Szczeka, żem mu

pocztę okradł, bo chciał mnie się pozbyć, bom był człowiek poczciwy, rzetelny, pilnowałem swego.

— Juści wiadomo.

— Ach, te żydy, te żydy. Urodzi się sobaka, gdzie nie posiejesz, zębami już złapiesz, to jeszcze ci wydrze. Oj przydałoby się zegnać to plugastwo i w Wiśle potopić.

— Bo prawda.

— Naszemu bratu chleb w kamień się zamienia, im piasek się lepi. Gdzie nie stąpisz, żyd ci nogę podetnie.

— Albo raz!

— Ja tej łachmaniarce nie daruję, ja ją z drogi zawrócę!

Niezależnie od tych pogroźek Chawa roznosiła swobodnie listy, nie porzucając handlu, co jej razem przynosiło pokaźny, bo czasem do połowy rubla dziennie sięgający dochód. Jakkolwiek do Polanówki, gdzie według Franka rubla dawano, listu jeszcze się nie doczekała, dzięki jednak wyjątkowo obfitej w tej porze korespondencji i miłosierdziu adresatów, których łaski roznosicielka umiała sobie skarbić, kasza, groch, kartofle, mąka, stara odzież i grosze obficie ją zasypywały. Najwidoczniejszym tego dowodem były tłustawe twarze jej dzieci, które co dzień dwa razy gotowaną strawę jadały, a nadto maleńki woreczek, który Chawa na piersiach pod kaftanem nosiła. W woreczku tym znajdowało się dziesięć zaoszczędzonych rubli,

zadatek przyszłej świątecznej garderoby sześciorga Rubinów. Mówię wyraźnie: sześciorga, gdyż Chawa postanowiła nawet mężowi sprawić nowy szlafrok, co podobno było najwymowniejszym świadectwem jej za-
możności.

Równolegle ze wzrostem powodzenia roznosicielki spadało szczęście Franka. Pewnego dnia dostrzeżono w kredensie brak dwu srebrnych łyżek. Burmistrzowa możeby w inną stronę zwróciła swe podejrzenia, ale burmistrz, który ciągle czuł do nowego stróża wstręt policyjny, natychmiast go wypędził. Daremnie Franek kłął się i zapewniał o swojej pocziwości, surowy zwierzchnik przebłagać się nie dał.

— Ta szelma żydówka wszystkiemu winna—rzekł były roznosiciel do kolegi, opuszczając magistrat. — Dopóki ona się nie wdała, każdy mnie miał za pocziwego człowieka.

Z tą słuszną skargą poszedł prosto do szynku, gdzie jakoś współcześnie ze zniknięciem łyżek uzyskał znaczny kredyt. Wypiwszy na zatrucie smutku kilka półkwaterków, zaczął z serdecznym płaczem użalać się Srulowej na swoją niedolę i jej sprawczynię.

— Co ona winna?—broniła szynkarka.— Czy was podeszła?

— Czemu wsiadła do biedki z jesiotrem, hę? — bełkotał Franek. — Ja się przeżegnał, ona wskoczyła. Zaraz nie koń nas ciągnął, ale kozioł. Ja ją uduszę... Nie uduszę—to ona z głodu zdechnie.

— Nie jej nie będzie—odrzekła surowo Srułowa—teraz może gęsi jadać. Dopiero co tu była, dziś ma list do Polanówki.

— Do Polanówki!—krzyknął, wytrzeszczając oczy, Franek.—To mój rubel—ja mojemu panu list odniosę. Do Polanówki!

Jak szalony wybiegł z karczmy i, potykając się, popędził za miasto.

Rzeczywiście tego dnia Chawa miała odnieść rekomendowany list do Polanówki. Przez szacunek dla dworu, który tak wspaniałomyślnie posłańców wynagradzał, postanowiła przybrać się niezwykajnie. Właśnie wtedy, gdy Franek wybiegł z karczmy, ona wróciła do domu, ażeby zmienić ubranie. Starannie umyta, w nowej spódnicy i trzewikach, w czystym białym czepku, owinięta niebieską chustką, wyglądała tak pięknie, że w tej chwili można było zapomnieć o jej pracowitości, a pamiętać o urodzie. Zadowolona z siebie, pewna dobrego zarobku, ucałowała dzieci i wyszła.

Drogę do Polanówki obstały z jednej strony wysokie, krzakami obrosłe góry, a z drugiej opasała Wisła. W połowie wszakże droga ta skręca się na wyniosłość i przebiega łożysko małego wąwozu. Chawa wszedłszy w ten wąwóz, zauważyła leżącego przy gościńcu człowieka. Stary szynel, zniszczona skórzana czapka, ślady unurzania w błocie, przypomniały jej Franka. Może to on — pomyślała. Przecież w biały dzień nie napadnie. Zbliżywszy się o kilkanaście kro-

ków, nie wątpiła, że to był jej poprzednik w roznosielskim urzędzie. Zmieszana tem spotkaniem, chciała obejść śpiącego, ale on widocznie ją spostrzegł, bo podniósł się i zaczął iść naprzeciw. Chawie strach ścisnął serce, ale postanowiła nie uciekać.

— A gdzie to?—spytał Franek ochrypłym głosem.

— Do Polanówki—odrzekła, drżąc, żydówka.

— Po co?

— Z listem.

— Oddawaj go zaraz!

— No, dlaczego — wołała żydówka — czy to do ciebie?

— Oddawaj! — ryknął Franek, porywając ją za gardło.

Chawa się szarpnęła, on ją ścisnął silniej, wreszcie kilka razy tak wściekle uderzył w skroń, że się natychmiast z nóg zwałała. Wtedy zaczął jej na piersiach rozdzierać ubranie, po za którem znalazł list i... woreczek.

Że Franek nie godził na życie i pieniądze Chawy, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Po nad zamiar pierwotny, obmyślany, stał się zabójcą i złodziejem, gdyż w uniesieniu wymierzał zbyt silne ciosy i zabrał woreczek. Było to wszakże tylko nasyceniem zemsty. Chwyciwszy bowiem list, zaczął biedź w kierunku Polanówki. Dopiero pod samą wsią opamiętał się, że poselstwo jego tym razem nie będzie bezpieczne. Wrócił

więc i, zboczywszy od gościńca, na którym jego ofiara pozostała, przepadł w krzakach.

Tymczasem pół martwa, omdlona Chawa długo czekała pomocy. W godzinę dopiero jadący do Kaziemia rzeźnik, spostrzegłszy w niej znaki życia, włożył ją na wóz i do domu odstawił. Nie rozesłano gońców, nie zbiegli się lekarze dla ratowania chorej, tylko czworo dzieci rozpaczliwym krzykiem daremnie usiłowało przyprowadzić do przytomności matkę, a kaszlący mąż — żonę. Wreszcie wieść o wypadku dobiegła i do babci Włostowickiej, która natychmiast pośpieszyła na ratunek i wezwała cyrulika. Przystawione do pobitej głowy pijawki sprawiły na pozór ulgę, chora jednak pozostawała ciągle w silnej gorączce, odpychała kogoś, chwytając się za piersi, wołała o woreczek, którego, niestety, nie było. Zupełny brak pieniędzy uniemożliwiał kurację! Wprawdzie odebrano od kasyerowej należność za połowę jesiotra, ale to zaledwie wystarczyło na kartofle dla dzieci i przedłużenie konania matki.

Po dwudniowych męczarniach Chawa wreszcie umarła, nie powiedziawszy nawet przed śmiercią, że Franek jej zabrał dziesięć rubli, a ona babci Włostowickiej trzech nie oddała.

— Biedna Chawo, ja ci to, żeś w moim kraju pracować i jego chlebem dzieci swoje żywić chciała — przebaczam.

KARL KRUG.

Od czasu jak pożądlivi dziennikarze nasi porobili rozmaite zabory geograficzne i n. p. bawarskie *München* już nie *Monachium*, ale polskim *Mnichowem* mianować zaczęli, straciłem żal do Niemców, że tak niezdarnie *Mysłowice* śląskie przechrzcili na *Mysłowitz*. Ale za to nie przebaczę im nigdy, że pocziwemu *Karolowi Krukowi* bez przyczyny kazali być *Karłem Krugiem*. Wprawdzie urodził on się na ich nowonabytym gruncie, mowy ojca swojego niewiele pamiętał, z Niemką się ożenił, ale niepokalaną trzeźwością wcale na to nie zasłużył, ażeby go *Krugiem*, to jest *dzban-kiem* złośliwie nazywano. Nazwisko to dokuczało mu zwłaszcza w ustach burzliwej żony, która co rok jesienią, ile razy biedny malarz z małym zarobkiem do domu wrócił, zawsze go o tajemne stosunki z *dzbanem* posądzała. Bogu, a jeszcze lepiej portyerowi kolejowemu było wiadomo, że Krug nawet ofiarowanego kufelka często unikał, ażeby nie utopić w nim groszów, które z bojaźni dla żony a z miłości dla dzieci starannie w kieszeni dusił. Szczególniej zaś, gdy zbli-

zająca się zima kielnię mu z rąk wytrąciła i włożyła w nie tkackie cewki, któremi odzwyczajone przez lato palce na wyżywienie licznej rodziny starczyć nie mogły, przerażony obawą głodu mularz chował zarobione pieniądze ze skąpstwem wiewiórki, kryjącej w dziuple zebrane orzechy. Wtedy żałował sobie nawet szczypty tytoniu do fajki i raz ją nałożywszy w południe, ssał do wieczora drewniany cybuszek, zapalając tylko co chwila wygasły popiół i wyciągając dym z przymieszanych do niego węgielków. I ta wszakże przyjemność wydawała się jego połowicy zbytkiem.

— Czemu ty sobie szczeciny z pod brody nie skubiesz i nie palisz? — wołała ona, uderzając się grubą ręką w kolano. — Ja nie mam przy czem duszy zagrzać dla wyprasowania bielizny portyerowi, a on mi ogień ciągle rozgarnia.

W lecie Krug uśmiechał się dobrotliwie na te wyrzuty, w jesieni brwi marszczył, a w zimie siadał spokojnie do krosien, ale wkrótce, upatrzwszy sposobną chwilę, wymykał się z domu i szedł do swego przyjaciela portyera, myśląc zapewne przez drogę, że nawet za korzec suszonych śliwek i cały bok wieprzowego schabu nie dałby sobie ogolić a tem mniej wyskubać włosów, które mu, od dwudziestu lat starannie przyszytych, na szczękach i podbródku gęsto porastały i tworzyły owe charakterystyczne ramy, w jakie się z upodobaniem oprawia każde niemieckie oblicze. Portyer stacyi myślowickiej Franz Klotz (da-

wniej Franciszek Kłos) najskuteczniej kołł troski Kruga nie tylko dla tego, że jako były konduktor, a obecny wielbiciel jego żony, która mu w zamian za tę miłość tanio bieliznę prała, rozbrajał jej gniew na męża, ale nadto jako urzędnik, koło którego koleją żelazną przepływała fala ludzi, najprędzej mógł się dowiedzieć o zajęciu dla próżnujących nieraz rąk mularza. Trzeba nawet na pochwałę jego przyznać, że z niezmordowaną skrzętnością wyszukiwał dla Kruga najodleglejsze zarobki i wtedy, o ile mu tylko pozwalała straż przy dzwonku, czuwał troskliwie nad bezpieczeństwem jego żony.

Rok 1877 rozpostarł nad życiem mularza myślowickiego bardzo groźne chmury, gdyż na wiosnę pobłogosławił go piątym z kolei potomkiem, a w połowie lata pozbawił roboty. Już w lipcu, kiedy Krug zwykle najobficiej napełniał pończochę talarami i kilka razy dziennie w oczach żony świeżym tytoniem napełniał fajkę, nie miał innego zajęcia prócz podmurowania małego mostku na stacyi. Szczęśliwszego roku byłby je ukończył w kilkanaście godzin, teraz włókł już przez tydzień, ociosywał starannie każdą cegłę, rozcierał aż do najdrobniejszych grudek wapno, badał szczegółowo jego gęstość, rozsmarowywał jak masło na chlebie, zbliżał się i oddalał, a często wzdychał, jak gdyby żałował, że krótki mostek nie ciągnie się aż do Wrocławia. Przedłużając robotę, spodziewał się ciągle, że lada chwila zawezwą go gdzieś do innej,

przy której pozostanie aż do zimy i zyska tyle pieniędzy, że będzie mógł sobie podwatować kaftan, a ma-
łemu Fritzowi palto. Nareszcie podmurowywanie się skończyło. Krug wstał, obejrzał mostek troskliwie, podumał nad nim chwilę, zebrał sprzęty i udał się ku domowi. Idąc, kilka razy jeszcze spojrzął z oddali, czy robota jakiej poprawki nie potrzebuje. Na nie-
szczęście nie dostrzegł w niej żadnego braku. War-
toby pomalować — szepnął. Kto go wtedy spotkał
zgarbionego pod szaflikiem wapna, z młotkiem i kielnią,
z wyrazem martwej troski w oczach, pomyślał niezawodnie, że człowiek ten idzie sobie grób murować. Czoło mu w zmarszczki nad nosem się sfałdowało, dwa doły policzków, nadmiernem ssaniem cybuszka wyżłobione, jeszcze bardziej wklęsły, skóra na twarzy brzybrała ceglana barwę, którą posępnie zachmurzał cień daleko wystającego daszka czapki. O, w tej chwili byłby Krug chętnie pozwolił oskubać sobie podbródek i faworyty za pewną nadzieję roboty!...

Wszedł do izby bojaźliwie, nie spojrzawszy na żonę, która wśród rozłożonej i wyprasowanej bielizny portyera, z właściwą wszystkim gwałtownym kobietom namiętnością do skrupulatnego porządku, płukała głowę swego syna w szerokiej balii. Krug złożył w kącie narzędzia mularskie i zaczął wyciągać z za pieca jakieś drążki.

— Cóż to, zabierasz się do krosien? — rzekła, tłu-

miąc gniew, żona.—Pewnie za to w styczniu będziesz murował.

— Niema roboty.

— To zamuruj nam gęby, aby jeść nie chciały.

Krug nie odpowiedział i postawiwszy za piecem drążki, wyszedł. Jak zwykle w strapieniu, postanowił uciec do portyera. Właśnie zbliżył się do swego mostku, zajęty myślą, dla czego zarząd kolei nie potrzebuje szyn na cienkie druty wyciągać, gdy ujrzał idącego od stacyi przyjaciela. Klotz, zwykle sztywny w swym mundurowym futerale, żywo trząsał starokawalerskiem ciałem, podkręcał wąsy i ciągle podnosił rękę, jak gdyby salutował przed jakąś niewidzialną dostojnością. Chociaż od dnia objęcia swego stanowiska tylko urzędowym przemawiał językiem, kto wie jednak, czy w tej chwili nie wyrzywały mu się z ust, wzruszeniem wyrzucone, polskie słowa. Krugowi serce radośnie zabiło: był pewnym, że przyjaciel niesie mu wiadomość o zyskowej robocie.

— Nie pójdziemy do Kanossy? He? — zawołał zdaleka.

— Gdzie? — spytał drżący mularz.

— Do Kanosy.

— A długo tam będzie zajęcia?

— Nie pójdziemy — Bismark powiedział wyraźnie.

Krug pochylił głowę, bo zrozumiał, że portyer zamiast nowiny mularskiej przyniósł mu polityczną.

— A nie słyszeliście tam...

— Słyszałem od jednego urzędnika z komory, że to katolikom bardzo się nie podoba.

Objasnić należy, iż Franz Klotz, jako katolik, mimo swej oficjalnej prawomyślności, był skrytym nieprzyjacielem religijnej polityki księcia Bismarka. Ponieważ zaś w miejscu urzędowania bał się swych pretensyi wyjawiać, do Kruga zaś jako współwyznawcy i przyjaciela miał zaufanie, więc dowiedziawszy się o zapowiedzi kanclerza, postanowił co prędzej oburzeniu swemu otworzyć bezpieczne ujście. Miał on przytem inny, bardziej prywatny cel: co była Kanossa — nie wiedział, słyszał tylko, że za nią katolicy mocno się gniewają; ponieważ zaś był polityczną wyrocznią niższej służby kolejowej, próbował więc, czy czasem mularz...

— Tak, tak, już nie pójdziemy do Kanossy.

— Już mostek podmurowałem — odezwał się Krug smutnie.

— Narodowo-liberalni klaskali księciu — mówił dalej portyer tajemniczo, zawróciwszy mularza do domu — ale konserwatyści szturgali się łokciami. My tu wszyscy jesteśmy bardzo niezadowoleni.

W tej chwili z za budki, którą mijali, ukazał się posługacz kolejowy.

— Nie pójdziemy do Kanossy! — krzyknął nagle Klotz do swego towarzysza z uradowaną miną, jak gdyby chciał być przez posługacza dobrze usłyszonym i zrozumianym. — Wszystkie stronnictwa klaskały.

Gdy posługacz był daleko, portyer związał przerwaną na chwilę nić swej politycznej opozycji.

— On duży, ale i nas dużo, pójdziemy i wstrzymać się nie damy. Już dostał naukę. Jakiś hrabia katolik miał się z jego córką żenić; teraz ją porzucił. Albo to wszystko? A Francya!

— Roboty niema...— przerwał Krug z westchnieniem.

— Ale będzie, będzie i to długa — szepnął Klotz: bez wojny się nie zaradzi.

— Wojny?—powtórzył mularz omdlałym głosem.

Klotz należał do rodzaju ludzi, którzy w sobie samych upatrują przyczynę ważnych wypadków. Jak był przekonany, iż pociągi przychodzą i odchodzą z myślowickiej stacyi dla tego, że on na nie dzwoni, tak był przekonany, iż po wyrzeczeniu Bismarka Europa słę burzy dla tego, że on wzruszenie czuje. Wzruszenie to jednak nie mogło się w żaden sposób udzielić strapionemu mularzowi, który szedł ciągle obok towarzysza znękany i zajęty myślą o swem bezrobociu.

Właśnie Krugowa skończyła myć ostatnie dziecko i zabierała się do czesania czterech roczochranych, mokrych jeszcze czupryn, które rzędem ustawione koło pieca, spokojnie oczekiwały grzebienia, gdy do izby wszedł Klotz z mularzem.

— Nie pójdziemy do Kanossy! — zawołał portyer, nie zdejmując jak zwykle czapki, którą z nabytego

w wojsku zwyczaju i dla okazania swej godności nawet przy damie swego serca zatrzymywał na głowie.

— Naturalnie — odrzekła Krugowa.

Odpowiedź ta zdziwiła portyera, dawała bowiem poznać, że w mądrości żony mularza znajduje się może klucz do odgadnięcia niedosć zrozumiałej dla myślowickiego polityka zagadki. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy pociągnąwszy z ręcznie Krugową za język, dowiedział się od niej, że Kanossa jest włoskim zamkiem, gdzie kiedyś cesarz niemiecki odbywał pokutę, nakazaną mu przez papieża. Dwa uczucia niby dwa skrzydła uniosły zachwyconego Klotza: nadzieja zaimponowania wiedzą służbie kolejowej i nową pobudką wzmocniona miłość dla tej, z której ust spłynął na niego strumień tak jasnego światła. W uniesieniu zapomniawszy nawet portyer o swych pretensjach religijnych.

— Nie pójdziemy, nie! — powtarzał, głasząc dzieci po uczesanych włosach.

— Ten próżniak iść może — rzekła Krugowa szyderczo, wskazując na męża, który stał przy kominku i usiłował popiół w fajce zapalić.

Usłyszawszy te wyrazy, drgnął, upuścił dymiące się drewnienko i spytał rozpaczliwie Klotza:

— Więc niema nigdzie roboty?

— Ależ jest — zawołał portyer — bardzo dobra.

— Gdzie? — ryknął Krug, przyskakując do Klotza.

— Ach! zapomniałem. Przyjechał z Warszawy i sta-

nał w hotelu żyd, który chce skonstraktować kilkudziesięciu mularzów.

Gdyby błyskawica otworzyła Krugowi niebo, nie wskoczyłby w nie z taką siłą, z jaką rzucił się we drzwi i wybiegł na ulicę.

Żona wyjrzała przez okno.

— Na długo tam może mieć zajęcia?

— Na dwa miesiące — odrzekł Klotz, poklepując ją czule po ramieniu, i zwrócił się do wyjścia.

— Tata pojedzie — szepnął żałośnie pod piecem mały Fritz do starszego brata.

— Nie, moje dziecko — upewniła matka, uśmiechnąwszy się do wychodzącego portyera.

Na drugi dzień wieczorem obwieszony czterema synami Krug rozdzielał między nich całusy i napomnienia.

— Pamiętaj August, nie zniszcz nowych spodni i chodź do szkoły.

— I ty Fritzku także ucz się abecadła. Za to wam ojciec przywiezie z Warszawy ładne buty. No, jeszcze raz pocałujcie mnie.

Chłopcy zaczęli go tak obficie ślinić, że wkrótce wyglądał jak upoliturowany.

— Dość tego, dość już — wołał portyer — musimy iść, bo zaraz dzwonić będę.

Skończył Krug pożegnanie z dziećmi, uścisnął rękę żony i zabrawszy tłumoczek, udał się na stację. Siadłszy do wagonu, spojrzał tęsknym wzrokiem w stronę,

gdzie drobne światełko migало na ciemnem tle nocy. Wreszcie zdawało mu się, że ktoś jego sercem trzy razy mocno uderzył. A to tylko Klotz trzy razy na odejście pociągu zadzwonił, poczem szybko pobiegł w kierunku tegoż światełka — czuwać nad bezpieczeństwem żony przyjaciela.

Byłoby pokuszeniem wprost zuchwałem, gdybym, nie poprzestając na wyrokach naszych znanych i sympatycznych ekonomistów, którzy szeroko i głęboko rozstrzygnęli, dlaczego w roku zeszłym Warszawa tak namiętnie rzuciła się do budowy nowych domów, samodzielnie chciał tę kwestyę rozwiązać. Ale byłoby z drugiej strony czynem niesumiennym, gdybym dla wyjaśnienia przyczyny, która Kruga sprowadziła do Warszawy, owych wyroków nie przytoczył. I tak, jedni zadecydowali, że powodem gorączkowego wznoszenia nowych kamienic były krzyki literatów na drożyznę mieszkań, drudzy — że chęć zyskiwania wysokich procentów, inni — że świeżo odnalezione, obfite pokłady gliny, inni — że wzrost handlowy naszego miasta, inni wreszcie, którym najmniej wierzono — że przerażone wojną kapitały zlekły się ruchów ryzykownych i zwróciły się w kierunku przedsięwzięć najbezpieczniejszych.

Wszystkie te zaś różnojęzyczne wnioski godziły się w jednym fakecie, mianowicie, że Warszawa wznosiła niezwykłą liczbę domów i że dla podolania pracy rąk krajowych zabrakło. Oto dla czego Max

Glückwurm, który tanio kupił plac przy ulicy Chmielej i w końcu sierpnia trzy domy na nim budować zaczął, wysłał swego faktora do Mysłowic, ażeby mu sprowadził ze Śląska kilkunastu mularzy.

W liczbie szczęśliwych był i Krug. Przyjechał do Warszawy w towarzystwie piętnastu innych robotników, którzy, jako rodowici Niemcy, wybrali go za swego przewodnika. Co prawda Krug, przyjmując nad nimi opiekę, znacznie przeceniał swoje siły językowe, o które im naturalnie głównie chodziło.

Wychowany bowiem wśród Niemców, ożeniony z kobietą, która po polsku mówić nie umiała, zaprzyjaźniony z człowiekiem, który dla urzędu swego mówić po polsku nie chciał — tak sobie pokaleczył ojczysty język, że ledwie nim mógł obracać na ziemi swych przodków. Tylko obowiązek przewodniczenia towarzyszom a nadewszystko duma z przyjętej roli dodawała mu odwagi. Wkrótce jednak przekonał się ze smutkiem, jak duma ta była złudną. Nająwszy przed dworcem trzech dorożkarzy, którzy mieli zawieźć powierzony mu oddział na Tamkę, a w drodze go chcieli wyrzucić, zapłacił im tyle, ile niezrozumiałym dla niego krzykiem zażądali. Że zaś zażądali dużo i że Glückwurm w kosztach podróży cenę tego przejazdu znacznie zredukował, zgadnie łatwo każdy, kto zna warszawskich dorożkarzów i Glückwurmów.

Jeśli pierwszy sen na nowem miejscu może służyć za nieomylną wróżbę, to marzenia Kruga podczas

Świętochowski. Pisma t. I. 6

pierwszego noclegu w wilgotnej suterenie, gdzie Glückwurm umieścił mularzy, powinny go były przejąć najlepszą otuchą. Śniło mu się bowiem, że jego Fritz spodnie szanował i do szkoły regularnie chodził, że August wypisał na parkanie wapnem całe abecadło, że Wilhelm nauczył się wprawnie *Vater unser*, że Bruno wyciągał rączki do portyera i wołał: *tata*. Nad ranem wreszcie ukazał się Krugowi we śnie anioł i objawił mu: „oto zarobisz w Warszawie bardzo dużo pieniędzy, a żona twoja pocznie i porodzi syna, któremu dasz imię Franz“. Dawniej byłby Krug tem ostatniem proroctwem bardzo się przeraził, bo jakkolwiek miłość jego do dzieci była ilościowo nieograniczoną, ograniczone były środki ich wyżywienia; ale teraz gdy mu anioł zapewnił duży zarobek, rad był pomnożeniu się potomstwa, tem bardziej, że nowy przybysz miał nosić imię jego przyjaciela.

Jeszcze słońce krawędzi nieba nie rozjaśniło, kiedy Krug zerwał się z pościeli. Potrzeba zaczęcia roboty i dotykalgno przekonania się, że ją dostał, spać mu nie dawała. Nie mogąc doczekać się powstania towarzyszków, naprzód stukiem, później targaniem zwolna ich rozbudził. Ziewnęło przerywaną gamą piętnaście piersi, niby piętnaście haseł budzącej się pracy.

Wkrótce wszyscy mularze byli gotowi do wyjścia, ale na nieszczęście nikt się nie zjawiał, ktoby im wskazał miejsce roboty. Okoliczność ta niepokoiła nade wszystko biednego Kruga, który tak często i głęboko

wzdychał, że razem zebrana para tych westchnień wystarczyłaby na cały obrót rozpędowego koła lokomotywy. Około 7 godziny wreszcie wszedł do sutereny młody żydek i oświadczył mularzom, że ich zaprowadzi do majstra, który zarządza robotami przy domach Glückwurma. Formalność wzajemnego przypomnienia sobie warunków kontraktu i przyjęcia robotników odbyła się bardzo prędko, i Karl Krug na czele swego oddziału wkroczył uroczyście na zrab jednego z rozpoczętych domów.

— Dobry dzień—rzekł uniżenie do trzech już zajętych, miejscowych mularzy, którzy przybyłą drużynę groźnem zmierzyli spojrzeniem.

Nikt nie odpowiedział. Krug jednakże nie mógł zważać na to uchybienie względem grzeczności tam, gdzie chodziło o nieuchybienie dwurublowemu nadzien zarobkowi. Przypasawszy więc fartuch i ujawszy kielnię, zaczął murować wśród swoich towarzyszków.

O godzinie ósmej zakołatano na śniadanie. Zapracowany Krug byłby tego sygnału nie słyszał i nie zrozumiał, gdyby nie spostrzegł, że trzech, odosobnieni od jego grupy, warszawscy mularze usiedli na murze i rozpakowawszy tłomoczki, zaczęli z nich wydobywać chleb i ulubioną „wędzonkę”. Widok ten przypomniał niemcom powinność względem rzeczywiście głodnych żołądków. Krug porozumiewszy się z towarzyszami, przystąpił do jedzącej trójki i pokornie spytał.

— Jest piwo niedaleko dostać?

— Tam, naprzeciwno — odrzekł jeden, wskazując na elegancki handel win. Przynajmniej wam dobrze kieszenie wytrzęsą—dodał po odejściu Niemców. Psie wiary, nie mogą w domu kiszek grochowych nadziwać, tu przyłazą człowiekowi robotę odbierać.

— Już nie raz pewnie byli, bo i po polsku trochę szwargoczą—odezwał się drugi.

— Jak prosiaki po francusku—dodał trzeci.—Oni między ludźmi, czem pudle pomiędzy psami; nawet po ludzku mówić się nie uczą.

Głośny śmiech oznajmił trafność tej uwagi.

— To niema rady — podjął znowu pierwszy — trzeba tym pudlom raz ogony poobcinać, żeby nam szkody nie robiły. Co rok więcej się ich zlatuje, a jeżeli im nie poparzemy skóry, niedługo nas wyduszą. Niech pilnują swoich śmieci! Czy my do nich leziemy? Bo to nie dość, że robotę wydzierają, ale jeszcze zapłatę zmniejszają. Często, kiedy mularza za dwa ruble nie dostanie, oni gromadą po rublu się godzą. I majster mówi: nie chcesz rubla, to ja sobie sprowadzę tysiąc Niemców za tę cenę. Oni głodomory mogą mało brać, bo jak sobie raz na dzień brzuch naładują kartoflami, to i kontenci; a człowiek potrzebuje zjeść kawałek mięsa, wypić kieliszek wódki.

— Rozumie się — zawołali dwaj inni, wepchnawszy w usta po kawale wieprzowiny i zatkawszy ją chlebem.

— Żeby chociaż czepiali się tego, czego człowiek

się nie imie. Żeby u nas sobie łapali psy, ściągali ze zdechłych koni skóry i nosili po wsiach towary, ale im się zachciewa rzemiosła — mularstwa. Kartoflarze! My i bez nich nastarczymy robocie — jak dnia zabraknie, to w nocy, a jak sił nie będzie, to się wódki doleje i mięsa dołoży.

— Rozumie się — potwierdzili obaj towarzysze.

— Jest na szczury trutka. Przeszłego roku, jak majster budował dom na Brackiej, mieliśmy także pięciu Niemców. Różne im sztuki robiliśmy, ale szczególnie jeden szelma hardy ostrzem się stawiał. Raz podawaliśmy cegłę — on stał przy mnie na ścianie pierwszego piętra. Rzuciłem spokojnie, wreszcie kiedy mi bąka pod nos puścił, jak go trzepnę cegłą w łeb, bez namysłu na dół się zwałił. Tylko karku nadkręcił, ale śmieliśmy się też, śmieli... Z nimi inaczej nie można.

— Rozumie się — powtórzyli inni.

— A jak się zdarzy, nabij co wlezie; nie odda, bo się naszych boj, i do sądu nie pójdzie, bo głupi, rozmówić się nie umie. A wreszcie, ktoby tam za lutrem świadczył!

— Rozumie się.

Mówcą, którego narodowo-mularskim pretensjom dwaj inni tak zgodnie akompaniowali, był Rafał Czaplą, lichy, ale wesoły i zuchwały robotnik, który w swoim świecie używał szerokiej sympatii. Lubiono go za to, że czas pracy uprzyjemniał anegdotami, że

zwady skutecznie rozstrzygał, że przedsiębiorców oszukiwał, że rozmaite dodatki do umówionej pracy wytargowywał, że wreszcie zimą, kiedy wraz z innymi zajmował się tragarstwem, umiał zawsze przy przenosinach zręcznie ukrywać w kieszeni jakieś drobne rzeczy, które nie zubożywszy właścicieli, towarzyszom jego zapewniały niezłe pokrzepienie w szynku. Najwyższą dla niego moralnością było dogodzenie tym, z którymi pracował, a jedyną w tym względzie granicą — brak sposobności. Że Czapla w korzystaniu z owoców swego poświęcenia przyjmował należny mu udział, nie stanowiło to dla jego dobrych chęci żadnej skazy. Na własny użytek złamanego gwoźdźca nikomu by nie ukradł, ale dla gromady kasę by złupił. Ponieważ zaś zawsze występował w interesie gromady, posiadał w opinii świadectwo najuczciwszego człowieka.

— Patrzcie, patrzcie — zawołał on — jak lutrzy ze złości podskakują, musiał ich kupiec dobrze wydoić.

Rzeczywiście niemcy wyszli ze sklepu winnego dziwnie wzburzeni. Widocznie coś im Krug zawinił, bo otoczywszy go, obsypywali głośnemi złorzeczeniami. On biedny, nie mogąc dać sobie rady, wydarł się z koła i przybiegł do rozweselonych tą sceną trzech mularzów.

— Powiedzieć im — nie ma taniej piwo — zawołał.

— *Es gibt, es gibt!* — krzyczeli inni, dognawszy go.

— Jest — odezwał się zimno Czapla.

— Aha! — zawrzasnęli niemcy, szturgając Krugowi palcami do oczu.

— Ja *doch* pytał — bronił się Krug — wy pokazać tam.

— Pytaliście się — odparł Czapla — gdzie niedaleko, ale nie gdzie tanio.

— *Was? was?* — badali niemcy.

Krug im odpowiedź po niemiecku powtórzył.

— *Da habt ihr's nun!* — urągali mu — *Maulaffe! Er versteht polnisch!*

Krug głowę spuścił i mileżał, bo tym sposobem najlepiej się spodziewał zażegnać burzę, która się zwała na jego głowę. Ale ziomkowie, oddaliwszy się o kilka kroków, znowu wybuchnęli gwałtownym gniewem. Wreszcie jeden z nich przyskoczył do Kruga, porwał go za rękę i krzyknął:

— *Warum hast du dem schnöden Kerl nichts gesagt? Du sprichst ja polnisch!*

To rzekłszy strącił mu czapkę i podeptał.

-- Co miał ja zrobić? — rzekł napół z płaczem Krug, zwracając się do trzech rozweselonych mularzy i otrzepując czapkę. My nie wiedzieli, że w tej piwiarni czapka zdjąć trzeba. My siedli przy stół i jemu kelner kapelusz zrzucił. Co miał ja powiedzieć? Ach, *Hergott, Hergott!*

— U nas każdy dom to kościół — odrzekł Czapla — głowy nakrywać nie wolno.

— Nu, czy ja wiedział! *Hergott.*

Drapiąc się w głowę, odszedł strapiony do swych

ziomków, którzy rozmawiali żywo w gromadce. Zwolna jednak ogień ich gniewu przygasał, czasem tylko niby niedotlona iskra, wybiegła z szemrzących ust pretensya do Kruga, że się nie spytał miejscowych mularzy o tanie piwo. Sprawa ze zrzuceniem kapelusza nie była wcale wznawiana. I nic dziwnego. Obrażonym synom Germanii nieraz już zrzucano w kraju kapelusze, ale nie podnoszono ceny piwa.

Po chwili wszyscy zajęli się robotą. Tylko Czapla ciągle szeptał coś wesołego sąsiadom swoim.

Gdy o 12 dano znak obiadu, niemcy zgromadzili się w kupkę i po długiej naradzie, w której jeden dawał widocznie jakieś objaśnienia, czy przestrogi Krugowi, wysłali go do polaków.

— Gdzie jest dostać tani obiad?

— Tu — rzekł Czapla, wskazując na okazałą restauracyę.

Niemcy udali się, ale wkrótce wyszli, bo prawdopodobnie nauczony Krug spytał się naprzód o cenę.

— A szelmy! — zawołał Czapla, widząc, że go figiel zawiódł.

Nieszczęściem dla Kruga było to, co sobie, jadąc do Polski, za szczęście liczył, mianowicie słaba znajomość języka polskiego. Znał go bowiem akurat tyle, ile potrzeba było do odczuwania złośliwości cudzoziemców i robienia zawodów swym rodakom. Z obu stron chłostano go dotkliwymi wyrazami, on pod nimi często płaczliwie jęknął, ale w końcu dobrotliwie

się uśmiechał, bo każdą gorycz osładzała mu błoga pewność zarobku. Ani przez chwilę nie pomyślał o zemście.

Po wymysłach i przycinkach zostawały mu tylko niewyraźne wspomnienia, a po dniach pracy ruble— dla czego miał dbać więcej o pierwsze, niż o ostatnie? Wcale więc nie szemrał i zgodziłby się na los taki do końca żywota. Cierniem na drodze biedaka jest nie zniewaga, ale bezrobocie.

Po miesiącu bytności, pełniąc ciągle obowiązki delegata swych towarzyszków, poprawił sobie znacznie polską mowę i poznał miasto, co go zabezpieczyło od ich gniewu. W miarę wszakże, jak dola jego z tej strony się wypogadzała, z drugiej zaciemniały ją coraz większe chmury. Czapla był niezmordowanym w trapieniu Niemców za pośrednictwem Kruga. Raz zawiadomiwszy go, że nazajutrz przypada jakieś kościelne święto, zanim nieporozumienie się wyjaśniło, wstrzymał ich na pół dnia od roboty. Krug był zbyt pracą ogłuszonym i z natury dobrotliwym, ażeby mógł w postępowaniu Czapli dostrzedz systematyczne przesładowanie. Zdarzył się jednakże wypadek, który łatwo- wierności mularza myślowickiego posłużył za ważną przestrogę. Czapla pożyczył od niego cztery ruble, które wraz z towarzyszami przepił. Cierpliwie Krug czekał zwrotu pieniędzy, ale nareszcie, gdy dłużnik zdawał się o nich wcale nie pamiętać, sam go zaczepił.

— Jakie cztery ruble?— spytał wesoło Czapla.

Przykry dreszcz przeleciał po nerwach Kruga.

— No te — odrzekł — co ja przeszła sobota dal.

— Nie przypominam sobie,

— Pan Bóg, wy nie przypominacie sobie moje pieniądze!

— Nie, ale zresztą jeśli je wziąłem, to oddam.

Tak się skończyła pierwsza w tym przedmiocie interpelacya. Za kilka dni wystąpił Krug z drugą.

— Co za cztery ruble w łeb wam zajęchały? — spytał już gniewnie Czapla.

— Te, które z moja kieszeń do wasza wyjechali.

— Nie trzeba było ich puszczać.

— Nie trzeba było wyciągać.

— Cicho podły kartoflarzu — odburknął się Czapla — ja z cudzych kieszeni nie wyciągam!

— Gniewać się niema, o co, po *bruderski* dal, po *bruderski* żądam — uspokajał zakłopotany Krug.

Mimo widocznego niebezpieczeństwa z zuchwałym przeciwnikiem, nie zrzekł on się myśli wydobycia od niego swej należności. Walka o pieniądź była jedyną, w której zajęczego serca Krug mógł się stać lwem i nie ustąpić przed najgroźniejszą mocą. Przekładając zawsze zgodę nad kłótnię, i tym razem spór zawiesił; ale widocznem było, że go znowu kiedyś daleko energiczniej podejmie i do końca doprowadzi. Po kilkudniowym namyśle postanowił jeszcze ostatecznie dłużnika nacisnąć groźbą procesu.

— Słuchajcie wy — rzekł do niego — dlaczego

nie chcecie mnie dobrowolnie oddać moje cztery ruble?

— Oszalałeś—krzyknął Czapla. Masz kwit, świadków, żem pożyczył?

Krug należał do ludzi, których każdy nowy grom obezwładnia. Chociaż więc był zdecydowany na krok najśmielszy, usłyszawszy te niespodziewane słowa, zdretniał i ogłuszony odszedł. W tej chwili zbliżył się do Czapli jeden z miejscowych robotników i szepnął:

— Potrzymajcie Niemca. Wiecie, że ich majster po dwa ruble zgodził, a nam tylko dziesięć złotych płaci.

— Po dwa ruble?—zawołał zdumiony Czapla.

— Tak, sam mi ten stary mówił.

— A złodzieje pludry, oni więcej od nas biorą! Poczekajcie, ja was podkurzę! O, nie byłbym uczciwym człowiekiem, gdybym mu cztery ruble oddał. Dopłaci jeszcze.

Krug tej rozmowy nie słyszał, bo stał zdala zatopiony w posępnych myślach, które mu co chwila groźnymi spojrzeniami z oczu przeglądały. Temperamenty łagodne i ociążałe rozpalają się wolno, jak mokre kłody. To też Krug dymił się, zanim mu w twarzy błysnął ogień śmiałego postanowienia. Przystąpił do Czapli i zacisnąwszy młotek w rękę, rzekł z drżeniem w głosie:

— Czy ty oddasz moje cztery ruble?

Czapla popatrzył nań wzgardliwie i tak silnie uderzył go w twarz kułakiem, że biedny Krug, zawahaw-

szy się, padł skrwawiony na ziemię. Poleżał chwilę niemy, wreszcie podniósł się i odszedł do towarzyszy. Ci widząc go zranionego, raczej domyśliwszy się, niż dowiedziawszy, co zaszło, rzucili się całą gromadą do Czapli, i byliby na nim niezawodnie srogo pomścili krzywdę Kruga, gdyby na szczęście dla jego napastnika nie zjawił się majster. Objasniony przez jednego z Niemców, uspokoił ich zapewnieniem, że za pobicie sąd Czapłę ukarze, on zaś straci mu na rzecz Kruga pożyczone pieniądze.

— A ja mu Niemca strącę — mruknął Czapla do swych przyjaciół.

Trzeba wnikać głęboko w naturę prostego robotnika, żeby zrozumieć jej tajemnice. Pomimo strasznej zniewagi, Krug był zadowolony z zakończenia sporu; odbierze pieniądze i będzie sądownie pomszczony, a nadewszystko odbierze pieniądze...

Do domu wrócił prawie wesoły. Tu oczekiwała go niespodzianka, która do reszty zatarła w jego pamięci przykre wspomnienie. Odebrał pierwszy list z Mysłowitz—od portyera.

„Mój kochany Karolu!—pisał do niego lichą niemiecką przyjaciół. Ponieważ pewnie jesteś niespokojny, jak nasi myślą względem Kanossy, więc spieszę ci donieść, że ciągle są niezadowoleni. Tylko nie wspominaj o tem, a list zniszcz. W domu twoim dobrze słyhać, dzieci się uczą, żona zdrowa — wszystko tak idzie, jak gdybyś sam był na miejscu. Nawet lepiej.

Winszuję, winszuję, żona twoja w błogosławieństwie. Na zimę dostaniesz duży obstalunek płótna. Widzieliśmy cię chętnie, ale siedź, póki będziesz miał robotę. My tu sobie damy radę. Szczerze ci życzliwy Franz Klotz“.

Jakkolwiek list ten nie zawierał w sobie właściwie żadnej bardzo pomyślnej wiadomości, jednakże ucieszył on Kruga niezmiernie, jako głos od rodziny, jako zapewnienie, że jej nic złego nie spotkało. Nie należy się też dziwić, że strapiony wypadkami dnia mularz zasnął z lżejszem sercem i rozkoszował się we śnie nauką dzieci, stanem żony, obstalunkiem płótna, nawet Kanossą. Wszystkie te obojętne szczegóły spletały mu się w uroczne marzenie.

Ani razu od przyjazdu nie wstał tak ochoczy i uradowany. Piękny poranek wrześniowy śmiał się do niego wszystkimi promieniami swego łagodnego światła. Gdyby kto tego dnia zamówił Kruga do wymurowania nowych niebios, nie byłby bardziej rozweselony. Idąc pod wpływem tych wrażeń do roboty, nagle stanął, zadumał się, a wzruszona twarz jego zaczęła się jeszcze bardziej rozjaśniać uśmiechem jakiejś szczęśliwej myśli.

— Tu dobrze byłoby żyć—szepnął do siebie. Tak łatwo o robotę.

Jak gdyby myśl ta go oskrzydliła, szedł prędko, machając rękami i wyrzucając oderwane słowa. Wbiegł szybko na rusztowanie i spojrzał z zadowoleniem

wokoło. Wszędzie roztaczał się przed nim widnokrąg szerokiego pola pracy, na którym nie gnięli się stłoczeni ludzie i domy. Ile tu rąk potrzeba! Nie tak, jak tam w ojczyźnie niemieckiej, gdzie zbita masa narodu rozgniata biedaków bez miłosierdzia.

— Ja między wami będę na zawsze usiąść—rzekł zachwycony Krug do przechodzącego przyjaciela Czapli.

— To my was podniesiemy.

— Przecież ja także polak, my bracia...

— Bracia!—rozśmiał się zagadniony i odszedł.

— Usiądzie, ale nie wstanie—bąknął Czapla, gdy mu przyjaciel powtórzył zamiar Kruga.—On psi brat, nie nasz.

Z podwójnym zapałem zabrał się Krug do roboty, jak gdyby sobie murował dom na przyszłe w Polsce mieszkanie. Nie mogąc jednak utaić powziętej myśli, rozwijał ją ustawicznie przed towarzyszami, którzy do niej wplatali słowa gorącej zachęty.

— Jak mnie będzie dobrze — mówił — to i wy się przenieście.

— Zobaczymy.

— Jeżeli w zimie znajdzie się zarobek, na wiosnę zaraz tu z rodziną przyjadę.

Tak roił sobie uszczęśliwiony Krug, na którego Czapla rzucał od czasu do czasu zawistne spojrzenia.

Dano znak południowego odpoczynku. Krug zeszedł z rusztowania, na którym okno drugiego piętra mu-

rować zaczął i wraz z towarzyszami udał się do gar-kuchni na obiad. Wkrótce został tylko sam Czapla, który robotę przeciągnął z niezwykłą gorliwością. Ale wreszcie i on położył kielnię, spojrzał po murach, przeszedł na miejsce, które Krug zajmował. schylił się tam po coś, zbiegł szybko na dół i wpadł do szynku, gdzie go oczekiwali przyjaciele.

Na uczczenie wesołego dnia pozwolił sobie Krug wypić całą butelkę piwa. Wracał też do roboty wesół i żywo rozmawiał w swem gronie. Wszedłszy na ścianę, wziął przygotowany szaflik wapna i zeskoczył na rusztowanie. Zaledwie jednak postąpił kilka kroków, zsunięte jednym końcem z poprzecznego bala deski przeważyły się i zwały go na dół. Trzymając w ręku szaflik, nie zdążył uchwycić się wiązania i uderzył bokiem o parkan, zawisł na nim chwilę i spadł na ziemię. Z omazanych wapnem ust buchnęła krew strumieniem. Przybiegli na ratunek z góry niemcy, zgromadzili się inni robotnicy, powstał gwar, który ściągnął masę przechodniów. Nadszedł i Czapla, lecz dostrzegłszy skrwawione ciało, podążył szybko na rusztowanie i zajął się pilnie robotą. Z całego składu robotników on jeden tylko pozostał na gorze.

Krug ciężko jęczał, trzymając rękę na połamanym boku, ale nic nie opowiadał. Jakaś kobieta od noszenia cegły troskliwie obcierała mu twarz ze krwi i wapna. Wszyscy byli wzruszeni, chociaż nikt nie szemrał przeciwko nieszczęściu, które każdego mularza spotkać

może. Dwaj tylko przyjaciele Czapli, zamieniając między sobą smutne spojrzenia i wznosząc je w górę, zdawali się odgadywać prawdopodobną historię wypadku.

Gdy zajechała dorożka, która chorego do szpitala zawieźć miała, Krug otworzył oczy i słabym głosem zawołał:

— Wilhelm.

— Jestem — odezwał się ten sam Niemiec, który go kiedyś za drogie piwo wyłajał i czapkę zrzucił.

— Weź te pieniądze — rzekł Krug, wydobywszy z pod bluzy paczkę banknotów — oddaj mojej żonie i powiedz, ażeby synów, jak dorosną, tu przesiedliła. Tu można zarobić...

Czterech ludzi podniosło go i włożyło do dorożki, która odjechała... z trupem. Mularze wrócili do roboty, objaśniając rozmaitymi domysłami przyczynę spadnięcia.

— Umarł? — spytał bojaźliwie Czapla dwu swych przyjaciół.

Oni, nic nie rzekłszy, zaczęli murować.

Na drugi dzień doniesiono w pismach między wiadomościami policyjnymi o zabiciu się Karola Kruga, a jednocześnie w pewnej gazetce użalano się, że Niemcy coraz bardziej wypierają nas z pola pracy.

— Biedny Krugu — pomyślałem sobie — ja ci to, żeś chciał u nas pracować i moim być bratem — przebaczam.

KLEMENS BORUTA.

Nędza należy do tych niewielu szczęśliwych wiosek Górnego Śląska, które dotąd zachowały swą polską nazwę. Wyznać jednak trzeba, że ani landrat, ani prezes rejencyi, ani nawet minister spraw wewnętrznych, w połączeniu z ministrem sprawiedliwości, nie kusili się o przemianę jej rodzinnego imienia. Podczas gdy Raciborze, Lublinice, Olszowy i inne miejscowości otrzymały, bodaj w pisowni, przymusowy chrzest germański, Nędza pozostała nietknięta. Nie można bowiem liczyć tego za szkodliwy uszczerbek, że boska mowa landratów, nie znajdując w swem abecadle samogłoski nosowej, zastąpiła ją spółgłoską płynną i z Nędzy zrobiła *Nendzę*. Ludowi natomiast nawet królewsko-ziemiańska rejencya pozostawiła zupełne i niczem nieograniczone prawo używania *Nędzy*.

Naturalnie korzystał z tego prawa i Klemens Boruta, którego ród od wieku blisko mieszkał w Nędzy i który był najlepszem świadectwem wiarogodności nazwiska wioski. W rodzie tym bowiem umarło z głodu 15-tu członków, najślawniejszym jednakże między nimi

był Wawrzyniec Boruta, ojciec Klemensa. Kiedy w r. 1847 nawiedził Nędzę głód, Wawrzyniec, podówczas wdowiec, bez środków żywności i roboty, łapał nocą pod strzechami wróble, a dniem łowił na sidła wrony, których mięsem karmił dziesięcioletniego syna. Gdy nareszcie wróbli nie stało, a wrony zmądrzały, zrozpaczony wyrobnik, nie mogąc przez dwa dni znaleźć dla dziecka pożywienia, postanowił się powiesić. Przechodząc wszakże koło zabudowań dworskich, spostrzegł na śniegu obdartego ze skóry lisa. Boruta wziął mięso do domu, upiekł je, a ponieważ sam od kilku dni nic nie miał w ustach, a dziecko spało, zjadł więc skwapliwie naprzód kawałek pieczeni. Po chwili uczuł gwałtowne bóleści. Przekonany, że lis był strychniną otruty, wyrzucił mięso, wybiegł za chatę, położył się na ziemi i zaczął jeść gwałtownie śnieg z ziemią w nadziei, że się tem uleczy. Chłopiec, zbudzwszy się w nocy, zaczął krzyczeć i wołać tatula, ale tatulo nie przyszedł. Na drugi dzień znaleziono go martwym za chałupą. Ponieważ nie przypuszczano, ażeby w jego żołądku coś być mogło, więc sąsiedzi zdecydowali, że zmarł. Na opinii tej poprzestał lekarz obwodowy i my również zgodzić się na nią musimy.

Po śmierci ojca, przyjaciel jego, owczarz dworski, Szymon Brzost, wziął Klemensa do owczarni i tam go przezimował, dzieląc się z nim swoją strawą. Czasem było jadła skąpo, ale czasem, zwłaszcza ku wiosnie, gdy owce zdychać zaczęły, Brzost dorzynał je i wy-

prawiał sobie z wychowawcem sute biesiady. Zgromadziwszy w lecie zapas korzeni, plółł on zwykle w zimie bardzo ładne koszyki. Chłopiec tak szybko wyuczył się przy nim tej sztuki, że zarobił kilka talarów, za które kupił sobie dymkowy surdut, spodnie i dwie koszule. Gdy owce wyszły w pole, a nadewszystko, gdy zdychać przestały, stary rzekł do Klemensa:

— No, spróbuj poszukać sobie chleba. Jak ci bieda dobodzie, przyjdź do mnie.

Klemens w swoim nowem dymkowem ubraniu wyszedł, płacząc, powłóczył się po wsi, odnowił z kilku chłopcami znajomość i wieczorem stanął w owczarni.

— A, hultaj jesteś—zawołał rozniewany stary—ty myślisz, że tu przy mnie, jak Burek, będziesz ciągle leżał? Ruszaj mi w świat!

Nie tyle rozkaz, ile owczarski bat, który Brzost ze ściany porwał, zdmuchnął chłopca z podwórza, jak świecę. Było wszakże już ciemno; potulawszy się więc za stodołami, gdy noc zapadła, przyległ do sterty słomy i zasnął. Ale nazajutrz, chociaż stary bardzo rano wstał, już Klemensa nie było. Gdzie się podział? Pytał owczarz ludzi we wsi, pytał przyjezdnych, ten i ów spotkał chłopca, ale wszyscy objaśnić nie umieli.

— Zawzięty kaduk! —mruczał stary. Szelma, ani piśnie, jak gdybym go nie przezimował. Może zmarł gdzie? Nie przyszedłby-to, nie pogadał, i zjadłby coś, oto tłustego barana dorzynałem. Psy pożrą...

Pomimo że dorzynanie baranów w Nędzy musiało

szeroko i ponętnie rozbrzmieć w okolicy, młody Boruta się nie pojawiał. Brzost długo jeszcze wywadywał się, nareszcie machnąwszy ręką, całkiem o *kerlu* mówić przestał. Upłynęło lat siedem. Jednego dnia parobek dworski, spotkawszy owczarza, zagadnął go:

— To i mamy napowrót Klimka.

— Jakiego Klimka?

— No, juści Borutę, tego, co z wami zimował.

— Jest tutaj?

— A jaki *fryc*! Nie poznalibyście go. Zgodził się do pługa.

Brzost nic nie odrzekł i wrócił do owczarni.

Położywszy się na słomie, zaczął rozmyślać. Doznał jakiegoś przyjemnego dreszczu, ale zarazem obudziły się w nim uśpione uczucia gniewu.

— Dam po łbie batem, jak tu zajrzy—szepnął.

W tej chwili do owczarni wszedł Klemens. Rzeczywiście, wyglądał elegancko. W czarnej kamizelce, z której wysuwały się rękawy czerwonej koszuli dymkowej, w długich nowych butach, w świeżej czapce niebieskiej, osadzonej na wytłuszczonych włosach, z cygarem w ustach, nad którymi, pod przypłaszczonym nosem, zaczął się wysypywać jasny wąs, wszedł on śmiało i stanął na progu.

— *Morgen!* — zawołał junacko.

— A co to — krzyknął Brzost — nie widzisz, że tu słoma — z cygarem wehodziysz!

— Toć je w gębę wetknąłem, nie w snopek — odrzekł Boruta, nadrabiając miną.

— Pójść stąd, żebym go głębiej nie wetknął.

Klemens wyjął z ust cygaro, opluł je i zgaszone schował do kieszeni.

— Czemuż to dziadek — rzekł, zbliżając się łagodnie — tak mnie wypędza, jak wilka. Przecież wam drzazeg za paznokcie nie biłem. A że poszedłem w świat, toście kazali.

— Kazali! — krzyknął stary — jużci całe życie w torbie nosić cię nie mogłem, żebyś z niej chleb wyjadał, a dopóki trzeba było, tom od miski nie odganiał.

— Albo to mówię? Ale kiedy musiałem swojej miski poszukać, to musiałem.

— O, ja wiem, zostałeś panem i dlatego nie chciałeś się nawet dowiedzieć, czy stary nie zdechł gdzie pod krzakiem. Jużci, pan taki — to nie Burek, który zaraz przyleci, jak krzyknę: do nogi. Pal dyabli głupich.

— Ja, pan? Bo po siedmiu latach mam czem skórę przyodziać. Nie gadalibyście po próżnicy. Żebyście wiedzieli, po jakiej to ja drabinie lażłem, zanim wyłażłem, ile się szczeblów złamało...

— Zkądże miałem wiedzieć — rzekł, widocznie ugłaskany Brzost, podciągając za uszy skurczoną u buta cholewę.

— O, może i wam w młodości tak bieda nie do-

bodła — mówił z westchnieniem Boruta, usiadłszy na progu.---Przez miesiąc ciepłego nie skosztowałem, potem ledwie kilka groszy na dzień w kopalni wydrapałem; w fabryce dali zarobek, póki nie stanęła; z banhofu za przespanie wypędzili, wziąłem się do służby na folwarku i ot, co na mnie, to całe z niej bogactwo.

— Ciężko, ciężko—zauważył Brzost już bez śladu złości.

Klemens nie potrzebował wcale być przenikliwym psychologiem, ażeby z ostatnich słów zgadnąć, że stary jeżyć się przestał. Podsunął się więc bliżej do niego, wyjął z kieszeni zgaszone cygaro i ssąc je, roztoczył przed oczyma Brzosta całe pasmo swych siedmioletnich przygód. Były w nich wszystkie nici, z jakich się zwykle tka życie biedaka. Słuchając tej powszedniej doli sieroczej, stary przerywał ją ciągle radami mądrości po szkodzie:

— Nie byłoś ci — zawołał wreszcie — trzymać się kopalni!

— A toż trzymałem się — odrzekł Boruta — póki kawał węgla się nie oderwał i nosa mi nie przetrącił.

Brzost spojrział na swego wychowanka i dostrzegł widoczne przełamanie chrząstki nosowej.

— Długo chorowałeś?

— Ze dwa dni krew buchała, ale to była furda. Jak mi, panie, maszyna ten oto palec odgryzła, to świerkało w oczach, świerkało!

Owczarz ze zdziwieniem popatrzył na rękę Klemensa, u której istotnie palca brakło.

— A tu głód, bo robić nie mogłem. Poszedłem do apteki po masć, to feniga nie ustąpił. Myślałem, że sobie łeb ukręcę. I gdyby tyle! Ale raz przyszedłem do fabryki, stoję, a psi wnuk, Born, puszczał żelazo w rynnę; kiedy nie pryśnie, *durch* do kości zbój przepalił mi nogę.

Zdjął but i odsłonił na łydce szeroką szramę po oparzeniu.

— To cię opadło ze wszystkich stron — mruknął Brzost i zaczął czegoś szukać w słomie pod poduszką posłania.

— A no! — rzekł Boruta — może przecie koniec. Mnie i świdra dyabeł w ręce nie utrzyma, bo mu się wykrecę.

Podczas gdy zaciekawiony poszukiwaniami pana Burek powstał i zaczął mu przypatrywać się, kręcąc ogonem, niemniej zaciekawione obecnością Boruty owce zbliżyły się w gromadce. Klemens, chcąc je za tę uwagę wynagrodzić, podał wysuniętemu naprzód skopowi niedopałek cygara. Baran ujął je zębami, zgryzł i plując odbiegł, a spłoszone jego ucieczką stado, bojaźliwie w kąt się stłoczyło.

— Myślałeś, że piernik — rzekł śmiejąc się Boruta i w przystępie wesołości porwał za ogon Burka, okręciwszy go kilka razy w koło. Pies zaskowyczał i zaczął

szczekać. Przestraszone owce jeszcze gwałtowniej skupiły się w kacie.

— Nie pójdziesz ty darmozjadzie! — krzyczał owczarz na Burka, nie uwzględnivszy jego słusznej racyi gniewu.

Pies tem smutniej ogon spuścił, że jego pan wyjął ze słomy butelkę, co mniejsza, a zarazem kawał gotowanej baraniny, owiniętej w skórę ze starej torby, co dla kudłatego towarzysza obojętnem nigdy nie było i teraz być nie mogło.

— Na zdrowie twoje — rzekł Brzost, przykładając do ust butelkę, z której obficie pociągnął.

— Na wasze — odpowiedział Klemens i pożądlivie zanurzył w gardło pokrzepiającą szyjkę.

— Ostra! — rzekł, przymrużając oczy.

— Trzmielówka — mówił stary z widocznem zadowoleniem. — Sam sobie ją przygotowiam. Biorę okowitę od Katzera, wlewam na korę trzmielinową i tak stoi tydzień, potem kładę trochę głogu, macierzanki, rozchodniku, dębowych galek, pokrzywiego korzonka i cynamonu.

— Ho! ho! — podziwiał Boruta.

— Dobrze łyknąć, to każdą chorobę wystraszy. Albo to raz i sobie i drugim kości prostowałem. No, zjedz kawałek mięsa, wczoraj dorznąłem — motyllica precz dusi.

— Co ma tłusty poleć smarować, lepiej, że ludziom da się pożywić. Czy sam pan często tu przyjeżdża?

— Ale skąd. Siedzi w Berlinie, albo nad morzem. A chociaż przyjedzie, to na tyle folwarków czasu mu nie starczy. Jużci zajrzy, powącha i dalej. Tu i nie ma gdzie mieszkać. Dwór stary, trzy pokoje lepsze, to rządca mieszka.

— Podobno okrutny niemiec, ten rządca.

— Ludzkiego słowa nie da. Krzyczy, rozgania, żebyś ze skóry wylazł, to jeszcze mu za mało. Dzieć, mówią, niezły człowiek. Ale jak przyjedzie, Klein nikogo nie puszcza, a choć uda się komu dostać, póty będzie wymyślał, że wszyscy gałgany, próżniaki, polskie szkodniki, aż pana przekona. Wyjrzyj, czy tam kto ucha nie wyciąga. Nie?

— Niema nikogo.

— Albo i ze mną. Dwanaście lat tu jestem i dobrze było. Jak on nastał, zaraz zakrzyczał, żem głupi, niedołężny, że mnie wygoni. Ot tak. A, niech go robaki! Do ciebie, Klimku.

— Czuć macierzankę—rzekł Boruta, smakując.

— Jakby człowieka polechtało — prawda? Choć płaczesz, wypijesz kropkę, zaraz śmiać się musisz. Ciebie przechodzi?—Bo mnie już podbiera. Kisiel, ten, wiesz, z pod kuźni, robi jakąś siarkówkę, ale nie umywała się, chociaż na nosaciznę niezła. Ho, ho! niedoczekanie, żeby moją trzmielówkę kto dobrał. Owczarz zna zioła. Przychodzą do mnie z kieliszkami, a ja tylko po kropelce, po kropelce i za najmniejszą odrobinę płac, bo spirytus w rzece nie płynie, a cynamon

na miedzy nie rośnie. Burek, masz kanałio kość i ty podjedz. Na starą zgodę wypijemy jeszcze.

Obaj znowu pociągnęli kolejno z butelki, na której dnie niewiele zostało.

— Jak umierzył — rzekł Brzost — trzymając flaszkę do światła. Mamy gęby równe, jak kieliszki, ha, ha, ha! — jak kieliszki — półkwatki! Mnie dwudziestu zębów brak, to i gęba powinna być większa. Dwa przeszłego roku sobie wybiłem. Szelma Burek, wypłoszył w poltu małą kuropatwę, ja za nią, on mi pod nogi, potknąłem się i rznąłem zębami o kamień. Poszedł psie, poszedł Klein, a zbój! *Weg, weg!*... owce zrosił! Cóż to one kopyt nie mają, w butach chodzą lepszych niż ja, bo bez dziur. Hu — ha!

— Hu — ha! powtórzył, zataczając błędnym wzrokiem Boruta i zaśpiewał:

Moja gąsko, stąpaj wąsko...

Moja sroko, chodź szeroko.

A, żeby tak kapela, tupnąłbym...

— Ba — rozśmiał się Brzost, skłaniając głowę na posłanie i przymykając radośnie załzawione oczy.

— Pójdziemy do karczmy, dziewczek nałapiemy po drodze, jeśli nie będzie muzyki, to będziemy szczekać szklankami. A gardło od czego? Od picia — to będę pił, od śpiewania — to będę śpiewał.

Moja gąsko, stąpaj wąsko...

— Moja! — wtórował Brzost, dmuchając przez nastroszone wasy.

— U nas było dziewczyn huk, tylko lucyfer nie pozwalał. Szymonie, w wasze ręce.

— W ręce! — odbił echem owczarz, ale ujawszy butelkę, nie mógł jej do ust ponieść i na nodze oparł.

— Tam na tańcu—mówił, skłaniając się do Brzosta Klemens — podbiłeś się, tu i nagniotek nie zaboli.

Przebieraj, przebieraj,
Żebyś ja ci nie przebrał...

— Brał! — szepnął owczarz chrapliwie.

— Born nie wyfrunie mi z garści — bełkotał Boruta — ja go jeszcze ścisnę!

Ścisnąłem Marysię,
Że aż mi się zgięta...

Aa! Burek, psia wiara! No, Brzoście, pójdziemy do karczmy; prawa w górę, lewa na dół...

Moja gąsko...

Już Brzost nie mógł odpowiedzieć na to wezwanie, bo zasnął. I Boruta również, rozpoczynając daremnie kilka śpiewek, zapadł w sen głęboki. Po chwili, ośmielony milczeniem Burek zbliżył się i zabrawszy resztę baraniny, odszedł na bok. Zwolna po owczarni zaczęła się rozchodzić i mieszać z wyziewem nawozu ostra woń trzmielówki, którą Brzost, wypuściwszy z ręki butelkę, obok siebie wylał. Zdziwione owce podsunęły się gromadką do śpiących, ale Burek, który podejrzewał je o złe zamiary względem pana, a nade wszystko względem ukrytej w posłaniu baraniny, od-

pędził je natychmiast warczeniem. Kilka wszakże odważniejszych skopów znowu wróciło, jeden nawet zaczął obwąchiwać miejsce, z którego rozchodziła się woń trzmielówki, ale cofnął się, kichnął i pokręcił nosem, jak gdyby z Borutą mówił:

— Czuć cynamon!

Gdy Burek, naśladując pana, syt baraniny, również usnął, gdy odstraszone jego warczeniem i wonią trzmielówki owce spokojnie legły, w owczarni zapanaowała uroczysta cisza. Swobodnie też przez otwarte drzwi rozlewał się po słomie jasny potok wrześniowego światła. Na podwórzu również nie odzywał się żaden hałas, jak gdyby dla nieprzerwania błogiej drzemki dwu ukołyszanych przez trzmielówkę przyjaciół.

Nagle na smudze światła u progu owczarni odbił się jakiś cień. W progu jej stanął niskiego wzrostu, dobrej tuszy, w kurtce i dużym kapeluszu, młody mężczyzna. Rozejrzał się naokoło, zatrzymał wzrok na śpiących, wywinął wżgardliwie grube wargi, nałożył binokle i mruczał.

Tak nie naigrawałby się ze śpiących Jowisz, ale naigrawał się Gerhard Klein.

Zbyt wina śpiących była niewątpliwą i zbyt surowy jej sędzia był pewnym efektu, ażeby nie miał ociągać się z rzuceniem gromu. Stał więc przez chwilę na progu, mierzył Borutę i Brzostę wzrokiem, z którego przeblyskiwały uczucia gniewu, szyderstwa lub

zadowolenia. Nareszcie, jak gdyby mu szczęśliwa myśl blysnęła, cofnął się na podwórze, a spostrzegłszy przechodzącego parobczaka, kiwnął na niego:

— Brzost leży chory — rzekł z drwiącym uśmiechem. Wypędź owce na pole po cichu, żeby go nie obudzić i *hüte bis Abend*, tam *rechts* od lasu.

Parobczak pobiegł do owczarni, zdjął ze ściany bicz i zaczął po cichu wyganiać owce, ku wielkiemu zdziwieniu Burka, który wyskoczył z legowiska, spojrział to na śpiącego pana, to na przywłaszczyciela jego berła, chciał zaprotestować, ale widząc swą bezsilność, wybiegł tylko na podwórze i wrócił, jak gdyby mówił:

— Brzoście, i ty na taką zniewagę pozwolisz?

Brzost pozwalał, bo spał. Nagle rozległo się na podwórzu trzaśnięcie z bata. Owczarz, który odgłosy swego bicia znał, drgnął silnie. W tej chwili Klein, nie chcąc stracić obmyślanego efektu przebudzenia, zawołał po niemiecku:

— Nie przeszkadzać panom!

Ockniony już do połowy, a przytem wrażliwy na głos rządcy Brzost, zerwał się w przerażeniu.

— Co pan każe? — spytał.

— Nic, szanowny panie Brzost — odrzekł ironicznie Klein — ja tylko upominałem chłopaka, co owce popędził, a żeby śpiących panów nie budził.

— Owce popędził? — wybełkotał strwożony starzec, oglądając się po pustej owczarni. — Zdrzemnąłem się chwilę, jagniały musiały odpocząć. Burek,

psia paro, gdzie bat mi zawlokłeś, a ty szelmo, boddaj cię...

Kopnął psa, który zaskowyczał przeraźliwie, zaczął się kręcić bezmyślnie, wreszcie wybiegł z owczarni.

— Panie Brzost! — zawołał rządcą.

— Co pan każe?

— Powtarzam, że ja panu nic nie rozkazuję, bo jesteś wolny. Chcę tylko poradzić, ażebyś pan prześpawszy się, poszedł ze swoim towarzyszem na przechadzkę.

— Co to ma znaczyć, proszę pana?

— To ma znaczyć, że od jutra będziesz pan pasał tylko swego Burka, bo ja pijaków nie trzymam.

— Alboż...

— Milcz, zabieraj swoje łachmany i precz!

Słowa te, wypowiedziane gniewnym tonem, przebudziły Borutę.

— Łotrzel! — krzyknął Klein — to ty zgodziłeś się po to, żeby mi ludzi rozpajać, owczarnię zaswędzać jakąś śmierdziuchą! Oddawaj zadatek i wynoś się gałganie, bo cię kijem przemierzę.

Boruta wytrzeszczył oczy, zbierając myśli, które mu wódka jeszcze rozpraszała, nareszcie nachylił się poziomo i z rozpędem uderzył głową Kleina w brzuch tak silnie, że ten padł w znak na słomę. Nie rzekłszy ani słowa, wyszedł.

— Zbój — krzyczał, dźwigając się, rządcą — łapać go, zbój!

Boruta nie obejrzał się nawet i wkrótce znikł za budowlami.

— Ja cię, zbrodniarzu, przebodę — wołał siny z gniewu Klein — ty nie wiatr, nie uciekniesz! Ha! podle gnaty polskie! I ty może myślisz łbem rozbić? — wrzasnął do stojącego pokornie Brzosta.

— Dwanaście lat, panie, tu wiernie służę — odrzekł spokojnie owczarz.

— Wy wszystko równo — mówił nieco spokojniej Klein, przeszedłszy nagle do polskiej mowy. Ha, ryj, ja go obciąć będę. Pamiętaj Brzost, że przed sąd przysięgniesz! Ty w Boga wierzysz — co?

— Zawsze.

— No, jeśli ty w Boga wierzysz, to usądu powiesz, że on zbój był. Idź do owiec, ja tobie przebaczam, bo wina swoja znasz.

Owczarz nisko skłoniwszy się, odszedł w pole. Klein udał się do dworu — a gdzie był Boruta?

Dworskie zabudowania Nędzy wznosiły się na górze. U jej spodu biegła pokrzywiona w różne strony wieś, której ubogie, przeważnie słomą kryte chaty, rzadka jedynie przekładane domkami z czerwonej cegły, wskazywały, że głód szerokie prowadził w niej gospodarstwo. Znać to było i z ubogich plonów, które wieśniacy zwozili na małych furkach do stodół. A słońce wrześnie świeciło tak jasno, jak nad obrazem

szczęścia i dostatku. Ach, to pocziwe słońce, czasem ono jedno tylko nie odmawia człowiekowi swych promieni, gdy los go ze wszystkich swoich łask obedrze! Czasem zamiast chleba położy swój odblask na stole biedaka, jak gdyby go światłem nakarmić chciało. Dobre słońce, nie gaśnij, nie zasłaniaj swego oblicza dla ubogich.

Boruta, usiadłszy na kłocu pod chatą, od której skręcał się na wieś gościniec dworski, utkwiał wzrok w słońce. O czem myślał? Więcej o tem, co z sobą zrobi, niż o tem, co zrobił z Kleinem. Niezwietrzały jeszcze wpływ trzmielówki, pewne oszołomienie, gniewny półsen — wszystko to tworzyło w jego głowie wir wrażeń, a nadewszystko nastrajało go zuchwale. Zwróciwszy wzrok na pole, spostrzegł Brzosta, śpieszącego do owiec. Wstał więc z kłoca, okrążył zabudowania folwarku i podążył za owczarzem.

— Szymonie! Szymonie! — wołał zdaleka.

Ale Szymon, pogrążony we wspomnieniach świeżego wypadku, nic nie słyszał.

— Cóż tak zagony liczycie? — krzyknął wreszcie Boruta, doganiając owczarza.

— A co? nie gorzki migdał? — rzekł, zatrzymawszy się Brzost.

— Potłukłem go bardzo?

— Tłusty wieprz — nic mu się nie stało. Ale co rymnął, to rymnął, jak kłoda.

— Krzyczał, słyszałem; niech mnie za ogon złapie.

— Powiedział, że cię do sądu weźmie, a mnie postawi, żebym przysiągł.

— Niech skarży. Was zostawił?

— Czort go wie, kazał iść do owiec. Wypędzi, to pójdę z torbą. A co ty?

— Trzeba poszukać roboty.

— Byłeś u Jana?

— Po co? Że stryj, to nie pan i nie kupiec. Chleba nie ma, a roboty nie da. A co, że w chałupie przenocować pozwoli!

— A ty głupi, chałupa jest do połowy twoja i ogród także. Przecież dziedzictwo po nieboszczyku ojcu do ciebie należy. Toć grosz warto.

— Więc połowa chałupy i ogrodu moja? — powtórzył Boruta zdziwiony.

— Jakaśmy żywi oba! Idź tylko i powiedz, kto jesteś. Oni cię sami poznają, siedem lat nie wieki.

— Daj gęby Antośka
Kiedym tak bogaty,
Jak nie chcesz w stodole
To pójdziem do chaty.

zaśpiewał Boruta, skacząc uradowany po polu.

— Tak, tak! — mówił Brzost — to twoja ojcowizna.

— Dziedzic, to po dziedzicku. Dziś się upijemy Szymonie, ale bawarskiem.

— To pewnie! Wyszczułby mnie jutro za dziesiąty kopiec.

— Nie bójcie się, mam łeb twardy.

— Masz go dla siebie, a wreszcie ja tylko trzmie-
lówkę... Bawarskie w głowie zawraca.

— E, to odwróci. Przyjdźcie dziś do szynku.

— Nie mogę, ja tylko moją...

— Spróbujcie innej. Pójdę do stryja, a wieczorem
potańcujemy.

Przebieraj Marychna
Żebym ja ci...

— No, do wieczora, Szymonie — rzekł, podawszy
rękę owczarzowi i wesoło odszedł.

— Przynieś jutro na pole kroplę, to skosztuję...
wołał Brzost.

Owa ojcowizna, która tak niespodzianie zubożyła
Borutę, była nędzną chatą, za którą wązkim językiem
wyciągnął się kawałek ogrodu. Gdzie mech nie osło-
nił, tam przegniłe gonty rżęsiście wyhaftowały dach
dziurami, które na jednej stronie założono badylem,
zatkano gałganami lub chrustem. Po tej to bowiem
stronie mieszkał Jan Boruta, stryj Klemensa i współ-
właściciel nieruchomości, zapisanej w księgach hypo-
tecznych Nędzy pod Nr. 15. Zabłocona sień dzieliła
dom na dwie połowy. Na prawo znajdowała się dość
obszerna izba, a za nią alkierz. W tej izbie Janowa,
kobieta podeszłego wieku i wychudłej budowy, ma-
czała właśnie w szafiku kurę, która na jajkach sie-
dzieć chciała, gdy wszedł Klemens.

— Pochwalony.

— Na wieki wieków.

— Nie poznajecie pewnie—Klemens.

— A! — odrzekła, przyglądając mu się uważnie, gdy ją pocałował w rękę. Skądże?

— Ze świata. Cóż tu słysząc?

— A słysząc. Kaśka ot leży, bo febra ją trzęsie, a stary ledwie dziś do szosy nogi zawlókł.

Z pod kożucha na łóżku odezwał się lekki jęk.

— Czy stróżuje?

— Stróżuje — z rydlem. Drogę sypią do Rybnika. Gdzież ty teraz?

— Tu mnie dziś zgodzili i dziś wypędzili.

— Za co?

— Bom się na godzinkę spać położył.

— To jaskinia, nie dwór! Żeby ziemia się pod nim zapadła. Gdzież wracasz?

— Nie wracam, pozostanę tu tymczasem, oddacie mi połowę chałupy.

— Człowieku! — zawołała oburzona Janowa — nie boisz ty się Boga? Młody, zdrów, zabierać nam tę głupią izbę!

— A ona wam po co?

— Na dworze prosiaki uwiążę, czy to psy?

— O, spleciemy chlewek, będą stały.

— Okien niema, przez pułap się leje.

— Gdybym na drodze sypiał, jeszcze bardziej by się lało.

— Tfu! — splunęła Janowa — wilcze ślepie! Z ołtarza by zdarł.

— E, z wami gadać a miesiącowi się przedrzeźniać, to jedno—rzekł Klemens i wyszedł.

O ile Janowa z natury była chciwa, a z biedy na wszystko łakoma, o tyle zawojowany przez nią mąż chętnie z każdym się dzielił. Bez trudu więc tegoż jeszcze dnia pomógł synowcowi przeprowadzić prosiaki do sieni. Klemens, nie mając garści słomy, a przytem chcąc zagłuszyć smutek, jaki mu się co chwila w duszy odzywał, zgodnie z pierwotnym zamiarem poszedł do karczmy, gdzie ucieszywszy się tańcem i bawarem, przenocował. Nazajutrz od świtu zaczął porządkować mieszkanie. Wymiótł je, oczyścił z kurzu, pozaklejał wybite okna i myślał nad tem jedynie, jakby je wywietrzyć z woni poprzednich mieszkańców, gdy wtem wybawiła go z kłopotu niespodziewana okoliczność: dostał wezwanie do sądu w sprawie Kleina.

— Pootwieram okna — mówił do siebie — jeśli wsadzą do kozy, mieszkanie przez ten czas wywietrzeje.

Jakoż nie tyle może skutkiem zabiegów Kleina i zeznań Brzosta, ile skutkiem życzliwości, sąd, odgadując zapewne złe powietrze w mieszkaniu Boruty, ofiarował mu na dwa tygodnie kozę.

Brzost nie tylko wyrzekł się „kropli“, którą sobie u Klemensa zamówił, ale nawet widocznie go unikał. Jako bowiem jedyny świadek powalenia Kleina, zeznaniem swoim na jego korzyść w sądzie głównie przy-

czynił się do osadzenia Boruty w kozie. Ile w tem zeznaniu było prawdomówności, a ile chęci utrzymania się na zajmowanym stanowisku, domyślać się nie będziemy. Tylko dla zadowolenia ciekawych zrobimy przypuszczenie, że samolubstwo, które nie jest wstrętnem dla nikogo, nie mogło być takim dla Brzosta, i że zapytywany w sądzie o szczegóły wypadku, myślał naprzód o sobie, a potem o przyjacielu.

Myliłby się wszakże ten, ktoby sądził, że Boruta uczuł do owczarza jakąś niechęć. Bynajmniej. Karę swoją uważał za bardzo naturalną, do pewnego stopnia sprawiedliwą, a nawet przyjemną. Zmęczony natłokiem wrażeń i zaniepokojony brakiem miejsca, potrzebował w spokoju uporządkować myśli i usnuć z nich jakiś plan życia.

Gdy powrócił do izby, zaledwie po długiem rewidowaniu nosem odczuł ślady woni poprzednich jej mieszkańców. Przyznać trzeba, że było to równie zasługą wrześniowego powietrza, jak i Kasi, która niezależnie od dąsań matki krewniakowi podłogę, a raczej jej ostatki wymyła. Co więcej, znalazł Boruta i okna deseczkami pozabijane i garść słomy w kącie, przykrytą starym, kiedyś niebieskim kilimkiem. Stryja w domu nie było, stryjenka nie obiecywała serdecznego przyjęcia; Klemens więc tylko rozejrzał się po izbie i już miał wyjść, gdy przez drzwi odchylone zajrzała Kasia.

— Wleźże głupia — zawołał wesoło — bo nos sobie przytniesz. Tatulo u roboty?

— Przy szosie — odrzekła nieśmiało, stanąwszy na progu.

— Cóż, trzęsie cię jeszcze?

— Dziś nie.

Boruta wyciągnął z kieszeni bułkę i kawałek kiełbasy, które sobie po wyjściu z kozy kupił, i podał Kasi.

— Na, zjedz.

Kasia zrobiła z początku zawstydzoną minę, ale wreszcie skusiła się do łakoci. Klemens z zadowoleniem spoglądał na jej rumieńce, tem bardziej, że one rozpalily się na dosyć ładnej twarzy. Nie była to twarz artystycznie kształtna, nie zawierała tych pociągłych rysów, które są cechą poprawnej ludzkiej rasy i tej delikatności, która jest wynikiem troskliwej hodowli, lecz tworzyła okrągłe, właściwe ludowym urodzom jabłko, na którym nos filuternie się zadzierał, a oczy żywo biegały. Potrzeba było tylko Kasię nieco wyleczyć, odpaść i ubrać, żeby rój parobczaków koło niej się uwijał, a panicze za najlepszą żniwiarzkę uważali. Boruta był znawcą i dlatego krewniaczkę pocęstował.

— Tańcowałaś w niedzielę? — spytał.

— Boga tam! Na przespanie nocy mało.

— Ale tyś nie od tego... mruknął Klemens i objął dziewczynę, która tylko głowę odwróciła.

— Katarzyna! — odezwał się skrzeczący głos z sieni. Wybiegła.

— Prosiaki kwiczą — krzyczała matka — a ty zęby suszysz przed chłopem. Ja ci je porachuję!

Jak tylko groźby ucichły, Boruta wyszedł z domu; dokąd — ściśle nie wiedział. Rozejrzał się po niebie, popatrzył w jednym i drugim kierunku drogi, uciął sobie pręt z wierzbiny i ruszył pogwizdując w pole. Oczekiwał on stryja, z którym chciał się rozmówić co do możliwości dostania roboty; ale że słońce jeszcze było wysoko, więc szukał dla reszty dnia jakiejś rozrywki. Odnajdę Brzosta — myślał sobie — i pogadam, może...

Na tę samą miedzę, po której szedł Boruta, wyjechał z za krzaków jakiś mężczyzna na wielkim, ciężkim trakenie.

— Rządca, czy nie rządca, a już ci on — szepnął Klemens, uczuwszy lekkie drżenie w nogach.

Klein poznał go z daleka, podciął konia i zbliżywszy się, osadził gwałtownie.

— Co tu robisz? — zawołał po niemiecku.

— Idę — odrzekł Boruta.

— Przez czyje pole?

— Przez śląskie.

— Ty zbój! — krzyknął Klein, zamierzyszy się szpicrutą.

Klemens chwycił konia za uzdę.

— Ostrożnie, bo ściągnę i umiarkuję.

Rządca wiedział, że Boruta dotkliwie miarkuje, nawet gdy nie grozi, coś dopiero gdy grozi. Rzekł więc spokojnie i po polsku:

— Proszę *zurück*, tu chodzić nie wolno.

— Święta ziemia, bo Niemiec ją kupił! — bąknął Boruta i wrócił do drogi, idąc przed Kleinem, który za nim postępował na koniu, a później gościńcem popędził do dworu.

O odszukaniu Brzosta, po tem świeżem starciu, nie można było myśleć. Oweczarz bowiem pał niezawodnie na polach dworskich, a rządca po nich chodzić zabronił. Usiadł więc Boruta na kamieniu, wziął kawałek leżącego kija i zaczął strugać wiatraczek. Przechodzący i przejeżdżający ze zdumieniem spoglądali na młodego, zdrowego chłopca, który w porze roboczej bawił się dziecinnymi figlami. Klemens tymczasem strugał starannie deszczułki, aż wreszcie osadził je w krzyż złożone na patyku i zatknął na górze w ziemię. Wiatr poruszył skrzydłami wiatraczka i puścił je w szybki ruch. Klemens z zadowoleniem stanął przed swem dziełem i przypatrywał mu się długo uśmiechnięty.

— Pochwalony! — rzekła jakaś stara, przechodząca wieśniaczka. — Dużoście umieli!

Boruta, zawstydzony, nie odpowiedział, a gdy kobieta oddaliła się, poszedł wolnym krokiem do wsi. Słońce już się zniżało ku ziemi. Czerwony jego odbłask złocił dachy i drzewa, jak gdyby przyświecał jeszcze nad obowiązkiem niedokończonej pracy w polu. To też

robotnicy się śpieszyli, ożywieni nadzieją spoczynku i przedwieczornym chłodem, który im znużone siły wzmacniał. Nikt wszakże nie witał z taką radością nadchodzącej nocy, jak zmęczony całodziennem próżnowaniem Boruta. Wszedł on do swojej izby i położył się na posłaniu. Zasnąć nie mógł, bo w kozie dobrze się wywczasował, a przytem jakiś niepokój wewnętrzny utrzymywał go w ciągłej czujności. Zamknął więc oczy i myślał. O czym? O tem wszystkim zapewne, co napęłnić lub odziać musiał.

Już gęsty mrok zapadał, gdy na progu izby stanął jakiś wysoki, nieco zgarbiony, chudy mężczyzna.

— Wy stryju? — spytał Klemens.

— A no ja. Cóż to, już śpisz, spracowałeś się w kozie?

— Niech ją! Nie ma tam przy szosie roboty?

— Ba! Przyszedłem właśnie ci powiedzieć, że jest.

— Co dają?

— Dotąd półtóry marki, a od jutra jedną, bo powiadają, że ludzi mają dosyć.

— Ha, będzie przynajmniej na podpłomyk z kwasem.

— Jutro do dnia.

Po tych słowach wyszedł, nie spytawszy nawet, czy jego krewniak ma co polizać. Chłopi nie znają rozczuleń, a może nie mają na nie czasu. Zresztą na usprawiedliwienie Jana przypuścić trzeba, że wiadomość o kiełbasie i bułce musiała za pośrednictwem Kasi dojść do niego.

Nazajutrz stryj z bratankiem wyruszyli do roboty. Przy szosie już znajdował się dozorca Kugelhut.

— A kogo to Jan prowadzić?

— Pan mówił, żeby do szabru...

— Ja nie pytam do czego, tylko kogo.

— Boruta, mój bratanek.

— Wasz bratanek, ten co pana Klein w brzuch tryknął... nie... nie... takie zuchy nie chcę.

Boruta spojrział na dozorcę wzgardliwie, ale stłumił gniew i odszedł.

Gdzie się podział, znowu nikt powiedzieć nie umiał. Znikł ze wsi bez śladu. Brzost, dowiedziawszy się o tem, mruknął zmartwiony:

— A właśnie barana doróżnałem.

Ciężko było owczarzowi tem bardziej, że po części uznawał się winnym losu Boruty. Przecież gdyby nie trzmielówka, rządcą parobka by nie wypędził, a gdyby nie zeznanie Brzosta, do kozy by nie wsadził.

I Kasia żał za krewniakiem poczuła.

— A tak częstował — mówiła do ojca — jak gdyby sto lat miał tu zostać.

— Te! poszedł pewnie gdzie lepiej — odrzekł Jan — nie ma czego żałować.

Janowa tylko szczerze rada była ze zniknięcia Klemensa. Nie czekając nawet, aż domysł się sprawdzi, weгнаła uroczyście prosięta do oczyszczonej izby.

— Djabli nadali — mruczała — wielki pan! Dlatego, żeby miał się gdzie jedną noc przespać, tyle obrazy

boskiej. Z bibułki — delikatny! A prosięta to mogą na deszczu. O płot się oprzeć i zdrzemnąć — nie dosyć?

Wszystkich tych żalów i dąsów Boruta nie słyszał, bo był daleko od rodzinnej zagrody, daleko...

Innym historykom pozostawić muszę zadanie opisanie dziejów Nędzy po wydaleniu się z niej Klemensa Boruty w ciągu następnej ćwierci wieku. Bo jakkolwiek przez ten czas spełniło się w tej wsi bardzo wiele ważnych zdarzeń, ja przecież, poświęciwszy pióro jedynie losom tytułowego bohatera, wypadków tych opowiadać nie mogę. Załedwie wspomnieć mi wypada, że rodzice Kasi pomarli, ona zaś, poślubiwszy wędrownego rymarza, osiadła z nim w połowie ojcowskiej chaty i strzegła tradycyi trzymania prosiąt w drugiej części domu; że Klein przeniósł się do innego majątku a jego miejsce zajął niejaki v. Dornfisch. Nowy rządcą od tego zaczął swe panowanie, że Brzosta za niedołęstwo od obowiązków uwolnił. Biedny owczarz wziął bat, Burka, pęk korzeni do koszyków, stare cholewy i butelkę, na czapkę nałożył stary pilśniowy kapelusz, a na ramiona zarzucił kapotę zimową — i wyszedł. Drobný deszczýk wiosenny mżył z zachmurzonego nieba i roztopiał czarną, sapowatą ziemię w grzęskie błoto. Jakkolwiek Brzost miał dawno wypowiedzianą służbę i o zyskaniu środków życia przedtem myślał, znalazłszy się za wrotami, nie wiedział dokładnie, gdzie ma złożyć swoje, niezbyt wprawdzie obfite, ruchomo-

ści. Sunął się tak powoli, że Burek co chwila go wyprzedzał i przystawał; zmysłny pies widocznie odgaadywał, że jego pan przenosi się bardzo blisko, kiedy tak nogi za sobą wlecze. Jakoż Brzost, zbliżywszy się do chałupy Borutów, stanął, pomyślał chwilę, wreszcie wszedł. Było to w półtora roku po zniknięciu Klemensa, a w kilka miesięcy po śmierci jego stryjenki. Gdyby ona żyła, niedługo pozwoliłaby zapewne spocząć przyjacielowi męża i bratanka. Ale Jan, który wraz z córką tyle tylko potrzebował w chacie przestrzeni, ile jej dwa tapczany ze stołem zajmowały, nie wypędził owczarza.

— To i zostańcie — rzekł — będzie nam w zimie cieplej, a w lecie i na górze prześpicie.

Brzost został, żeby jednak nie ciążyć zbyt ciężko gospodarzowi, całe dnie przesiadywał i plótł koszyki na drugiej stronie z posagowemi prosiętami Kasi i dopiero wieczorem kładł się na strychu. Skromne rzemiosło dawało drobny zarobek, dwór wszakże nieco mu do życia pomagał. W dworskiej kuchni bowiem była stara pomywaczka, która pamiętała o owczarzu i zawsze z obiadu pozostawiała albo garnuszek krupniku, albo kilka kartofli, albo wreszcie kawalek mięsa, które on dostawszy kryjomo przez okno, krył w cholewę i uciekał do domu. Jakże wtedy wesół biegł za panem Burek! Oblizywał się ciągle i rozganiał po drodze kury, jak wówczas, kiedy Brzost barany dorzynał.

Szedł czas jednostajną koleją, zabierając ofiary. Złożył do grobu Jana Borutę, wydał za mąż Kasię, obdarzył ją dziećmi, tylko Brzosta zdawał się nie tykać. Było to jedyne miłosierdzie, jakiego owczarz od losu doznał. Wszystko go prześladowało, tylko śmierć unikała. Czy był jej za to wdzięcznym?

— Po co mnie — mówił — starą skorupę chowa, kiedy tyle garnków natłukła? Ot i Burek zdechł — a ja nie mogę, chociaż niema nawet robaka, dla którego bym był potrzebny.

Po zgonie Burka Brzost widoczniej się postarzał, ale żył i plótł koszyki między prosiętami, których coraz nowe pokolenia przybywały do izby Klemensa. Z biegiem lat wszakże zaczął tracić wzrok i nieraz musiał wołać najstarszego syna Kasi, ażeby mu korzonek w plecionce przeciągnął. Nie pomogły niebieskie okulary z siatką, które mu rymarz sporządził, wzrok gasł nieustannie. Nareszcie owczarz dostał zapalenia oczu i zaniewidział. Rozpłakał się stary serdecznie.

— Teraz jeśli nie przyjmą do szpitala, połóż się pod płotem i zdechnij jak Burek.

Nie przestawał jednak pleść koszyków, wyręczając się jedynie częściej synem Katarzyny. Właściwie ślepotą nie zmniejszyła mu środków do życia. Bo i za koszyki czasem grosz kapnął, i pomywaczka ze dworu o starym nie zapomniała, i rymarz do miski zaprosił.

Więc ciągnął Brzost nędzne życie i nie umierał, chociaż doliczył się lat 80 z okładem.

A gdzież w ciągu tego długiego czasu był i co robił Boruta?

Nadszedł rok 1879. W lipcu obiegła po tarnowickiej kopalni ołowiu smutna wieść, że liczba robotników zostanie zmniejszoną. Jakoż pewnego dnia zarząd górniczy ogłosił im ten smutny wyrok. Przeszło 150 wynędzniałych, zasmolonych mężczyzn, kobiet i dzieci otoczyło wejście do szybów, wiodąc leniwą, ciągle przerywaną rozmowę.

— Pono do węgla potrzebują—mówił jeden.

— Gdzie? — spytało kilka głosów.

— W Budziszynie.

— Chwat! — odezwał się stary robotnik. — W Budziszynie niedługo ludzi kopać będą.

— To w Gliwicach!

— Ot głupie gadanie—rzekła stara kobieta. Wczoraj Maciej stamtąd przyjechał, powiada, że także rozpuszczą.

— Nie będzie roboty, to pójdę do *Obera* i...

— Daj pokój z pięścią. Żeby nie ty, możeby nas nie wygnał—zawołali dwaj górnicy.

— Żeby nie ja, tobyście psom kości wydzierali. Flaki! Oni mi będą teraz przymawiać!

— Bo prawda.

— Jak dam w gębę, to także będzie prawda.

— Daj!

— Masz kundlu!

Rozpoczęła się bijatyka. Wezbrana siła wzburzenia musiała się wyładować choć w części, jeżeli nie miała doprowadzić do groźnego buntu przeciwko zarządowi. Prosty robotnik jak para: ujęty w karby, spełnia najuległej wszelkie posługi, ale gdy je rozerwie, niszczy wszystko, co na drodze swego wybuchu spotka. Wszczęta bójka, która szybko rozszerzyła się na dalsze koła zebranych, odegrała rolę klapy bezpieczeństwa. Zadowolone w niej na chwilę dzikie instynkty osłabły i nie miały mocy do burzliwego ujawnienia się przeciw zarządowi kopalni. Ciągłe wymysły, w których język polski przeplatał się czeskim i niemieckim, rozdmuchiwały gasnący ogień walki.

Niemym jej świadkiem był czterdziestoletni górnik, który stał na uboczu, trzymając za rękaw małą, obdartą dziewczynkę. Twarz jego chuda, pokryta fałdami, w których rysowały się ciemne smugi ołowianej sadzy, wyrażała poważny smutek, ożywiany jedynie lekkimi drganiem ust i zmarszczkami czoła. Ani do bójki, ani nawet do rozmowy się nie mieszał, owszem, usuwał się skwapliwie coraz dalej z dzieckiem, ile razy zapaśnicy ku niemu się zbliżyli. Po co przyszedł? Dość było spojrzeć na jego białe nogi, połataną spodnie, wytarty kaftan, ażeby odgadnąć, że nie ściągnęła go tu chęć sejmikowania. Do izby sama robota nie przyjdzie, więc, jak inni, wyszedł z domu, tą samą drogą, którą przez dwadzieścia kilka lat codziennie

pracy uczęszczał, wziął z sobą dziecko, bo wiedział, że nazad wróci i słuchał w gromadzie, czy tam gdzie jego grubych rąk nie potrzebują.

Stał tak długo mileżący, od pola walki odsunięty, wreszcie pochwycił rozpaczliwie dziewczynkę na ręce i pobiegł do domu. Niedługo ukazał się z nią i z małym pakunkiem na plecach, powiedział słów parę przed progiem do starej kobiety i puścił się drogą, która wiodła do różnych wsi, a także i do Nędzy. Spotkawszy go w tej podróży, po przełamanym chyba nosie czytelnik poznałby w nim Klemensa Borutę.

Przez ćwierć wieku uderzał oskardem w tarnowickiej kopalni ołowiu — oto jego historia. Dodać do niej wypada zaledwie to, że się ożenił i stracił w lat kilka matkę dziewczynki, którą teraz do Nędzy dźwigał.

Ponieważ prosięta, korzystając z pogodnego dnia, wybiegły na podwórze, Brzost więc swobodnie mógł zajmować się pracą w przeznaczonej dla nich izbie. Siedział on pod ścianą, otoczony pękami korzeni i prętów, z których powoli, nieśmiało, plół mały koszyk. Obok dziesięcioletni Wicek, syn Katarzyny, wpatrywał się w robotę owczarza i zastępując mu brak oczu, ostrzegał go co chwila.

— Nie tu, dziadku, nie tu.

Brzost zwykle ustawał, badał ręką plecionkę i mówił:

— Co ty mnie będziesz uczył! Przeplotłem ten patyk, teraz ten.

— Ale ominęliście jeden.

— Utrzymaj sobie nos, głupi, który ominąłem?

— No, ten.

Owczarz zaczął macać palcami i choć przekonał się o słuszności uwagi chłopca, gderał:

— Mądry, bo ma oczy. Kiedy ja je miałem, urwiesz, to o wiorstę mogłem odróżnić, czy owca leci, czy baran.

— Nie sztuka — rzekł chłopiec — baran ma rogi.

— Osioł jesteś, a mały baranek gdzie ma rogi?

— Na głowie.

— Och, ty capie, tobie one wyrosną.

Podczas gdy Brzost tak się z małym kramarzył, na progu stanął człowiek z dziewczynką, któregośmy widzieli przy tarnowickiej kopalni. Rozejrzał on się po izbie i zatrzymał wzrok na starcu.

— Dziadku — rzekł Wicek — czegoś chcą.

— Kto?

— Nie wiem.

— Co gadasz, ciemiego?

— Przyszli.

— Kto tam? — zapytał owczarz.

— Klemens Boruta — odpowiedział przybyły.

— Klemens... Boruta — powtórzył Brzost, opuszczając plecionkę koszyka — Klemens, biedny mój chłopaku, żyjesz? Gdzie jesteś, nie widzę cię, nie zobaczę, oślepiłem, pójdźże, daj rękę Brzostowi...

— To wy, Brzoście? — rzekł Klemens zdziwiony.

— Nie poznałeś mnie, zgrzybiałem — co? Popruchniały już drzewa, które ze mną wyrosły, ani jednego głosu znajomego nie słyszę. I twój się zmienił, ile masz lat?

— Czterdzieści z górą.

— Czterdzieści, Jezu! Gdzież jesteś, jakże ci się wiedzie?

— Żle, dziadku, źle, dwadzieścia lat w kopalni kulem, teraz roboty nie mam.

— O, biedny, daj mi rękę, siądź tu. Wypędzili cię znowu, pobiłeś kogo?

— Rozpuścili nas w Tarnowicach, wziąłem dziewczynę i przywlokłem się tu.

— To i córkę masz, gdzie, chodź tu, no dobrze, a gdzież żona?

— Umarła.

— Biedny robaku. I mnie wygnali, plotę koszyki z Wickiem. To syn Kasi. U nich także bieda. Rymarz lata po wsiach z wywieszonym językiem i zarobić nie może. Zostaniesz tu?

— Muszę, póki coś się nie trafi.

— Trudno, bo trudno. Każdy za kamieniem się ogląda, czy chleba nie minął. O mój drogi, co za czasy. Zboże podobno przepadło, kartofle gniją, kto nie zdąży umrzeć przed zimą, strasznie żyć będzie.

— Albo to od dziś? I moja nieboszczka nie byłaby zmarła, gdybym miał jej dać co zjeść. Cherlała, cherlała, w domu zimno, w garnku pusto, ledwie dziecko

było czem uciszyć. Furda bić łbem o mur, aby go przebić. A tu nic, czasem tylko powietrza chłapiesz i na tem przestać musisz.

— Wicek — rzekł Brzost — pobiegnij na górę i przynieś garnuszek, co tam stoi przy posłaniu liściami nakryty. Zjedźcie kaszy trochę—dodał po odejściu chłopca—dziewczyna pewno głodna.

Jak przed dwudziestu pięciu laty częstował owczarz Borutę, ale już bez trzmielówki, bez wesołego usposobienia, bez nadziei spokojnego jutra. Gdy dziewczyna pochłaniała kaszę, dwaj przyjaciele opowiadali sobie wzajemnie przygody życia.

— Zdrów jesteś, oczy masz — mówił Brzost — to prędzej gdzie się uczepisz, ale ja... Ot, budują na folwarku stodołę, może tam się robota znajdzie.

— Pójdę, popytam. Ty, Marcysiu, zostań i zamieć izbę, ja zaraz wrócę.

— Tylko mi moich prętów nie ruszaj—rzekł owczarz do dziewczynki—tam, w sieni, jest miotła.

Marcysia zaczęła skrzętnie uprzątać izbę, którą znów prosięta utracić miały. Brzost ciągle z nią rozmawiał, wypytywał się o szczegóły losów ojca, ale ona niewiele go objaśnić mogła. Było to dziecko miłe, ale fizycznie wątłe i umysłowo nierozwinięte. Ciągłe odżywianie się kartoflami, do których tylko czasem dolewano serwatki lub dokładano kawałek baraniego łoju, nie pozwoliło wzmocnić się własnemu z natury organizmowi i przytępiło jej władzę duchową. Mar-

cysia miała już lat osiem, a wyglądała na pięć. Chuda, drobna, blada, z niepomiernie wydętym brzuchem, z rzadko porośłymi jasnymi włosami, nosiła na sobie widoczne ślady choroby. Umysł jej obracał się w bardzo ciasnem kółku pojęć i stosunków dość żwawo, ale po za tem kółkiem tracił wszelką siłę. Zapytana, jak się zwie jej ojciec, odpowiadała natychmiast, ale niezdolna była objaśnić, jak ona się nazywa. Liczyła z trudnością do trzech, każdy dzień świąteczny był dla niej niedzielą, a powszedni czwartkiem. Dlaczego czwartkiem — żaden psycholog nie umiałby tego wytłumaczyć. Zabiedzona od dzieciństwa znosiła głód z nadzwyczajną cierpliwością. Dostawszy nawet jakiś pokarm, jadła go powoli i mało. Wprawiona rozkazem w ruch, uwijała się skrzętnie, ale wypełniwszy polecenie, siadała w kącie niema i osłupiała.

I teraz, zmiotłszy izbę, przytuliła się do komina.

— Gdzie mała? — pytał Brzost Wicka — wyszła?

— Jest.

— Czemuż nie nie gada? Nie bój się Marcysiu, chodź tu, ja cię nauczę pleść koszyki.

Wszedł Boruta.

— No, to i dobrze — rzekł widocznie uradowany.

— Cóż takiego? — zagadnął Brzost.

— Dali mi robotę przy stodole. Marka za dzień, ale i to pieniądz! Dziewczynno, podskocz, będzie kolacya. Masz tu nożyk i obierz te kartofle.

Zaczął wysypywać z zanadrza ziemniaki.

— Garnka dostaniemy, drzewa bodaj z płotu nałamię i będzie bal. Tam w woreczku jest kawałek słoniny i sól. Teraz pójdę słomy kupić.

Zuów wyszedł. Dziewczyna zabrała się do roboty, wymyła garnek Brzosta, przyniosła wiórów i nastawiła przy ogniu kolację.

Wieczorem już Boruta był zagospodarowany i poprzyjaźniony z rymarzem oraz jego żoną. Katarzyna nie zapomniała mu, że ją przed dwudziestu kilku laty poczęstował kiełbasą i wywdzięczyła się teraz miseczką gotowanej marchwi. Krótco wszakże trwały przypomnienia dawnych czasów i opowiadanie przebytych kolei. W biedzie wysychają uczucia. Myśl, zajęta ciągle najprostszymi potrzebami życia, nie ma chęci i czasu kwilić rzewnie. Mieszkańcy więc domu Borutów, zamieniwszy między sobą kilka westchnień i pamiątek, zmierzwszy pobożnie swoją niedolę, legli spać z zamiarem kłopotania się nazajutrz jedynie osobistymi sprawami. Dostrzedz można było tylko, że między Brzostem a Borutą splótł się jakiś silniejszy węzeł.

— Pójdę już na górę — rzekł owczarz, gdy noc zapadła.

— Po co?—mówił Boruta.—Przyniosę wam posłanie, tu spać możecie. Przecie już prosiąt niema. Mnie nie zawadzacie a i dziewczynie będzie rażniej, gdy ja pójdę do roboty.

Owczarz nie dał się długo namawiać i od tej chwili został lokatorem dawnego swego przyjaciela.

Nazajutrz o świcie Boruta stanął przy pracy. Och, z jakąż skwapliwością do niej przystąpił! Robił wszystko: mieszał wapno, podawał cegły, ociosywał bale, kopał, posłuszny na każde skinienie, jak gdyby się bał, ażeby go nie pozbawiono tak szczęśliwie zyskanego zarobku. Gdy raz mularz krzyknął:

— Nie potrzeba cegły!

Boruta omal nie upadł na dół z całym brzemieniem. Zdawało mu się, że w tych słowach usłyszał straszną dla siebie groźbę. Trwożony tak ustawicznie, popełniał ciągłe błędy i ściągał napomnienia, ale z drugiej strony dowodami pilności zyskiwał wielkie uznanie.

— Miał by ja takich trzech, jak ty — rzekł raz do niego rzadca Nędzy — to wybudowałby ja z nimi całą stodoła.

Boruta podrośł z dumy.

Rósł on z dniem każdym, ale równocześnie rosła i stodoła.

Klemens takie miał poczucie wartości swych rąk, że nie przypuszczał nawet, ażeby zachwycony nim p. Dornfisch mógł nie zużytkować tyle użytecznej siły. Płynęły więc dnie w dość jasnym zadowoleniu. Brzost siedział w domu i plół koszyki, opowiadając dzieciom o dawnych czasach, w których trzmielówka niepoślednią grała rolę, Marcysia pod jego kierownictwem

gotowała obiady i kolacye, a chociaż grosze nie zawsze starczyły, widmo głodu do izby nie zaglądało.

Jednego dnia Boruta wrócił do domu niezwykle wesół.

— Skończyliśmy stodołę— rzekł do Brzosta— jak cacko.

— Cóż teraz będzie?— spytał owczarz lękliwie.

— Co z innymi będzie, nie wiem, ale ja przy dworze zostanę. Dornfisch zawołał mnie do siebie i kazał przyjść jutro. Żeby dał ze 60 talarów i ordynaryę! Chyba da.

Nazajutrz Boruta z pewną miną wszedł do rządcy. Dornfisch, ujrzawszy go, wyjął z biurka książkę, popatrzył w nią, odliczył pieniądze i podając je Klemensowi, rzekł:

— Dostajecie jeszcze trzy talary. No, ja z wami zadowolony; jak będzie robota, to ja was zawołać. Bądźcie zdrów.

Boruta skamieniał. Wziął pieniądze machinalnie, popatrzył osłupiały na Dornfischę, chciał coś powiedzieć, ale gdy rządcę powtórzył:

— Bądźcie zdrów, pocziwy Boruta...
nieszczęśliwy człowiek wyszedł.

Pogodne słońce wrześniowe, to samo, które przed dwudziestu pięciu laty tak starało się rozweselić pozbawionego pracy Borutę i teraz zabiegło mu drogę, gdy wracał od rządcy, obrzuciło go swymi ciepłymi promieniami i osuszało łyzy, które u spuszczonej po-

wiek robotnika zawisły. Klemens szedł machinalnie, ściskając pieniądze w rękę, zapomniał nawet włożyć kapelusza, utkwiał wzrok w ziemię i potykał się co krok na bruzdach i zagonach pola, na które bezwiednie z drogi zboczył. Oddaliwszy się znacznie od wioski, oprzytomniał i stanął. Nogi wszakże chwiały się pod nim, więc usiadł na świeżo zoranej roli. Przez chwilę rozglądał się na około błędnym wzrokiem, następnie otworzył rękę i zaczął na niej liczyć odebrane pieniądze. Liczył długo, chociaż wszystkiego miał 9 marek i 4 sr. grosze.

— Nie dołożył, nie nie dołożył — szepnął smutnie. Żeby grosz, żeby pięć fenigów, żeby jeden.

Zerwał się i podążył ku domowi. Właśnie Marcyś płuła groch, przyśpiewując sobie w robocie i wiodąc rozmowę z Brzostem. Zajmowana tak długo przez prosiętą izbą, dzięki obecnym jej mieszkańcom, dziwnie wypiękniała. Przybyły do niej dwa tapczany, stolik, trochę garnków i misek, a rozstawione na półkach nowe koszyki Brzosta stanowiły nawet pewną ozdobę. Światło jesienne, wlewając się swobodnie przez czyste, chociaż małeńkie szyby okien, nadawało tej ubogiej siedzibie wesoły widok. I Brzost, choć ślepy, czuł błogie orzeźwienie w tej jasności, bo nieustannie żartował.

— Wicek, Wicek, nie gap się na dziewczynę, tylko prątki podawaj. Ona nie dla ciebie śpiewa. Ale jak

urośniesz i będziesz umiał bez płaczu cebulę rozebrać, to cię z Marcysią ożenię.

— O, ja już dziś umiem—odezwał się chłopiec.

— Patrzcie go, obibok, umie, a ile razy nos przytem utrzesz, hę? Nie taki jak ty smyk przechwalał się we dworze. Czerwoną sukienkę zdjął, ale jak się do białych koszulek zabrał, beczał też, beczał! O, tak.

— Zjedz teraz zęby — krzyknął, wchodząc, Boruta—bo już nic innego mieć nie będziesz.

— To ty Klemensie? — spytał strapiony Brzost.

— A ja i bieda za mną. Nie zgubiłem jej — mówił dziko—nie bójcie się. Wlecze się zmora, wlecze, nie odczepię jej, nie odpędzę, nie uduszę. Ona mnie udusi. Kanarek—szelma. Świergotał, obiecywał i dał—w kark. Jak robota będzie. Ha, ha, ha—będzie bywa długie, bardzo długie. Choćbym te pieniądze tylko lizał, to bym i wreszcie wylizał.

Upadł ciężko na tapczan i westchnął. Izbę zaległa cisza.

— Co się stało? — przerwał nieśmiało Brzost.

— Nic nowego — rzekł szyderczo Boruta — to samo, co od czterdziestu lat ciągle mi się zdarza: skończyłem robotę, odprawili.

— Odprawili — powtórzył stary ze smutkiem.

— Bo i cóż mieli zrobić — odparł gniewnie Boruta — do chlewu mnie wsadzić i na słoninę karmić? Nie wieprz jestem, tylko człowiek, mam ręce i głowę, jak dla rąk zbraknie, głowa pościć musi. Czego się

jąc? Gwiazdy na niebie liczyć, czy wodę w rzece mierzyć?

W słowach Boruty widoczna była płatanina star-ganej nieszczęściem myśli. Rzucił je bez ładu, chciał gniewem kogoś ugodzić i nie widział celu.

— Ty połknij groch — zawołał do Marceysi wysypującej z garnka ugotowany obiad, ja połknę ciebie, Brzost — mnie, będziemy syci. Do tego przyjdzie, niedaleko... Rymarz w domu?

— Pojechał — bąknęła dziewczyna.

— Ha! — zawołał, zrywając się z tapczana — podpale kiedy tę chałupę, bo mi już życie obmierzło!

— Klemensie! Klemensie! — uspokajał go Brzost.

— Ja wiem, że mię tak ochrzcili, nie przypominajcie. Jedz mała, nie czekaj na mnie. O, żeby nie ty, puściłbym się w świat i nie oparł aż tam, gdzie biedy niema.

— Mówią — odezwał się Brzost — że do Polski potrzebują dużo ludzi.

— Plotą, a wy słuchacie i nie rozumiecie. Jak roboty niema, każdemu się ona śni, że gdzieś jest. Toć gadają, że i pod Wiedniem do wałów potrzeba. Więc cóż? Czy karetą po mnie zajedzie, czy kolej dowiezie? Do Polski — to raj! Znam takich, co do tego raj u w kapocie poszli, a bez kapoty wrócili.

— A ja znam takich, co tam dużo zrobili pieniędzy!

— Może ukradli. Niby to raz kosztowałem pola-

ków. Wleź do nich wtedy, kiedy masz dwie skóry, bo jedną pewno zedra.

— Ot! bajesz głupstwa.

— Już ja się waszego rozumu za ogon nie czepię. Co widziałem, to wiem. Albo to Pęczkowskiego z Gliwie za Wisłą nie obili? I za co? Za to, że za kośnika się zgodził. To też gdy jeden wilk do nas się przemknął, porachowaliśmy mu żebra, że aż mu dwóch zbrakło.

— I w jednej wsi zabijają. Ty pluj gdzie chcesz, a ja byłem pod Sandomierzem i...

— To idźcie sobie tam do stu tysięcy dyabłów, nikt was tu nie trzyma. Wam będzie wesoło, a drugim lżej.

— A czemu ja ci tak zaciężyłem?— rzekł Brzost boleśnie. — Żałujesz mi tego kąta, którego nie żałowałeś tyle lat prosiętom? Pójdę, pójdę, choć ślepy jestem, jeszcze kawałek dachu ludzie dadzą, a chleba cudzego nie jadłem i jeść nie będę.

Powstał stary, wziął Wicka za rękę i do drzwi zmierzył.

— Tfu! — splunął Boruta. — Tak się dąsacie, jak panna w zalotach. Czyż ja wam ten kąt wymawiam? Gorzkie słowo z ust się wyrwało, bo w nich nie słodko. Ach dziadku! dziadku! albo raz człowiek człowieka szturgnie, a jednak go nie przebiję. Siadajcie oto i pilnujcie domu.

To rzekłszy, wziął z miski garść grochu, wsypał

w usta i wyszedł. Nawet surowy pogromca pijaków proboszcz parafii, do której Nędza należała, przebaczyłby, widząc go wchodzącego do karczmy. Boruta bowiem nie myślał kieliszkiem rozpraszać smutku, ale chciał poprostu znaleźć kilkoro próżnujących ludzi, którzyby z nim porozmawiali, poradzili. Jakoż istotnie w karczmie obradowało kilku wieśniaków i wieśniaczek, podpitych lub trzeźwych, gotowych wszakże do zajęcia się lesem nowego towarzysza. Była to gromada najemników, żyjących z dnia na dzień, przepijających właśnie resztki świeżego zarobku.

— Robota jest i będzie — rzekł stary chłop, którego Boruta zaczepił — tylko nas do niej nie stanie. Zje Dornfisch djabła z sosem, aż my mu za dziesięć groszy na dzień do kopania pójdziemy.

— Niechby i tyle—odezwał się Klemens.

— Wy bo pewnie wielki pan, kiedy o grosze nie dbacie, my chudzieta.

— Nie pan, ale potrzebny.

— A my co, z fanaberyi? Nie jadamy pieczonych kijów. Wolę tu tydzień daremnie siedzieć, niż za głupią markę się najmować.

— Wolicie za siebie.

— A jużci nie za was — odparł gniewnie chłop — kopcie sobie i nosem nie motyką kartofle, jak się wam podoba.

Gromada się zaśmiała, Boruta poczerwieniały od gniewu mruknął:

— Swoim nosem jeszcze nie kopałem, ale waszym zaraz mogę.

— Zórz, zórz, to ja tę skibę twymi zębami posieję.

— Cymbał! — rzekł Boruta i wyszedł śród świstów i krzyków.

— Chwat — w nogach!

Wyprawa Boruty do karczmy nie była tak chybiona, jakby się na pozór zdawało. Wprawdzie nie dano mu żadnej rady, nie nastęczono roboty, ale z gróźb nienajmowania się dworowi za tanią cenę błysła mu nadzieja, że ręce jego będą pożądane. Wracał weselszy i słusznie, bo dowiedział się od Brzosta, że Dornfisch przysyłał po niego do młocarni. Odtąd dni wyrobnika różnie się przeplatały: kolejno miewał i nie miewał zajęcia, a ta niestałość nie zubożyła go odrazu, ale zsuwała powoli do nędzy! Skazany często na bezczynność, musiał zarobkiem jednego dnia pokrywać potrzeby kilku, a tymczasem nadchodząca spieszenie zima wydatki ciągle mnożyła. Sam Boruta nie miał ciepłego ubrania, z dziewczyny obleciało wszystko, mrozy szczypały coraz silniej, obok tych kłopotów zarysował się inny, podobno najstraszniejszy, mianowicie zupełny brak roboty. Po obrobieniu pola, możność najmu w folwarku ustała. Klemens ze drżeniem oczekiwał jutra, które go ostatecznie chleba pozbawi.

Jak gdyby te warunki nie dopełniły jeszcze miary

nieszczęścia biednego człowieka, pewnego rana Brzost z pościeli się nie podniósł. Dopóki plótł, chociaż nie-doleżnie i powoli swoje koszyki, dopóty zarabiał na garnek ciepłej strawy i nie był dla Boruty ciężarem. Teraz, gdy się rozchorował, wyrobnikowi przybyły trzecie głodne usta do nakarmienia. Czuł to chory starzec i dlatego ciągle powtarzał:

— Dobij mnie, dobij. Za kilka dni życia, co mi tam jeszcze pozostaje, i grzechu mieć nie będziesz.

— Nie kuście — odpowiadał Boruta, nie wiedząc jakim sposobem z przepaści się wydobyć.

Trzy dni upłynęło bez roboty. Przez te trzy dni Klemens prawie nie jadł, choremu rymarka dawała po troszce mleka, Marcysia żywiła się obierzynami z kartofli.

Głód — jeden tylko wyraz, a ileż cierpień! Zdaje się, że każda w nim zgłoska jęczy. Jęk ten nie wrywa się nigdy z jednych ust, ale brzmi chórem. Gdzie morowe widmo powiało swą śmiertelną chustą, tam pada nie jedna ofiara, ale całe gromady. Tak było i w Nędzy. Ten sam dramat, który śledziliśmy w życiu Klemensa Boruty, odegrywał się w życiu wielu mieszkańców tej wioski, a nawet prowincyi. Brak pracy, nieurodzaje, wylewy rzek rozpostarły szeroki obraz ubóstwa, w którym losy naszego bohatera tworzyły tylko cząstkowy widok. Nieszczęściem jego nie była beczynność i niedostatek, ale to, że znalazł się w otoczeniu równie klęską dotkniętem. Dopóki

bieda pozwalała się dusić, dopóty jej ofiary cierpiały odosobnione, bez wiedzy o sobie, z przekonaniem, że tylko każdą z nich srogi los pognębił. Gdy nareszcie tłumione cierpienia wybuchły głośną skargą, zlały się w wielki okrzyk trwogi i rozpacz. Od lata zarówno w Nędzy, jak i w jej okolicach panowała bieda; ale dopiero w jesieni, gdy nadzieja ratunku zgasła, gdy przyszłość rozwarła się jak noc ciemna i przerażająca, z tysięcy piersi wybiegło straszne hasło głodu. Hasło to złowrogiem echem zabrzmiało w całej prowincyi, w całym państwie, odbiło się o tron, przeleciało za granicę, zawiadomiło o klęsce świat wszystkich. W tym okropnym chórze był i głos Boruty.

Przez trzy dni, jak rzekliśmy, nie on nie jadł, a musiał przytem patrzeć na karmiące się obierzynami kartofli dziecko i dogorywającego Brzosta. Stary owczarz rozdzierał mu serce nie tylko swym widokiem, ale i swojemi słowami.

— Mój robaku—mówił—nie myśl o mnie, godzina dłużej czy krócej wszystko jedno. Lepiej nawet, że bieda dodusi. O Marcysi pamiętaj i o sobie. Mnie żebyś marcypanami karmił, nie uzdrowisz. Już czas ciało zrzucić, ledwie się trzyma. Febra raz trząśnie, to i obleci. Nie dawaj mi mleka, niech mała wypije. Nie widzę was, moi kochani. Ach! żebym chociaż na minutkę przejrzał i pożegnał się z wami. A może i lepiej, żeś ślepy. Sprzedałeś Klemensie wszystkie koszyki?

— Wszystkie—odrzekł z westchnieniem Boruta.

— Nic już niema — ciągnął Brzost słabo — niema, a ręce pozamierały. Palcami ruszyć nie mogę... próbowałem zgiać prątek... gdzie tam! Dusza zewsząd uciekła, tylko jeszcze w piersiach siedzi. Ale niedługo wyskoczy. Na jednym włosie się trzyma. Czuję, że ten włos serce mi opasał i na to umrę. Żeby go można zdjąć, byłbym zdrow, ale to daremny zachód. Napar z wierzbinowego kwiatu pomaga, ale skąd takiego kwiatu wziąć? A do wiosny nie doczekam, Marcysia, jadłaś co dziś?

— Nic, dziadku.

— Idź do dworu, poproś starej Jagny, ona zuchelek chleba dla ciebie wyszuka. Toż tam sześciu psów żywią i dla ciebie się znajdzie. Pobiegnij mała i spytaj jej, czy nie ma kwaśnego jabłka z kapusty, bo mi bardzo sucho w gębie.

Po wyjściu dziewczyny stary zapadł w większą malignę. Narzekał, zdejmował sobie włos z serca, sprzedawał koszyki i częstował Borutę bułkami. Klemens nie mógł znieść tego majaczenia i wysunął się z izby. Przed domem spotkał rymarza, któremu bieda również dokuczać zaczęła.

— No, stuknijmy się łbami i rozbijemy je — rzekł Klemens — bo już niema innej rady.

— Ja idę do landrata, mówią, że rozdaje zapomogi.

— Skądże?

— Z Berlina przysłali.

— Ha, pójdę i ja.

Poszli. Landrat mieszkał o milę drogi. Przed domem jego stała gromada ludzi, wynędzniałych, obszarpanych, drżących od zimna i chwiejących się od głodu. Szeptali oni coś znacząco między sobą. W duszę nowoprzybyłych wstąpiła nadzieja.

— Żeby nie miał dać, toby nas nie wołał — mówiła jakaś kobieta.

— Ale gdzież tyle zboża?

— Pewnie w magazynach, tylko kwitki napisze. Nareszcie wyszedł landrat.

— Moi kochani — rzekł po niemiecku — bądźcie spokojni, wczoraj zdałem raport i wezwałem dla was pomocy.

Gromada zaczęła się rozchodzić.

— A gdyby zająć do księdza — szepnął rymarz.

— Dobrze — odpowiedział z rezygnacją Boruta.

Przybyli na plebanię. Właśnie proboszcz wychodził z domu.

— Czego to chcecie?

— Porady, księżę dobrodzieju — mówił rymarz — nie mamy co jeść, dzieci mrą z głodu.

— Cóż ja wam poradzić mogę, moi kochani. Jeśli Bóg się nie zmiłuje, człowiek nie pomoże. Cudu trzeba i cud będzie, boście tego godni. Niebo nie karze ze złości, ale z miłosierdzia. Ono nad wami się zlituje. Bóg was wszystkich policzył, nikomu zginać nie da, gdy nie zechce. Modłę się za was.

Tyle pocieszyło głodnych to zapewnienie proboszcza, ile obietnica landrata. Obaj zdali raport, jeden do ministerium, drugi zaś do nieba, obaj zapowiadali pomoc, tymczasem...

— Co robić teraz? — spytał Boruta po odejściu księdza.

— Tak, chyba łeb o łeb rozbić — mruknął rymarz.

Klemens, przechodząc koło kuchni księdza, zatrzymał się nagle przed śmietnikiem. Między rozmaitego rodzaju obrzynkami i kośćmi leżała kupka kłów buraczanych.

— Patrzcie — rzekł do rymarza — ksiądz miał jeszcze przeszłoroczne buraki, jak to w piwnicy wyrosły. Zda się na barszcz—co?

— E, gdzieby...

— Zda się—powtórzył Boruta i ziele zbierać zaczął. Napakowawszy niem kieszenie i zanadrze, pośpieszył z towarzyszem drogą do Nędzy. Jakkolwiek wyprawa ich była chybiona, powracali jednak nieco weselsi. O słowach księdza zapomnieli, ale przyrzeczenie landrata utkwilo im w pamięci.

— Aby jakiś czas przebiedować—mówił Boruta—zanim komisya przyjedzie.

— Mówią — dodał rymarz — że w sejmie za nami się upomną i że cesarz ileś tam tysięcy marek dla biednych ofiarował.

— A no, to i dobrze; ale czy na taką moc ludzi wystarczy? Wszędzie głód, kiedy jeden w gębę kła-

dzie, stu głodnych mu w oczy patrzy. Siądźmy Józefie, bo mi nogi omdlały.

Usiedli przy drodze.

— Nie macie kawałeczka chleba?

— I odkąd nie mam! Ledwie dzieci po kruszynie dostaną.

— Tak nie było, nigdy jeszcze nie było.

Z trudem przywlekli się do wioski. W domu zastał Boruta nieprzytomnego Brzostę i płaczącą Marcysię.

— Masz — rzekł do córki, wydając kły buraczane — gotuj teraz barszcz.

— Nie umiem tatulu tego robić.

— Gotuj tylko, głupia, samo się zrobi.

I zrobiło się rzeczywiście samo, ale co — tego nawet Boruta powiedziećby nie umiał. Kły buraczane utworzyły jakąś bladeróżową masę i zabarwiły tymże kolorem wodę. Gdy Marcysia wylała odwar na miskę, ojciec jej zadumał się nad pytaniem, co właściwie jeść należy: kły, czy wodę. Skosztował — jedno i drugie bez soli, bez kwasu, bez żadnej doprawy było mdłym, obrzydłym. Klemens jednak, który od kilku dni, prócz mrożonego głodu, nie jadł, znalazł w tem smak przedziwny.

— Soli tylko brak — rzekł. — Brzoście, napijcie się barszczu.

— Jedzcie sami, moi drodzy. Jagna nie dała mi jabłek, w gębie gorzko, ale inaczej nie będzie.

— Kapkę — namawiał Boruta.

— Ha, daj na łyżkę.

Klemens wlał mu w usta trochę odwaru. Oweczarz posmakował i splunął.

— Mnie już nic nie dogodzi; zdaje mi się, że ciepła woda.

— Jedz Marcysia — rzekł Boruta—widocznie łaknący tej ciepłej strawy.

Gdyby ją mógł sam pochłonać! Widok wszakże wynędzniałego dziecka tłumił w nim głód, a budził ojcowskie przywiązanie.

— Jedz prędko — naglił, jak gdyby chciał usunąć sobie z przed oczu pokusę.

Pokusa wszakże wyczerpywała jego cierpliwość. Warcząc przy misce, z której Marcysia pożądliwie jadła barszcz, wynagradzał sobie przynajmniej poświęcenie gniewem.

— Nie spiesz się tak, nikt cię nie odjada. Widzisz, szelmo, ojciec ci buraków przyniósł, a coś ty ojcu przyniosła? Piłaś mleko, a ja nic nie piłem. Skaranie moje! Żeby nie ty, nie zdychałbym z głodu. I nieboszczka przez ciebie zginęła. Ach, biedna ona moja, gdyby żyła, nie marniałby człowiek jak pies.

Boruta rzewnie zapłakał. Chociaż jego wyrzuty nie dodawały apetytu, Marcysia chciwie jadła. Gdy nareszcie przestała, ojciec pochwycił miskę, wypił z niej resztkę odwaru i zjadł pozostałe zielisko.

Marcysia, sprzątnąwszy naczynia, siadła pod zi-

mnym piecem. Z bladej twarzy, z osłupiałych jej oczu widać było, że chciwie spożyty barszcz ją zemdlił. Jakoż zaczęła jęczeć, krztusić się i spluwać.

— Nie mówiłem — krzyknął Boruta — żebyś jadła wolno. Prosiak.

W tej chwili wpadł do izby rymarz.

— Klemensie, żona mi tak zachorowała jak Maciejowa. Ma czerwone plamy, bredzi... Nie macie pod ręką jakiego lekarstwa?

Uraganiem było żądanie lekarstwa od tych, którzy jeść nie nie mieli. To też Boruta wzruszył ramionami.

Przez cały dzień również nikt drzwi nie uchylił. Nawet mały Wicek, który do starego Brzosta często przybiegał, zajęty płaczem przy chorej matce, ani razu się nie pokazał. Bieda Boruty znaną była we wsi, ale od czasu jak przestała być wyjątkową, od chwili, kiedy głód i choroby spadły na większą część mieszkańców Nędzy, nie zwracano na niego szczególnej uwagi. Jednych pochłaniała własna niedola, drugich przerażała groźba zarazy — i dlatego nikt do domu Klemensa przez cały dzień nie zajrzał. Dopiero wieczorem, skłopotany chorobą żony rymarz przyszedł ulżyć smutkowi. Odrazu jednak spostrzegł, że tu pogasły wszystkie promienie nadziei i że nieszczęście rozpostarło swój mrok złowrogi. Pod piecem, na tem samym miejscu, gdzie padła, leżała nieprzytomna Marcysia, z której ust wydobywały się syczące oddechy. W kącie,

na barłogu, rzucał się rozgorączkowany Boruta, trapiący jakimiś widziadłami. Przy drugiej ścianie Brzost nie dawał znaków życia.

— Klemensie, Klemensie! — zawołał rymarz.

— Jest ktoś żywy? — odezwał się owczarz słabym głosem. — Kto to?

— Ja.

— Ty Józefie — o, mój drogi, co się dzieje? Słyszę jęki, krzyki i nie wiem, czy kogo zabili, czy kto umiera.

— Klemens z córką chorzy.

— Chorzy — powtórzył stary — to już wszystkim koniec. Aby prędzej... aby prędzej... Czem my zgrzeszyli, że nas tak Bóg karze... Prosiłem Klemensa: dobij — nie chciał. Teraz niema nawet komu dobić... Straszna godzina! Jakie piekło być musi, kiedy taka ziemia. Nie masz ciepłej kropli, bo mi wnętrzności marzną?

— Żona chora — odrzekł zrozpaczony rymarz, a usłyszawszy w swem mieszkaniu krzyk, wybiegł.

Brzost pozostał sam. Świszczące oddechy Marcysi, oderwane, dzikie słowa Klemensa, pobudzały co chwila imaginację opuszczonego starca, który powoli zapadał w stan nieprzytomnego rozdrażnienia. Silna gorączka zaczęła go coraz bardziej rozstrajać.

— Nie wypędzę owiec — mówił w malignie — bo duża rosa... Klein mnie wypędzi... Burek, do nogi... podły pies... pocziwy... zdechł... z głodu...! Brzost sam nie miał chleba, jemu nie dał... Ślepy, świata nie zo-

baczy, własnych rąk swoich nie widzi, któremi koszyki pleść musi... Dobij maro... ja się sądu ostatacznego nie boję. Z ciałem nie wstanę, bo uszło... Ps! lichu, nie pokazuj mięsa, bo to glina... Brzost chory, ale nie głupi...

Tak długo jeszcze bredził dogorywający starzec. Omdlałe wreszcie usta zaczęły wyszeptywać niezrozumiałe dźwięki, potem tylko drgały niemo... usnął.

Na drugi dzień po Nędzy przebiegła wieść o przyjeździe lekarza, który miał sprawdzić stan zdrowia wsi, i landrata, który przywiózł zebraną na prędcę z ofiar jałmużnę. Skupiła się też przed dworem gromada obdartych, wynędzniałych biedaków, wyczekując wsparcia i porady. Po porozumieniu się z rządcą obaj urzędnicy postanowili przedewszystkiem odbyć rewizję mieszkań. Dom Boruty stał pierwszy przy drodze od dworu, do niego więc naprzód wstąpiła komisya, której towarzyszył orszak nędzarzów. Gdy lekarz otworzył drzwi, przed oczyma obecnych odsłonił się bolesny widok. W zimnej, z wszelkich sprzętów ogołoconej izbie, leżały trzy wyschłe, nieodziane, okropną woń ziejące ciała. Lekarz obejrzał dziewczynę, potem Klemensa, a wreszcie przystąpił do Brzosta.

— Stary umarł — rzekł opuszczając zimną rękę owczarza, która bezwładnie opadła.

— Wczoraj jeszcze żył — wtrącił rymarz, który się ze swej izby wysunął.

— Trzeba go wynieść — mówił doktor — bo powietrze zaraża.

— A co tym jest? — spytał landrat.

— *Genius epidemicus*. Co tu myśleć o zdrowiu? Gdyby ich dziś na nowo stworzyć, jutro by pomarli.

Z kolei opatrzone drugą stroną domu.

— *Genius epidemicus* — powtórzy lekarz, wychodząc, i z całym orszakiem udał się do następnej chaty.

Rezultatem tego śledztwa było zawiązanie z kilku włościan tymczasowego towarzystwa, które przed nadejściem energiczniejszej pomocy miało opiekować się chorymi i rozdzielać zapomogi między głodnych. Tak więc Boruta z córką dostał się pod jakąś opiekę. Te goż jeszcze dnia wyniesiono na cmentarz ciało Brzosta. Gdy zabijano jego prosta, ze starych desek zrobioną trumnę, zbudzony na chwilę Klemens otworzył wystraszone oczy, chciał powstać, zabełkotał coś i znów wpadł w nieprzytomność. Kiedy wynoszono starca, tylko mały Wicek odprowadził go za bramę, wołając z płaczem:

— Dziadku, dziadku! Koszyki!...

Czy sądził, że go tym ostatnim wyrazem prędzej zawróci?

Niech czytelnik wszakże nie sądzi, ażeby po odwieczninach komisji warunki życia, a raczej choroby Boruty i jego córki zupełnie się zmieniły. Bynajmniej. Wprawdzie najęta przez „towarzystwo“ baba zamiętła izbę, rozebrano i oczyszczono chorych, dano im po-

trosze przywiezionego z fabrycznej apteki kalomelu, ale o żadnem pielęgnowaniu nie mogło być nawet mowy. Zadużo było we wsi chorych i obawiających się zarazy. Wkrótce bowiem *genius epidemicus* znany był w polskim przekładzie i ludność wiedziała, co jej grozi. Przyjechał do Nędzy felczer, ale ten zaledwie raz dziennie odwiedzał cierpiących. I cóż to był właściwie ów *genius epidemicus*? Już w piątym dniu słabości Boruty i jego córki uważne oko mogło na całym ich ciele, z wyjątkiem twarzy, dostrzedz tak zwaną różyczkę — z początku bledsze, później coraz barwistsze, czerwone plamy, będące charakterystycznym znakiem tyfusu wysypkowego, owego nieodłącznego towarzysza wielkich głodów. Po upływie tygodnia Boruta odzyskał na pozór przytomność, bo mówił, odpowiedzi wszakże jego, połączone z silnymi napadami maligny zdradzały zupełny rozstrój umysłowy. Przytem tak ogłuchł, że dźwięki nawet silnego głosu z trudnością doń się przedostawały. W drugim tygodniu choroby przedstawiał on postać palącego się w gorączce kłosa. Język mu osłupiał, oczy się przekrwiły, gardło grało rżeniem, dziąsła i zęby pokryły się kleistym okładem, nozdrza — sadzą. Leżał ciągle na plecach z oczyma przymkniętymi, mrużąc niezrozumiałe słowa.

W podobnym, a może jeszcze okropniejszym stanie znajdowała się Marcysia. Stary felczer, który na ten raz przyznawał sobie szczególniejszą znajomość „petoci”, znacząco nad nią kiwał głową.

— Czort wie — mówił — jakiej choroby tu nie ma. Cała orkiestra.

Rzeczywiście, w piersiach dziewczyny grała cała orkiestra rozmaitych skrzeczących i świszczących skrzypień. Ani razu od dwóch tygodni nie odzyskała przytomności. Z ruchów jej tylko można było poznać, że cierpi silny ból głowy i piersi. Wyszła tak, że pod skórą odbijały się lekkie wypukłości kostne. Opiekująca się chorymi baba, spostrzegłszy, że mała zaczęła się nagle rzucać bezprzytomnie, zauważyła:

— Śmierć pewnie widzi.

Niepokój ten ustał, ale chora widocznie zapadła w większą niemoc. Nareszcie jednego dnia felczer, przyszedłszy rano, obejrzał ją i rzekł do baby:

— I tę możecie już wynieść.

Umarła. Zgodnie z przepisami sanitarnymi uprzątnięto ją natychmiast. Gdy grabarz zabijał trumnę, Boruta znowu otworzył błędne oczy, popatrzył na nią, zdawał się coś pojmować, chciał jakiś głos wydać, ale zakaszlał się i padł na posłanie. Mruczał potem długo. Marcysi nie odprowadził do wrot nawet Wicek, bo i on był już chory.

Pozostał w izbie sam tylko Boruta, ciągle nieprzytomny. Zapewnie i on niedługo za przyjacielem i córką podaży?

We dwa dni po drugim pogrzebie, felczer zauważył silne opadnięcie gorączki u chorego, zblednienie płam i poty.

— Tego zgryźć niełatwo — szepnął.

Boruta ciągle spał, nie snem jednak gorączkowym, obezwładniającym, ale jakimś głębokim i zdrowym. Co kilka godzin budził się i objawiał żądania sposobem, ujawniającym powrót przytomności. Powoli znikły z ust, języka i nosa chorobliwe znamiona. Trwało to przeszło tydzień.

W ciągu tego czasu zaszły ważne zmiany. Szeroko rozniesiona wieść o głodzie na Śląsku wywołała w Niemczech i po za ich granicami hojne ofiary, których część spłynęła i do Nędzy. Zawiązane początkowo „towarzystwo” rozszerzyło się znacznie i pozyskało środki pomocy biednym. Zwłaszcza dary i składki z Królestwa Polskiego, przesyłane do komitetów głodowych, spadły na Nędzę jak cudowne zbawienie. Dzięki im Boruta leżał w opalanej izbie, dostawał potrzebne lekarstwa i pokarmy, miał świeżą słomę, czystą bieleźnię i ciepłe okrycie, czego nie doczekali Brzost i Marcysia.

Jednego poranku, chory po długim, pokrzepiającym śnie otworzył oczy, rozejrzał się po zmienionej izbie, powiódł okiem po flaszce z lekarstwem, swojej odzieży i palącym się ogniu, aż wreszcie zatrzymał je na łamiącej drewna kobiecie. Widocznem było, że nie rozpoznaje swego położenia, że mu się dziwi i zbiera rozproszone myśli.

— To wy Rafałowa? — zapytał drżącym głosem.

— Ja — a czego to?

— Gdzie Marcysia?

— Oho! wysoko. Modli się za was.

— Umarła? — krzyknął Boruta.

— I lepiej.

Głęboki, rozpaczliwy jęk wydobył się z piersi Klemensa, który zamknawszy ciekące łzami oczy, leżał długo niemy.

— Brzosta wyrzucili?

— Wrzucili... do grobu.

Boruta znowu zamilkł i zapadł w stan bezwładności. Zaczął na jawie, czy we śnie majaczyć i głośno szlochać. Podczas płaczu wymawiał ciągle imię córki i owczarza, skarżył się i żalił.

Felczer znalazł go bardziej osłabionym i rozgarczkowanym.

— Czy nie zjadł czego?

— Nie — odrzekła Rafałowa — dowiedział się, że córka i owczarz umarli.

Przez kilka dni trwał stan niezdecydowany. Nareszcie Boruta obudził się. Patrzył jak wprzód, rozglądał się, ocierał łzy i milczał. W końcu spytał:

— A kto też, moja Rafałowo, uratował mnie i dał to wszystko?

— Chyba komisya, ksiądz albo landrat — odrzekła.

— Ksiądz albo landrat? — powtórzył Klemens.

— Ano juści, przecież to do nich przysyłają pieniądze z zagranicy... z Warszawy... polaki. Wszystkim głodnym dają, nietylko wam.

— Polaki—szepnął Boruta zdziwiony, utkwiał nieruchome oczy w przestrzeni i myśleć zaczął. O czym? Mówić nie będę, to tylko dodam, że blada jego twarz drgała silnem wzruszeniem. Nawet i dziś, gdy wyzdrowiał i do nowej, ostatniej walki z życiem się gotuje, zdaje się jeszcze dumać o tem, co mu Rafałowa powiedziała.

ODDECHY.

Lorenz Trinkbier bał się.

Przez 35 lat swego życia jadał, sypiał, nienawidził, miewał różne upodobania i wstręty, ale przedewszystkiem bał się — tak bezustannie i mocno, że gdyby kiedykolwiek opuściła go trwoga, a on zechciał ją odemścić na tych, co go przerażali, byłby najokrutniejszym człowiekiem, jeżeli nie w całych Prusach, to przynajmniej w całym Księstwie Poznańskim. Równie okrutnym zdołałby być tylko zając przemieniony w lwa.

Już jako Wawrzuś Trynceza od dzieciństwa zdradzał pewną lękliwość; uciekając wszakże przed laty z ojcem, kryjąc się z nim po zaroślach i zbożach, dręczony obawą pogoni lub niepożądanego spotkania, dostał gwałtownych dreszczów strachu, które nim później ciągle trzęsły. W Poznaniu, dokąd z Kalisza po tygodniowej tułaczce przybył, owa febra wzmogła się jeszcze bardziej. Ojciec bowiem, uwięziony, wkrótce zmarł, a stryjeczna ciotka, której się chłopiec dostał w spadku, oświadczyła mu zaraz przy pierwszym spotkaniu:

— Jeżeli ani policyi, ani dzieciom moim nie będziesz „przeciwny“, dam ci przez dwa lata przytułek i jedzenie. W ciągu tego czasu powinieneś uzdolnić się produkcyjnie.

Nie rozumiał Wawrzus, jakim sposobem ma „uzdolnić się produkcyjnie“, ale rozumiał, że musi odtąd tańcować między sześcioma mieczami: policyą, ciotką i jej czworgiem dzieci. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że swoje zadanie spełnił z należytą pokorą i zręcznością: nietylko bowiem policya zapisała go do ksiąg ludności stałej, młodzi krewniacy uznali za niezbędną dla siebie krzywą wierzbę, ale ciotka, oceniając zasługi siostrzeńca, oddała go do gimnazjum. Przy pracy skończył je szybko, złożył egzamin państwowy, a przy poparciu znajomych opiekunki otrzymał posadę kancelisty w magistracie — czyli — zaczął być produkcyjnym.

Nie przestał się jednak bać, bądź utraty miejsca, bądź zbyt długiego pozostawania na niem. Dwadzieścia pięć talarów miesięcznie—dla biednego Trynczy było bardzo dużo, ale znowu dwadzieścia pięć talarów przez całe życie — w takiej szczupłej pensyi marzenia jego zmieścić się nie mogły. Gdy skutkiem niełaski bezpośredniego zwierzchnika pasował się to z jedną, to z drugą obawą, wybuchła wojna francusko-pruska i Tryncza powołany został do rezerwy. Chociaż mu nogi aż podkuliły się ze wzruszenia, przyjął tę konieczność z niejaką radością.

— Albo zginę — rzekł do ciotki — albo zaawansuję.

Nie zginął i zaawansował. Wysłany z oddziałem na zwiady, spoił chłopą francuskiego wódką i wydobył z niego potrzebną wiadomość. Za to pułkownik podziękował mu uroczyście.

— Jak się pan nazywasz?

— Tryncza.

— Panie Trinkbier, jesteś mężny, zasłużyłeś na order.

Ażeby nie spłoszyć zapowiedzianego odznaczenia i zyskać względy zwierzchności wojskowej, które zaważyć musiały na późniejszym jego losie, Tryncza nie tylko próbował upajać wszystkich spotkanych chłopów francuskich, ale przyjął z ust pułkownika nowy chrzest i postanowił stale nazywać się Trinkbier.

Mimo to Lorenz Trinkbier bał się ciągle, chociaż go po skończeniu wojny mianowano asesorem, z pensją 40 talarów miesięcznie. Bo przecież i tę posadę mógł stracić, a ona znowu nie zdołałaby nakarmić wszystkich spełnionych jego marzeń, które nie były wielkie, ale za to żarłoczne. Przechadzając się wieczorami po okopach miasta, rozmyślał, jakim by sposobem powiększyć swój zarobek i ożenić się. Żona bowiem stanowiła główny przedmiot jego samotnych rojeń i głębokich westchnień. Gdyby mógł być pewien, że będzie bezpłodnym i że we dwoje tylko będą zjadać 40 talarów! Ale pewność taka nie dawała się osiągnąć

żadną znaną mu drogą. Chwilami nawet postanawiał sobie wyszukać wdowę bezdzietną, ale naprzód, poprzednie jej doświadczenie nie przedstawiało mu rękojmi, zwłaszcza że pod tym względem uważał się za jednostkę wyższą w rodzie męskim, powtóre, ojcowstwo miało także dla niego pewien urok.

Nosił więc w sobie te smutne marzenia i przebierał na ulicy kobiety, upatrując, która byłaby najwłaściwszą dla niego małżonką. I przyznać trzeba, że odpowiednich znajdował wiele. Należał on bowiem do tych podobno najliczniejszych mężczyzn, którzy w żadnej kobiecie nie widzą zupełnego człowieka, ale w każdej istotę pożądaną. W ciągu kilkumiesięcznych spacerów wybrał czternaście, których nie znał nawet z nazwiska, ale otrzymawszy podwyżkę, gotów był jedną poślubić.

Z wrodzonej i nabytej obawy nie zawiązywał Trinkbier stosunków towarzyskich.

Oprócz też starej posługaczki nie znał bliżej żadnej innej kobiety. Nieraz koledzy biurowi zapraszali go na zabawy: umiał im zawsze się oprzeć, gdyż nie odstępowała go myśl, że czas miłości jeszcze dla niego nie nadszedł, a sposobność obrażenia kogoś zdarzyć się mogła łatwo. Na posadzie zaś swojej nie czuł się dostatecznie ubezpieczonym i awansu pewnym.

Właśnie jednego z takich dni, kiedy rozmyślał o poślubieniu wdowy bezdzietnej, wezwano go do naczelnika wydziału:

— Rząd — rzekł, otulając się lekką tajemniczością

zwierzchnik—a nawet, czego wszakże pan nie ponieść dalej, kanclerz państwa życzy sobie, ażeby wszyscy urzędnicy byli narodowo-liberałami, zwłaszcza przy wyborach do parlamentu. Pojmujesz pan?

— Ja, panie naczelniku—odpowiedział z pośpiechem Trinkbier—byłem narodowo-liberałem oddawna.

— Rząd życzy sobie — zauważył sucho naczelnik — ażebyś pan był nim od dziś.

Trinkbier wyszedł z zamaconą głową. W odpowiedzi naczelnika dostrzegł niechęć.

— Po co ja u dyabła — pytał siebie w rozpacz — wyrwałem się, że byłem narodowo-liberałem oddawna, kiedy nie byłem nim nigdy, kiedy kazano dopiero od dziś?

Rzeczywiście w zbytnej gorliwości skłamał. Przekonań bowiem politycznych nie miał żadnych, a gdy go nawet czasem napadała jakaś chętka, wypłaszał ją obawą narażenia się zwierzchności i utracenia posady.

Zdradziwszy więc teraz swoją mniemaną barwę polityczną przed wyznaczonym terminem, wpadł w rozpacz, która niezawodnie doprowadziłaby go do samobójstwa, gdyby pewnego dnia znowu nie zawezwał go naczelnik.

— Czy pan pamiętasz — rzekł uprzejmie — że jutro są wybory do sejmu i że pan powinienes być narodowo-liberalnym?

— Ach, panie naczelniku! — zawołał wzruszony Trinkbier, który w śmiertelnej trwodze spodziewał się

usłyszeć dymisyę, a teraz z radości nie mógł dokończyć zdania.

Wyszedł lekki, pokrzepiony na duchu, uradowany; łązy kręciły mu się w oczach, ręce otwierały do uścisku, usta układały do pocałunku. W każdym razie wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę.

Nazajutrz jak gdyby przemienił się, bo promieniował śmiałością i energią. Nietylko oddał swój głos kandydatowi narodowo-liberalnemu, ale namówił dlań kilkunastu wyborców. Uwijał się na zebraniu, dowodził, przekonywał, nawet gromił przeciwników. Zachwycony jego ruchliwością jeden wyborca przedstawił mu się:

— Jestem Kinkel, piekarz, a odtąd narodowo-liberał — panu to zawdzięczam. Jeżeli za trzy lata będziesz pan kandydował, masz mój głos.

— To nie dla mnie, chybaby władza sobie życzyła — odparł Trinkbier, przerażony tym nagłym podskokiem w przyszłości, do którego zwierzchność go nie upoważniła.

— W każdym razie — rzekł Kinkel — zrobisz pan wielką przyjemność mnie, żonie mojej i córce, gdy zechcesz nas kiedykolwiek odwiedzić.

Znowu Trinkbier poczuł niespokojne drżenie serca. Miał poznać córkę, może jedną z tych, którą podczas spacerów wybrał? Co począć wobec 40 talarów pensyi? Pójść, czy nie pójść? Zadumanego od trzech dni nad tą zagadką, wezwano do naczelnika.

— Władza, oceniając pańskie zasługi podczas wyborów—rzekł zwierzchnik—podwyższyła panu pensyę o 10 talarów miesięcznie.

Zdawało się Trinkbierowi, że ziemia pod jego stopami stężała w granit, ażeby mu dać mocne oparcie. Tegoż samego dnia, wystrojony i wonny kilkoma rodzajami pachnideł, poszedł z wizytą do Kinklów, a za trzy miesiące poprowadził do ołtarza ich tłustą córkę, która wprawdzie nie należała do jego wybranych na ulicy ale odpowiadała jego wymaganiom małżeńskim.

Jakkolwiek Trinkbier, otrzymawszy wyższą pensyę, nie potrzebował pragnąć bezdzietności, jednakże wkrótce przekonał się, że oszczędność nieba w błogosławieniu go byłaby bardzo pożądaną.

W ciągu czterech lat dało mu ono czterech synów i chorobę żony. Panna Kinkel, która posiadała objętość znaczną i wygląd, usuwający zupełnie powody obawy o jej wytrzymałość, jako pani Trinkbier zawiodła poniekąd nadzieje męża; zaczęła chudnąć, marnieć i trzeciego dziecka sama już wykarmić nie mogła. Przybyła więc mamka, wcale nieprzewidywana w budżecie domowym, a co gorsza, przybył nowy syn, poderwawszy jeszcze mocniej zdrowie matki. Karmiono go już mlekiem krowiem i w głębi serca życzone sobie, ażeby szybko opuścił macoszą ziemię, która po urodzeniu odmówiła mu piersi ludzkiej i radości rodziców, a potem odmówiłaby może chleba.

Po krótkim spokoju Trinkbier znowu bał się.

Wobec zwierzchności czuł się dość umocowanym na urzędzie, ale od lat kilku, prócz pokory i pracy, które uważał za swój obowiązek, do dawnych dobrych kresek nie dodał żadnej świeżej zasługą wyjątkową. O posunięciu się więc ku górze zwątpił, gdyż gazety zaczęły wykazywać konieczność wydalenia „obcych żywiołów“ z urzędów, a towarzysz biurowy spytał go znacząco:

— Właściwie pan jesteś polakiem?

— Trinkbier — polak?

— Kiedy pan — odparł kolega — dawniej nazywałeś się Tryncza i dopiero od wojny...

— Przechrzcił mnie pułkownik Kischke — wykrztusił Trinkbier, któremu omdlały głos w gardle uwiązł.

Po chwili dodał, zdobywając się na lepszą minę:

— Zapewne pan i o tem wiesz, że za dowcipne wybadanie chłopca francuskiego dostałem krzyż, że przyczyniłem się do zwycięstwa narodowo-liberała w Poznaniu, że...

— Wiem — zakończył Niemiec — i na urodziny powinszuję panu.

Rozmowa ta odbijająca w sobie prąd, przebiegający gazety i niewątpliwie tryskający ze sfer wyższych, zaklinowała Trinkbiera.

Po długich dumaniach doszedł on do wniosku, że swoją niemieckość musi ponownie czemś zaznaczyć — wymaga tego zarówno teraźniejsze bezpieczeństwo, jak i przyszły awans. Ale po jakie wawrzyny polityczne

sięgnąć może skromny urzędnik magistratu? Będzie wypierał się swego pochodzenia, spotwarzał swoich rodaków, śpiewał: „Wacht am Rhein”, wyznawał narodowo-liberalizm? Wszystko to Trinkbier robił, a przecież widocznie nie stał z siebie narodowego piętna, skoro mu je z szyderstwem wskazywano.

Przez pół roku chodził codziennie po tych samych wałach miejskich, na których kiedyś przebierał kobiety, mogące go uszczęśliwić — i rozmyślał nad sposobami załatania na drugiej skórze narodowej wszelkich dziurek. Nareszcie pewnego wieczoru stanął, jak gdyby olśniony nagłym i wielkim wynalazkiem. Twarz rozpogodziła mu się, na usta wybiegł uśmiech, z oczu strzeliło wesele. Była to wszakże przemiana krótka, bo natychmiast radość rozplynęła się w pogębieniu, które ją zmyło i zamroczyło cieniem wewnętrznej walki. Jak zwykle w trudnych wypadkach poszedł do żony i otworzył przed nią swoje serce. Zastał ją smutną i jeszcze mizerniejszą niż zwykle.

— Wiesz co — rzekł — jestem przekonany, że Pan Bóg ma do mnie jakiś żal.

— E, wątpię — odezwała się kobieta z gorzkim uśmiechem — ja sądzę, że ma do ciebie szczególną słabość.

— Gdzie tam, moja droga, ty ciągle chorujesz, niedostatek do domu zagląda...

— Ale zato przybędzie piąte dziecko.

— Co! — krzyknął Trinkbier, chwytając się za głowę. — Nie żartujesz?

— Nie, Lorenz, nie.

Oniemiał, bo była to nowina niespodziewana, chociaż całkiem naturalna. Długo chodził po pokoju, ciężko wdychając i szarpiąc podbródek, nareszcie stanął przed żoną.

— Tak — szepnął — Pan Bóg gniewa się na mnie i wskazuje mi drogę poprawy.

— Jaką? — spytała obojętnie kobieta.

— Nie może on błogosławić rodziny, w której mąż modli się inaczej, a żona inaczej.

— O, nie żądaj ode mnie tej ofiary — zawołała boleśnie — nie zmienię mojej religii.

— Ale ja zmienię moją — rzekł z wysiloną stanowczością.

Podawała mu rękę i uściśnęła go.

— Dziękuję ci; to będzie lepiej, daleko lepiej.

Zaczął ją całować i pieścić tak zawzięcie, że zaledwie rzewną prośbą, powstrzymała te czułości w uwzględniających jej stan granicach.

— Zobaczysz — mówił — będziesz zdrowa, rumiana, tłusta jak dawniej. Dzieci mamy dosyć: Bóg widzi, że więcej nam nie potrzeba. Przy jego pomocy dostanę lepszą posadę. Wtedy pojedziemy w góry śląskie, jak cię kocham, pojedziemy. To już postanowione.

Mimo to noc spędził niedobrze. Snu złapać nie mógł, rzucał się na łóżku, wdychał, szeptał do siebie i dopiero nad ranem zasnął. Upłynęło dni kilka, a on

nie zrobił ani jednego kroku w swem przedsięwzięciu. Bał się...

Tymczasem, idąc do biura, spotkał ojca żony, który go powitał kwaśno.

— Piękna historia — rzekł teść. — Słyszę, że Ludwika znowu ma zostać matką. Tobie się zdaje, że dzieci—to bułki? Tfu, do dyabła!

— Trudno—bąknął nieśmiało zięć—co robić.

— Co? — wrzasnął stary. — Pisać urzędowe papiery, pisać, pisać w dzień i w nocy, to się rozerwiesz. A kiedy już wszystko napiszesz, zacznij przepisywać.

— Ba! — odparł zięć.

— Ba! — powtórzył teść.

Zamilkli oba.

— Mam kłopot — odezwał się Trinkbier, spuszczać oczy.

— Jeszcze jeden—wtrącił wzgardliwie Kinkel.— Może ci się coś urodziło na boku.

— Postanowiłem zmienić wiarę i przyjąć ewangelicką.

— A to dlaczego?

— Naprzód, ciągnie mnie ku niej przekonanie, a powtórę trudności służbowe. Katolik musi być zawsze na wylocie, albo wrastać w jedno miejsce.

— Należało to uczynić dawniej, bo ciągle czuć cię polakiem; jeżeli zaś zdecydowałeś się dopiero teraz, nie skacz przez płot do innego ogrodu po cichu, we-

dług swego zwyczaju, lecz jawnie i głośno, ażeby widziano i słyszano jak najszerzej i jak najwyżej. Wtedy się opłaci!

— Brak mi odwagi.

. — Na rozumny krok jej nie masz, a tam, gdzieby wstrzeźliwość przystała, masz za wiele. Idź dziś do pastora, a ja tę sprawę rozetrę. Tylko słuchaj, umiarkuj się, bo żadna religia nie wyżywi tylu dzieci, ile ty ich na świat sprowadzisz.

I stary, który jeszcze przed trzema laty pomnożył swoje potomstwo, a miał go tyle, że córkę tylko pieczywem wspierał, podążył ku domowi. Wkrótce odbyło się bardzo uroczyste przejście Trinkbiera na łono kościoła protestanckiego wobec niższych i paru wyższych urzędników magistratu. W miejscowej gazecie niemieckiej zapisano ten wypadek z odpowiednią pochwałą i morałem politycznym. Ponieważ zaś nawróconego nazwano szlachcicem polskim, dzienniki polskie wyparły go się aż do najdalszych przodków, twierdząc, że herbarze nasze takiego szlachcica nie znają, bo obejmują rodziny młodsze, Starego zakonu swym początkiem nie sięgające.

Trinkbierowi sprawił ten wywód wielką przykrość, a nawet przez chwilę jak gdyby zawrzała w nim krew Trynezy. Ochłodził ją strachem, który zatrzęsł nim tem silniej, że tegoż dnia ogłoszony został rozkaz wygnania z Prus osób polskiego pochodzenia i obcego poddaństwa.

Nie odrazu, ale rachuba jego sprawdziła się: piąte dziecko przybyło łącznie z wiadomością o nominacyi ojca na referenta.

Wolałby on w swej biblioteczce rodzicielskiej nie mieć tego piątego tomu, postawił go jednak obok innych bez gniewu, bo otrzymał w pięknej oprawie. Tylko zostawszy sam wieczorem, po całodziennych wzruszeniach, gdy ogarnął wszystkie wypadki swego życia, gdy roztoczył przed sobą we wspaniałych obrazach rozkosze nowej 800-talarowej pensyi, gdy pomyślał, że oszczędzać musi żonę chorowitą, prawie żałował, że nie poślubił bezdzietnej wdowy.

Nazajutrz o zwykłej godzinie poszedł do biura, gdzie spodziewał się znaleźć urzędowe potwierdzenie radosnej nowiny, o której dotąd wiedział tylko prywatnie. Jakoż zaledwie usiadł przy stoliku i zaczął oddychać uczuciem świeżej godności, poproszono go do prezydenta, za którym kiedyś tak namiętnie głosił i agitował przy wyborze na posła do parlamentu, a który mimo to budził w nim zawsze szczególną bojaźń surowością i dążeniem do nadania składowi urzędniczemu „jednolitości“. Narodowo-liberałem Trinkbier, jak i jego zwierzchnik, był, ale drżał ciągle, czy go „nie czuć polakiem“. Prezydent przywitał go wyniośle, ale łaskawie:

— Winszuję panu awansu, który uważam za dawno zasłużony.

— Tem przyjemniejszym on jest dla mnie—rzekł Trinkbier.

— Wprawdzie nominacya pańska jeszcze nie nadeszła, ale jest ona już przez ministra postanowioną. Odbierzesz ją pan wkrótce, musisz tylko zrobić małe wyjaśnienie. Mianowicie w aktach służby występujesz pan dwuosobowo: z początku nazywasz się Tryncza, polak, katolik; potem Trinkbier, niemiec, ewangelik. Otóż wytłomacz pan to i uzasadnij piśmiennie pod moim adresem, powoławszy się na odpowiednie dowody, a ja prześlę ministrowi.

Trinkbierowi zaszumiło w uszach, mroczki zaczęły mu biegać przed oczami, mileżał.

— Gdzie pan się urodziłeś? — spytał prezydent, biorąc do ręki ołówek.

— W Kaliszu.

— Byłeś poddanym rosyjskim?

— Tak.

— Przybyłeś do Poznania w roku 1864?

— Tak.

— Bez paszportu?

— Byłem wówczas małym chłopcem, nie pamiętam więc, czy ojciec mój posiadał paszport.

Następnie prezydent, notując ciągle, badał go o dalsze koleje, dotyczące przemiany nazwiska i wyznania, zawarcia małżeństwa, przekonań politycznych i t. d. Trinkbier, znalazłszy się w drugim okresie swego życia, odetchnął swobodnie, mówił śmieiej i obszerniej.

— Byłeś pan łaskaw — rzekł zwierzchnik grzecznie — objaśnić mi tak szczegółowo, że dla uniknięcia prze-

włoki sam odpowiem ministrowi i pan nie potrzebujesz pisać osobnego przedstawienia rzeczy.

Uklonił się.

I wrodzona lękliwość i rzeczywista ważność sprawy dodawały każdemu wyrazowi prezydenta takiej mocy, że Trinkbier wyszedł od niego prawie bezprzytomny. Wobec wydanego niedawno rozkazu przeciwko polakom nie mógł on naturalnie cieszyć się z wywołania widm przeszłości; z drugiej strony znał cenę swoich doświadczeń i dowodów wierności, wreszcie prezydent oświadczył, że „dla uniknięcia przewłoki“ sam jego życiorys opíše, więc ma dla niego i życzliwość. Ile razy biedakowi zaćmiła się głowa jednym słowem zwierzchnika, natychmiast rozjaśniała się drugim. W duszy kolejno świeciło mu słońce, zbierały się chmury, przelatywały błyskawice i huczały gromy.

Rozbity i ani wątpień, ani przypuszczeń swych niepewny, zeszedł na dół do biura i wszystkie swe smutki wydobył przed zaufanym kolegą, który go zburczał:

— Nie bądźże trwożliwą babą, która ciągle strachy widzi! Jesteś niemcem, ewangelikiem, zapisanym do ksiąg ludności stałej, odznaczyłeś się, cóż cię spotkać może?

— Mnie wszystko złe się czepia.

Rozmowa ta ściągnęła do nich drugiego urzędnika, który już raz znacząco wymówił Trinkbierowi obce pochodzenie. Nie wtrącał on się wszakże, tylko gwizdał. Gwizdanie to kłuło strapionego.

— Szkoda — rzekł do przyjaciela — że prezydent nie pozwolił mi samemu napisać wyjaśnienia.

— Ależ on to lepiej robi od ciebie. Bądź spokojny, pamięta twoje usługi przy wyborach, a jako narodowo-liberał podeprze cię całemi plecami.

W tej chwili niemy świadek zagwizdał tak przeraźliwie, że Trinkbier aż drgnął.

Usiadł przy dawnym swym stoliku i zaczął pracować. Z drugiego pokoju doleciało go kilkakrotne ciche gwizdnięcie, potem śmiech, który mu się nie podobał, a potem już tylko słychać było skrzypienie posuwanych po papierze piór.

Czasem Trinkbier głęboko odetchnął.

Pozornie uspokoił się, we wnętrzu jego wszakże siedziało jakieś nieuciszone uczucie zestraszania. Uczucie to bądź trzymało go w zupełnej bezwładności, bądź nastrajało go do gwałtownych uniesień. Chwilami gotów był popełnić szaleństwo, rzucić się na kogoś lub targnąć na siebie, a gdy ochłonał, znowu wpadał w stan lęklivosti.

Z takim usposobieniem wyszedł z biura.

Na rogu jednej z ulic dostrzegł afisz, zapowiadający zgromadzenie współwyznawców partii demokratycznej na godzinę piątą. Stanął, odczytał papier uważnie, oddalił się wolnym krokiem, wrócił znowu do afisza, popatrzył nań raz jeszcze i pośpieszył ku domowi. Spojrzał na zegarek: była godzina czwarta. Służąca, otworzywszy mu drzwi, rzekła:

— Ach, dobrze, że pan już jest...

— Co się stało?

— Dzieci chore, kaszlą, mają gorączkę. Pani zwlekła się z łóżka i płacze...

Rzeczywiście Trinkbier znalazł dwóch chłopców w łóżku z obwiązanemi gardłami, jeden chodził, ale również miał twarz rozpaloną i oczy szklanne; czwarty jedynie biegał żwawo; matka siedziała blada i zasmucona.

— Co im jest? — zapytał.

— Albo ja wiem — odrzekła żona. — W mieście panuje dyfteryt, pewnie go dostały.

Dzieci, ujrawszy ojca, ożywiły się, zaczęły z nim rozmawiać i chwilowo zatarły w sobie znamiona choroby.

— Niepotrzebnie zatrwożyłaś się — rzekł Trinkbier — nic im nie będzie.

Zjadłszy obiad, ucałował tylko dzieci, na które nie zwrócił należytej uwagi i wybiegł na miasto. Z głową spuszczoną i obciążoną uporezywemi myślami, podążył prosto do hotelu, gdzie miało się odbyć zebranie demokratyczne. Wyglądał tak, jak gdyby się znajdował w napadzie bezwiednej, a nieprzepartej energii.

Sala napelniona była ludźmi wszelkich warstw, ze znaczną przewagą niższych. Na podwyższeniu stał wytwornie ubrany, o semickiej twarzy mówca, który gromił przedstawioną świeżo sejmowi państwa ustawę o monopolu wódczanym.

— Jest to — dowodził on — wileczy dół, nakryty złudnymi pozorami, w który rząd chce łapać naiwne zające. Pragnie zmonopolizować wszystko, ażeby w każdej dziedzinie życia ekonomicznego zyskać posłuszne mu, bo od jego woli zależne gromady ludzi gotowych tańczyć, jak im zagra. Nie sądźcie, ażeby to był system nowy, stara to metoda politycznych Molochów.

— Kłamiesz pan! — zawołał Trinkbier wśród powszechnej ciszy.

Obecni byli tak zasłuchani, że nie wiedzieli, z czyich ust padły te słowa. Dopiero gdy najbliżsi sąsiedzi niezadowolonego ześrodkowali nań swoje spojrzenia, za nimi inni zwrócili się ku niemu. Po sali przeleciał szmer.

— Jakiś piesek tam, spuszczonej z kanclerskiej smyczy — ciągnął dalej mówca — ukąsił mnie zarzutem kłamstwa. Ponieważ nie wydajemy tu wyroków zaoecznych, poproszę więc szan. zgromadzenie, ażeby po mnie temu panu pozwoliło wystąpić z obroną winnych. Może ujrzymy istotnie prawdę. Tymczasem twierdę, że rząd w monopolu wódeczanym zastawił na nas siadła, że gra z nami nierzetelnie i że w tej grze najniecieńiej pomagają mu narodowo-liberalni, a między nimi obecny burmistrz poznański...

— Kłamiesz pan! — powtórzył Trinkbier słabszym i drżącym głosem.

Teraz wszyscy obejrzelili się na niego. Był kredowobiały, usta miał sine, a oczy błędne. Wszyscy zdumieni

byli, zamiast zuchwalca widząc tehrza, który trząsał się, jak gdyby go opętał dyabeł strachu. Mimo to gniew ogarnął zgromadzenie. Zaczęto szemrać, wykrzykiwać, powstała wrzawa, którą uśmierzył mówca, zawoławszy:

— Szanowni słuchacze! Skończyłem, a prezydującego proszę, ażeby temu panu dał głos.

— Jak się pan nazywasz? — zapytał prezes.

— Trinkbier — odpowiedział tenże, zachwiałwszy się na nogach.

— Pan Trinkbier ma głos.

Ale Trinkbier pozostał na miejscu. Nie miał siły ruszyć się, stracił zupełnie świadomość położenia, trząsał się jak galareta, wodząc bezmyślnym wzrokiem wokoło.

— Na mównicę!

— Dobądź języka!

— Najmita!

— Warczeń umiesz — a czekać nie!

— Agent!

— Szpieg!

Wśród tych złorzeczeń i hałasów kilku najzacieklejszych porwało go i zaciągnęło ku estradzie. Trinkbier stanął i otarł perlisty pot z czoła.

— Słuchamy!

On ciągle milczał.

— Pan zrzekasz się głosu? — spytał prezes.

Trinkbier kiwnął głową.

— Za drzwi go! — wrzasnęli zgromadzeni i Trinkbier, jak falą uniesiony, wynurzywszy się kilkakrotnie z jej prądu, wypadł na ulicę. Tu odzyskał przytomność i sprężystość. Lekko podskoczył i popędził ku domowi bez kapelusza. Gdy znalazł się w mieszkaniu, odetchnął i, nie zaglądając do dzieci, usiadł, podparłszy głowę. W tej zadumie przesiedział blisko pół godziny. W głowie myśli musiały mieszać mu się bezładnie, bo blada twarz odbijała coraz nowe, a zawsze przykre wrażenia. Kilkakrotnie szepnął: Zbóje — szubrawcy — hołota. Nareszcie wstał, strzepnął z siebie smutek, jak kaczor wodę i zaczął chodzić po pokoju rażno. Powoli wstępowała w niego otucha, oczy zamigotały weselejem.

— Ciekawym — mówił do siebie — co powiedzą...
A po chwili dodał:

— Chyba dosyć...

Monolog ten przerwała żona:

— Lorenz, Lorenz!

— Dzieci jednak chore — rzekła, gdy wszedł do niej. August też się położył. Od czego taką krwawą ryś masz za uchem? I tużurek rozdarty.

— Przewróciłem się w ogrodzie — odparł Trinkbier i zaczął oglądać dzieci.

— Prześpią się — mówił — i będą zdrowe.

— Dałby to Bóg.

— A ty jak się masz?

— Niedobrze, mój drogi, piersi mnie bolą, ale to może z utrudzenia.

— Odpocznij, ja już nie wyjdę.

Wrócił do swego pokoju i zajął się robotą, którą często przerywał, kładł pióro, rozmyślał i wzdychał. Gdy noc zapadła, a służąca z lampą przyniosła gazetę, otworzył dzienniki i zaczął je czytać. Między innemi wiadomościami znalazł następującą: „Dziś odbyło się zgromadzenie demokratów, na którym odbijano zdawkowe liczmany frazeologiczne przeciwko monopolowi wódczanemu. Znaną wszakże gadaninę urozmaicił wypadek, który oglądę tych panów w należytem stawia świetle, a nad którym z powodu braku czasu zastanowimy się w numerze następnym. Trzeba bowiem czytelnikom obszernie i dowodnie wytłomaczyć, że są między nami opryszki, którzy jednak prawdziwej odwagi obywatelskiej nie trwożą, choć jej zamykają usta“.

Trinkbier nie wątpił, że napomknięto o jego zajściu i że on był przedstawicielem owej „prawdziwej odwagi obywatelskiej“.

Przeczytał notatkę po raz drugi i uczuł dziwne pokrzepienie na duchu. W goryczy świeżych wspomnień z tych kilku wierszy rozpływała się słodka pociecha. Bohaterski czyn będzie publicznie odznaczony, a napaść ukarana. Echa zasługi wzbijają się do wysokich sfer, które nie pozostawiają jej bez nagrody. Uznanie takie mieć będzie dla niego tem większą wartość, że sfery te wydały rozkaz jak najściślejszego i bezwyjątkowego usunięcia z granic państwa wszystkich polaków, zostających niegdyś w obcem poddaństwie.

On zaś był przecie Trynczą... Opromieniony tą nadzieją, uśmiechał się do lampy, wstawał, zacierał ręce, siadał, próbował odrabiać dalej referat, brał gazetę i dumał.

Z pokoju żony od czasu do czasu przybiegały ciche jęki, westchnienia i kaszle. Chwytał je uchem, rozważał i znowu snuł nie przyjemnych marzeń.

Około godziny 11 położył się do łóżka.

Żona i dzieci spały. Śród ciszy nocnej piersi ich pracowały głośno i ciężko. Trinkbier wsłuchiwał się w te oddechy z uwagą i niepokojem. Brzmiały w nich świsty, chrapania, rżenia. Powoli wyróżnił każdy z osobna i z każdego usiłował wybadać zdrowie lub chorobę.

Żona oddychała cicho, ale płytko i nierówno. Płuca jej jak gdyby nie działały całą powierzchnią, jak gdyby nie mogły się otworzyć głębiej dla przyjęcia powietrza. W pewnych odstępach czasu przyspieszały swój ruch, który znowu potem tak wolniał, że zaledwie się zdradzał zewnątrz. Zawieszały go westchnienia długie, niemające wszakże jednolitej ciągłości, lecz rwane i sztukowane. Nieraz nawet przecinały się w połowie i nikły.

Najstarszy Fryderyk, chłopiec krzepkiej budowy, chrapał, jak duszony. Trudno było uwierzyć, że młode gardło może wydobyć z siebie taki gruby głos, który rozlegał się w całym mieszkaniu. Chrapanie to nie trwo-

żyło ojca, owszem, wlewało weń otuchę, że syn mocnym snem pokona chwilową słabość.

Jak gdyby na poparcie dobrej wróżby Fryderyk, któremu oddech zatkał się, wyparł z krtani przeszkodę z gwałtownym hukiem.

Gorszym Trinkbierowi wydawał się oddech młodszego Karola. Był to nieprawidłowy i z różnych tonów złożony świst, który ustawicznie zmieniał moc i brzmienie, zadzierał się, błakał w wylocie, zaparty w gardle przelatywał nosem, wstrzymany w nosie wymykał się gardłem, a zawsze z przygłosem wysiłonego tarcia. Czasem znowu już przy samem ujściu zaczynał się o jakąś stałą tamę i wydawał dźwięk podobny do: „haaak“. Chłopiec, mając w piersiach więcej powietrza, niż go mógł przepuścić zwężony przewód, targał się na łóżku, siadał, mówił przez sen, przywoływał rodziców. Gdy go ojciec uspokoił, przez czas pewien oddychał regularniej i swobodniej, ale wkrótce znów rozpoczynał suchą, świszczącą i skrzeczącą muzykę, która brzmiała złowrogo.

Trzeci z kolei August przyjmował w tym koncercie odmienny udział. Jego oddech, przechodząc przez śluz, obficie wyścielający gardło, wywoływał w niem ciągle klekotanie.

— Odkasznij! — wołał ojciec.

Chłopiec próbował ulżyć sobie, ale zakrztusiwszy się tylko, rozpoczynał znowu klekotać gardłem. Nieraz udało mu się połknąć flegmę, wtedy oddychał czysto,

ale trwało to niedługo. Tylko dwoje najmłodszych dzieci nie zdradzało choroby. Trinkbier słyszał ich oddechy równe, swobodne, głębokie, które jego uwadze pozwalały z zadowoleniem odpocząć po dręczącym wsłuchiwaniu się w inne.

Daremnie usiłował zasnąć. Już znużenie kleiło mu powieki, gdy znowu chrapliwy kaszel lub ostre rzężenia spłoszyły senność.

Wstał, zapalił świecę i obejrzał dzieci: wyglądały zdrowo, czerwono, a nawet oddychały cicho, bez tych skrzypień, świstów i chrypień, które przedtem tak grały. Wywnioskował więc, że to tylko cisza nocy potęguje głosy i położył się do łóżka.

Wprawdzie przykry chór oddechów zabrzmiał z poprzednią mocą, ale Trinkbier słuchał go obojętniej i zaczął rozpamiętywać wypadki dnia ubiegłego: rozmowę z prezydentem, uporczywe gwizdanie jednego towarzysza, perswazyę drugiego, protest w zgromadzeniu demokratycznym i napaść brutalów, wreszcie artykułik gazety i nakaz rządowy, co do usunięcia obcych żywiołów. Chociaż w szeregu tych obrazów przesuwwały się i ciemne, więcej widział jasnych i, podsumowawszy dodatnią stronę swojego życia, otrzymał pewność zupełnego bezpieczeństwa. Na dworze szaruga listopadowa dmuchała wyjąłymi wiatrami i pluśkała deszczem; Trinkbier myśląc o tułaczach, którzy będą musieli wśród chłodu i wilgoci opuszczać swoje siedziby i porównyując z ich niedolą swój los, osła-

niający go od burz i wygnania, w ciepłym łóżku doznawał wszystkich rozkosznych wrażeń tej różnicy. Służba bywa często cierpką, obowiązki ciężkie, kłopoty dotkliwe, ale taczkę można pchać i nieraz powieść na niej słodki owoc życia. Tymczasem gdyby wichurzył gniazdo, gdyby potrzeba było z choremi dziećmi o biedzie pójść na tułaczkę bez drogi i celu... Trinkbier aż się zatrząsł na to przypuszczenie. Wkrótce jednak uśmiechem odpędził marę i zasnął.

Spał tak twardo, że rano go ledwie żona dobudziła.

— Lorenz, Lorenz!

— Czego chcesz Ludwiko?

— Dzieci bardzo chore, nieprzytomne.

Zerwał się i usiadł na łóżku.

— Policyant—rzekła żona—przyniósł ten list.

Trinkbier rozdarł kopertę i ledwie spojrzał, jęknął i upuścił papier, który żona podniosła i przeczytała: „Wawrzyniec Tryncza z przydomkiem Lorenz Trinkbier, poddany rosyjski bez paszportu, ma opuścić Prusy w ciągu dni ośmiu“. Patrzyli na siebie w osłupieniu: on oddychał powoli, ona szybko, a dzieci im wtórowały różnymi głosami.

NA POGRZEBIE.

I.

— Tu panie chojary były w tym lesie ha!—prawił dalej Marcinek. — Ale naprzód ciął pan, teraz zydy z Kałusyna tną a tną, az jęcy.

Nagle bryczka pochyliła się nad rowem, obaj uchwyciliśmy się przeciwnego jej boku, konie stanęły, Marcinek umilkł, zeskoczył w kałużę i po chwili szepnął smutnie:

— Oś pękła.

A niebo, jak gdyby rozczulone naszym losem, tak rzewnemi zapłakało łzami, że aż konie parsknęły, a my wtuliliśmy uszy w podniesione kołnierze palto-tów. Tylko Marcinek, nieczuły na spływające mu po nosie krople deszczu, badał spokojnie złamaną oś i liczył w duszy złotówki, które za nową będą musieli zapłacić... „poćciwi panowie“.

— Ha, „nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi” — mówi poeta, rzekłem wesoło do mojego towarzysza, który już zaczął sykać w tej wrześniowej kąpieli; dziękujmy więc losowi, że uam dał przynajmniej taką sposobność odznaczenia się. Osi nie na-

prawimy, bez niej nie dojedziemy, a wieś blisko; niech więc Marcinek zostanie przy bryczce, my zaś dopełnijmy miary naszych wyższych przeznaczeń i powędrujmy pieszo.

Bez długiego namysłu plusnęliśmy w błoto, które nam aż po oczy bryzuęło, i wybierając najtwardsze miejsca, podążyliśmy ku wiosce, leżącej tuż za lasem, podczas gdy nasz woźnica stanął stoicko pod przydrożną sosną. Humor studencki zdolny jest nawet niebo wypogodzić. To też spojrzawszy na nas brnących wesoło po błocie i zmokniętych, rozjaśniło się ono nieco i zaczęło mżyć delikatnie.

— Brr! potoniemy jak wojsko faraonowe w tem morzu — zawołał wreszcie mój kolega — i nie dostaniemy się do wsi.

— Odwagi Józiu — odrzekłem rozśmieszony — przodkowie nasi nie takie morza przepływali.

— Na koniach!

— Masz słusność, szkoda, żeśmy nie odprzęgli naszych rumaków i nie puścili się na nich. Ale mniej-sza... jesteśmy już prawie u celu.

— Czy ty myślisz — rzekł Józef — że nam bryczkę zaraz naprawią i zdążymy na szóstą do stacyi? Już po czwartej, a chłop, zanim coś poradzi, potrzebuje na podrapanie się w głowę z pół godziny.

— To zanocujemy.

— Klepkę chyba z głowy zgubiłeś — zawołał mój towarzysz, spojrzawszy na mnie zdziwiony.

— Opatrz swoją braciszku i powiedz mi, co w tem byłoby tak strasznego? Jeżeli dziś nie przyjedziemy do Warszawy a jutro opuścimy cztery godziny mądrości, wydrukowanej w podręcznikach przed trzydziestu laty...

— Ależ nocować w dziurawej stodole lub zatęchłej chałupie razem z prosiętami!

— Czemu nie? Spróbujemy tych wygod spania przez sześć godzin, których tylu ludzi kosztuje przez całe życie.

— Lubię demokrację — mruknął Józef — o ile ją mój nos znosi.

— I jabym ją nosem oceniał, gdybym miał ogon, którym mógłbym na arystokratyczną woń pokręcić.

Przygryzek był ostry, rozgrzeszała go jednak dawna nasza przyjaźń. Mimo to kolega mój, wykołysany w dostatku pieszczoch losu, szedł chmurny i rozdrażniony myślą noclegu w nędznej wioszczynie, którą obecny właściciel, gdyby mu subhastacya nie była przeszkodziła, miał przechrzczyć na *Sans souci*, a którą jego dziad przezwiał poprostu Przytykiem.

Do mizernego dworku, na którego starym i prostym zrębie powyskakiwały jakieś nowe, cudaczne wieżyczki, prowadziła kiedyś gęsta, a dziś poszczerbiona aleja, załamująca się i przedłużająca gościńcem, przy którym stały w długim szeregu chaty włościańskie. Jakkolwiek przeczuwałem, że dziedzic *Sans souci* niema w swem gospodarstwie ani jednej całej

osi i ani jednej gościnnej kołdry, dla rozczarowania wszakże mego arystokratycznego kolegi spytałem przechodzącego parobka:

— Pan w domu?

— Ale, gdzieby! — odrzekł, ruszywszy ramionami, jak gdybym go zagadnął, czy wiatr, który mu wczoraj czapkę zrzucił, wieje jeszcze na pola.

— Wyjechał?

— Jeździ — pono teraz ogląda gdzieś bazianty.

— Macie bażantarnię?

— Bogać tam!

— A bryczkę?

— Juści była, ale jak raz zawadził, tak posła!!

— Przenocować we dworze nie można?

— Pokojów jest dosyć, ale żeby tak posłania, nie widziołem. Siedzi tam już dwa dni Aron i ceka na pana, to musi sobie łokieć pod łeb podłożyć i tak się przespać.

— Dobrze mu tak — pomyślałem — bo to on pewnie, zahipotekowawszy swoją należność na Przytyku, nie chciał, ażeby tę wioskę przezwano *Sans souçi*.

Doszliśmy do pierwszej chałupy.

— Czy tu myślisz dostać bryczki? — zapytał ironicznie Józef.

— Zajdźmy — jakiś płacz słychać.

— Pewnie pijany Maciej wrócił z jarmarku i częstuje dzieci kułakami.

Wązkie opłotki chrustowe łączyły z gościńcem za-

padniętą i nadwyreżoną chatę, do której przytulił się mały, kałużą otoczony chlewek. Z pod zniszczonej słomianej strzechy wyglądało małe okienko, jak ślepe oko żebraka z pod zlepionych brudem włosów. Sciekające z dachu krople deszczu spadały jak łzy nędzy, błagającej o litość. Na progu siedziało troje obdartych i zabrudzonych dzieci, które szlochały lub krzyczały przeraźliwie. Najstarsza dziewczynka lat siedmiu okryła się przynajmniej zszarzaną chustką, młodsza zarzuciła na głowę fartuch, ale dwuletni z siną twarzą chłopczyna miał na sobie tylko koszulę, przez której długi rozpór na piersiach ukazywała się pęga latem spalonego na słońcu, a teraz zmocznego na deszczu ciała.

— Co to wam? — spytałem łagodnie.

Przestały płakać, ale nic nie odrzekły. Józef został na dworze, ja zaś przestąpiłem próg i o mało nie runąłem w zapadłej sieni, w której czuć było wyziewy obory. Na lewo znajdowały się drzwi do izby, uchyliłem je lekko. Cisza.

— Gospodarz w domu?

Nikt się nie odezwał. Wszedłem. Niewielką izbę zalegał mrok, słabo rozjaśniony światłem drobnego i do połowy zaklejonego okienka. Przyjrzaawszy się jednak uważniej, spostrzegłem kilka zwykłych sprzętów, kilka zczerniałych obrazów, za którymi tkwiły pęki ziół i świeca woskowa, wreszcie łóżko, a na niem wychudłą, starym kożuchem okrytą kobietę. Gdym się wpa-trywał w jej trupią twarz, nagle coś poderwało się

pod mojami nogami. Odskokczyłem strwożony — było to leżące i do łóżka przywiązane ciało. Kobieta ani drgnęła; domyśliłem się więc odrazu, że musiała to być zmarła matka płaczących dzieci. Uczułem nieprzyjemny dreszcz; cofnąłem się ku drzwiom, gdy w tem znowu rozległ się płacz przed domem. Wybiegłem. Przy płocie, przytykającym do chlewka, stały dzieci, zalane łzami. Najstarsza dziewczynka, wspięta na palcach, spoglądała za płot. Zbliżyłem się i ku wielkiemu zdumieniu ujrzałem tuż za nim świeży dół, z którego dwa podstarzały już wieśniak wyrzucał na wierzch ziemię. Miałeby to być grób dla umarłej kobiety?

— Co wy robicie? — zawołałem.

Wieśniak wyprostował się, popatrzył na mnie surowo i odrzekł:

— Rozgrzewam się.

— Tu myślicie żonę pochować?

— E, co tam panu do tego — mruknął, nie podniósłszy nawet oczu. Zatknał rydel, wyskoczył z dołu, wysunął żerdzie z jednej części płotu, zdjął z kołka postronki i wszedł do domu.

— Oszalał! — szepnąłem do Józefa, który zdala był niemy świadkiem tej sceny. — Poszedł po żonę, trup leży w izbie.

— Zwierzę — rzekł mój kolega wzgardliwie.

Serce mi bić zaczęło przyśpieszonym tętnem. Utkwiłszy obaj oczy we drzwiach chaty, oczekując niespokojnie jakiegoś straszego widoku. Wieśniak długo

nie wychodził. Od czasu do czasu tylko słyszeć było głucho stukania, jak gdyby coś przewracał. Nareszcie ukazał się w cieniu sieni, okręcony postronkami, na których ciągnął z wysiłkiem poza sobą jakąś białą masę. Dźwignąwszy ją na progu, szarpnął gwałtownie i wywłókł na podwórze białą, nieżywą... krowę.

Co to miało znaczyć?

Dzieci wybuchnęły gwałtownym płaczem.

— Papierucha! papierucha! — wołało dwoje starszych rozpaczliwie.

Wieśniak, nie zatrzymując się, przeciągnął krowę za płot, odwiązał postronki, zepchnął ją do dołu wśród krzyków dzieci i, popatrzawszy smutnie, usiadł zmęczony na sterwie piasku.

— To nie moja zona — ale ich matka — rzekł do nas, wskazując na dzieci. Wszystkie wykarmiła. Płacie, płacie, bo ona wam już mleka nie da.

Dzieci odpowiedziały tak serdecznem łkaniem, że i ja poczułem łzy w oczach.

— Bieda — mówił dalej — chłopska bieda. Zona rok już umiera i dźwignąć się nie może, stery morgi piasku dosyć chleba nie urodzą, ot ta poćiwina nam pomagała. Jakem drugiej dopozycył, to i ziarno zwiozła i pole zorała i jeszcze dzieciom mleka dała. Ha, wola boza. Zdechniemy i my, jak ona zdechła!

— Cóż jest waszej żonie? — spytałem.

— A bom ja doktor? Chłop nie pan, żeby wiedzioł, na co umiera. Choruje i choruje. Lekarka z Podborza

mówi, że to kołtun, a u nas jest baba, co gada, że to wole. Słabowała tu kobieta, zwieźli felcera, dał lekarstwo, udzielili kapkę, napiła się, ale gdzie tam? Pokrzywiło i trzyma, a umrzeć nie daje. Jakby raz skończyła, toby skończyła, a tak... Boże bądź miłościw. O, moja biedna papierucha — zawołał głęboko wzruszony, patrząc w dół — gdybyś ty... Ha!

Porwał się, chwycił rydel i począł dół zasypywać. Każda garść ziemi spadała z wzrastającym płaczem dzieci.

— Papierucha! papierucha! — wołały one ustawicznie.

Skończył się wreszcie ten dziwny pogrzeb.

— Nie plaćta małe — krzyknął ojciec — mamy od niej jałoskę.

Dziwnie mi się zrobiło w tej chwili. Doznałem nieopisanego pragnienia pomódz biedakowi, ale chuda saskiewka studencka nie pozwalała na sówite wsparcie. Trudno, co można!

— Przyjmijcie odemnie gospodarzu 10 rubli — rzekłem zakłopotany — tyle tylko wam dać mogę.

Pocziwy Józio nie pozostał obojętnym i on dołożył tyleż do mojej ofiary.

Wieśniak wziął pieniądze, popatrzył na nas zdziwiony, zdjął czapkę, chciał coś przemówić, ale tylko usta mu zadrgały, a z oczu polały się strumienie łez.

Odwróciłem się od tego przykrego widoku. Za nami stał Marcinek.

— Jest oś! — rzekł tryumfująco.

Zanim wieśniak, trzymający w ręce nasze ruble, zdołał przemówić, myśmy już siedzieli na bryczce i ruszyli do stacyi.

— Tak, nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi—rzekł Józef w zamyśleniu.

Obejrzałem się.

Wieśniak stał ciągle z odkrytą głową, wreszcie podniósł czapkę i coś zawołał.

Turkot bryczki jednak nie pozwolił nam jego głosu dosłyszeć.

Nazajutrz poszedłem do uniwersytetu. Pierwsza prelekcyja już się rozpoczęła. Gdym wchodził do auditorium, usłyszałem jak profesor ekonomii politycznej wymawiał zdanie: „Prosty wieśniak jest dla tego od nas szczęśliwszy, że mając mniejsze potrzeby, doznaje mniejszych cierpień...”

W tej chwili Józio spojrzał na mnie i uśmiechnął się smutnie.

II.

— Panowie daleko jedziecie? — spytał częstując papierosami, nasz dziwnie wesoły towarzysz, który przez godzinę wspólnej podróży w jednym wagonie zdołał nam opowiedzieć dużo swoich szczęśliwych zakładów na wyścigach.

— Do Otwocka.

— A, to wysiadamy razem.

— Ale my jeszcze trzy mile końmi.

— Dokądże?

— Do Owsianek, majątku rodziców mojego kolegi.

— Zatem mam przyjemność spotkać pana Gołębskiego — rzekł nieznajomy, zwracając się do Józefa. Jestem niemal pańskim sąsiadem—Wilkołycki.

Nastąpiły wzajemne ukłony i zapewnienia, że nam wszystkim trzem było „bardzo przyjemnie“. Jakkolwiek o panu Wilkołyckim słyszałem dość często i dość wiele, bawiąc jednak zaledwie przez kilka tygodni podczas wakacyj w domu państwa Gołębskich, nie miałem sposobności a wreszcie i chęci go poznać.

Właściwie nawet zapomniałbym zupełnie o jego istnieniu, gdyby nie nasza przygoda z osią w Przytyku.

— Długo panowie zostajecie jeszcze w uniwersytecie?

— Skończyliśmy już kursa i jedziemy odpocząć—odpowiedział Józef.

— A powinszować, powinszować—zawołał Wilkołyski i uścisnął nam ręce.

Lokomotywa gwizdnęła, dojeżdżaliśmy do stacyi.

— Kochany sąsiad—rzekł ujmująco nasz znajomy do Józefa — nie odmówi mi wraz ze swym kolegą wielkiej przyjemności. Jest już wieczór, ciemno, macie panowie trzy mile do domu, zanocujecie u mnie — zgoda?

Daremnie w ścisłem ze mną przymierzu Józef wymawiał się od tych zaprosin. Wilkołyski umiał tak nas skruszyć swemi serdecznościami, że musieliśmy uledeć.

— Zróbcie to —mówił —dla człowieka, który was szczerze pokochał i który również niedawno opuścił ławę uniwersytecką.

— Gdzie pan kończył? — zagadnął Józef.

— Spytaj pan, gdzie nie kończyłem!—odparł Wilkołyski, chwycił oba nasze tłumoczeki, a gdy drzwi od wagonu otwarto, podał je posługaczowi kolejowemu.

Wysiedliśmy. Marcinek, stale najmowany furman Józefa, spostrzegłszy nas, podbiegł, zdjął czapkę i kłaniając się, rzekł do mnie wesoło:

— Dziś już panie mamy oś jak mur. Wziąnem nowiusieńką, jeszcze niesmarowaną.

— Dobrze, mój Marcinku, ale nie pojedziemy.

— Cemu? — zawołał zdziwiony.

— Bo pan Wilkołyski zaprosił na noc.

— E — cmoknął Marcinek — djabli skarali z takim noclegiem. A tożby się panowie na bryce lepiej prześpać mogli. W Przytyku wróble już gniazd nie ścielą, niema nawet cem zęba wykłuć.

— Nie rezonuj — oburknął się Józef — i idź do koni.

— Nie wiem, co państwo na to powiedzą — mruknął Marcinek i oddalił się.

Przeszliśmy kwaśni na drugą stronę dworca, szukając Wilkołyskiego. Dostrzegłem go zdala, dającego przyciszonym głosem jakieś napomnienia młodemu chłopcu w poszarpanej liberyi furmańskiej.

— A pamiętaj, jak masz odpowiedzieć — rzekł do niego odchodząc.

Wysoka, barczysta jego postać rysowała się wspinalnie na tle nocy, rozjaśnionej światłem kolejowej latarni. W ruchach, w podniesieniu głowy, w starannem ubraniu, znać było pana i człowieka, który nie potrzebował rozpierać tłumu kulakami dla wolnego przejścia, bo tłum sam przed nim się usuwał. Przy blasku dnia Wilkołyski mógł mieć lat czterdzieści, ale gdy pod cieniem wieczoru znikły lekkie zmarszczki i brodawki jego bladej, prawidłowej, czarnym wąsem ozdo-

bionej twarzy, wyglądał na świeżo dojrzałego mężczyznę, który zaczął dopiero kosztować życia.

— Trzeba przyznać, że obywatel ten ma fason — rzekł Józef, odczuwający zawsze towarzyską wytworność.

— Dla krawców pociecha — wtrąciłem.

— Jesteście panowie — zawołał Wilkołyski — no, jedziemy! Grzegorz, Grzegorzu!

— Co jasnie pan każe? — odezwał się posługacz kolejowy.

— Kuferki nasze są już w powozie?

— Wszystkie.

— Zatem, siadajmy.

— Marcinek za nami! — krzyknął Józef i ruszyliśmy do stojącego w głębi pod drzewami powozu, który okazał się malutkim, starym, niemilosierdzie poturbowanym wolantem. Tłomoczki nasze zajęły całe jego wnętrze, z poprutych poduszek ceratowych sterczały grochowiny, a nadto podziurawione pudło chwiało się za najmniejszym dotknięciem. Na szczęście tę rozbita skorupę miały ciągnąć dwa wysokie i chude konie, od których nie można było się spodziewać zbytniego zapału.

— A ty psu bracie, czym przyjechałeś? — krzyknął na furmana Wilkołyski, założywszy binokle i przypatrzywszy się bacznie swemu ekwipażowi.

— Proszę jasnie pana wszystkie cugowe oberwały

się wczoraj z kantarów i jak wpadły na płoty, tak sobie het pościerały nogi.

— A nie mogłeś zaprządz do powozu?

— Kiedy jaśnie pani kazała po siebie przysłać, a kareta za ciężka.

— To furman! Cztery konie okaleczył i jakiś grat tu przywłókł. Przepraszam panów — rzekł zwracając się do nas — za tego gapia i za niewygodę, na jaką mimowolnie narazić was muszę.

— Jedźmy bryczką Gołębskiego — wtrąciłem, podsuwając najszcześliwsze rozwiązanie komedyi.

— Tak źle jeszcze nie jest — odparł Wilkołycki — przelecimy szybko.

Usiedliśmy z podkurczonemi i pomieszanemi nogami, jak na czułych szalkach równoważąc ciągle pochylenia wolanta.

— A trzymaj konie mocno — upominał Wilkołycki — żeby się nie zlekły i nie zbiegały.

One też, jak gdyby dla dogodzenia swemu panu, nie słuchały rześistych smagań furmana i nie dały nawet lekkim truchtem powodu do obawy. Za nami, gwizdząc sygnały pocztowe, jechał Marcinek, rozparty na swojej szerokiej bryce, którą Gołębski oszczędny gospodarz i wróg zbytku, zwykł był w porze roboczej wraz z końmi najmować dla przywiezienia syna. Ach, z jakąż tęsknotą zgnieciony i połamany na pańskim wolancie, oglądałem się za tym prostym, drobnoszlacheckim korabiem! Jedyną rozkoszą była piękna,

wonna i orzeźwiająca noc lipcowa, która zlewała balsamy na wszystkie dolegliwości tortury podróży.

Długo milczeliśmy, wreszcie Wilkołyski chcąc zapewnić nas pocieszyć lepszą nadzieją, rzekł:

— Moje *Sans souci* jest ustroniem skromnem, ale posiadam w niem coś, co, przynajmniej w naszej okolicy, jest rzadkością.

— Cóż takiego? — zapytałem.

— Zobaczycie panowie. Rozpocząłem niezwykłą u nas hodowlę, po której spodziewam się wielkich rezultatów. Nie przeczę, że dotąd jest to tylko rozrywka, ale rozrywka obiecująca poważną korzyść. Trudno, musimy wyjść z dotychczasowego deptaka gospodarczego, a raczej rozszerzyć jego koło dla dwu względów: dla przyjemności osobistej i dla podniesienia kultury. Proszę panów, mówmy szczerze: czy człowiek z wyższym umysłem może zadowolić się jednostajnem wychowywaniem bydła, koni, owiec i drobiu swojego, a przytem czy przemysł krajowy powinien się wiecznie kręcić na jednym miejscu? Wszystkie szlachetniejsze gatunki zwierząt: bobry, tumaki, wytępiiliśmy, a nowych nie przyswajamy. Dlaczego Ameryka jedynie ma posiadać papugi, a Azja słonie? Dlaczego nasze lasy, pola, rzeki nie zapełnią się fauną innych stref? Na pytania te odpowiadano mi zawsze, żem poeta. Nie przeczę, bo do wszelkich śmiałych ruchów potrzeba nieco poezyi.

Wilkołyski mówił z takim zapalem i przekonaniem,

że mnie ujął dla swych pomysłów wzbogacenia fauny krajowej. A, więc on na to rujnuje majątek i tem wyrabia sobie sławę szala wiły! — pomyślałem.

Zajęci tym przedmiotem, dojechaliśmy wreszcie do Przytyka. W miarę jak posuwaliśmy się w głąb wioski, rozmyślania moje nad hodowlą papug u nas ustępowały miejsca wspomnieniom dziwnego pogrzebu, którego byłem świadkiem minionej jesieni. W pamięci stanęły mi żywo dzieci, płaczące nad grobem krowy, zrozpaczony wieśniak, chora jego żona. Zdawało mi się, że upatrywałem znajomej chaty, którą pomimo ciemności rozpoznałem dokładnie. Na widok jej łza mi z serca się wycisnęła. Patrzyłem ciekawie, szukając oczyma jakiegoś znaku doli biedaków. Z okna błyskało światelko, na podwórzu jednak nie było nikogo, tylko przed domem stała poważnie czarna krowa obok młodej, białej jałowicy.

— Patrz — krzyknąłem uradowany, szarpnąwszy Józefa za rękę — ma!

— Co pan takiego dostrzegłeś? — zapytał Wilkołyski.

Opowiedziałem mu nasze zdarzenie.

— No, osądź pan teraz — rzekł — czy to są ludzie! Mąż nie płacze nad chorą żoną, dzieci nad matką, ale gdy im krowa zdechnie, wpadają w rozpacz.

Słuszności tego spostrzeżenia zaprzeczyć nie chciałem, więc umilkliśmy, tembardziej, że konie Wilkołyskiego, które na szczęście ani razu przez drogę się

nie zlekły, poczuwszy bliskość stajni, pozwoliły sobie lekkiego truchta.

— Trzymaj mocno! trzymaj! — wołał na furmana dziedzic Przytyka.

Przy kilkakrotnem trzasku z bata zajechaliśmy przed dom. Na spotkanie nasze wysunął się tylko smukły z wieżyczką ganek, przez który, nabiwszy sobie kilka guzów w niskiej sieni, weszliśmy do pustego przedpokoju. Przy oknie, na którym paliła się mała łojowa świeczka, stał niemłody izraelita i kiwając się, mruzczał wieczną modlitwę. Spostrzegłszy nas skłonił się lekko i dalej szeptać począł, odwrócony plecami. Wilkołyski ujrzawszy go, poczerwieniał, ale rzekł z przymuszonym uśmiechem, wprowadzając nas do ciemnego pokoju.

— Tylko żyd i pies wiernie domu strzegą, ręczę panom długoletniem doświadczeniem. A ten stary arendarz jest tak do mnie przywiązany, że z pewnością w tej chwili za mnie się modli.

Zapaliwszy świecę, gospodarz przeprosił nas i wyszedł do niewidzialnej służby. Owocem tej wyprawy była herbata, chleb z masłem i spodeczek konfitur.

— Po kawalersku, panowie, po kawalersku. Kto nie ma żony, nie ma kuchni.

Wyznam, że nigdy mi cudze kawalerstwo mniej nie smakowało. Byłem tak głodny, jak Ugolino i omal nie zacząłem ogryzać własnych palców. Jakkolwiek Wilkołyski upewniał nas, że wegetaryanizm jest naj-

dobroczynniejszym w jedzeniach wieczornych, że świeże powietrze dziwnie go zasycza, nie zauważył jednak widocznie w nas wyznawców swojej higieny, bo poradził, ażebyśmy po trudach podróży udali się wcześnie na spoczynek. Życząc przyjemnych marzeń, powiódł nas przez pustą izbę do trzeciego pokoiku i na progu pożegnał. W sypialni stały dwa stare, na czerwono pomalowane łóżka. Zbliżywszy się do jednego z nich, spostrzegłem brudną niepowleczoną pierzynę, położoną zamiast materaca na kilku poprzecznie przeciągniętych sznurach, na niej wykropkowaną przez muchy, pajaki i pchły poduszkę, a do okrycia zwykłą końską derę. Z pościeli tej wydobywała się mocna woń kuchni i stajui. Stałem z załamanemi rękami nad tem gniazdem, w którem los mi niewinnie kazał całą noc przespać. Obejrzałem się — Józef dumał również zgnębiony nad podobnem łóżem.

— Wpadliśmy — co? — rzekł z uśmiechem.

— Podobno lepsza chłopska stodoła, której się tak obawiałeś.

W tej chwili wszedł do pokoju zaspany parobek, niosąc nam dzban wody i miskę.

— Mój przyjacielu — odezwał się Józef — pamiętajcie tam o moich koniach.

— A dyć, pamiętać by się pamiętało, ale kiej Aron, jak zabrał ostatnie dwa cugowe konie, tak teraz wszystko wywozi. Niema ani garści owsa.

— Pięknie ten żyd za niego się modli — rzekłem po odejściu służącego.

Zarzuciwszy na brudną pościel surduty, okryci paltotami, położyliśmy się spać. Zaledwie jednak przy-mrużyłem oczy, poczułem przebiegające mi po twarzy i rękach jakieś drobne żyjątka. Józef także syknął i zerwał się na równe nogi. Zapaliliśmy świecę: wszelkiego rodzaju domowe, nader obłaskawione owady roily się na naszym posłaniu.

— A więc to pewnie hodowlę tych gatunków obiecał nam pokazać Wilkołyski — rzekł Józef. — Mógłby je wytępić bez uszczerbku dla fauny krajowej.

Połowanie w łózkach zajęło nas do brzasku dnia. Uzbroiwszy się w cierpliwość i tolerancję, spróbowaliśmy znowu zasnąć. Na domiar jednak naszej niedoli w sąsiednim pokoju jakiś ptak zaczął takie wyprawiać harce, tak bić skrzydłami o ścianę, że w połączeniu z wędrówką owadów ciągle nas rozbudzał. Nareszcie zrobiła się cisza; robaczki nasyciły się, czy też złagodniały i my znużeni zapadliśmy w sen głęboki.

Zaledwie słońce zabłysło, zerwaliśmy się obaj, umyli, a że ręczników nie podano, otarliśmy się chustkami, czekając niecierpliwie wyjazdu. Przebyte cierpienia dostarczyły nam wątku do wesołej rozmowy, gdy nagle z sąsiedniego pokoju, w którym hałasował ów ptak, ryknął przeraźliwie Wilkołyski. Wbiegliśmy przerażeni: dziedzic *Sans souci*, w białej bieliźnie i szlafroku,

siny z gniewu, z rozrzuconemi włosami, zacisnąwszy pięście, krzyczał na bladą od strachu dziewczkę.

— Uduszę cię szelmo, pod bronę przywiążę, kolek w gardło zabić każę!

— Proszę jaśnie pana — tłumaczyła się dziewczka — co ja winna, że on przełknąć nie mógł.

— Coś ty winna zbrodniarko, a nie mogłaś podrobić!

Tu Wilkołyski uderzył ją kułakiem w twarz, porwał za kark i wrzucił do kuchni.

— Przepraszam panów — rzekł sapiąc wzburzony — ale co ta suka mi zrobiła! Zamierzyłem rozpocząć na wielką skalę hodowanie bażantów. Pojechałem aż nad granicę austryacką do hr. Potockiego, kupilem za 15 rs. jedną samicę, przywiozłem ją przed dwoma tygodniami w klatce, pielęgnowałem jak dziecko, teraz znowu byłem w Skierniewicach dla kupienia samca, tymczasem ta kłoda dała wielkich klusek, bażant się udławił i zdechł. Widzicie teraz panowie, jak to z naszym ludem można wprowadzać do gospodarstwa nowe gatunki.

W tej chwili dopiero spostrzegłem na podłodze martwego bażanta, któremu z dzioba wyglądał koniec olbrzymiej kluski.

— Janie! — krzyknął Wilkołyski.

Przybiegł parobek.

— Rąbać mi tu zaraz podłogę, wykopać dół i pochować tego ptaka w pokój, tak, w pokoju! Niech

przynajmniej złodzieje wiedzą — rzekł po odejściu parobka — że to nie zwykła kura, którą się za płot wyrzuca.

Jan przyniósł siekierę i rydel, wyrąbał dziurę, zrobił mały grób i ze czcią złożył bażanta. Gdy go zasypywał, Wilkołyski westchnął głęboko wzruszony i rzekł filozoficznie:

— Ot, bądź bażantem wśród podłego drobiu, zadławia cię prostą kluską.

Zachowawszy należne temu uroczystemu pogrzebowi milczenie, opuściliśmy cmentarz bez stypy. Nawet o wegetariańskim śniadaniu nie mogło być mowy. To też pożegnawszy gospodarza, który nas stokrotnie przeprosił za doznane przykrości, siedliśmy na bryczkę.

Wyjechawszy na drogę, spojrzeliśmy sobie z Józefem w oczy i parsknęli gwałtownym śmiechem.



W O L Y.

Najcenniejszym przymiotem natury jest jej różnorodność. Niema podobno jednakich dwu kropli wody, dwu liści na drzewie. Wyobraźnia, pomysłowość przyrody nie tylko zdumiewa, ale stanowi źródło wielu naszych zadowoleń. Bo czemżeż byłoby życie wśród widoków tożsamości? Czytaniem książki sklezionej z komunałów. Od czasu istnienia świata słońce codzień inaczej wschodzi i zachodzi, bo natura może wytwarzać nieskończoną ilość kombinacji. Malarze mają zapewnione tematy i nie potrzebują się powtarzać.

Polak smutny zawsze filozofuje, więc i ja prządzę nici z tego kłaczka uwag, a choć je woźnica przeciął pytaniem: która godzina? — rozmyślałem dalej:

Ręczę, że i te dwa byczki, mocując się rogami na paśniku, są odmienne od wszystkich poprzednich, współczesnych i przyszłych, a nawet figlują oryginalnie. Przerwały zabawę, spostrzegłszy przejeżdżającą bryczkę, fuknęły nozdrzami, zwróciły uszy ku przodowi i przyglądały się nam buńczucznie, jak dwaj młodzi szwajcarzy podróżnikom. Z lasku wyszedł

chłopiec wiejski, który mijając je, krzyknął i śmignął prętem. Byczki odskoczyły nieco, ale znowu stanęły odważnie.

— A nie pójdziesz ty od nich kanaliu! — zawołał na chłopca orzący nieopodal parobek. — Sybirak szelma — przeszkadzają mu!

— Poczywiy człowiek — rzekłem do siebie — strzeże wołki jak dzieci i nie pozwala ich nawet ploszyć.

Bryczka nasza, wybrnąwszy z piasku, potoczyła się rażniej wzdłuż niw zżętych, zalanych zlocistymi odblaskami sierpniowego słońca, które coraz mocniej dopiekało. Spotykaliśmy ludzi, pracujących w polu, bydło, wyskubujące trawę ze rżyska, psy, myszkujące po nieskoszonych jarzynach, niemowlęta zawieszane w płachtach — a ja ciągle, mimo skwaru i kurzu, rozsnuwałem przekonanie, że cały ów krajobraz w tej postaci ułożyła natura po raz pierwszy.

Przy drodze stal wóz drabiniasty, naładowany zbożem. Wieśniak, zanim ruszył, wyrwał z dużego, prawdopodobnie dworskiego ładu, wiązkę grochu i karmił nim woły, które jadły z powagą niemców, posilających się przed ciężką robotą.

Troskliwy gospodarz kradnie, a żywi swoich pomocników!

Pył znowu otoczył nas obłokiem, koła zagrzęzły w piasku, długą smugą zalegającym stok znacznej wyżyny. Przed nami para roślących byczków i dobrze utrzymanych wołów ciągnęła na wozie sosnę. Dwaj

chłopi, podparłszy ramionami kłonicę, pomagali wyprężonym zwierzętom, zachęcając je do wysiłków.

— Ho, ho, dalej małe, uuu!

Ale małe, szarpnąwszy kilkakrotnie, stanęły. Starszy wieśniak zbliżył się do nich, pogłaskał po głowach i grzbietach, mówiąc:

— Odpocznijcie sobie. Psia góra!

Wóznicę mój, chcąc rozszerzyć sobie przejazd, zawołał:

— Na prawo!

— A to włóż jarzmo i ściągnij na prawo—ofuknął go młodszy. — Patrzcie go, jaki chwyt z morskiej piany.

Miał słuszość, broniąc zmęczonych bydła, ale mój furman odparł:

— Muszą być „frajeuzy” — delikatne.

Odplacono mu za tę uwagę radą, której powtórzyć nie mogę.

Wydostaliśmy się wreszcie na szosę. Wlokły się po obu jej stronach ciężkie bryki i wozy w kierunku miasta. Pod stacją kolei uwięźliśmy między nimi, a zwłaszcza jedna fura tarcie, ciągniona przez woły, zagrodziła nam drogę. Śród wzajemnych wymysłów utorowano wreszcie przesmyk, którym mieliśmy przemknąć. Podrażniony wszakże mój Łukasz, zaciął batem w przejeździe najmniej winne woły. Właściciel ich ryknął, skoczył ku nam, za nim pośpieszyli jego towarzysze, a ponieważ przed zamkniętą rogatką kole-

jową musieliśmy stanąć, rozpoczęła się bijatyka, z której Łukasz wyszedł mocno poturbowany. Walce tej woły przypatrywały się z angielskim spokojem. Skutkiem zajęcia linii głównej pociąg nasz zatrzymano daleko od dworca. Na sąsiednich szynach z kilku wagonów wyładowywano wielkie woły ukraińskie, które miały zginąć w żołądku stolicy.

Złym jest człowiek — według pewnej autorki angielskiej — którego nie wzrusza widok żółkłych liści jesiennych; gorszym jest według mnie ten, którego nie wzrusza widok płowych, opiętnowanych, na rzeź pędzonych wołów. Czy kiedykolwiek przypatrzyłeś się im czytelniku? Jak smutnie spoglądają ich duże, bolesnem przecuciem zaćmione oczy! Boki zapadłe, skóra wypalonymi stęplami oznaczona, w całej postaci rozlana niema rozpacz. Dźwigają swe mięso na ofiarę człowiekowi, który nie ma dla nich litości. Ile razy przechodzę koło gromadki tych płowych skazańców, wiedzionych na śmierć, serce mi się ściska strasznym kureczem. Wyprowadzone z wagonu obejrzały się wokoło: jedne wahały ziemię, drugie szukały na niej źdźbła pożywnego, inne wsłuchiwały się w gwar miejski, inne nareszcie spoglądały w górę, jak gdyby badając, czy to samo niebo nad nimi sklepione. We wszystkich odbijało się odurzenie, niemoc, rezygnacya. Ze stepów, ze swobody, z traw wonnych i czystego powietrza, przeniesiono je w odmęt piekielny, gdzie wężą krew.

— I to one w drodze nie jedzą?— zapytał służący kolejowy.

— Szlamują sobie kiszki — odrzekł odbiorca „towaru”.

— Choćby im wody trochę ..

— Może sodowej... Prędeż tam, nie bałamucić, bo przed czwartą muszą być w szlachtuzie.

— Pierwsza partya już poszła.

— Potrzebne wszystkie—zakończył odbiorca.

Odszedłem od okna— w tej chwili pociąg się podsunął pod dworzec.

Z nieprzyjemnem wrażeniem wsiadłem do doróżki, odpędzając z myśli mary nieszczęśliwe. Czy człowiek wiecznie karmić się będzie cudzem życiem? Czy on nie wynajdzie sposobów istnienia bez morderstwa? Czy ta konieczność natury nigdy się nie złamie? I ja za chwilę jeść będę pieczeń z tych samych istot, których niedola tak mnie rozrzewnia. Co tu właściwie jest słusznem: moje współczucie, czy apetyt?

Na moście zakotłowały się wrzaski: jakaś przeszkoda zatamowała przejazd. Jeszcze nie zdążyłem zbadać przyczyny, gdy doróżka wjechała ze mną w gromadę płowych wołów. Powiązane za rogi parami, tłoczyły się i rzucały, a wściekły czeladnik rzeźnicki, w niebieskim fartuchu i zatłuszczonym kaftanie, smażył je niemiłosiernie skręconym w kilkoro postronkiem. Jednocześnie z każdego kozła spadały im na grzbiety bice, od których skóra się pręgowiała. Na-

reszcie utorowano drogę. Mój doróżkarz miał już wolną, mijając wszakże woły, ciął jednego z nich tak mocno batem, że aż biednemu stworzeniu z oka wybiekł krwawy wężyk.

— I za co go bijesz?—zawołałem wzburzony.

— To na rzeź, panie.

Cały w tej odpowiedzi systemat. Co ma prawo do życia — to pozostaje pod osłoną wszystkich naszych uczuć; co na rzeź przeznaczone, zasługuje tylko na okrucieństwo. Chłopiec źle zrobił, postraszywszy pasące się byczki, woźnica oberwał po karku za uderzenie wołów, ciągnących wóz, ale te płowe mięsa wolno ćwieżyć dla rozrywki.

Na koźle dorożki siedział prawdziwy Pindter.

W LESIE.

Dusza ludzka bardzo często podobna jest do sejmu obradującego podczas rewolucyi: kiedy w sali rozprawiają i ścierają się głosy rozumu, które uchwalają prawa, po za jej ścianami wrą i kotłują się namiętności, które wreszcie wdzierają się do izby sejmowej i rozpędzają ciało ustawodawcze, niwecząc jego postanowienia i narzucają ogółowi swoją wolę. Jeżeli usłyszycie czasem, że człowiek bardzo rozsądny popełnił jakieś szaleństwo, nie dziwcie mu się: widocznie bowiem do jego duszy wtargnęła rewolucya i uwięziła lub powiesiła jego rozum.

Mój przyjaciel był umysłem bardzo zrównoważonym: gdy zaczął dowodzić, zdawało się, że w jego czaszce stoją najdelikatniejsze wagi, na które on kładzie swe myśli i słowa, a gdy krytykował, zdawało się, że w jego czaszce stoi znowu gilotyna, która odrybuje głowę każdej przesadzie. Mimo to nieraz gdyby na jego twarzy można było osadzić skazówkę i połączyć ją z jego mózgiem, robiłaby ona ruchy wariackie.

Tego wszakże dnia, kiedy siadaliśmy do sanek, ażeby wyjechać za rogatki dla zobaczenia zimy, której tylko brudną, podartą pierzynę widzieliśmy w mieście, był on zupełnie spokojny, a mózg chodził mu jak najdokładniejszy zegar. Otuliwszy się futrem, ciągnął dalej naszą rozmowę, rozpoczętą w domu.

— Prawda, że postęp świata jest pracą niezadowolonych, ale nie krzyczących. Ten ciągły wrzask protestu uważam za niesmaczny i głupi. Wspaniale wygląda człowiek, który spotkawszy na drodze wielką górę, usuwa ją lub przebija tunelem; ale gdy nasrożywszy się, zacznie jej złorzeczyć, przeklinać — sprawia wstręt. Bo ze wszystkich rodzajów filozofii najniedorzeczniejszym jest ten, który dąsa się na rzeczywistość. Niech ją przerabia, przekształca, poprawia, ale niech nie wymyśla siłom, które je stworzyły, za to, że nie odgadły jego planów i upodobań.

— Czy ty nigdy nie rzuciłeś przekleństwa kamieniowi, na którym się potknąłeś?

— To tylko dowód, że bywam również głupi.

— Dobrze. Ale ta rzeczywistość, którą tak uprawniasz, składa się nie tylko z gór i kamieni, lecz także z ludzi, stanowiących najgorsze i najupartsze pierwiastki zła na ziemi. Karcenie ich jest jednym ze skuteczniejszych środków łamania ich cporu.

— Przyznam ci się, że nie wierzę, ażeby ten środek działał nawet na dzieci, pomimo że jest w wychowaniu ich szczególnie zalecanym i używanym.

— Nie masz ich, więc wątpisz. Dałbym ci ja jednego małego łobuza, a wtedy zobaczyłbyś, jakbyś go okiełznał rozumowaniem.

— Gdybym to robił od początku, systematycznie, nie miałbym żadnego kłopotu.

— Mój kochany, możebyś dowiódł koniom, że trochę prędzej biedz powinny.

— Gdyby je kształcono w cyrku, pojęłyby mnie i usłuchały niezawodnie.

Zamilkliśmy, bo furman użył na konie przekonującego argumentu i pęd mroźnego powietrza zapark nam oddechy. Gdy sanki znowu zaczęły sunąć się wolniej, rzekłem:

— Więc ty nie lubisz uczuć?

— Nie lubię wogóle wszelkiej hołoty, która ciągle się burzy, przerywa prawidłowy bieg życia ludzkiego, a ustępuje tylko przed siłą. Jesteśmy ciągle ofiarami tej ślepej zgrai. Czy wiesz, jak ja sobie wyobrażam odległą przyszłość ducha ludzkiego? Jako zupełny zanik uczuć, namiętności, nieświadomych i nieobliczonych wybuchów tak zwanego serca, które są dziką muzyką nerwów bez myśli, bez rytmu, bez harmonii...

Spojrzałem na niego: miał twarz bladą i smutną, jak gdyby wyciętą z welonu trumiennego.

— Mnie się zdaje, że ty spierasz się z sobą, nie ze mną. Nie wierzę, ażeby ktoś, mający tak delikatną

skórę i wrażliwe pod nią nerwy, jak ty, mógł być futerałem rozumu.

— Napoleon I miał cieńszą skórę i wrażliwsze nerwy, a jednak gardził uczuciami. I dlatego był geniuszem. Dopóki człowiek nie wypędzi z siebie tego pijanego motłochu, jest najzwyczajniejszą karczmą, w której dostojny rozum musi tańcować z ordynarnymi namiętnościami.

— Cóż robisz, gdy dostrzeżesz w sobie ogień?

— Pluję w niego i gaszę.

— Byłbyś wybornym towarzyszem w wycieczce letniej podczas wielkich upałów, ale na dzisiejszy mróz rozmowa twoja jest za zimna.

— Więc wracajmy.

-- Poczekaj. Przypatrzmy się zachodowi słońca:

Spoglądało ono na świat z krawędzi szaro-modrego nieba okiem bezpromiennem, starem. Szeroką, półkolistą niwę pokrywał śnieg sypki, a w oddali obciążał ją grubym pasem las, który nasiąkł gęstą ciemnością, zmieszaną z delikatnym fioletem. Zdawało się, że cisza, która ogarniała powietrznymi rękami cały krajobraz, w tym lesie miała swoje siedlisko. Ta nimfa zimy ciągnęła do siebie jakimś nieodpartym urokiem, obiecującym łagodne pociechy, spokój, ukojenie wszystkich cierpień, przecięcie wszystkich męczących związków z życiem, niepamięć ran świeżych i zabliźnionych. Wołała ona do siebie ludzi, jak stare i dobra matka dzieci, która położy im na rozpalona

głowy chłodne ręce i uśmierzy w nich war gwałtownie tętniącej krwi.

Łanem śnieżnym od drogi ku lasowi szedł wolno lis. Nie spieszył się, bo nie widział w bliskości żadnej żywej istoty; nogi zapadały mu w białe puchy, które on zlekka dotykał nosem i, pojąc się ich świeżością, ciągnął do gęstwiny. Nie spodziewał się zapewne znaleźć tam łupu, ale spokój wśród drzew śpiących w zimowym letargu. Byłem przekonany, że on dążył do jakiegoś ukojenia.

Mój przyjaciel odprowadził go zaiskrzonym wzrokiem aż do kniei, wreszcie zwrócił się do mnie nagle i rzekł z proszącą stanowczością:

— Zrób mi łaskę: odjedź do miasta. Ja pójdę do tego lasu... potrzebuję takiej przechadzki.

— Bądźże rozumny — rzekłem zdziwiony i zaniepokojony. — Przecież noc zapada. Jakże możesz pozostać tam w takiej pustce...

— Nie tłumacz mi... Wiem co robię... Nic złego mi się nie stanie... Przyniosę sobie trochę zdrowia.

I nie zważając na dalsze moje przestrogi wyskoczył z sanek i pobiegł przez pole. Z początku widziałem go, jak brnął w śniegu, ale zwolna zaczął się rozplywać w zmroku i wreszcie majaczyła mi już tylko ciemna plama, która znikła w cieniu lasu.

Nie wiedziałem, co począć. Postanowiłem czekać na szosie. Upłynęła godzina, dwie, ciemność ścięła się w czarny mur... Nie wracał. Ogarnęła mnie trwoga

i złość... „To się nazywa u niego rozumem — myślałem sobie. — Licho mnie skusiło do wycieczki z tym logicznym waryatem“.

— Jedźmy, panie — rzekł zniecierpliwiony dorożkarz — bo przecie tu nocować nie będziemy.

— Jakże go zostawić?

— E, ten pan figlarz, on pewnie przemknął polem do szosy, siedzi w domu i z nas się śmieje.

Domysł ten przekonał mnie i zarazem wzburzył. Co za dziecinny koncept!

Odjechałem. Nietylko nie dowiadywałem się o dziwaka, ale przygotowałem mu ostrą wymówkę.

Nazajutrz rano nie pokazał się u mnie. Przeczutowałem coś złego. Wieczorem odebrałem list. Posłuchajcie:

„— Jestem trochę przeziębiony, więc zamiast cię odwiedzić — piszę i proszę, ażebyś mi przebaczył wczorajszy wyskok. Las mnie zahypnotyzował — nie mogłem mu się oprzeć. Od pewnego czasu ulegam coraz częściej takim wpływom. Widok cmentarza, klasztoru, odrzuconej w ustroniu chaty, latarni morskiej, wogóle wszelkiej samotni, działa na mnie magnetycznie. Zwłaszcza zaś las o zmroku w zimie, martwy, milczący porywa mnie. Lecę w jego gardziel, jak wiewiórka w paszczę boa. Przejeżdżając około niego koleją, muszę wyteńczyć całą siłę woli, ażeby nie wyskoczyć z wagonu i wpaść w mroczną gęstwinę bez świadomego celu, bez żadnej innej chęci, prócz uto-

nięcia w jej głębi. Zatrzymując mnie wczoraj dla obejrzenia krajobrazu, odebrałeś mi resztę oporu. Ale może zdołałbym sobą ovladnąć, gdyby nie ten lis, ten lis, który dążył w kierunku mojego pragnienia i ciągnął mnie za sobą nielitościwie. Pytasz zapewne, co robiłem w lesie? Usiadłem w kępie leszczyny i czekałem na wielkie zadowolenie, o którym tak dawno marzyłem, a które miało spłynąć we mnie po raz pierwszy. Zupełna cisza, przerywana tylko lekkim tarcie się gałązek i szmerem spadających piórek śniegu, otuliła mnie miękkimi zwojami i zaczęła mi wlewać w piersi dziwną błogość. Czułem wyraźnie, jak moja dusza zaczęła dyć: rozmaite trujące wyziewy, złe pary, zabójcze śwędy wydobywały się z niej i skraplały na blizkich drzewach, na których marzły, tworząc długie, mętne sople. Wreszcie stała się czystą, białą, kryształową, podobną do jarząco oświetlonej kaplicy, wykutej w podziemiu pokładów soli. Był w niej ołtarz z cudownym obrazem nieziemskiej kobiety, świętej, która patrzyła na mnie klęczącego przed nią wzrokiem łagodnym, a tak wymownym, że go słyszałem, jak opowiadał mi uroczą, niespełnioną baśń mojego życia. Nagle świątynka zaczęła się chwiać i przemieniać: jej ściany uciekły w dal, płomień świec roztopił się w większej od niego jasności słońca, ołtarz trysnął kielichami kwiatów, wśród których stanęła kobieta z obrazu, wesola, uśmiechnięta, splatająca z nich barwne wiązanki. Fale ciepła rozla-

ły się po przestrzeni i wywołały w niej bujną zielen traw, między którymi wystrzeliły wysokie drzewa, pełne woni, brzęku owadów i szczebiotu ptaków. W tej wiosnie rozpoznałem moją młodość, która na szerokiej złocistej niwie zbierała rozrzucone promienie światła i wiązała je w snopy pasami tęczy. Nie śmiałem się ruszyć, ażeby nie trącić drgnieniem powietrza tej pięknej tkanki marzenia, mimo to ona zaczęła blaknąć, rozpruwać się, rozwiewać... Targnął mną rozpaczliwy żal, zerwałem się z krzykiem: nie uciekaj, śnie kochany! Widzenie nagle znikło, a wokoło mnie ciasnym kręgiem zwarły się czarne ściany nocy, których oczy moje już przebić nie mogły. Złamany usiadłem na śniegu. Pamięć przesunęła mi przed myślą strzępy porozdzieranych widoków i cisnęła je w przeszłość. Do mojej czystej duszy zaczęły wtłaczać się znane mi kurze i odrażające wypary życia, nieopodal zaś usłyszałem jakieś groźne pomruki: szczekanie i wyjące śmiechy, a wkrótce zobaczyłem połyskujące w ciemności i wbite we mnie ślepie potworów, które na ziemi przyległy. Przy blasku tych złowrogich oczu dojrzałem kudlate łby, ostre zęby i hakowate pazury. Stężałem w strachu i odrazie. Wiedziałem, że mnie nie rozszarpią, ale ta ich bliska obecność: te dzikie ognie ich spojrzeń sprawiały mi okropną męczarnię. Spodziewałem się wybawienia jedynie od dnia, którego też oczekiwałem z utęsknieniem. Wreszcie niebo na wschodzie uśmiechnęło się

bladą jasnością, od której padły na ziemię pobliski świtu. Dotknięte nim widma zaczęły kurczyć się, drgać niespokojnie i pobięły za uciekającą nocą w gęstwinę. Wstałem zziębnięty, zmęczony i wyszedłszy z lasu, podążyłem ku miastu. Idąc, zadawałem sobie pytanie: co mnie tu przywiodło? Jakaś choroba, która również zwierzętom każe szukać miejsc ustronnych i zacisznych. Co mnie nazad odprowadza do tortury życia i ciężkiej pracy? Jakieś zdrowie, które się z tą chorobą pasuje i pokonywa ją. Co zaś jest we mnie tem zdrowiem? Czy jakaś wielka miłość? Czy jakaś wielka idea? Czy obie razem? Czy może tylko samo ich pragnienie i przeczucie?

Z tego wszystkiego jest pewnem: że cierpię na epilepsyę duszy, że wczoraj miałem gwałtowny napad, że dziś jestem jeszcze rozbity i że cię ściskam serdecznie.“

Po przeczytaniu listu było dla mnie nadto pewnem: że mój przyjaciel łądzi się swoją mniemaną niezależnością od uczuć, że jego rozum jest przez nie stoczony, że jego cierpienia nie uleczy cisza leśna i że mi go żal bardzo.

Nie zwlekając pojechałem do niego. Niespodzianka! Zamiast w łóżku, zastałem go żywo rozprawiającego w liczmem gronie kilku znajomych, którzy stanowili najbliższe jego towarzystwo. Był blady, ale nie zdradzał żadnego cierpienia. Przywitał mnie serdecznie.

Czułem, że jeśli nie wszyscy są tu natrętami, to ja niewątpliwie. Po godzinie niania słów pustych i kruchych, jak szklane paciorki, pożegnałem gospodarza i jego gości. Nie zatrzymywał mnie. W przedpokoju zagadnąłem go:

— Jakże się masz?

— Ach, mój drogi, są choroby, o których szybko zapominamy i nie lubimy mówić. Należą do nich wszelkie konwulsje. Postanowiłem energicznie leczyć się z tej podłej padaczki.

Odtąd nigdy nie wspominaliśmy o tym wypadku.

ZŁODZIEJE.

Jerzy Potkan niewątpliwie nakręcał się. Gdy raz zaczął mówić, można było, jak do idącego zegarka, trąbić, strzelać, krzyczeć: „Panie, Konstantynopol zapadł się pod ziemię!”, on nie ustawał, szedł dalej, tykotał swojemi miarowemi zdaniami, dopóki sprężyna jego myśli całkiem się nie rozkręciła. Ktoby chciał go powstrzymać, musiałby go rozbić, w ogień lub w wodę wrzucić: wszelkie inne środki przerywania rozmowy zawodziły. Wiedząc o tem, że gdy wyrzekł: „Sztuka, proszę pana...”, może słuchać lub nie słuchać, ale milczeć muszę, o ile cierpliwości starczyło — milczałem.

— Bo sztuka, proszę pana, nie wyczerpuje wcale swoich tematów. Malarstwo istnieje od tysięcy lat, wydało miliony obrazów, a mimo to nie czuje najmniejszego ubytku przedmiotów. Weźmy ten kawałek widnokregu! Trudno wyobrazić sobie coś nędzniejszego: w górze mgła, na dole rozmiękle pole, spłowiałe łąki, kępa karłowatych brzoź, trzy nędzne, omszone chaty, a jednakże tym widokiem tysiące ar-

tystów mogłyby zamałować miliony łokci płótna i stworzyć galerię arcydzieł. I tego za wiele: gdyby z całej natury pozostała tylko ta krzywa wierzba nad rowem, którą minęliśmy, ona sama wystarczylaby wszystkim pejzażystom do końca świata. Mieliliśmy w Monachium za model tragarza, krzepkiego Żyda z hakowatym nosem i kędzierzawą brodą. Czego myśmy z niego nie robili! Nerona, Brutusa, Judasza, Piotra, Peryklesa, Kolumba, ja użyłem jego łydek do mojego Romea, a piersi do Jagielly.

— Jakto? Więc on...

— Z tego względu — prawil dalej, nie zważając na moje pytanie — sztuka, proszę pana, nie może mieć innego celu tylko odtwarzanie natury. Gdyby ona musiała używać jakichś myśli, idei, tendencyi, jeżeli nie my, to nasi prawnukowie pozdychaliby z głodu. Bo te motywy literackie wyczerpałyby się wkrótce, zresztą nie każdy umie je znaleźć, podczas gdy kawalek blonia, lasu, stawu, koń, chłop, kuropatwa ciągle są w obfitości i nie potrzeba ich daleko szukać. Wyjdę za rogatki i tuż mam bezmiar tematów sztuki dla sztuki. Malarze, broniący tego hasła, walczą nie tylko o jego słuszność, ale o swój byt. Pan to nazwie nieszlachetną interesownością. Frazes! Wszystkie teorye mają swoje źródło w instynkcie samozachowawczym.

— I geometrya? — udało mi się spytać.

— Tak — i geometrya! Bo gdyby człowiek jej nie

potrzebował, to by nie wynalazł. Co to za pyszny dokument głupoty ludzkiej twierdzenie, że sztuka stanowi zbytek! O, zapewne, dla Rzymianina zbytkiem były nawet spodnie i widelce, a przecież my bez nich obyć się nie możemy. Gdy nieco oskrobiemy się z naszego artystycznego barbarzyństwa, będziemy o tem inaczej śpiewać. Wtedy wszyscy zrozumieją to, co dziś rozumieją tylko wybrani, że sztuka jest najważniejszą dziedziną życia. Domyślam się: według pana, kto tak mówi, ten patrzy na życie przez szparę. Otóż proszę pamiętać, że teleskop jest także szparą a pozwala nam dalej widzieć, niż gołe oko, obejmujące szeroką przestrzeń. Jakie pyszne plamy tworzy ta gromadka kobiet! Niech pan spojrzy!

Spojrzałem: cztery wieśniaczki w podkasanych, różnobarwnych spódnicach i chustkach, wśród mżącego deszczu kopały kartofle.

On dalej ciągnął:

— Lud jedynie ma śmiałość natury w łączeniu barw, które dla bezmyślnych modniarek i przeteoretyzowanych filistrów jakoby nie znoszą się w bezpośrednim zetknięciu. Bo on jest rzeczywistym artystą, którego smaku nie popsują żadna szkoła, żadna doktryna, żaden dogmat. Niech pan tylko uważa: ta kobieta w środku ma czerwoną spódnicę i fioletową chustkę...

— I sine od zimna nogi — zdążyłem dopowiedzieć.

— Czy jej zimno, czy ciepło — to mnie wcale nie obchodzi — odparł zgorszony.

— A mnie wydaje się to ważniejszym, niż barwna plama, którą ona tworzy.

— Znam, znam — mówił wzgardliwie — to przysmażanie sztuki na moralizatorskim oleju. A wie pan, jakie wrażenie sprawia na mnie zawsze etyczne wścibstwo do spraw estetycznych? Jak gdyby mi ktoś do smacznej zupy wpuścił żabę. Jeśli to jest czemś więcej, niż trywialną psotą, to niech mnie zamianują psim szwagrem. Ciągłe oglądanie życia ze strony ekonomicznej, społecznej, higienicznej, moralnej, chociaż odbywa się pod hasłami bardzo wzniosłymi, jest w gruncie rzeczy maską ordynarnej praktyczności, której wszystkie nici zwijają się kłębkami na pieniądzu. Och, ten pieniądz: gdyby on przechodził nie z rąk do rąk, lecz z ust do ust, byłby jeszcze bardziej wytartym i brudniejszym.

Pociąg zatrzymał się na stacyi, więc i mój towarzysz chwilkę odpoczął, ale jak gdyby pobudzony gwizdawką nadkonduktora, ruszył dalej.

— Że my, artyści, patrzący „przez szparę“, mamy więcej współczucia dla niedoli, dowiodę panu przykładem. Zeszłego roku pojechałem na wieś do państwa Bylskich dla zrobienia kilku studyów krajobrazu zimowego. Świeżo spadł ogromny śnieg i ścisnął go tęgi mróz. Prześliczna to była pora! Oślepiającej białości pól wzrok nie mógł wytrzymać, gałęzie

drzew uginały się pod ciężarem okiści, osłabione głodem zające przychodziły do gumien, gdzie je młócono cepami, a kuropatwy siedziały tak blisko przy drogach, czatując na jakiś okrucuch pożywienia, że mój furman na sześciu wiorstach zabił batem dwadzieścia. Tak cudnego kawałka zimy przedtem nie pamiętam. Zaraz też nazajutrz wybrałem się do lasu z synem Bylskich, studentem, dla narzucenia paru szkiców. Trudny wybór—wszystko napraszało się pod ołówek. Nareszcie, jadąc wąską drogą, wyciętą dla stanowisk myśliwskich, ujrzelśmy na niej sznurek ludzi, którzy widocznie spłoszeni, zaczęli biedz ku gęstwinie.

— Złodzieje! — zawołał furman i popędził konie.

Zanim zdążyli się ukryć, stanęliśmy przy nich. Ach, panie, gdybym ja był w każdym oku miał migawkowy aparat fotograficzny! Co za prześliczny moment! Było ich pięcioro: podstarzały chłop w krótkim kożuchu bez futra, w zrudziałej czapce barankowej kształtu miski, w parcianych spodniach i dziurawych butach z podwiązanymi cholewami; baba miała głowę okręconą jakimś łachmanem, na ramionach fartuch, a pod nim tylko otwartą na piersiach koszulę i burą, samodziałową spódnicę; za nią stała kilkunastoletnia dziewczyna z gołą głową, w czerwonym, perkalowym kaftanie i grubym, zielonym szorcu; dalej wyrostek w spłowiałej czapce barankowej, kurtce i dymowych spodniach; wreszcie paroletni chłopiec w ogromnym, starym kaszkiecie żołnierskim i podartej kapotce,

z której strzępami wylaziła brudna wata. Kobiety po pas zapadły w śnieg, a malec ugrzązł w nim prawie po szyję. Wszyscy nieśli na plecach po wiązce drzewa, częścią chrustu, a częścią kawałków cienkiej sosenki, którą chłop po cichu upiłował. Nawet najmniejszy niósł kilka patyków. Widząc, że nie uciekną — stanęli. Z początku na ich twarzach odbił się strach — źle mówię — pięć strachów, bo każda wyrażała go inaczej. W chłopie trwoga mieszała się z gniewem, jego żonie usta drgały płaczem, dziewczyna spuściła oczy wstydliwie, starszy chłopak udawał spokojnego, a dzieciak patrzył na nas osłupiałym wrokiem. Pyszna gama obawy! Trwało to jednak krótką chwilę. Spostrzegłszy bowiem w sankach mnie, obcego człowieka i młodego Bylskiego, który wziął łagodną naturę od matki i znany był ze swej dobroci — ochłonęli, a baba podbiegła do mojego towarzysza i, całując go w rękaw, rzekła z wymuszonym uśmiechem:

— Takeśmy oto sobie, paniczku, wygrzebali z pod śniegu trochę suszu, bo zima strasznie chałupinę przejęła.

Ten obrót bardzo mi się nie podobał. Wprawdzie uchwyciłem wszystkie odmiany przerażenia na pięciu twarzach, ale zapamiętałem je tylko w ogólnych rysach, a mnie potrzeba było szczegółów do obrazu, który mi błysnął w głowie. Postanowiłem, bądź co bądź, wywołać poprzednią scenę. Więc poprosiłem po

francusku studenta, ażeby ich przestraszył groźbą, że doniesie ojcu. Czułek wił się, wymawiał, usprawiedliwiał złodziejów, ale w końcu powiedział:

— Moi kochani, wy niesiecie nie tylko susz, ale i święty chojaczek. O tem ojciec się dowie!

Pobledli, lecz baba usiłowała ratować położenie.

— A gdzieby my, aniele, śmieli go ścinać! Leżał podłamany, już zasychał, więc dorznęliśmy.

Student widocznie rad był z tego wykrętu, ale ja nie mogłem wypuścić z rąk bohaterów moich. Odezwałem się przeto:

— Dziedzie obejrzy pieniek i sprawdzi to podłamanie.

— A panu co do tego?— krzyknęła baba z wściekłym spojrzeniem. — Czy to pan gajowy? Patrzcie go, jaki ludojad!

Jeszcze raz zachęcałem mojego towarzysza, ażeby ich czemś przeraził. Nie obciał i kazał furmanowi jechać dalej. Kobieta rzuciła za nami, a raczej za mną:

— Bodajeś skapiał, pokrakol!

— Mamie zrobiłbym wielką przykrość — tłumaczył się student.

Ach, te mamy gagatków!

Pani Bylska była kobietą wspaniale piękną, rozumną i dobrą, ale, niestety, miała zawsze w pogotowiu etyczną żabę, którą wpuszczała w artystyczne zupy. Syna wychowała tak, że nie tylko ją bałwochwali-

czo kochał i czczył, ale ze wszystkiego przed nią się spowiadał. Opowiedział jej również naszą przygodę, nie pomijając mojej namowy.

Pocałowała go w czoło i rzekła:

— Niepotrzebnie straszylesz tych biedaków, bo przecież ojca nie będziesz martwił takim drobiazgiem.

Była w tych słowach nauczka dla mnie. Rozumie się, panu Bylskiemu nie powiedziałem, ale znając jego gwałtowność i surowość dla szkodników leśnych, żałowałem bardzo, że syn, a nie ojciec towarzyszył mi w wycieczce. Jakież by on wyrazy trwogi wy dobył z ich twarzy! Chciałem przynajmniej wyprosić, ażeby ich sprowadzono do dworu i pozwolono odrysować; ale i temu oparła się pani Bylska. Nie wszystko jednak straciłem. Widocznie scena w lesie głęboko wyryła się w mojej pamięci, skoro za odtwarzający ją obraz „Złodzieje” otrzymałem drugą nagrodę na wystawie w Monachium. Pan go nie znasz? Wszystkie postacie mówią w nim dobrze, ale wyszłyby wier niej, gdyby nie mazgaj, który mi popsuł sytuację. Najlepiej udało mi się małe chłopię. Bo też jego głupowato przerażonej miny nigdy nie zapomnę.

— Warszawal

Wysiedliłmy.

BARTŁOMIEJKA.

Edward Storch był oddawna oswojony z poczuciem i prawami własności: miał udziały w fabryce kafli swego brata i browarze szwagra, posiadał dom w Wilnie i poważną sumę akcyj tamtejszego banku a jednakże gdy kupił folwark Kąty, doznał głębokiego wzruszenia. Tyle ludzi, budynków, bydła, koni a nadewszystko ziemi nie należało jeszcze nigdy do niego. Cokolwiek dotąd uważał za swoje, to albo stanowiło tylko niewidzialną część całości cudzego mienia, albo było ograniczone w swych widzialnych rozmiarach. Fabryka kafli istniała pod firmą: „Adolf Breit i Sp.,” browar—pod firmą: „Wilhelm Kraut i Sp.,” bank nazywał się „ziemskim,” dom zaś był wianem jego żony; Emilii z Haubów i obejmował zaledwie 30,000 łokci kwadratowych placu. Tymczasem Kąty liczyły 60 włók, to znaczy: około 30,000,000 łokci kw., a w ich księdze hipotecznej było zapisane tylko nazwisko Edwarda Storcha. To też przez pierwsze tygodnie pobytu w nich napawał on się ciągle rozkoszną świadomością wyłącznego posiadania i nieograniczo-

nego władania. Co chwila powtarzał sobie z głębokim zadowoleniem:

— Ten dom, obora, stajnia, ogród, las, pole — to wszystko moje; gdybym zechciał, mógłbym je zburzyć, przenieść, pokopać doły, usypać góry... Ci ludzie, którzy dla mnie pracują, poruszają się mocą mojej woli...

Rozmawiając z żoną i służbą, ustawicznie wplatał w słowa wyraz „mój,“ a gdy puścił wzrok po widnokręgu, niknęły mu w oczach wszystkie uroki krajobrazu, nawet wszystkie nadzieje korzyści; świeciła tylko myśl: ten ogromny kawał ziemi i nieba jest moją własnością.

Ani tradycje rodzinne, których kłębek zwinięty był z nici przemysłowych, ani upodobania osobiste, które dojrzały w nim śród sfery mieszczańskiej, nie rozbudziły w Edwardzie Storchu szczególnego zamiłowania do rolnictwa i życia na wsi. Kupił on Kąty dlatego, że był dość luźnie przyczepiony do paru spółek fabrycznych, z żadnym interesem mocno się nie zróstł, posiadał kapitały próżnujące w papierach procentowych, których kursa spadały, wreszcie kolega z Rygi i obecny sąsiad wytłomaczył mu, że ziemia w umiętnych rękach „odrzuca“ bardzo dobre zyski. Przytem miał on za mało energii, twardości i zmysłu spekulacyjnego, ażeby zostać przemysłowcem, a dosyć rozumu praktycznego, lenistwa i próżności, ażeby zostać obywatelem ziemskim. Powierzywszy prowa-

dzenie gospodarstwa rządcy, sam objął administracyę, którą uorganizował według wzorów fabrycznych i postanowił sprawować ściśle. A była ona strasznie zaśmiecona: trzeba było wymieść masę złych zwyczajów, nadużyć, marnotrawstwa i pasorzytów, do których należały stare lub kalekie odpadki służby folwarcznej. Poprzedni właściciel Kątów, Andrzej Taczała Krzywochód Kącki w ostatnich latach pensyi nikomu nie płacił, a nawet zadłużył się nieco u ekonomu, ogrodnika i furmana, ale nie zaglądał do garnków, żłobów i koryt ordynaryuszów i pozwalał żyć rozmaitym nieużytkom ludzkim i zwierzęcym na swoim folwarku, jak grzybom na podwalinach swego domu. Parobcy bez rąk, dziewięćdziesięcioletnia służąca, ślepe konie, liszajowate psy — wszystko to było przychepione do tej gospodarczej rudery, która pomimo „pałacu“ przykrytego blachą i murowanej stajni waliła się od kilkunastu lat pod młotami wierzycieli.

Zrewidowawszy starannie cały inwentarz posiadający i nieposiadający duszy i naradziwszy się z żoną, Storch kazał ostatni złożyć w graciarni, a pierwszy bądź usunąć, bądź wystrzelać. Można bardzo lubić mak, a mimo to nie znosić, ażeby jedno jego ziarno leżało w zegarku. Chociaż więc nowy pan nie był wcale okrutnym i często wspierał ubogich, dla porządku, dla prawidłowości ruchu maszyny gospodarczej polecił nie zwlekać zwłaszcza z wydalaniem inwalidów.

Pewnego też dnia wysunęła się ta nędza z rozmaitych kryjówek i, spróbodawszy daremnie błagań za pośrednictwem rządcy, rozlała się po okolicy, jak gromadka nadtrutych szczurów. Wyjście to wszakże nie obyło się bez przykrych wrażeń dla dworu: jedni odmówili jałmużny, drudzy przeklinali, inni jęczeli, inni milcząc rzucali zbyt nienawistne lub smutne spojrzenia, a chociaż Storchowie nie byli narażeni na bezpośrednie zetknięcie z odchodzącymi, coś z tych nieprzyjemnych widoków i głosów dostrzegli lub usłyszeli. Nareszcie rządcą doniósł, że już wszystkich „wygarnął” — odetchnęli.

Była to pierwsza, ale też jedyna chmura na pogodnem niebie ich życia wiejskiego. Niepowodzenia, klęski, zawody nie zdążyły jeszcze do nich zawitać, urok zaś nowości był bardzo silny, a przytem maj wlewał w duszę zbyt odurzające upojenia, ażeby ona mogła pamiętać o czem innem, niż o rozkoszy. Młoda, piękna żona, która kusząco się uśmiecha i kilka razy na dzień przebiera się, a zawsze ponętnie; młody, dorodny i zdrowy mąż, który umie chwytąć w lot każdy jej wdzięk i którego usta i oczy sypią jej ciągle miłe wspomnienia i jeszcze miłsze zapowiedzi, taka szczęśliwa i namiętna para na łonie szczęśliwej i namiętnej wiosny mogła jeść życie tylko gronami najśodszych jagód.

Oczekując przybycia z Warszawy rozmaitych upiększeń domu, Storchowie układali plany urządze-

nia pokojów, pieścili się, całowali, śmiali, rozmawiali, a przede wszystkim spacerowali po obszernym parku, który teraz kwitł, pachniał i śpiewał.

— Tu będę miał ślicznego syna — prawda? — rzekł Storch do żony, obejmując jej kibić i przytulając do siebie.

— Może... — odpowiedziała, spuściwszy oczy.

— Mówisz jak Sara... Będzie pyszny chłopak — i koniec!

— I koniec? — wtrąciła z figlarnym uśmiechem.

— Przepraszam! — zawołał, śmiejąc się. — To będzie początek.

Taka pusto-swawolna paplanina snuła się między nimi ciągle podczas samotnych przechadzek. Pomału zaczęli sobie ich jednostajność urozmaicać. Pewnego poranku Storch, zbudzony dotknięciem wschodzącego słońca, które trysnęło mu na twarz potokiem światła przez szeroką szparę niedomkniętej okiennicy, usiadł na łóżku i zaczął ściągać kołdrę z żony.

— Mila! Mila! Wstawaj śpiochu!

— Która godzina? — spytała zaspana.

— 248 minut i 28 sekund po 12.

— Co ty bajesz?

— W każdym razie słońce już po śniadaniu. Ubieraj się prędko — zobaczymy, jak wygląda ogród wczesnym rankiem.

— Ale tylko dziś.

— No, dobrze, dobrze. Wstawaj.

Za chwilę szli szeroką aleją lip, między którymi przepływał orzeźwiający chłód. On w białej flanelowej odzieży rozdymał nozdrza, którymi pił świeżość poranku, ona w różowej bluzie, z włosami spiętymi w luźny węzeł, z twarzą jutrzeńki, oparłszy głowę na ramieniu męża, zdawało się, kończyła jakiś rozkoszny sen.

— Mądrze zrobiłeś — rzekła — żeś mnie obudził. Czarująco pięknie!

— Doprawdy żaluję — zauważył Storch — że nie umiem pisać wierszy. Taki widok wart poezyi. Co za potężny wpływ ma na człowieka natura! Czuję się w tej chwili nie tylko zadowolonym, ale tak dobrym, że chyba nie miałbym siły niczego odmówić nawet wrogowi.

— Zaraz się przekonam. Pojedziemy na wyścigi?

— Osobnym pociągiem.

— Dostanę nowy kostium?

— Dwa — przepraszam — trzy.

— Wyprawimy tu bal?

— Królewski.

— Kupisz lando?

— Spóźniłaś się, bo już kupiłem, a nadto cztery pyszne konie. Chciałem ci zrobić niespodziankę — nie udało się.

— Jakiś ty pocziwy! Już więcej niczego nie chcę. Co to się rusza?

Przy murze śpichlerza, którego tylna ściana wy-

chodziła na ogród, wtulona w gęsty krzak jaśminu siedziała jakaś kobieta. Chude, bose nogi wysunęła z pod samodziałowej, brudno-czerwonej spódnicy, małe, zagasłe, wygnile oczy utkwiała przed siebie w ziemi, zacisnąwszy wąskie, sine wargi, które wydawały się jedną z wielu zmarszczek, pokrywających jej twarz ziemisto-żółtą, wynędzniałą, martwą. Gdy Storchowie zbliżyli się do niej, drgnęła, powstała z wysiłonym pośpiechem, ucałowała im ręce i objęła nogi.

— Kto wy jesteście? — zapytał dziedzic.

— Tutejsza, jaśnie panie, od dziecka tutejsza.

— Żona parobka? — wtrąciła dziedziczka.

— A gdzieby, jaśnie paniusiu, mógł żyć mąż takiej starej baby. Mój już tak dawno zmarł, że go na sądzie ostatecznym nie poznam. Toć ja jeszcze ojca pana Kąckiego karmiłam...

— A co wy tu robicie?

— Czego ja nie robiłam, mój jaśnie panie! Całe to pole własną ręką żęłam i kopałam, cały ten ogród pełam. Tu niema ani grudki ziemi, ani kamienia, któryby mnie nie znał. Ho, ho, kiedy jeszcze ojciec pana Kąckiego żył, to nieraz mówił: ta ziemia więcej twoja, niż moja, bo ja ją tylko wydeptuję. Coprawda, dał mi nieboszczyk, niech go tam Bóg u siebie trzyma, krowę i prosiaka niby na własność, tylko że nie powiodło się. Wieprzaka upasłam i dobrze sprzedałam, wzięłam piętnaście rubli i dwa złote, ale jak mi zaczęli przekładać, pożyczyłam kowalowi i więcej już

tych pieniędzy nie widziałam. A krowę to mi wycyganil swojak, niby syn po siostrze. Dzieciaków mu się nasypało chyba siedmioro, a tu niema kapki mléka. Weż—mówię—krowinę, ale pamiętaj, że ona moja, bo z mojego dosłużenia, a jak się jałoszki po niej dochowasz, to mi starą oddasz. Przy świadkach tak powiedziałam, on mi jeszcze potem na odpuszcie dziękował—i wszystko na nie. Krowę sprzedał i jeszcze mi napomstował, jak się upomniałam. Obiecywał mi pan Kącki, że za to zmartwienie da mi cielę, ale on potem chudzina i sam nie miał, bo go żydy obrały.

— Teraz mieszkacie przy dzieciach...

— Nie, jasny dziedzieu, nie mam ani jednego, wszystkie Pan Bóg zabrał do siebie. Przez dwa tygodnie poszły na ementarz jak gąski—czworo. Ostatnie to już ksiądz darmo pochował, bo nie miałam ani grosika. Skąd wziąć na wyrobku?

— Jakież więc jest wasze utrzymanie?

— A na co mnie, paniusiu, utrzymanie? Czy to ja gospodyni? W zimie na noc przykryję się cudzym pulapem, w lecie — boskiem niebem, a okruszyn na miłosiernym stole zawsze zostanie dosyć dla myszy i dla mnie.

Ostatecznie państwo Storchowie nie wiedzieli, kto jest ta kobieta, skąd pochodzi i czemu znalazła się w ich ogrodzie. Czuli, że nie umieją z nią rozmawiać, że może narażają się na śmieszność i że powin-

ni obmyśleć wspólnie jakiś sposób wybadania jej. Poszli więc dalej.

— Czy ty rozumiałaś jej gadaninę?

— Niewiele.

— Jaki ten nasz lud jeszcze ciemny! Nie potrafi odpowiedzieć na najprostsze pytanie. Jednakże musimy nauczyć się trudnej sztuki odgadywania go, a przedewszystkiem wybadać to straszidło. O, widzę jeszcze więcej takich gości...

Za sztachetami, wcisnąwszy w nie twarze, stał szereg jakichś obłąchmanionych postaci, które dostrzegłszy Storchów, szybko opuściły swe miejsca i skryły się w przyległych zaroślach.

— Co to za włóczęgi? — mówił Storch. — Pewnie wyprawa na jakiś rabunek. Nie spodziewali się spotkać nas tu tak wcześnie. Trzeba się energicznie zabezpieczyć przeciw podobnym najściom.

— A mnie się zdaje — rzekła pani — że to są ci sami darmozjadzi, których kazałeś usunąć.

— Masz rację, Milu. Teraz wszystko pojmuję. Wróćmy do baby.

Szli prędko, prawie biegli.

— Jak się nazywacie? — spytał Storch groźnie.

— A no Bartłomiejka.

— Czyli że wasz mąż miał na imię Bartłomiej.

— Juści.

— Wasze imię?

— Katarzyna.

- Nazwisko?
- Powiedziałam: Bartłomiejka.
- To nie nazwisko.
- Mnie tak ludzie wołali to i tak było.
- Gdzież jest wasze miejsce zamieszkania?
- Ja tutejsza, jaśnie panie.
- Co to znaczy tutejsza? Wsi tu niema.
- Była, jaśnie dziedzieu, i duża, ale młody pan Kącki kupił dla „ukaźnych” grunt pod Olchową...
- Mnie to nie obchodzi, gdzie pan Kącki kupił grunt, tylko chcę wiedzieć, skąd wy jesteście?
- O, Boże wielki—tutejsza.
- Więc z folwarku?
- Dopóki mogłam, i krowy dołłam, i świniom dawałam... Dopiero kiedy mi rękę odjęło, akurat będzie dwa roki na Siewną...
- Panie Rychliński!—zawołał Storch, spostrzegłszy przechodzącego w oddali rządcę. — Mój panie, co to za baba i co ona tu robi?
- Bartłomiejko! — rzekł rządcą z udaną srogością — dlaczego tu włazicie, kiedy ja wam sto razy powiedziałem, że pan dziedzie kazał wam się wynieść! Ruszajcie!
- A dokąd?
- Dokąd wam się podoba.
- Mnie się tu podoba.
- Zabierajcie się do stu djabłów! — krzyczał już rozgniewany rządcą—bo was parobcy wyrzuca!

— Panie Rychliński, co pan gada! Starej Bartłomiejki żaden parobek nie trąci, bo każdy przy niej się urodził i wprzód ją widział, niż oltarz. I pańskie pieluchy prałam, — kiedy matka była szafarką we dworze...

— Wojciech! — wrzasnął rządcą na tegoż chłopca, idącego przez podwórze—wynieś ją za płot!

— Mnie za płot, mnie tutajszą, przyrodzoną, pan każesz wyrzucić jak zdechłego kota! O, Matko Najświętsza, co to za ludzie teraz na świat wyleźli. Mnie za płot!

— Chodźcie, babko — przemówił parobek, wyciągnąwszy do niej rękę.—Toć wam już nie nie pomoże. Wola boża...

— Nie boża, nie boża — skrzeczała stara — to ich wola! Pan Bóg mnie tu przeznaczył! Niech zabiją, nie pójdę! A, moi państwo, gdzie ja się podzieję? Nikogo nie mam, już staremi rękami życia nie wyrobię... Pleć jeszcze mogę... Jeśli każecie, będę pieła, czyściuteńko, tę moją ziemię...

— *Hörst du, Mila? Sie sagt: mein Boden.*

— Przecie państwo katolickie i chrześcianie jesteście, zmiłujcie się nademną... Pan Kącki...

— Pana Kąckiego już tu niema, on tu nie rozkazuje—przerwał rządcą.

— Ale ziemia została i ona rozkazuje. Moja ziemia, moja matka! Ona mnie urodziła, żywiła i nie da pokrzywdzić.

— *Hörst du, Mila?*

— Może nie? Jeśli wasza, to powiedzcie, co w niej leży pod mojami nogami? Nikt z państwa nie wie, a tu jest zakopany paw. Jeśli wasza, to powiedzcie, ile snopków zżęłam raz na tej niwie, kiedy byłam przodownicą? Dwanaście mendli—Wickowa żyje, zaświadczy, ona była małą dziewczyną i wody mi donosiła, bo była spiekota.

— No dobrze, dobrze, tylko się zabierajcie — mówił rządcą.

— Moja ziemia mnie zabierze, a nie wy. Ja na niej więcej rozsiała zboża, niż Bóg gwiazdek na niebie. Jezusie ukrzyżowany, przyświadczy za mną przed nimi, że kiedy za tą olszyną, pod wydartą karpą dębowa, zległa sarna i zdechła, to ja wzięłam maleńkie, wykarmiłam, wychowałam. Koziółek uciekł potem do lasu, ale mnie poznawał i beczał: Bartłomiejka! Bartłomiejka! O, Boże, Boże! I ja mam odejść z tej mojej ziemi!

— *Schönes Theater!*

— Toć każdy wie — tłumaczył parobek — żeście tutejsza i że wasza praca wsiąkła w tę ziemię. Ale nie sprzeciwiajcie się i chodźcie. Przecie i u mnie możecie posiedzieć jak u swojego.

— Ha, pójdę z tobą, synku — rzekła, trzęsąc się od wzburzenia.— Zatoczysz mi płaski kamień pod kościół, usiądę na nim, będę opowiadać Bogu i ludziom moją niedolę, a choć z daleka popatrzę na moją ziemię.

Szła wolno, jak gdyby musiała odrywać nogi przyrośnięte do ziemi. Nagle zatrzymała się i rzekła to-
nem przysięgi:

— Ale jak śmierć da mi znak, przywlokę się tu
i umrę w tym ogrodzie.

Oddaliła się. Storchowie odetchnęli.

— A to specyał wiejski! — zawołał mąż.

— Będzie nas czernić — wtrąciła żona. — Możeby
dla uniknięcia skandalu wywieźć ją do jakiego przy-
tułku w mieście!

— Jej ziemia! — powtarzał Storch. — *Unglaublich!*
Co za dzikie wyobrażenie ma ten ciemny lud! Żadne-
go poczucia prawa, zamiłowania do uporządkowanych
stosunków. Panie Rychliński, proszę tę bandę z za-
płota rozegnać.

Jeszcze raz przez gąszcz parku przedarł się głos
Bartłomiejki:

— Ja tutajsz!... Tu się urodziłam, tu pracow-
łam, tu umrę — na mojej ziemi!

OSTATNI PIENIĄDZ.

BAJKA.

I.

Piękny, światły, spokojny lud Dramirów nie dawał swym przełożonym prawie nigdy powodu ani do smutków, ani do surowych przeciw niemu wystąpień. Obywatele i obywatelki dzięki potrzebom umiarkowanym i udoskonaleniom technicznym pracowali fizycznie bardzo mało, natomiast rozmyślali, rozprawiali i badali bardzo wiele. Ponieważ okolica, którą zamieszkiwali, była urocza a oni sami śliczni, więc kształcili i zadawali swe uczucia estetyczne, podziwiając bądź widoki natury, bądź siebie. Codziennie rano i wieczorem wychodzili wszyscy na pola, nad rzeki i do lasów dla rozkoszowania się obrazami przyrody, co tydzień zaś zbierali się na obszernym placu, gdzie wzajemnie przypatrywali się swym cudnym postaciom. Nie było w tem oglądaniu siebie ani próżności, ani wstydu, ani nieczystych pokuszeń lub pożądań, lecz tylko prawy zachwyt artystyczny.

Od pewnego czasu wszakże łagodny ten lud zaczął się burzyć.

Śród wielu ciekawych urządzeń swego grodu mieli Dramirowie olbrzymie muzeum, w którem mieściły się pamiątki historyczne z kilku tysięcy lat. Były tam w przedmiotach rzeczywistych lub modelach rozmaite przeżytki cywilizacyi, które niegdyś posiadały wielką wartość a w obecnem ich życiu nie miały już żadnego znaczenia, jak: tortury, luki, strzelby, miecze, batogi, wozy konne, kłódki, dawne stroje, liberye, blankiety wekslowe, chaty bez kominów i inne rzeczy, z wyjątkiem złotych, które wyobrażono jedynie w kolorowych wizerunkach. Na tych starożytnościach Dramirowie uczyli się historyi i nieraz prowadzili przy nich gorące rozprawy, odgadując ich przeznaczenie lub spierając się o wiarogodność.

Przed paru miesiącami, ktoś, kopiąc dołek dla posadzenia nektaryny, znalazł w ziemi żółty, okrągły krążek, na którym z jednej strony odcisnięty był wizerunek serca, kotwicy i krzyża w połączeniu, a na drugiej cyfra 20 i 2340 rok. Uczeni, którym ten krążek pokazywano, orzekli, że jest to stara, zaginiona moneta złota wysokiej niegdyś ceny. Wiadomość ta sprawiła na ludzie wielkie wrażenie, nikt bowiem z żyjących nie widział nigdy pieniądza, o którym tyle ciekawych, ohydnych i przerażających opowieści czytano w kronikach dziejów i który uważano za zupełnie wytępiony. Chociaż na wiecu przed trzystu laty przodkowie ich uchwalili i do praw ludzi wpisali, że „pieniądz, jako uwodziciel do wszystkiego złego, ja-

ko symbol wszystkich niecznych skłonności człowieka ma być na zawsze przeklęty, wygnany i pod żadną postacią nie będzie do kraju Dramirów wprowadzony, ani nawet przez kogokolwiek z nich przechowywany“, przełożeni jednakże wystawili znalezioną monetę na widok publiczny dla zadowolenia ciekawości ludu. Tłumy popłynęły do muzeum dla obejrzenia złotego krążka, który spoczywał na osobnym stoliku. Początkowo przypatrywano się mu z wielkiem zajęciem, ale jak gdyby z obawą i wstrętem. Powoli wszakże te uczucia słabły coraz bardziej i ustępowały miejsca widocznej przyjemności. W oczach surowych i odrazą napojonych migały iskry zadowolenia. Przez ciąg paru tygodni napływ widzów nie przerywał się i nie malał; przychodzili oni kilkakrotnie, niektórzy codziennie, a nie było ani jednej zdrowej istoty, która by nie obejrzała wystawionej monety. Nie ograniczano się już na oglądaniu jej, lecz dotykano, brano do ręki, a nieraz zdarzało się, że ktoś zaciskał ją w swej dłoni i nie chciał lub — jak twierdził — nie mógł jej oddać innym. Wywoływało to skargi, napomnienia, ostre słowa i klótnie. Sala muzeum, gdzie leżał pieniądz, rozbrzmiewała coraz częściej mocną wrzawą, która przenosiła się na zewnątrz. W całym również wyglądzie i usposobieniu ludu objawiła się uderzająca zmiana: spokojne dawniej twarze zamąciły się jakimś głębokiem rozdrażnieniem, objawy zdrowia znikły pod znamionami choroby, jasność spojrzeń

zmącała się gniewem, najtrwalsze stosunki zaczęły wykrzywiać się i pękać, ze słów ulotniła się woń przyjaźni, braterstwa i miłości, a wydobywał się swąd spalonej żądz. Nie rozprawiano już o tajemnicach wiedzy, nie zachwycano się pięknymi widokami natury, nawet nie zbierano się dla podziwiania wzajemnie swych uroków. Na wszystkich legł smutek, niby szary popiół, pod którym tliło się niszczące zarzewie.

Przełożeni spostrzegli tę zatrważającą zmianę, ale nie mogli odgadnąć jej przyczyny. Nareszcie pewnego dnia, kiedy zbita masa ludzi zatłoczyła salę, walcząc o możliwość obejrzenia lub dotknięcia pieniądza, stojący przy nim starzec wydał dziki okrzyk. Upadł on na kolana, a podniósłszy ręce w górę i utkwivszy rozogniony wzrok w żółty krążek, wołał: „Mój ty cudowny talizmanie szczęścia, najcenniejszy darze losu, źródło wszelkiego dobra, mój ty obrazie wszechpotężnego bóstwa!... Kocham cię, czczę, modłę się do ciebie!... Wysłuchaj moich błagalnych prośb i zejdz do mnie!... Wezmę cię, nie oddam, do grobu z sobą zabiorę!...“ To mówiąc, chwycił pieniądz, zaczął go całować, przyciskać do serca i skakać, wrzeszcząc dzikim śmiechem: „Mój, mój, drogi mój!“ Gdy mu go odbierano, ryczał, szamotał się, bił, kasał, wierzgał. Zaledwie zdołano waryata obezwładnić i odprowadzić do domu, gdzie nie przestawał szaleć.

Wypadek ten wstrząsnął obecnymi. Tłum wylał się z muzeum w wielkiem wzburzeniu i rozbił się na gromady, w których kipiały wrzące namiętności. Pomieszane a coraz silniejsze krzyki splotły się w zgłęb, grożący co chwila wybuchem. Nagle w jednej ze skupin zakotłowały się ciała, wydarł się z niej krótki, chrapliwy krzyk, a po nim buchnęły zbite w chór głosy zgrozy. Pospieszono zewsząd do tego miejsca: na ziemi leżał młody człowiek, zabity przez własnego brata.

Najstarsi wśród Dramirów nie pamiętali zabójstwa; to też rzuciło ono na nich straszny popłoch. Rozeszli się do domów mileżący i pogrzebieni. Pierwszy to raz nad ich życiem zawisła taka chmura i uderzył taki piorun.

Nazajutrz pięciu przełożonych zebrało się na naradę. Przedewszystkiem polecili oni zamknąć pod strażą w osobnych domach waryata i mordercę. I tak po trzystu latach, w ciągu których nie zdarzył się u Dramirów ani jeden obłęd i ani jedna zbrodnia, musieli oni założyć nanowo pierwszy szpital dla waryatów i pierwsze więzienie.

Oba te niespodziewane wypadki, które cały lud okryły wstydem i żałobą, były dla niego zbyt ważne i groźne, ażeby nie podjęto najstaranniejszych badań i poszukiwań ich źródła. Jakoż stwierdzono, że były one ostatniem ogniwem w łańcuchu chorobliwych podnieceń, które się objawiły w ludzie natychmiast

po wystawieniu pieniądza. Skutkiem tego przełożeni postanowili: przywrócić moc obowiązującą uchwale, wydanej przed trzystu laty przeciw pieniądzom, a znaleziony przekuć i podzielić na cieniutkie, małe blaszki, które będą wetknięte pod łuski żywej ryby, puszczonej następnie do morza.

II.

Tegoż dnia przeniesiono w pudełku pieniądz do kuźni i powierzono go poważnemu pracownikowi, który zamknął się przed natrętami, ażeby mu nie przeszkadzali w robocie. Po paru wszakże godzinach wyszedł drżący, zmęczony, z włosami przylepionymi na spotniałem czole i udał się do przełożonych.

— Nie mogę — rzekł, stanąwszy przed nimi — przekuć tego szatana. Zaledwie położyłem go na kowadle, otworzyła się w nim para oczu groźnych, bezdennych, przyciągających niepokonaną mocą. Zdawało się, że one przysuną mnie do siebie i wchłoną. Daremnie usiłowałem wydrzeć się im, daremnie wzywałem na pomoc rozum i mówiłem sobie, że to tylko przywidzenie, któremu powinienem się oprzeć: straszne oczy ubezwładniły mnie. A gdy wziąłem młotek, podniesiona ręka stężała mi i nie mogłem jej opuścić. Oddajcie ten przeklęty krążek komu innemu — ja go nie zwyciężę!

Wezwano innego robotnika, który wydrwił tę opowieść, obiecał szybko przekuć pieniądź i również zamknął się w kuźni. Ale i ten wkrótce z niej wybiegł blady, zgorączkowany, prawie bezprzytomny.

— Czary, rzeczywiste czary!—wołał do przełożonych. — Przyszedłszy do kuźni, ukląknę i pomodliłem się. Ale skoro tylko spojrzałem na pieniądź, zaraz dostrzegłem, że on zmienia się: naprzód wystąpiły precudne, czarne oczy, potem rozdęte nozdrza, potem czerwone, uśmiechnięte usta, wreszcie cała twarz prześliczna i tak kusząca, że przywarłem do niej wargami i zacząłem ją namiętnie całować. Boże, ratuj!—zawołałem. Nie pomogło. Piłem jej odurzającej urok bez pamięci i nasycenia, wszystkie moje zmysły rzuciły się na tę pokusę, jak zgłodniałe lwy na gazelę, a gdy najwyższym wysiłkiem oderwałem się od niej na chwilę, przybiegłem tu do was, ażeby powiedzieć, że tego czaru nie pokonam.

Jeśli pierwszy zawód zaniepokoił przełożonych, to drugi przejął ich strachem. Co począć dla zubożenia złowrogiej siły? Powiadomiony lud zebrał się przed domem narodowym, ale więcej objawił rozdrażnienia, niż rozważa. Z najrozmaitszych i często dziwacznych rad przełożeni nie mogli wybrać ani jednej rozumnej i obiecującej powodzenie. A kiedy zdania splątały się już beznadziejnie, wyszła z tłumu i zbliżyła się do kierowników narodu piękna dziewczeczka,

trzymająca za rękę dorodnego młodzieńca i rzekła śmiało:

— Mój Arjos przekuje pieniądz.

W białej sukni, która, jak liście kielicha kwiat, tak czule i zazdrośnie osłaniała rozwijający się, pełny pączek jej śnieżnego ciała, z podniesioną nieco główką, na której słomkowy kapelusz, opasany lekką, liliową zawojką, pieścił bujne, czarne włosy, z twarzą szczęśliwej i uroczej wiosny, w której każdy szczegół był światłem, barwą i wonią, wytrzymała ona ciekawe i zdziwione spojrzenia, które zewsząd ku niej podążały.

— Jesteś pewna, że on to zrobi?—zapytał jeden z przełożonych.

— Tak! — odpowiedziała z dumną stanowczością. — Arjosie—mówiła, zwracając się do młodzieńca—kochasz ty mnie?

— Kocham! — rzekł stanowczo, jak gdyby przysięgał.

— Miłujesz ludzi?

— Miłuję.

— Idź!

On tylko wziął ją jeszcze raz w swoje oczy czułym spojrzeniem i odszedł tak spiesźnie, że kędziory jego włosów drgały w niecierpliwym ruchu pod szerokimi skrzydłami kapelusza, który rzucał cień na jego twarz pięknie rzeźbioną i nieco ogorzałą.

Trwoga naprzemian z ciekawością targała sercami Dramirów, gdy młodzieniec zamknął się w kuźni. Ze wzrastającym niepokojem oczekiwano jego ukazania się. Tymczasem upłynęło wiele godzin, a on nie wychodził, słychać tylko było, że kuje.

III.

Przystąpiwszy do kowadła — jak sam później opowiadał — zauważył, że leżący na niem pieniądz zaczyna się mienić i ożywiać: przybierał on kolejno oblicze groźne, zalotne, szydercze, dobrotliwe, wściekłe, łagodne, a te przedzierni następowały po sobie z błyskawiczną szybkością. Młodzieniec ujął wielki młot i uderzył nim w złoty krążek z całą siłą. Rozległ się gromowy huk, jak gdyby ziemia pękała, a po nim trysnęły z pieniądza wysoko w górę grube strumienie cieczy gęstej, brudnej, lepkiej, cuchnącej, która zalewała kuźnię coraz wyżej podnoszącem się błotem. Nagle z tego bagna wynurzył się wieniec postaci męzkich i niewieściech, które tańcząc i obryzgując się wzajemnie, zawyły przeraźliwie. W ich gardłach grzechotały jakieś niezrozumiałe dźwięki, ich spojrzenia wpijały się pożądliwie w złoty krążek lub nienawistnie kłuły kującego, ich oczy wyskakiwały ze swych obsad i wracały do nich, języki wysuwały się jak żądła

i ociekały jadowitą śliną. A młodzieniec ciągle uderzał młotem w pieniądź. Wreszcie upiory wydały rozpaczliwy krzyk, nagle stanęły, potem rzuciły się na siebie, zaczęły się gryźć zajadle i zwinięte w wielki, warczący i rzeżący kłęb, zapadły w błoto i wraz z niem bez śladu znikły.

Młodzieniec kuł dalej. Z rozplaszczzonego krążka strzeliły znowu długimi sznurami krople łez, które opadając napelniały izbę gorzką i słoną wodą. Wyrzuciły się z niej i przesunęły wokół inne widma, chude, wynędzniałe, które zaśpiewały pieśń cichą, żalowaną, nutami bolesnej rozpaczki przeplataną. Głosy ich cichły, postacie rozwiewały się, aż powoli wraz z opadem łez w ziemię wsiąkły.

Młodzieniec nie przestawał bić młotem, a na kowadle obwisł już duży płat złotej blachy. I oto teraz trysnęły z niej w górę strugi krwi, która zbierała się i narastała w kuźni. Na czerwonej powierzchni ukazał się szereg trupów z otwartymi ranami i zamkniętymi tajemnicami w twarzach. Opłynąwszy wokół, zniknęły wraz z krwią, która je unosiła.

Młodzieniec kuł bez przerwy, a złota blacha rozszerzała się w obszerną i cieniątką chustę. Już z niej pod młotem nie nie sączyło się, ale jeszcze przez jakiś czas dobywały się stłumione jęki, rzewne skargi i krótkie łkania. Nareszcie i one ucichły, natomiast zadźwięczał ten czysty odgłos szlachetnego metalu, który natura uczyniła jego duszą. Wtedy młodzieniec

kuć przestał. Z bladą od wysiłku twarzą odrzucił młot, zdjął z kowadła wiotką, jak siatka pajęczą, blachę, owinał ją sobie około kapelusza i wyszedł z kuźni.

Słońce rzuciło na nią garść promieni, które zapaliły się w niej osłepiającym blaskiem. Lud, ujrawszy młodzieńca w tym lśniącym hełmie, powitał go z radosnem uniesieniem. Otucha wionęła po sercach.

Na wielkim stole domu narodowego dwadzieścia dziewcząt zaczęło wykrawać nożyczkami półkrażki ze złotej blachy i wsuwać je pod łuski żywego łososia, przyniesionego z wodozbioru. Żadna przytem nie uczuła najmniejszego dreszczu. Śród tłumów ludu przełożeni odnieśli rybę do morza i puścili ją z łodzi do wody, w której mignawszy pozłacaną łuską, wbiła się w głębie.

Tak zginął ostatni pieniądz.

Stojący nad brzegiem odetchnęli, jak po ciężkiem, minionem strapieniu. Na twarzach zajaśniała pogoda, a w słowach zadźwięczała serdeczność. Na przedzie ludu, wracającego do domu, szła piękna dziewczeczka, trzymająca za rękę młodzieńca i mówili z sobą:

— Ty mnie bardzo kochasz...

— Kocham.

— I miłujesz ludzi...

— Miłuję.

PUSTELNIK.

Wyrokiem losu człowiek został skazany na dożywotnie więzienie w niewiadomości i oddany pod straż tajemnic. Nigdy on tych strasznych dozorczyń nie widzi, ale ciągle ich obecność i okrucieństwo odczuwa. Czuje ich twardą rękę na ruchach swego ciała i ducha, na zwojach żądz, pełzających po ziemi i na skrzydłach myśli, wzlatującej ku niebu. Gdy z wielkim mozołem zapali wątle światelko w swej ciemnicy, one mu je gaszą; gdy zacznie przypominać sobie przeszłość, one mu jej znaki w pamięci zetrą; gdy wytęży wzrok w przyszłość, one mu go do dnia dzisiejszego skrócą; gdy spojrzy w teraźniejszość, one mu jej twarz zasłonią. Rzucają przed nim na drodze błyszczące szkiełka, które on podnosi z uciechą, że znalazł klejnoty. Wiodą go na manowce błędnymi ogniami, wciągają w trzęsawiska śpiewem rusałek, przeprowadzają przez mosty z trzcin wiotkich, błakają, dręczą i szydzą.

Ziemia wyciągnęła w morze Egejskie trzy długie palce Chalkidy, pogarbione górami i porośłe gęstym

lasem. Na te dzikie przylądki tajemnice spędziły z różnych stron wielotysięczny tłum ludzi, oderwanych od świata i kazały im tu żyć w gromadach lub odosobnieniu. Jedni skupili się w klasztorach i osadach, drudzy rozproszyli się w samotniach; jedni nie przecięli za sobą dróg, którymi tu uciekli, drudzy założyli sobie gniazda na niedostępnych skałach. Gdy wylegną ze swych schronisk na krawędzie stromego wybrzeża, podróżnym z przejeżdżających okrętów zdaje się, że widzą stada jakichś ogromnych, czarnych ptaków, które niby odpoczywające alki wpatrują się w morze.

— Co oni tam robią? — spytałem kapitana.

— Nie.

Parowiec skręcił ku brzegowi i zatrzymał się chwilę przy wysoku skały, na którym wisiał pusty kosz. Majtek wrzucił węń bochenek chleba, wiązkę jarzyn, kilka jaj, świecę — i pojechaliśmy dalej.

— Dla kogo to?

— Dla pustelnika — odrzekł.

Gdy statek odsunął się, niewidzialna ręka podciągnęła kosz w górę i wsunęła go w zarośla, z których wyglądał żółty, tarcicowy dach domku.

Może tam mieszka? — błysnęło mi w głowie. Męczył się życiem tak okropnie, zniknął tak nagle i bezśladnie, mówił o położeniu się żywcem w grobie tak uparcie... Podobno tu ścieka rozpacz ukrytymi żyłami ze wszystkich krajów. Gdybym go poszukał i znalazł? Lubił mnie, więc przebaczy natręctwo.

Podróżując bez przymusu i stałego celu, mogłem wysiąść w najbliższej przystani. Kolonie pustelnicze zaczynały się niedaleko. Poszedłem w góry. Wązki gościniec wił się między niemi kręto i spadzisto. Był pusty i poorany wyrwami, ale odciski kół i nóg rysowały się na nim płytko. Widocznie wody tylko zbiegały po nim często. Nareszcie ujrzałem na płaskowzgórzu budynek, otoczony ostrokołem z zamkniętą bramą. Zanim do niej się zbliżyłem, z pod przyległych drzew i krzaków zaczęły się szybko podnosić czarne, w długich szatach postacie, które zwały się przy ogrodzeniu, jak wał. Pozdrowiwszy mnichów, spytałem:

— Czy niema w tem zgromadzeniu Marka Białoskóra, którego jestem przyjacielem?

— Tu niema nikogo, kto był przedtem gdzieindziej—odezwał się jeden ze starszych.

Zrozumiałem, że nie chcą dać mi objaśnień.

— Skądże się tu ludzie biorą, jeśli — jak słyszałem—niema między wami kobiet?

Uwaga ta obraziła starca. Rzekł surowo:

— Kto tu wchodzi, zostawia za sobą nietylko odzież, ale i pamięć tego, czem był.

Rzeczywiście, gdyby każde ciekawe oko mogło zajrzeć do tych schronisk, nie miałyby one żadnej wartości dla samotników. Skłoniwszy się, odszedłem. Zauważyłem wszakże, że za mną śpieszy gąszczem

przydrożnym młody, wysoki mnich. Czy mnie śledził? Odwróciłem się i stanąłem. On się wysunął.

— Źle panowie zrobiliście — rzekłem — nie dopuszczając mnie do mojego przyjaciela, jeśli jest między wami.

— W naszym klasztorze niema go — szepnął — ale może tam w domku...

I wskazał ręką odosobnioną górę. Z przyciszonej i lękliwej jego mowy wniosłem, że chciał mi włożyć do ręki nie bez wiedzy swych towarzyszków. Podziękowałem mu i ażeby nie stracić kierunku, poszedłem prosto przez las. Trzeba było zejść na wąską dolinę, a potem dostać się na odosobnioną górę. W połowie jej wysokości od strony morza spostrzegłem w kępie gęstych drzew chatkę — tę samą, którą widziałem z okrętu. Oparła się jedną stroną o kamienną ścianę, a trzema o krawędzie głębokiego jaru, który ją obiegł półkołem i z którego prowadziły do niej wąskie schody, wykute w skale. Wspiąłem się po nich z wielkim trudem. Przed drzwiami chaty, na ławie, stojącej tuż nad brzegiem wąwozu, siedział mężczyzna w cienkiej, brązowej kapocie, z długimi włosami na głowie, wpatrzony w morze. Usłyszawszy szelest, obejrzał się.

Rzeczywiście, był to Marek Białoskór.

Złodowaciałe jego oczy nie objawiały nawet zdziwienia i spoglądały na mnie zimno. Pomalu wszakże, jakby pod ich szklistą i martwą powłoką zatlił się

ogień, który ją zaczął topić, ożywiły się, ale jednocześnie napełniły bolesnym smutkiem.

— Czego pan chce? — zapytał spokojnie, ale niechętnie.

— Od lat kilku dręczy mnie zagadka pańskiego tajemniczego zniknięcia. Gdy dziś przejeżdżałem tędy na statku, opanowała mnie uparta myśl, żeś pan tu osiadł. Postanowiłem odszukać pana i prawie przypadkowo odnalazłem. Widzę jednak, że mojem natręctwem sprawiłem panu przykrość. Przepraszam.

Zwróciłem się do odejścia.

— Odpocznij pan — odrzekł z pośpiechem. — Nie chciałem obrazić... Ale już dawno nie widziałem ludzi i nie mogę ich widywać.

Usiadłem obok niego na ławce. On umilkł i patrzył na morze wzrokiem coraz bardziej zaburzonym.

— Nie mam nic ciekawego do powiedzenia — mówił jak gdyby ze sobą. — Zwyczajne, ludzkie głupstwo.

Oczywiście, wziął mnie za jednego z owych ptaków, którzy rozgrzebują ciągle cudze życia, ażeby w nich znaleźć ziarnko lub robaka dla nakarmienia swej ciągle głodnej ciekawości.

— Nie chcę — rzekłem — wydobywać z pana więcej wyznań nad te, których mi pan sam udzielił. A dla zadowolenia osobistego wystarczy mi ogólne zapewnienie, że pan tu jesteś szczęśliwym.

— O, tak! — zawołał skwapliwie.

— Było to niewątpliwie z mojej strony zbyt samolubnem, że dogadzając szczeremu uczuciu przyjaźni dla ciebie, panie Marku, chciałem cię odwiedzić, zapomniawszy, że możesz sobie tego nie życzyć.

Spojrzał na mnie łagodnie i jak gdyby z wdzięcznością.

— Jesteś pan dobry — przemówił po chwili cichym głosem — a dobrzy ludzie najlepiej rozumieją innych, bo są głębszymi filozofami, niż mędrcy.

Uśmiechnął się lekko i dodał:

— To proste: dobroć na świecie jest, a mądrości niema.

Zadumał się i znowu zaczął snuć głośno swoje myśli, nie odejmując oczu od morza.

— Przyszedł czas takiego przeczulenia dusz, że boli je najdelikatniejsze dotknięcie życia... Straszne cierpienie a nieuleczalne... Rozcięto człowieka, otworzono, zbadano jego wnętrze, określono chorobę i pozostawiono na stole operacyjnym... Ostatkiem sił dźwiga on się i ucieka do samotności, ażeby ona go zszyła, jakkolwiek zszyła... Tak ja zrobiłem...

Po krótkim milczeniu ciągnął dalej:

— Dziwnem jest moje zagrzebanie się w tej pustelni? A jednak nie był naturalniejszym każdy mój oddech... Wierz mi pan, doszedłem do tego, że już nie mogłem znosić nawet łąty perkalowej na sukiennem ubraniu.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Dlatego, że miłosierdzie jest samobójstwem, że...

Uciał myśl i starał się opanować wzruszenie. Po krótkiej przerwie zaczął wyrzucać słowa drżące:

— Czy pan kiedykolwiek otworzyłeś swoją litość dla jęczącej za jej drzwiami nędzy? Zauważyłeś ten tłok nieskończonego szeregu głodnych i obdartych, którzy ci wszystko zabiorą, co posiadasz i co jest twojem dobrem, którzy zjedzą nie tylko twój chleb i okryją się twojem ubraniem, ale pozbawią cię spokoju, pogody umysłu, snu, zdrowia i smaku życia? Bo odchodząc, nie pożegnają cię obrabowanego okrzykiem wesela, lecz żalem, żeś im dał mniej, niż żądali. Nie sprawiało mi to żadnej ulgi, żeś był bogaty. Dla bezdenności równie małym jest ogrom, jak drobiazg. A nędza ludzka nie ma dna. Ciśnij w jej otchłań góry ofiar, ona ciągle otwierać będzie swą żarłoczną paszczę. Z początku zdawało mi się, że ją choć trochę nasycę. Wrzucałem w nią coraz więcej, nareszeie wszystko, co mi pozostawiały najskromniejsze potrzeby — daremnie. Każdy biedak ciągnie za sobą tłuny innych biedaków, którzy mają równe z nim prawo do pomocy, a których odprawić musisz. Z obrazów i wspomnień wyłonił się powoli orszak mar, który ciągle chodził za mną, stawał przy moim stole i łóżku, który szeptał mi do uszu dręczące pytania: dlaczego jesz, kiedyśmy głodni? — dlaczego wdziewasz futro, kiedy my marzniemy? — dlaczego idziesz do teatru, kiedy my gnijemy w brudzie? Odpędzałem te cienie filozofią

gniewu, obojętności, sobkowstwa — nie ustępowały. Ażeby się od nich uwolnić, zacząłem rozdawać moje mienie bez ograniczenia i wyboru, a kiedy cisnąłem ostatnią resztkę — uciekłem tutaj, gdzie mnie już ludzka nędza nie doścignie.

Zmęczony spowiedzią, która wyczerpała wątle jego siły, uciekł, chociaż widocznie głowa jego wrzała dalej.

— Dla utrzymania życia — rzekł spokojniej — potrzebna jest bodaj jedna ochraniająca komórka egoizmu. Schroniłem się tu, ażeby ją ocalić. Nic nie mam i nic nie robię, aby niczego nie mieć i nie męczyć się bezsilnością w walce z olbrzymim potworem nędzy, który najmężniejszych zapaśników rozgniała w swych potężnych palcach. Widziałeś pan napis na starych zegarach: „wszystkie godziny ranią, ostatnia zabija.“ Zabezpieczyłem się przeciw wszystkim — ulegnę tylko ostatniej, która jest najmiłosierniejszą. Jeżeli ten koszt, który spuszczam dla przejezdnych statków, wciągnę przez kilka dni pusty, położę się na ziemi — niech ona mnie wessie. Rozpuszczę się w niej bez obawy i żalu, a mam nadzieję, że nikt po panu nie przyjdzie i nie będzie wstrząsał mojej stygnącej duszy.

Rzeczywiście, po co ja przerwałem spokojne kłótnie temu człowiekowi, który nie mógł wytrzymać bólu ofiarnej niemocy i zagoił jej głębokie rany martwą samotnością? Powstałem i podałem mu rękę.

— Życzę panu prędkiej śmierci.

— Dziękuję — odrzekł i zapatrzył się w morze.

Gdy wracałem do przystani, jakiś smutek we mnie szeptał:

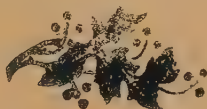
— Nasz czas ma dzieci bardzo chore i nieszczęśliwe.

SPIS RZECZY.

Damian Capenko	1
Chawa Rubin	35
Karl Krug	69
Klemens Boruta	97
Oddechy	161
Na pogrzebie	189
Woły	213
W lesie	221
Złodzieje	233
Bartłomiejka	243
Ostatni pieniądz	259
Pustelnik	275

Aleksander Świętochowski

Pisma

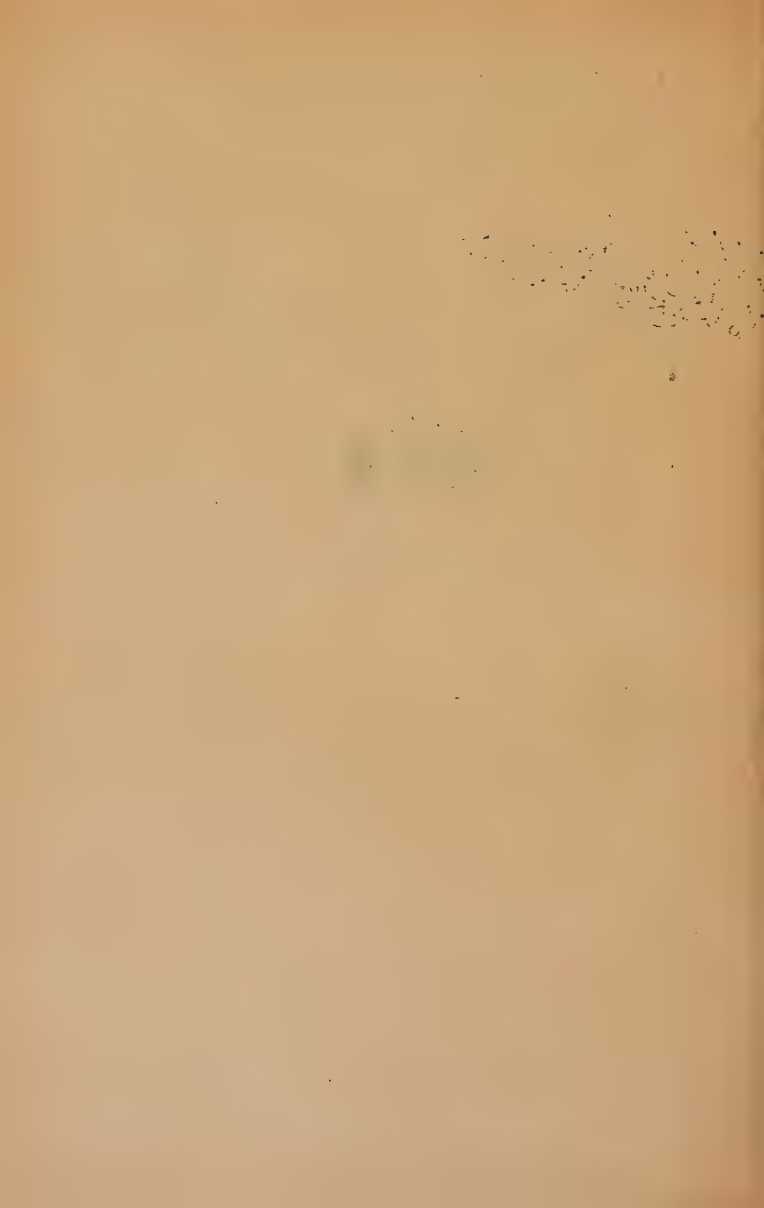


Obrazki Powieściowe.

Wydanie drugie

Warszawa

1908.



Prawda jest niemoralnością
naszych czasów.

L. Feuerbach.

1.

— Ludzisz się pani. Z pewnością nie było dotąd człowieka, któryby prawdy swych przekonań nigdy kłamstwem lub milczeniem nie osłaniał i zawsze ją odkrywał. Więcej powiem: nie było matki, któraby się odważyła takiego człowieka urodzić.

— Ja odważyłabym się pierwsza.

— Tak, jak jabył majątek Rotschilda rozdał biednym. Łatwo pani poświęcać to, czego nie masz i co ci do serca nie przyrosło — dziecko. Podobnym zapewnieniom wierzyć można tylko wtedy, kiedy one są poświęceniem na cudzy rachunek.

— Dziwaczna przesada!

— Bynajmniej, jeżeli tylko nie byłoby pani obojętnem, czy twoje dziecko udusi się w dymach chwały, czy w postronku szubienicy. Zresztą łatwo to sprawdzić przykładem. Wystawmy sobie, że pani masz małego synka, który jednego z gości pyta, jak ten przyczepia sobie perukę, drugiemu pokazuje rozpiętą kamizelkę, trzeciemu opowiada, jak mama z ciocią ośmieszały jego niezgrabność—co pani zrobisz, usłyszawszy

te szczere wyznania? Krzykniesz na malca, wyprowadzisz go z pokoju i pod surową karą zabronisz mu podobnych gadanin. Przypuśćmy dalej, że on zostanie przemysłowcem, kupcem, literatem, urzędnikiem, wodzem, ministrem, że do równych sobie, niższych i wyższych, zacznie mówić prawdę — co z nim się stanie? Jako kupiec — odstraszy sobie klientów, jako urzędnik — straci posadę, albo nawet coś więcej. Zginie on wprzód, nim mu się ustali barwa włosów. Zapewniam panią, że będąc agentem towarzystwa asekuracyjnego, nie ubezpieczyłbym jego życia. Taki człowiek — to wilk, którego wolno każdemu, na każdym gruncie, o każdej porze zabić i jeszcze zażądać nagrody.

— Zapewne, gdyby wszystkich obrażał!...

— Co to znaczy obrażał? Jemu ust nie otwierałaby złość, ale szczerość. A gdyby nawet często się pomylił, to czyż jego wina, że miał błędne przekonanie? Ale on utraciłby cześć, mienie, swobodę, życie, za słowa niewątpliwie słuszne. Pani nie uprzymniasz sobie dostatecznie, jak dalece do utrzymania budowy społecznej potrzebnem jest kłamstwo. Tkwi ono tak głęboko w naturze ludzkiej, że nawet Mojżesz nie śmiał go zabronić w swych przykazaniach. Przykazanie zaś doby obecnej wyraził doskonale Feuerbach, którego słów nigdy nie zapomnę: „Kto teraz prawdę mówi, ten jest zuchwałym i nieobyčajnym; kto jest nieobyčajnym, jest niemoralnym. Prawda jest niemoralnością naszych czasów“.

„Gdybym miał pełną rękę prawd—rzekł Fontenelle—bałbym się jej otworzyć”. Tak pani, to nie paradoks.

— Gdyby wszakże pewnego dnia wszyscy ludzie zaczęli mówić do siebie szczerze...

— Wiesz pani, co by z tego wynikło? Rewolucya—i to powszechna. Powstałaby gwałtowna walka wśród rodzin, przyjaciół, znajomych, podwładnych i zwierzchników. Jeśli do tego kiedykolwiek przyjdzie, radzę pani wyjechać i zdala przeczekać burzę.

— Masz pan więcej humoru, niż racyi.

— Bynajmniej. Wierz mi pani, że nie wytrzymałabyś przez jedną godzinę słuchania prawdy — o sobie.

— Mów pan, co myślisz, proszę.

— Pani daj przykład, wszakże jesteś ode mnie odważniejszą.

— Dobrze — tylko proszę o pobłażliwość.

— Na to się zdobędę.

2.

— Kiedy pana zobaczyłam po raz pierwszy, zrobiłeś na mnie wrażenie drzazgi, którą trzeba włożyć w ogień, ażeby się przekonać, że ona ma w sobie żywicę i pali się gwałtownie. Gdyby nie objaśnienia znajomych, dziwiłabym się pańskiej żonie, że wybrała sobie taki suchy preparat życiowy. Zwykle do naszego serca każdemu pierwsze drzwi otwiera wzrok. Jeżeli nasze oczy go powstrzymają, musi on chyba te drzwi siłą wyłamać. Pan mi się wydałeś bardzo brzydkim. Kobieta jest niezawodnie mniej zmysłową, niż mężczyzna, ale bardziej od niego wrażliwą. To też nie tylko prostej owieczce, ale nawet rozumnej emancypantce podoba się w pierwszej chwili tęgi i piękny baran. Trwa to bardzo krótko, ale objawia się silnie. Pan jesteś za chudy, za żółty, za rzadkie masz włosy i za czerwone ręce, ażebyś mógł podobać się kobiecie z wejrzenia.

— Ponieważ doświadczamy skutków prawdomówności, więc muszę wyznać, że jakkolwiek nie miałem nigdy złudzeń co do swojej urody, słowa pani kłują mnie dotkliwie.

— Wstydz się pan.

— Proszę dalej.

— Wskazując na mnie, powiedziałeś pan do jednego ze swych przyjaciół tak nieostrożnie, że aż ktoś usłyszał: „Gdyby ją puszczone na loteryę, wziąłbym bilet i pragnął wygrać.” Kobieta, jak wiewiórka: gryzie najtwardszy orzech pochlebstwa, wyłuskuje sobie przyjemne ziarno, a łupinę odrzuca. Chociaż więc uwaga pańska była brutalną, dowiedziałam się o niej z zadowoleniem i pragnęłam pana poznać. Po kolacyi usiadłeś przy mnie — mając na brodzie kawałeczek marchwi. Śmiej się pan i ja śmiać się będę, ale ta resztką jedzenia usposobiła mnie znowu złośliwie. Wszystko, coś pan mówił, wydawało mi się cudaczem, a gdyś odszedł, spytałam gospodyni domu, stojącej obok: „Czy on nie miał serwety?” — „Ale miał — rzekła przestraszona — tylko troszkę filozof.” Filozof z marchwią — wszak to zabawne!

— Istotnie.

— Nie podoba się panu to wspomnienie, ale przecie mam być szczerą. Nawiasowo zauważę, że skutkiem łamania się na pańskiej twarzy niezadowolenia z udaną wesołością wyglądasz pan teraz żałośnie. W kilka tygodni później spotkaliśmy się na wsi u mojej siostry. Nie wiem, czy pan pamiętasz naszą przechadzkę w liczonym towarzystwie do lasu, gdzie zroiły się pszczoły. Skutkiem sporu o niebezpieczeństwo drażnienia ich, pan, ażeby nas przekonać, wstrząsnął drzewkiem,

na którem siedziały. Część roju obsypała pana. Widząc pańskie skoki i chwytania się za ukąszone miejsca wśród rozpaczliwego krzyku, spłakałam się bardziej ze śmiechu, niż kiedykolwiek ze smutku. Opuchnięty pobiegłeś pan do dworu; na polu jednak pies owczarski, spostrzegłszy uciekającego, puścił się w pogoń. I znowu rozpocząłeś pan komiczną walkę, po której pies wrócił do owczarza z płatem czarnego sukna w zębach, a pan poszedłeś dalej, błyszcząc białym śladem poniesionej na ubraniu krzywdy. Ach, jakże strasznie chichotałam! Gdyby panu wówczas wystawiono pomniki w pięciu częściach świata, jabym nie przestała śmiać się, chociaż wieczorem wraz z innymi udawałam współczucie.

— Więc z całej naszej znajomości zauważyłaś pani tylko: kawałek marchwi na mojej brodzie, zabawną walkę z psem i pszczołami?

— Bynajmniej, ale opowiedziałam panu moje wrażenia, które przyzwoitość taić każe. Owszem, wyznaję, że doznawałam innych. Po długim niewidzeniu, spotkałam pana raz na koncercie, siedzącego przed nami, obok jakiejś pięknej kobiety. Mówiłeś pan z nią dużo i znacząco. Dosłyszałam kilka zdań, które mnie zastanowiły. „Nauczyłbym się po hiszpańsku — rzekłeś pan — gdybym był pewnym, że w tym języku przeczytam jakiś cudowny, na inne języki dotąd nieprzełożony, poemat. Podobnie nauczyłbym się miłości, gdybym wiedział, że za jej pośrednictwem poznam jakiś piękny, na inne uczucia nieprzełożony utwór“... „Pewne

wdzięki uczucia — zauważyła ona — tak jak pewne wdzięki poezyi poznać można tylko w oryginałach.“
„Więc dobrze — odparłeś pan — czy dla jednej książki warto się uczyć języka, a dla jednej kobiety — miłości?“
„Warto“ — odpowiedziała. „Zgoda — zawołałeś pan — ale tylko co do książek, bo one przynajmniej nie wybierają swoich wielbicieli, ale jednako należą do wszystkich. Tymczasem kobiety... Gdybym na przykład pokochał panią, na cóżby mi się to zdało? Szaleństw i daremnych westchnień nie łaknę, a wzajemności spodziewaćbym się nie mógł, gdyż ofiarowałam pani swoje serce pewnie innemu.“ — „Żegnam pana — rzekła z uśmiechem, wstając i podając rękę towarzyszącemu jej starszuskowi — bo zaczynasz rozbierać treść książki, której nie przeczytałeś i której znasz zaledwie okładki.“
Odeszła. — „Kto to?“ — spytałam pana, gdyś się do nas zbliżył. — „Już rozwódka — szepnąłeś pan — a jeszcze nie narzeczona.“ — „Ale zawsze niebezpieczna — wtrąciłam — nawet dla żonatych.“ — „Moja żona — powiedziałeś pan — kocha tylko wszystkich świętych w niebie, a księży na ziemi, w każdym razie ja do koła jej miłości nie należę i jego granicę szanuję.“ Nieopatrzna ta uwaga przekonała mnie, jak dalece przy pięknej znajomej zapomniałeś pan nawet o koniecznej wstrzeźliwości. A oczy pańskie rzucały odblask wewnętrz nego ognia, czoło fałdowało się zmarszczkami namysłu, a na ustach drgał czasami cierpki uśmiech. Uczulam zazdrość.

— O kogo?

— Zwolna...

— Nie omijaj pani pytania.

— Nie ominę. Zwolna udało mi się pana uspokoić i zająć. — „Kto rozmawiając z ładną i rozumną kobietą słucha muzyki—rzekłeś pan wesoło—ten ubliża sztuce i robi tak, jak gdyby na posągu Michała Anioła w swym salonie osadził lampę.“ — „Czy pan—spytałam—wolisz zawsze ubliżyć kobiecie w oczy, niż sztuce za oczy?“ — „Nie zawsze—odparłeś.“ — „Więc niechże się przynajmniej dowiem—zagadnęłam podrażniona—czy jestem według pana nieładną i nierozumną kobietą, czy też—lampą.“ — „Żony moich przyjaciół—odpowiedziałeś pan żartobliwie—stanowią osobną kategorię istot bez odstręczających wad i bez przyciągających zalet. Lubię je z obowiązku nawet wtedy, gdy nie lubię ich z przekonania. Albo... odwrotnie“. Szczęście, że mąż mój zajęty był symfonią i wytupywał sobie jej takt, bo byłby spostrzegł niezwykle we mnie wzburzenie. Mężczyźni inteligentni i przyjemni, o ile bywają czasem śmieszni, gdy ruszają się i milczą, o tyle są niebezpieczni, gdy siedzą i mówią. Pan zaś mówiłeś wtedy bądź namiętnie, bądź szyderczo, a zawsze tak odurzająco, że zwolna doznałam zawrotu głowy. Zdarzają się mężczyźni, do takich właśnie pan należysz, którzy nas ustawicznie, nieraz bez celu, hypnotyzują. Z ich słów dobywa się jakaś ponętna, ale ostra i upajająca woń, której kobieta oprzeć się nie może. Nie gruchałeś pan do mnie

miłośnię, a jednak, gdybyś, odprowadzając nas do domu, zażądał był ode mnie... zapomnienia o mężu, nie wiem, czy zdobyłabym się na siłę powiedzenia panu, że kłamiesz, nazywając się jego przyjacielem.

— Cóż panią uleczyło?

— Całą noc prawie spędziłam na rozmyślaniu i doszłam do wniosku, że gdyby społeczeństwo znało swych członków i ich wzajemne na siebie wpływy, powinno by usunąć jednostki panu podobne. Bo lepszy lis, niż piźmowiec, rozstrajający nerwy. Wierzyłam, że pan narkotyzujesz kobiety, nie kochając ich, nie pożądając, lecz po prostu bawisz się, napawasz je obłudą, jak szatan ludzkim grzechem. Mimo to pragnęłam pana co prędzej zobaczyć. I zobaczyłam—znowu z piękną nieznajomą. Dostrzegłszy mnie, pożegnałeś pan ją. Byłam z tego bardzo uradowaną, a jeszcze bardziej, gdyś pan rzekł: „Pytałaś mnie pani przed kilku dniami o tę śliczną istotę: jest to encyklopedia dowcipów z powieści francuskich. Rozstawszy się z nią na koncercie, poszedłem do państwa. Otóż ona dziś przypomniała mi to z uwagą, że mężczyzna, który za odchodzącą od niego kobietą nie ogląda się lub nie postępuje kilku kroków, dowodzi, że ma dla niej tylko grzeczność. Filozofia czysto paryska.”

— Ale jak pani pamiętasz doskonale moje słowa.

— Bo zazdrościłam jej... pana.

— Mnie? Dziękuję.

— Po raz pierwszy pocałowałeś pan moją rękę. Po-

całunki są to ogólne znaki algebraiczne, w które trzeba podstawić określone wartości, ażeby one coś wyraziły.

Co pan.,.

— Czego pani pragniesz?

— Czego ja pragnę... patrząc w pańską kuszącą twarz, w rozplomienione oczy, czując przytem rozkoszne omdlenie w całym ciele...

— Tak.

— Nie, nie powiem prawdy: wolę uleść pańskiej regule, niż... Przegrałam. Mąż zadzwonił. Jak to dobrze, że już wraca.

— Nie mąż, tylko... gazeta.

— Szkoda.

— Co pani właściwie grozi?

— Wstyd.

— Czego? Żeś pani nie mogła domówić całej prawdy?

— Żem powiedziała za wiele.

— Uspokoję panią, bo powiem więcej.

— Na litość — nie.

— Proszę mi nie odbierać głosu, gdyż w takim razie nasza rozmowa byłaby jedynie zwykłym romansem, nie zaś pouczającym doświadczeniem.

— Brak mi odwagi.

— Teraz ona tylko mnie potrzebna. Zresztą nie lękaj się pani: będzie to niewinna sobótką pogańska, w której nie rzucimy się w ogień, lecz przeskoczymy go. Pomogę.

— Pomożesz pau?

— Panią to zdumiewa? Sądziłaś, że padnę na kolana i wyznam moją miłość, a uniewinnię twoją? Bynajmniej. Pani nie jesteś dla mnie ani boginią, ani

grzesznicą, lecz wychowaną w kłamstwie a ośmieloną w powodzeniach kobietą, która sądziła, że wypowie bez omyłki cały alfabet prawdy a zająknęła się przy pierwszych jego głoskach. Półśłówka pani wystarczyłyby dla uwodziciela, ażeby cię mniej lub więcej zbałamucił, ale nie dla mnie, ażeby cię podziwiał. Jeżeli zaś moje oczy zdradzają namiętność, to naprzód ja jej rozkazywać umiem, a powtóre może ona być tylko powodem tryumfu dla kobiety, nie zaś — obawy dla żony przyjaciela. Chociaż, jak pani utrzymujesz — usta moje tchną piżmem rozdrażniającem, nie używałem nigdy względem was podstępu, a nie lubiłem niewinności.

— Szczególny gust...

— Bardzo uzasadniony. Większość kobiet poświęca się, błądzi, łamie wiarę małżeńską naiwnie, nieświadomie. Dzięki im, każdy zakazany owoc jest mdły lub gorzki. Zwykle romans przebiega tak: mężczyzna naciera, kobieta się poddaje, ale po każdym jego ataku wpada w smutek, a po ostatecznem zwycięstwie — w rozpacz. Wyzywa na pojedynek śmiało, ale gdy ją przeciwnik ugodzi, ona ujrzawszy w ciele ranę, rozplakuje się i woła: „nie sądziłam, że pistolet będzie nabity kulą“. Proszę pani, czy warto strzelać się z dzieckiem, które przypuszcza, że w wymierzonej do niego lufie tkwi gałka z chleba? Podobnież, czy warto rozkochiwać kobietę, która mniema, że miłość zaczyna się westchnieniem przy świadkach, a kończy westchnieniem bez świadków? Na wszystkich polach naszego życia dusi

przepiórki gromada jastrzębi, które tem chętniej rzucają się na zdobycz, im ona mniej jest świadomą niebezpieczeństwa. Są to tolerowani złodzieje kobiecej niewinności, okradający z niej pensyonarki, usamowolnione panny lub żony starych mężów. Ich ofiary giną przez prostą nieświadomość tego, że pocałunek jest żądaniem a nie zaspokojeniem żądania, że mężczyzna rzadko bywa kiperem, kosztującym tylko wina rozmaitych prób, a najczęściej pijakiem, który rozkoszne czary do dna wychyla.

— Jaki to ma związek ze mną?

— Bezpośredni. Serce pani mógłbym łatwoukraść — nie chcę. Jeżeli widzę, że kobieta, pod wpływem gorętszych słów, mimowoli mięknie, ulega i gotowa do ofiary, po której na twarzy czuć będzie rumieniec, a w sumieniu zgryzoty, opuszczam ją. Jest to małoletni, który potrzebując stu rubli, wystawia lichwiarzowi rewers na tysiąc. Istoty, które zdradzają swych mężów w wagonie lub na statku a potem, żałując za grzechy, są najwierniejszymi żonami, mogą być ponętą dla — kpów. Ja pokochałbym i poprowadził w miłości jak najdalej taką kobietę, któraby jasno wiedziała dokąd idzie i na przebytą drogę nie oglądała się z żalem. A właśnie pani do takich nie należysz.

— Natura już mnie dawno stworzyła a pan chcesz stworzyć inaczej po raz drugi.

— Pani za mało przypatrywałaś się sobie bez lustra, a kiedy ciebie zajmował kawałek marchwi na mojej

brodzie, ja natomiast śledziłem twoje słowa, uśmiechy i przemiany. Na tej samej wycieczce, która mnie narażiła, pani pozwoliłaś się okadzać swemu kuzynowi. Młodzieniec ten tak kłamał, jak dworak. Mówił np., że przypominasz mu pani Żmichowską, chociaż w usposobieniu twojem jest tyle poezyi, ile w napisanym do albumu siostry wierszyku, który wywołał to porównanie. Byłaś mu pani wdzięczną, gdyż wyczuwałaś... męża, który podczas tej chwalby nadszedł. Wtedy przekonałem się, jaką masę ocukrzonych i pachnących bredni rozumna kobieta zjeść może i jak tanio je nabywać pragnie. Zdawałoby się, że po przyjęciu wszystkich pochlebstw i umizgów owego młodziana wypłacenie mu łask uczynisz pani zależnem tylko od dogodnej sposobności. Tymczasem, kiedy on prosił wieczorem na ganku, ażebyś pani pozostała z nim dłużej, odpowiedziałaś mu: od czasu jak przysięgłam mężowi wierność przed księdzem, nie myślę nikomu ślubować miłości przed księżycem.

— Pan to słyszałeś?

— Z balkonu. Zawiedziony kuzynek wrócił do pokoju, w którym razem mieliśmy nocować, i rzekł w zachwycie: „Boska kobieta!“ — „Przeciwnie, ludzka—odrzekłem—bo miłosne sieci robi nie z mocno wiązanych oczek, ale z szydełkowych zadziernień, które każdej chwili za pociągnięciem nitki rozpruć można“. Zamyślił się, ale pewnie zapomniiał o tej uwadze, bo dowód nie

utkwi w miękkim mózgu, jak gwóźdź w najtwardszej wodzie.

— Cóż ja według pana miałam robić?

— Powiedzieć mu wprost albo: chcesz pan mnie podnieść do nieba, ażebym, upadłszy z wysoka, straciła równowagę na ziemi? Jest to dosyć dla pańskiej naiwności, ale za mało dla mojej rozwagi. Albo: kocham cię bez złudzeń i bez wstydu.

— Kiedyż ja go nie kochałam!

— Ani jego, ani artysty, przy którego skrzypcach omdlewałaś pani z upojenia, ani po nim literata, który pod twoje stopy podścielał wzorzyste kobierce tkane z wyrażeń Słowackiego i Musseta, ani innych wielbieli, ani mnie. Wszyscy wprawiali panią w miły półsen, co to rozmarzonej wyobraźni na wszystko pozwala i za nic nie karze. Świat żąda od kobiety rachunku tylko z ciała, duszę pozostawia wolną: na pierwszej uwłaszcza męża, na drugiej zapewnia służebności znajomym. Nieraz serce wasze to wspólny pastewnik, na którym i myśliwy coś upoluje i wół trawy uskubie.

— Moje także?

— Zbladłaś pani z oburzenia na samą myśl, że tak sądzę. Nie, tego nie utrzymuję, chociaż cieszy mnie chmura na twarzy kobiety, niedawno przekonanej, że przed najsilniejszym promieniem światła nie zmrużyłaby oczu. Wiesz pani, dlaczego śmiało wyzywałaś z moich ust prawdę o sobie? Bo spodziewałaś się, że ofiaruję bojaźliwie uwity bukietik pochlebstw, za co otrzy-

mam czarujący uśmiech. Szłaś pani dotąd szpalerem wielbicieli, którzy wydawali zgodne odgłosy podziwu, i gniewasz się, że ostatni w tym szeregu rozdarł ci kolecami tryumfalną szatę. Przewidywałem ten wypadek. Dopóki kobieta nosi jeden przyprowadzony warkocz na głowie, dopóki fałszuje zarówno swoje myśli mową, jak kształty swego ciała ubraniem, nie może lubić, nawet znosić prawdy. Niezbyt zaś chyba do tego zdolna jest młoda i piękna żona starego i niedołężnego człowieka, która pewnie mniej ocalenie zawdzięcza sile swojej cnoty, niż słabości dokonanych na nią zamachów.

— Dosyć, panie, to już zniewaga.

— Więc pani przypuszczasz, że przed chwilą powstrzymała cię od niebezpiecznego rzutu twoja, nie moja wytrwałość? Po cóż pragnęłaś nadejścia męża? Ja okazałem bardzo dużo mocy, bo oparłem się nietylko pokusie pani, ale nadto własnemu, bardzo gwałtownemu pragnieniu.

— Temperatura pańskich pragnień wielkiego studzenia nie potrzebuje.

— Mylisz się pani. Gdy na ciebie patrzę, po nerwach moich przebiega nieustanny dreszcz.

— Odrazy?

— Namiętności.

— Pomimo to, coś pan przeciwko mnie powiedział?

— Alboż pani moje śmieszne pląsy w potyczce z psem i pszczołami przeszkadzały pochylić się ku mnie?

Zresztą nie twierdziłem wcale, ażebyś nie była zdolną do odurzenia zmysłów...

— Na to są specjaliści, z którymi ja moralnie nie mam nic wspólnego, prócz pańskiej opinii.

— Rozumiem ten, jak wszystkie poprzednie wybuchy, bo kto prawdę mówi, przeciąga przez uszy słuchaczów oset. Nie unosi się pani, ja tak ubliżającego porównania nie robię, lecz sądzę, że mężczyzna kocha kobietę tylko zmysłami.

— Każdy i każdą?

— Bez wyjątku. Nie przeczę, że może on cenić jej rozum, szlachetność i inne przymioty, ale będzie to cześć człowieka dla człowieka, a nie miłość mężczyzny dla kobiety. Bo czy pani wyobrażasz sobie to uczucie w mężu, przekonanym, że jego mądra i zająca żona jest potwornie brzydką? Byłoby to równie niemożliwym, jak zachwycanie się szpetną rudera dlatego, że ona w sobie mieści bogatą bibliotekę lub galerię obrazów?

— Czemuż jednak kobiety wykształcone i uczciwe bardziej są kochane?

— Dla nader prostej przyczyny, że najświetniej zbudowany gmach więcej wart z biblioteką lub galerią, niż bez nich. Wartość architektoniczna, o którą kobiecie przedewszystkiem chodzi, pozostaje od tych przydatków niezależną.

— I we mnie ona panu się podoba?

— Tak. Nikt z brzoskwini nie wydziela i nie chwali

osobno rozpuszczonego w niej cukru lub woni, lecz rozkoszuje się nią całą. Również i z natury pani nie wyróżniam żadnego, nawet najeteryczniejszego pierwiastku, lecz podziwiam wszystkie razem — zmysłami.

— Ach, ciągle tylko zmysłami...

— Po co mam się tego zapierać? Przecież nie wyprosiłem sobie u natury odrębnych popędów; mam takie, jakie mi dała, jakie dała wogóle mężczyznom. Wzorem wielu mógłbym powiedzieć, że pani przejmujesz mnie szacunkiem dla twego rozumu, taktu, dowcipu i tak dalej, ale to byłoby kłamstwem. Czy pani pamiętasz, kiedy odkryto Amerykę, czy wspierasz biednych i znasz Milтона, nie wiem, ale wiem, że twoje oczy parzą, nos rozdyma się niepokojem, usta wabią, cała postać wyraża wdzięk, a obiecuje rozkosz. Trzeba nie posiadać wrażliwych nerwów, ażeby...

— Dlaczegoż mnie pan nie kochasz, bodaj po swojemu?

— Kocham — po swojemu.

— I nie żądasz pan ode mnie żadnej ofiary?

— Żadnej, bo każdą spełniłabyś pani nieświadomie i oplakała boleśnie.

— Nie chcę o tem więcej słyszeć, że mnie pan uważasz za dziecko.

— No, a jakżebyś pani poradziła sobie z obowiązkiem żony?

— Obowiązki żony? Kiedy ja... męża mego nie kocham.

— Ach, proszę pani: obojętność dla męża bywa zwykle w żonie skutkiem, a nie przyczyną wiarołomstwa. Niejedna, wychodząc na zabawę, oburzyłaby się, gdyby ją posądzono, że go nie kocha, a powracając wyznaje przyjaciółce, że go nigdy nie kochała. Przemianę taką może spowodzić jeden walc lub mazur, przetańczony z miłym chłopcem.

— Czemu pan nie idziesz konsekwentnie do kresu i ze swej gramatyki niewieściego serca nie usuniesz wyjątków? Po co mówić: „niejedna“ — „zwykle“ — „często“ — kiedy przez wstawienie wyrazów: „każda“ — „zawsze“ — reguła stałaby się okrągłą a byłaby równie niedorzeczną.

— Wtedy byłaby dopiero niedorzeczną, bo wyjątki znam, a więc usuwać ich nie mogę.

— Gdzie pan zbierałeś swoje spostrzeżenia? Chyba bardzo... nisko?

— Przeciwnie, dość wysoko. Znalazłem rzeczywiście wiele stosunków trwałych w formie, ale dużo — kruchych w istocie. Widziałem masę par, które wyglądały jak dwie książki różnej treści, oprawione w jeden tom przez introligatora — księdza. Trzymają się razem, noszą wspólny, złotymi głoskami wyciśnięty tytuł: małżeństwo, ale gdy kto uważny do nich zajrzy, niewątpliwie zobaczy, że sobie wzajemnie przeczą. mogłyby być rozdzielone i równie dobrze wejść w inne połączenia. Pani swego męża nie kochasz, a przecie dotąd byłaś formalnie wierną żoną i dla świata nią pozostaniesz,

jeżeli ktoś twoich szczerych wyznań nie podsłucha i nie rozgłosi. I czemu zawdzięczacie wasz związek? Kłamstwu. Powiedz pani dziś mężowi otwarcie, co myślisz, a jutro cię opuści. Troskliwe matki nasze wiedzą, co robią, zalecając swym córkom przyzwoitą obłudę.

— Pan strasznie wyzyskujesz kilka nieopatrznych wyrazów inoich...

— Wyzyskuje? Na co? Czy mi pani gniew potrzebny, albo przyjemny? To nie ja, tylko pożądana przez panią prawda jest tak okrutna. Ale pociesz się pani moją... regułą, która pod tym względem kobiety równouprawnia. Bo czegoż one nie kłamią? Naiwność, wiek, miłość, macierzyństwo — wszystko. Pokaż mi pani taką, która przyzna się, że kazała sobie wprawić ząb lub od miesiąca ma nadzieję zostać matką. Po tylu wiekach nieprzerwanego dziedziczenia owej wady przynosicie ją na świat w połowie jako instynkt. Często nie jest to już wyrozumowana obluda, ale nieświadomy nałóg. Pewien doświadczony uwodziciel zaręczał mi, że jego zamężna kochanka wpadła raz w straszne spazmy po setnej może schadzce, dowiedziawszy się od niego, że jej siostra z ostatnim dowodem swej miłości dla narzeczonego nie czekała ślubu. Znałem matkę, której mąż okradł małoletnich i która nie chciała wydać córki za porządnego człowieka, gdyż jego ojciec był sekwestratorem. Tylko Magdalena pokutująca nie czuje się godną rzucić kamieniem na grzeszącą.

— Więc pan chcesz, ażeby występki odsłaniał wszystkim swą nagość?

— Ja co najwyżej chcę, ażeby się nie przybierał w pozory cnoty, ażeby nie był bezczelnym i głupim. Według mnie, występkiem kobiety tak zwanej upadłej jest tylko kłamstwo.

— Pan nie umiesz prostować myśli, tylko je targać. Półgodzinną rozmową wykopałeś około mnie przepaście, pozostawiwszy chwiejną na ostrym szczycie skały, z którego nie mogę ani zejść, ani na grunt pewny zeskokczyć, a pan szydzisz z mojej omyłki, w której przypuszczałam, że dla rzucającej się otworzysz ramiona. Gdyby nie kilka wyrazów, co mnie zdradziły, śmiała-bym się z tego sofistycznego bicia, który pan na kobiety kręcisz. Teraz jestem bezbronną. Niewielki to wszakże tryumf dla pana, żeś mi zmałcił głowę; tę samą sztukę potrafi kieliszek mocnego wina. Ale... otrzeźwieję.

— Wolałbym, żeby to nastąpiło zaraz, inaczej musiałbym odejść, nie przekonawszy pani, że cię kocham.

— Po swojemu.

— Istotnie, po swojemu.

— Dowodzisz pan jak kangur, gdyby sądził, że ogon, którym się podpiera, nie jest ogonem, lecz pastorałem. Już nazwij pan sobie ten nowotwór uczuciowy, czem chcesz, tylko nie miłością, bo... odzyskam humor. To pryszczy przegimnastykowanego rozumu, ale nie popęd krwistego serca.

— A jednakże to jest rzeczywista, bo zmysłowa miłość.

— Mój panie, zmysły są ślepe, a pańska miłość chyba, nawet śpiąc, oczu nie zamyka.

— Cobyś pani powiedziała o człowieku, któryby zachwycony obrazem Madonny florentyńskiej, ukradł ją z galerii Pittich i powiesił w swoim sypialnym pokoju? Powiedzialabyś, że w nim złodziej zwyciężył estetyka. Podobnie czyni ten, kto pokochawszy cudzą żonę, uwodzi ją. Ewa, jak Adam, jest naprzód człowiekiem, może zatem posiadać przymioty ogólnoludzkie: być uczoną, dobroczynną, utalentowaną, zacną i t. d. Ale następnie jest ona kobietą, jak Adam mężczyzną, czyli istotą, która w płci drugiej budzi pewne uczucia. Jakie? Estetyczne. Kobieta brzydka, albo raczej ta, która mi się nie podoba, jest dla mnie człowiekiem; dopiero piękna, albo ta, która mi się podoba, jest kobietą. Otóż kobietę mężczyzna kochać może jedynie zmysłami, a jeśli który twierdzi inaczej, to świadomie lub bezwiednie kłamie. Za przekonywający dowód możesz posłużyć pani. Zawsze otaczał cię tłum wielbicieli; przypuśćmy, że wszystkie umysłowe i moralne zalety twoje przeniesiemy w postać jakiejś matrony lub też mężczyzny: czy ci wielbiele, którzy się dziś unoszą nad twoim rozumem i uczuciami pozostaną? Co do mnie—wyznaję, że jako człowiek jesteś pani zwykłą, ale jako kobieta—niezwykłą. Jeżeli zaś spotkam piękny obraz, dzieło natury lub sztuki, zachwycam się nim

bez myśli odebrania go właścicielowi. Czemużbym nie miał podobnie zachować się wobec cudzej żony? Zapewne czuję chęć wyłącznego posiadania jej, jak czuję chęć posiadania Madonny florentyńskiej, ale czyż nie mogę oprzeć się rozumem temu popędowi? Wobec milionu zadowoleń estetycznych, jakich doznaję, jedna chwila zwierzęcej przyjemności jest tak małą, że dla niej nie warto być podstępnyim złodziejem, unieszczęśliwiać żonę, łamać życie męża i walić na siebie zburtzoną ich rodzinę.

— Bardzo... idealnie!

— Rozumnie. Bądźmy konsekwentni. W ciągu życia może mi się podobać mężatek mniej więcej trzydzieści. Przecież chyba pani nie powiesz, że należałoby wszystkim ich małżonkom przypisać rogi. Idealnie sądząc, powinienbym wyprzeć się wszelkich po za prawym związkiem uczuć, powinienbym skłamać, że żadnej prócz własnej żony nie uwielbiam, a skrycie z każdą romansować. Byłby to bardzo czeigodny fałsz, którego nie popełnię. Ja czuję, więc mówię po ludzku, szczerze, a nie przypuszczam, ażebym kogokolwiek tem krzywdził, że nie będąc całkowicie pochłonięty przez moją świątobliwą, trądem oszpeconą żonę, znajduję estetyczną przyjemność w obcowaniu z innemi kobietami. Czasem krew gwałtownie zakipi, ale od czegoż jest rozum, żeby jej wybuchowi nie zapobiegł?

— A jednakże powiedziałeś pan, że poszedłbyś do

ostatniego krańca w miłości z kobietą, któraby była zupełnie świadomą swych czynów...

— Jeśli jest wolną—i któraby miała odwagę przyznać się temu, który jej zaufał, jeśli jest zamężną.

— Ha, ha, ha, pan byś dla prawdy świat zgubił! Jest to fanatyzm, nie liczący się z warunkami rzeczywistego życia. Chcesz pan, ażeby kobieta, mająca nieraz dzieci, do których jest przywiązana, wypowiadała się przed mężem ze swej miłości dla innego, którego również krępują te same węzły i który jej poślubić nie może; ażeby daremnie rozdarła dwie rodziny; ażeby szczerością zabiła to, co tajemnicą spokoju utrzymać zdoła — nie, to recepta dla szaleńców. A z drugiej strony nie zaprzeczysz pan, że ci ludzie mają naturalne prawo kochać się, dążyć do siebie, pragnąć wspólnego życia, tajemnych, kradzionych rozkoszy.

— To sprawa całkiem inna. Miłość pomiędzy kobietą zamężną a mężczyzną żonatym, której rozum stłumić nie może a obowiązki ujawnić nie pozwalają, jest nieszczęściem, a wszystkie nieszczęścia mają swój osobny kodeks — rozpaczy.

— Pomówimy o nim kiedykolwiek?

— Nie!

II.

Z PAMIĘTNIKA.

Na karcie 136 tego pamiętnika zapisany był następujący dyalog:

— Nigdy nie dali przyjść mi do słowa—przez całe życie!

— Może pani za dużo mówić chciała.

— I pan żartem zamykasz mi usta — to samo wszyscy robili.

— Bo nie mogę pojąć, jakim dziwnem sprzysiężeniem odbierali królowej głos niewolnicy. Chyba pani nad nimi nie panowała..

— Owszem, najwszechwładniej. Wielbicieli miałam tylu, ilu znajomych, a niejeden z nich za jedną moją łaskę dałby kawał swego honoru, gdybym tego żądała. Panowałam tak despotycznie, jak tylko kobieta piękna panować może.

— Więc coś pani przeszkadzało mówić?

— Moja uroda. Słyszałeś pan o niej, ale szukając dziś potwierdzenia cudzych sądów w siwych włosach, w przygasłym oku, w pomarszczonej skórze, nie więcej znajdujesz, niż gdybyś w zwęglonych szczątkach

obrazu odtwarzał sobie rysy spalonego portretu. Dziś jestem po za swoją młodością i jako bezstronny jej sędzia rzec mogę: byłam bardzo piękną. Nie roześmiej się pan, bo to już nie samochwalstwo w ustach kobiety, dla której życie kwitnące jest odległym snem, a śmierć—bliską rzeczywistością. Ile razy pochlebstwa mnie odurzyły, biegłam do zwierciadła i pytałam je o szczere wyznanie: ukazywało mi postać prześlicznie rzeźbiennego wykroju, głowę posągowej kształtności, twarz bez błędu, oczy tak pełne blasków, jak gdyby mocnem światłem podtrzymywać chciały niepokalaną białosć moich lic i koralową barwę ust. Nie widywałam na ciele skazy, nie uczepił się go na długo żaden pryszc. Wcześniej zwrócono mi na to wszystko uwagę, bo wcześniej zaczęła się moja niedola.

— O ile słyszałem, żyła pani zawsze w dostatku.

— Pan mnie jeszcze nie rozumiesz. Do dziesiątego roku nie umiałam czytać, a wiedzę niewiele przewyższałam ptaka, którego natura ustroiła w piękne pióra. Uświadamiano mi tylko i chwalono moją urodę.

Raz zagadnęłam pewnego staruszka, czy to prawda, że ziemia okrągła—przysunął mnie i ucałował; innym razem prosiłam młodego kuzyna matki o wyjaśnienie, czy istnieją czapki niewidymki i stumilowe buty—podniósł mnie i wycałował.

I zawsze, czy do kogoś przemówiłam, czy przybiegłam, wszyscy chwyтали mnie i całowali—całowali mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, przyjemni i obrzyd-

liwi, ach, czasem tak obrzydliwi, że aż dotknięcie ich ust zmywałam i ścierałam.

— Dotąd jeszcze nie widzę niedoli.

— I ja jej nie widziałam, bo poznałam ją znacznie później. Nie pamiętam już, jak mnie nauczono czytać, pisać i nieco myśleć. Nareszcie ojciec dał mi guwenera przychodniego i guwernantkę stałą. Miałam wówczas lat czternaście. Podczas jednej lekcji, gdy skończyłam opowiadać po francusku myt o Dyanie, nauczyciel mój, szczególnie zarumieniony, utkwiał we mnie wzrok gorączkowy. „Czy się pomyliłam?”—pytam. On milczy. Powtarzam pytanie—on dalej milczy i patrzy tak strasznie, że, drżąc z obawy, wyjąkałam: „Co panu jest?” Nagłym ruchem porwał mnie w swoje objęcia i—pocałował. Krzyknęłam przeraźliwie—z sąsiedniego pokoju wbiegł ojciec. Guwerner poprosił mnie, ażebym wyszła. Za drzwiami usłyszałam podniesiony głos ojca, a wkrótce potem wybiegł francuz, który już nigdy nie wrócił. Ukształcenia mojego dokończyła guwernantka, która pożegnała mnie zapewnieniem, że więcej umiem, niż kobiecie tak pięknej potrzeba. Czułam w tych słowach nieprawdę, ale szybko zapomniałam o niej, bo prąd wesołego życia zaraz mnie uniósł. W domu naszym zaczęło się odbywać formalne nabożeństwo: tłum kornych wielbicieli klęczał przede mną, modlił się, palił kadzidła i składał ofiary. Doznawałam wrażeń statuy na oltarzu, która, przyjmując hołdy, nie zastanawia się nad sobą. Teraz, po długim doświadczeniu widzę,

że tylko nieszczęśliwi rozróżniają ludzi według najdrobniejszych odcieni ich wartości, szczęśliwi natomiast nie podejmują tego trudu. Dla mnie wszyscy mężczyźni zlewali się w kilka zaledwie odmian: jeden był od drugiego starszy, przystojniejszy, bogatszy, ale wszyscy byli do siebie podobni, bo wszyscy powtarzali mi te same pochwlebstwa, wyrażali te same uczucia i gotowość do tych samych usług. Nie zastanawiałam się wcale nad różnicami w ich charakterze, rozumie i uzdolnieniach, żaden nie dopuścił nawet do badania się w tym względzie. Gdy nieraz próbowałam zwrócić rozmowę w kierunku poważniejszym, wplatali w nią złote nici uwielbienia lub ucinali zachwytem nad moimi wdziękami. To też jakkolwiek paru darzyłam większą, niż innych, sympatyą, było mi dość obojętnem, którego z nich ojciec dla mnie wybierze. Zwyciężył zamożny i elegancki przemysłowiec, którego żoną zostałam bez miłości, ale i bez wstrętu.

— Nikogo pani nie kochałaś?

— Trzeba być kobietą piękną i tak wychowaną, ażeby pojąć tego rodzaju paraliż serca. Istnieją osobne zakłady dla kalek, idiotów, ślepych, głuchoniemych; wierz mi pan, że równie użyteczną byłaby odrębna szkoła dla pięknych kobiet, o której dotąd nie pomyślano. Bo to są także istoty nienormalne, wyjątkowe, psute i unieszczęśliwiane w warunkach zwykłych. Nadmiernie rozwinięty przymiot tak samo narusza równowagę życia, jak wada; geniusz jest niesprawiedliwością

natury, jak idyotyzm, piękność — jak brzydota. Jeżeli zaś szczególnej opieki ze strony społeczeństwa doznają upośledzeni, czemuż nie mają do niej prawa obdarowani?

— Takiego przywileju pięknym kobietom odmówiłbym w imię publicznego... bezpieczeństwa.

— Zapewne, uroczą gęś mniej groźna od orlicy, ależ i wielki rozum, talent jest także burzycielem spokoju.

— Radbym wszakże usłyszeć, kiedy się zaczęło nieszczęście pani?

— W małżeństwie. Przeszłam na własność człowieka, który dalej modlił się do mnie, ale jednostkowe modły już nie mogły zadowolić mnie, przywykłej do bałwochwalstwa licznej rzeszy. To solo uwielbień było nudnem, zwłaszcza że nie odbijało się w mojem sercu echem miłości. Nadto mąż, prócz objaśnień o swoich interesach, niczem mojej duszy nie karmił. Często pozostawiona w samotności, zaczęłam czytać i rozmyślać. Wtedy przekonałam się, że w atmosferze moralnej ogółu istnieje wiele uczuć, któremi nigdy nie oddychałam, że w świetle umysłowym drga dużo prawd, których promienie nie przeniknęły do mojego mózgu. Opanował mnie smutek i gniew: żałowałam nieświadomie młodych lat straconych i buntowałam się przeciwko tej kolei, po której przejść miałam z resztą życia. Nie wyrażę panu dostatecznie obrzydzenia, jakie mnie ogarnęło, gdy w kilka dni potem

na balu jeden z dawnych wielbicieli ponowił mi swoje hołdy. Zatrzęsłam się zgrozą.

— Jakże mąż pani wyszedł na tej przemianie?

— Z początku wcale jej nie dostrzegł, później zauważył, że utraciłam wesołość i podwoił zabiegi w dogadzaniu najkapryśniejszym moim żądaniom, wreszcie oswoił się ze złym humorem.

— Nie mogła go pani pokochać?

— Nie, pomimo że był człowiekiem najlepszych chęci i najłagodniejszej uległości. Niewątpliwie uszczęśliwiłby każdą kobietę z umysłem nieprzebudzonym, ale nie umiał uspokoić wzburzonej, która nagle zerwała się ze snu i zapagnęła gwałtownych uniesień. Cierpiąc sama, współczułam jego krzywdę, jaką mu mimowolnie wyrządzałam. Bo ostatecznie, cóż on był winien? Miał względem mnie tylko dobre zamiary.

— Dlaczego pani jednakże nie przeciągnęła dalej swojego snu? Właściwie, prócz nazwiska, mieszkania i najbliższej zależności, warunki życia pani nie zmieniły się, a nawet przyrosła w nich nieco swoboda. Mężatka zeskakuje ze szcudeł, na których musiała chodzić jako panna, rozluźnia sznurówkę konwenansu, skraca sobie maskę obłudy, przestaje mówić kącikiem ust, przybierać uciążliwe pozy towarzyskie—słowem, używa większej wygody.

— Tak, ale to usamowolnienie obejmuje również jej myśli. Gdy pierwsze wrażenia nowego stanu uschną

jak kwiaty weselne, zaczyna ona dumać. Kobieta ślubem małżeńskim zamyka pierwszy tom swego życia, a skończywszy go, zastanawia się i przegląda w pamięci wypadki minione. Ze wspomnień wysnuwa wnioski i wróżby dla tomu drugiego, który musi być trzeźwiejszym. Od tej chwili rozumuje, jeżeli zaś, jak ja, często przebywa samotną, nie ma dzieci, a z natury posiada umysł ruchliwy — rozumuje dużo i po wielu manowcach dochodzi zawsze do jednego przekonania, że jest nieszczęśliwą. Na dnie każdej rozkoszy znajduje gorzką kroplę, rozczarowywa się z okrucieństwem, zrzuca ze swej duszy wszelkie złudzenia, ściera z przedmiotów dawnej swej sympatyj barwy jasne i nakłada ciemne. Staje się równie zapamiętałą pesymistką, jak przedtem była optymistką. Rzeczywistość nie dogadza jej niczem, bezwładność umysłowa nie pozwala osiągnąć niczego. A przytem ciągle pragnie.

— Czego pani pragnęła?

— Nie wiedziałam dokładnie, chęci moje rozpląwały się w nieokreślonym niepokoju. Z tego tylko zdawałam sobie sprawę ściśle, że większą część drogi życia przeszłam z zamkniętymi oczami, że odrazu przeprowadzono mnie z dzieciństwa na próg starości, że w piersi mojej zrodził się nagle rój uczuć i myśli bezskrzydłych, uwięzionych, które już nigdy nie wybiegną ze swej klatki, że mnie zgubiła moja piękność. Gdy mąż umarł, gdy pozostałam zupełnie samą, uwol-

nioną od obowiązków, rój ten obsiadł mi mózg i serce, zaczął je gryźć, brzęczeć, szemrać; zdawało mi się, że robaki toczą moje niegdyś piękne, a teraz gnijące ciało. Owinęła mnie wreszcie chłodnym oddechem starość; krew oziębła, tętna jej zwolniały, nie gotuje się w mojej duszy war gorących, a stłumionych pragnień, lecz ona jeszcze całkiem nie wystygła i od czasu do czasu się rozgrzewa. Ach, panie. samym domysłem nie odgadniesz, co to za męczarnia być rośliną kwitnącą w porze zimowej, drzewem, którego piękna kora opadła, a gałązki pokryły się spóźnionymi liśćmi, ginącymi w mroźnym szronie, kobietą, która straciła urocze ciało wtedy, kiedy jej duch zakwitł. Czy dla takiej boleści nie masz pan nic więcej prócz szyderstwa?

— Nie przeczę, że tkwi w niej dramat, ale jeżeli połowę życia wypełnia jakiekolwiek szczęście, to dla człowieka dosyć. Pani wymagała od losu za wiele, ażeby oba tomy napisał wesóło. Byłaby to powieść nie — ludzka.

III.

SAM W SOBIE.

Ależ ja jestem dziecinny, głupi, niewdzięczny przypadkowi, który mnie tu przywiódł! Miotam się, jak zwierzę w klatce, której wszystkie ściany są otwarte. Przecież potrzebuję tylko iść ciągle w jakimkolwiek kierunku, ażeby wydobyć się z tej puszczy i trafić na jakąś drogę, która mnie zawiedzie — och! — z pewnością zawiedzie do ludzkiego stada. Otóż nie ruszę się, pozostanę tu, skoro znalazłem siebie, siebie całego. Tak, tu dopiero jestem Jakób Czarski, tylko Jakób Czarski, bez żadnych dodatków. Tam wyglądam jak słup starego zamczyska, na którym byle kiep wycina lub wypisuje swoje nazwisko. Tu mogę zeszkrobać z siebie te wszystkie napisy. Nie jestem ani kontrolerem kuponów, ani podwładnym Nadymalskiego, ani mężem ciała, owiniętego w jedwab, wełnę i len, a całującego mnie namiętnie w kieszeń, ani ojcem ciałek, stanowiących orkiestrę rodzinną, ani lokatorem Diamantenbarta, tylko Jakóbem Czarskim. Nie — ja tu nawet nie jestem Jakóbem Czarskim, bo mogę zapomnieć, że przed 30 laty zostałem ochrzczony i otrzy-

małem imię Jakób, że mnie spłodził Izydor Czarski, a urodziła Tekla z Chmurskich. Tu mogę być bezimienny, bezżenny, bezdzietny, bez rodowodu, urzędu, paszportu, metryki, bez żadnych związków, tytułów, opinii przyjaciół i wrogów, jak ten dąb, który nie nazywa się, nie jest zapisany w żadnych księgach i nie określony w swych stosunkach do innych drzew. On jest coś, a ja ktoś — człowiek, oderwany od wszystkiego i wszystkich. Ach, jak to dobrze wyluskać się z tej skóry społecznej! Dusza mi się rozpręża, wyciąga, czuje w sobie swobodny obieg myśli, jak gdyby dotąd była nogą chinki i wyjęta została z drewnianego trzewika. Tu się położę, odetchnę pierwszy raz w życiu nieprzyguńcioną piersią. Jakże przyjemnie, błogo... Ha, ha, ha, kręć się tam daleko tumanie ludzkiego kurzu, zgarniaj liście, piasek, badyle — nie mnie nie obchodzisz. A jeśli któryś z twoich pyłków zauważy i zaniepokoi się tem, że Jakób Czarski podczas wyprawy myśliwskiej przepadł gdzieś w lesie — mniejsza o to. On leży sobie sam, bezpieczny, spokojny, wyprzeżony z wszelkich chomąt, odcięty od wszelkich zależności.

Czego ta sroka tak zaskrzeczała? Zapewne sądzi, że zacząłem się na nią. I ona dała mi jakiś tytuł — mordercy. Jaszczurka także uciekła. I ona przypuszcza, że ją chcę zabić. Nie bójcie się, zwierzątka — ani myślę być dla was wrogiem. Używać będę rozkoszy poczucia siebie samego.

Chyba nigdy nie miałem ani godziny takiego wyzwolenia. Pamiętam, wszedłem do pokoju, w którym siedział ojciec ze swoim znajomym. Mój syn — rzekł do niego — uczeń trzeciej klasy. Ani słowa o mnie, tylko o tych, do których należę—o sobie i o szkole — jak gdybym sam przez się nie istniał. Pokazując mu swoje ciele, nie byłby powiedział: oto jest moje ciele, przed miesiącem odsadzone od matki i umieszczone w trzeciej przegrodzie obory, lecz: jest to ciele holenderskie, trzymiesięczne, waży 150 funtów i posiada cechy swojej rasy. Tak działo się zawsze. Dla sióstr byłem jedynie bratem, dla towarzyszków — kolegą, dla służby—paniczem. Kiedy wreszcie wyszedłem z uniwersytetu i rozpocząłem życie samodzielne, zdawało mi się, iż zostanę uznany za istotę odrębną. Wkrótce jednak rzeczywistość potargała mi to złudzenie. Przedstawiony na balu jakiejś pannie, obróciwszy w walcu kilka razy ją koło siebie, a siebie koło niej, wybiegłem do drugiego pokoju, ażeby się ochłodzić. Po chwili słyszę przez kotarę, jak moja tancerka mówi do gospodyni domu:

— Wiem, że Jakób Czarski, ale to mnie jeszcze niczego nie uczy.

— Skończył uniwersytet, bardzo inteligentny chłopiec.

— No dobrze, ale kto on?

— Kandydat prawa.

— Ach, Boże, co za jeden?

— Pomocnik sekretarza w Towarzystwie kredytowym.

— Teraz rozumiem.

Chciałem wybiedz do niej i powiedzieć: A ja nie rozumiem, dlaczego głowa pani nie rośnie na kapuścianym zagonie.

Dziś jeszcze bardziej, niż wówczas, nie dziwię się temu, że uczułem obrzydzenie do życia, w którym, zamiast odzyskiwać, coraz bardziej traciłem osobowość. A przecież, jakże ojciec wytrzeszczył na mnie oczy, gdy mu wypowiadałem się z tego smutku i poprosiłem go o 200 rs. na wyjazd za granicę dla „odnalezienia siebie.”

— Mój chłopcze (znowu „mój”) — rzekł — ty nie zgubiłeś siebie, ale swój rozum, który istotnie powinienś odszukać.

Mimo tej przestrogi pojechałem. Łotr konduktor, jak gdyby chciał mi zatruć ostatnią chwilę pobytu w kraju, bąknął na przedostatniej stacyi do nadkonduktora, wskazując mnie:

— Od tego pasażera nie odebrałem biletu, bo ma zagraniczny.

Dla niego byłem tylko pasażerem.

Ryba w wodzie nie oddycha tak lekko, jak człowiek, pragnący być sobą, w zupełnie obcym otoczeniu za granicą. Tam nikt nie wiedział, że jestem Jakób Czar-ski, syn Izydora i Tekli, brat Wikci i Mani, kontroler kuponów, lokator Diamantenbarta, każdy spotykał

człowieka, a gdy z nim porozmawiał, przekonywał się, jakiego człowieka. Nawet gospodyni, u której wynajęłam pokój w Berlinie, dzięki oporowi gardła, które nie pozwalało jej wymówić mojego nazwiska, nie oznaczała mnie żadnem mianem. To też błogo mi było w mojej bezimienności i beztytułowości. Doznawałam upajającej rozkoszy, rozmawiając przez kilka godzin w galeryi pocztamskiej z jakimś Niemcem. Ale on nie wytrzywał.

— Jestem już zmęczony — rzekł — chodźmy do pobliskiego ogródka, tam przy piwie dokończymy naszej gawędy.

— Dobrze — odparłam — ale pod warunkiem, że obaj nie wymienimy między sobą wzajemnych mel-dunków. Ja nie chcę wiedzieć, jak pan się nazywasz i kim pan jesteś, a pan nie pytaj mnie o to.

Jak on na mnie spojrzał naprzód ze zdziwieniem, a potem z podejrzliwością!

— Przyjechałam tu, ażeby obcować z ludźmi tylko jako z ludźmi.

Zdawało mi się, że w oczach jego wyczytałam uwagę: albo lotr, albo dostojnik, podróżujący *incognito*. Poszedł jednak na piwo i rozprawiał ze mną chętnie, a nawet przy pożegnaniu wyraził pochwałę dla mojej inteligencji. I byłaby nasza znajomość rozwinęła się bardzo ładnie, gdyby był nie zwierzył się z niej swoim przyjaciółom i gdyby oni mnie nie zaczęli obserwować w knajpie, gdzie ze mną spędzał parę godzin. Ucie-

kłem z Berlina, bo musiało wyjść na jaw, że jestem Jakób Czarski, kontroler kuponów itd.

W Hadze siedziałem tak bezimienny, jak każdy z serów, leżących tam na olbrzymich kupach. Byłoby mi tam lepiej, niż krabowi na dnie morza, gdyby...

Czyż ciągle mam cierpieć przy tem wspomnieniu? Czy nawet wtedy, gdyby niedogaszona przez śmierć iskierka życia roztlila się przypadkiem w moich popiołach i gdybym po stu latach leżenia w grobie odzyskał na chwilę świadomość a z nią pamięć, czy i wtedy to wspomnienie byłoby dla mnie boleścią? Dziwnie mściwa jest miłość. Ona swej krzywdy nigdy nie zapomina i nie przebacza. Nie pozwala czasowi zagoić swojej rany, otwiera ją i pogłębia coraz bardziej, zjawia się widmem podczas każdego wesela i mówi ze strasznym wyrzutem: ty się śmiesz? Jeżeli kochałem a los przygniótł i rozmiażdżył brutalną stopą moje serce — powinienem jeszcze za to cierpieć? Odejdź stąd, nielitościwa maro, ja w tem pustkowiu chcę być sam z sobą, zupełnie sam! Znęcasz się nade mną, jak gdybyś była upiorem zamordowanej przeze mnie ofiary, a przecież ja pragnąłem tylko obdarzyć ją wszystkim dobrem, na jakie miłość moja zdobyć się mogła. Ach, czemu to uczucia nie przesuwają się przez naszą duszę, jak te białe obłoczki po niebie! Płyną i znikają, nie pozostawiając za sobą żadnych śladów — wspomnień.

Na pozór wydaje się to najpospolitszą i powszechnie

wykonywaną regułą: trzeba chcieć. Bo wszakże wszyscy ludzie czegoś żądają i do czegoś dążą. Tymczasem chcieć istotnie, nie zrzec się swego pragnienia wobec żadnej woli, usiłować przebić niem wszelkim mur, ginąć w walce z ostatniem jego słowem na ustach, chcieć dopóty, dopóki życia starczy lub dopóki cel nie zostanie osiągnięty—umieją tylko natury wyjątkowe. Większość ludzi uczuwa i wyraża swe zachcenia jak dzieci, którym dość zaprzeczyć, pogrozić na nosie lub pokazać różgę, ażeby odstąpiły od swego zamiaru i zapomniały o nim. Silną i niezłomną wolę mają tylko bogowie lub ich wcielenia na ziemi; jest ona tak nieczłowieczą, jak wszechmoc.

I ja chciałem, ale marnie, mięko. Nie jak sztylet, który przebija wszystko, dopóki na twardym oporze się nie złamie, ale jak szparag, który włazi w otwarte usta, a na zamkniętych się zgina. Gdybym był miał hartowniejszą wolę, z pewnością byłbym okaleczył kogoś i siebie, ale doznał przyjemności bólu. Głupcy! Lubimy jeść chrzan, paprykę, gorczycę, które nas szczypią w język, ale sprawiają zadowolenie, a nie umiemy zadać sobie wielu bólów rozkosznych. Mam na swe usprawiedliwienie tylko jedno: miłość serc małych i płytkich rodzi się odrazu dojrziała i roztropna jak dzikie kaczę, które z jajka wypływa na wodę; miłość serc wielkich i głębokich rodzi się jak bezradne i niedołężne niemowlę, które musi być pielęgnowane i karmione. Człowiek zakochany, to robak w podnózu

góry, którą próbuje podnieść. Wie on, co należy zrobić uczuciem, ale nie wie, jak użyć rozumu. Wtedy zawsze powinien sobie pożyczyć cudzego. Ja miałem tylko swój własny.

Ile to tajemnic kryje się w jednej wymianie spojrzeń ludzkich! Nie patrz na mnie maro, zlituj się!...

Zapewne, mężczyzna, pragnący poznać się nie z Marysią lub Kasią, która go uwolni od rekomendacyi szeregowej i poprzestanie na widoku jego wąsów, spodni i tużurka, lecz z damą, musi odkryć co najmniej swoje nazwisko, ale może przecie wśród miliona znaleźć jedną, która go uwolni nawet od tego obowiązku. Przystąpić do kobiety z „towarzystwa“ i powiedzieć jej, wyraźnie lub domyślnie: ja panią chcę znać, lecz proszę nie pytać mnie, kim jestem — to beczelna zuchwałość wobec wszystkich, tylko nie wobec jednej, która ma takie samo życzenie. Dlaczego odgadłem, że ta piękna, strojna, poważna smutkiem, na którym nieraz czarowny uśmiech połyskiwał, zapatrzona codziennie w migotliwe fale morza, jest tą przeze mnie pożądaną i poszukiwaną? Doprawdy nie wiem. Kształtnie jej wygięta kibić, blada twarz, czarne rzęsiste włosy, szare oczy mówiły mi tylko, że jest cudowna. Wszystkie te uroki nie wyrażają żadnych zasad, nie znamionują nawet usposobienia. Mimo to, gdy ją wzrok mój objął i ucałował siedzącą na ławce szeweningskiego bulwaru, rozlało mi się po duszy radosne przeczucie, że mogę odezwać się do niej, nie

zlizawszy wprzód językiem objaśnień mego paszportu.

Przypuszczam, że na wszystkich mężczyzn, którym się podobała jakaś nieznajoma kobieta, towarzyszące jej dziecko sprawia wrażenie żałobnej krey, która ostrzega: nie zbliżaj się ze swawolną lub nieprawą myślą. Ja w tym malcu, skaczącym koło matki z piłką, widziałem groźnego anioła z ognistym mieczem, który strzegł mi wejścia do raju. A przecież on mi otworzył bramę. Piłka, odskoczywszy od ziemi, uderzyła mnie w głowę. Chłopiec uciekł, a gdy ja podniosłem piłkę, ona rzekła z wdzięcznem zakłopotaniem (po niemiecku):

— Przepraszam pana, bardzo przepraszam.

Coś wybąknąłem i wróciłem do swojej ławki, wyrzucając sobie niezdolność wyzyskania sposobności. Chłopiec odbiegł w przeciwną stronę i cisnął piłkę, która wpadła w morze. Zszedłem schodami bulwaru na dół, wydobyłem ją i oddałem matce.

— Pan zbyt dobry dla mojego syna. Dziękuję.

— Za co? On mi przed chwilą wyświadczył usługę, teraz ja jemu.

— On... który uderzył pana piłką?

— Tak.

— Nie rozumiem.

— A to proste. Gdybym przedtem zdjął kapelusz i powiedział, jak się nazywam, kim jestem, zkad pochodzę, oddaliłaby się pani stąd, nie rzekłszy do mnie

ani słowa. Tymczasem drobny wypadek przełamał zapory konwenansu.

— Nie usunął mi jednak potrzeby dowiedzenia się, z kim mam przyjemność...

— Dotąd przyjemności nie ma pani żadnej... Jestem zaś człowiekiem.

— Widzę, ale to za mało.

— Naturalnie, jeżeli pani przyzna mi łaskawie prawo rozmowy przy spotkaniu tutaj lub gdzieindziej, dostarczę o sobie szczegółów więcej.

— Dlaczego pan mnie wprowadza w kłopotliwe położenie?

— Bynajmniej. Z oczu pani przegląda rozum, łatwo więc pani uwzględni moje usprawiedliwienie się. Posiadam narodowość, nazwisko, tytuł — wszystko, co potrzebne dobrze zarejestrowanemu obywatelowi kraju; ale ponieważ w tych przydawkach zewnętrznych ginie moja wewnętrzna istota, o którą nikt nie pyta, zapragnąłem więc przez kilka miesięcy żyć wśród ludzi obcych tylko jako bezimienny człowiek. Pozwól mi pani wobec siebie dogodzić temu pragnieniu, jeżeli umiesz być miłosierną i nie skąpisz małego ustępstwa dla zrobienia komuś wielkiego zadowolenia. Nie miej pani żadnych obaw — moja legitymacja moralna jest w zupełnym porządku.

Oczy jej błysnęły ciekawością.

— W tak młodym wieku masz pan już tak stare dziwactwa.

— Mnie się zdaje, że takie dziwactwa objawiają się silnie tylko w młodości. Dusza stara nosi już na sobie skorupę żółwia, której ani rozbić, ani zrzucić nie może. Sądzę zaś, że wszyscy ludzie lepsi bodaj raz w życiu uczuwają chęć ukazania się innym bez przypadkowych osłonek. Czemużby człowiek miał posiadać mniej dumy, niż orzech, który wyłuskuje się z zielonej powłoki i twardej łupiny, ażeby w ziemi kiełkować? Człowiek, ukrywając w takiej łupinie różnych nazw i tytułów swoje jądro, nie tylko często je skazuje na zeschnięcie, ale obrzydza się innym. Przypuśćmy, że pani nazwie się córką arystokraty, ja zaś synem demokracji — od razu staniemy wobec siebie na wrogich stanowiskach, pomimo że możemy wyznawać jednakże zasady społeczne. Przypuśćmy dalej, że pani jest Niemką a ja Francuzem, natychmiast zaczniemy się nienawidzić, chociaż...

Utkwiwszy wzrok w ziemi, westchnęła.

— Ma pan dużo racji,

— Czyż więc nie lepiej, ażeby nie arystokratka z demokracją, Niemka z Francuzem, ale człowiek rozmawiał z człowiekiem? Volapük wyśmiano, a jednak tkwi w nim wielka idea. Język powszechny pozwoliłby ludziom zataić swoje pochodzenie. Kiedyś był nim łaciński — i wtedy studenci najrozmaitszych narodowości w Padwie lub Pradze stanowili jak gdyby jedną rodzinę. Dziś dzielią się na związki, kółka, stowarzyszenia narodowe — i szczerzą do siebie zęby,

jak psy z różnych bud. Francuz warczy na niemca, irlandczyk na anglika, słowak na węgry, nie tylko w swoim domu, ale wszędzie. Gdyby przynajmniej, spotkawszy się gdzieś daleko, zaczęli wzajemnie widzieć w sobie ludzi. Volapük by to sprawił.

— Wątpię. On przecież nie wyprostowałby zgiętych nosów i nie zwinął obwisłych warg.

— Europejczycy tak dalece się zmieszali i upodobnili, że bez pomocy nazw nie zdołaliby podzielić się na szczepy. Zresztą pojmują i uznają wstępną rasową, jeżeli jest uczuciem szczerem, naturalnem, niewzbudzonem sztucznie, jak odraza ptaka do ryby.

— Och, to wystarczy, aby się wzajemnie pokąsać.

— Zapewne, ale przynajmniej nie tak często i nie tak zajadle. Ludzie nie uświadamiają sobie, o ile są niewolnikami wyrazów, które wywierają na nich wpływ hipnotyzujący. Gdy usłyszą: to jest książę — zaraz dostrzegają wytworność, to szewc — zaraz uderza ich ordynarność, to włos — zaraz czują żar temperamentu, to żyd — zaraz przeczuwają szachraja. Niech by zataili przed sobą te nazwy i spróbowali je odgadnąć, szewc zostałby uznany za księcia, a żyd za włoska.

— Czy na pana wyrazy nie oddziałują wcale?

— Nie.

Nadeszła jakaś wysoka, niemłoda kobieta, która zamieniła z nią kilka słów po angielsku.

— Jak to dobrze, że pani używa drugiego języka — zaciera to jeszcze bardziej ślady dla domysłu.

Uśmiechnęła się, skinęła mi głową i odeszła z towarzyszką. Straciwszy ją z oczu, dostrzegłem w moim sercu, w którym jak gdyby rozglądała się uważnie i smutnie. Ja jednak byłem wesół.

Dlaczego nazajutrz przyszła na to samo miejsce? Dla morza, dla powietrza, czy dla mnie? Nigdy nie pytałem jej o to, chociaż jestem pewien, że ją przyniosła tajemnicza nie, która się między nami sprędała.

O tyle z położeń i usposobień byliśmy do siebie podcni, że nie potrzebowaliśmy się wzajemnie wywierać z dotychczasowych stanowisk, ażeby się zbliżyć i raczej stawialiśmy, niż usuwali między sobą przeszkody. Po paru tygodniach byliśmy oddzieleni od siebie już tylko własną wolą.

— Czy pani nie męczy ta nasza... nieznajomość?

— Tak, męczy mnie sprzecznością uczuć. Co chwila doznaję wielkiego zadowolenia i silnej trwogi. A pan?

— Ja tylko zadowolenia!

— Jesteś pan i będziesz szczęśliwszym ode mnie.

— Co mam zrobić, ażeby nie posiadał tej przewagi, której sobie wcale nie życzę?

— Rozdmuchnąć tę mgłę, na której się kołysz, zawieszona w przestrzeni.

— Więc mam się nazwać dokładnie?

— Nie.

Mimo pozornej nieruchomości stosunek nasz rozwijał się i postępował tak szybko, że oboje czuliśmy jego ruch i widzieliśmy przysuwający się moment, który nam każe albo rozbiec się, albo rzucić się sobie w objęcia. Dreszcze, jakie mi ta myśl sprawiała, uspokoiłem wreszcie śmiałą uwagą: dlaczegóżby miłość nie miała się urodzić z ludzi bezimiennych, którzy zataili przed sobą tajemnice swych książeczek legitymacyjnych? Postanowiłem przyspieszyć akt ostatni.

— Dwa miesiące otwieramy sobie codzień nasze serca i umysły; chyba już możemy postawić przed sobą pytanie: co nas łączy?

Zbladła i opuściła głowę na pierś falującą.

— Mnie czaruje piękność pani, twój wdzięk, twój czysty rozum, twoje gorące uczucia. Ja ciebie kocham— a ty?

— Co się ze mną dzieje!... Nie... niepodobna w takich warunkach... Ulituj się pan nade mną... Zdejmijmy już maski.

— Nie.

— Więc dobrze, kocham cię, kocham jak spełnienie marzeń, jak ukojenie długich tęsknot duszy... Miłość ta oślepia mnie splotem jakichś różnobarwnych błyskawic, odurza chórem upajających głosów a jednocześnie topi w ciemności i rozdziera krzykami. Oddałam jej moją wolę, weź obie i zrób z niemi, co chcesz.

— Przyjdź jutro do parku, tam zamienimy pocałunki zamiast obrączek.

— Przyjdę, a ztamtąd zaprowadź mnie nawet w piekło.

Wziąłem ją za rękę i umilkliśmy.

Nagle drgnęła całą postacią.

— Mój mąż!...

Aleją od strony miasta zbliżał się ku nam wysoki, gruby mężczyzna, prowadząc za rękę jej synka. Rude włosy, krótko przycięte, otaczały twarz piegowatą, z dużymi i wysuniętymi naprzód zębami, z obwisłym i zgarbionym nosem. Zdala zawołał (po polsku):

— Jak sze masz, Klarczu... Niespodziewany—co? Pochwycił ją w kosmate łapy i wycałował.

Wstałem z ławki i bez ukłonu odszedłem. Nie umiałbym sobie wyjaśnić, czy to zrobiłem z polityki, gniewu, czy głupoty. W każdym razie byłem wściekły nie z powodu udaremnionej schadzki, ale skutkiem tego, że zawieszony pod niebem balon, w którym siedzieliśmy zakochani, został brutalnie ściągnięty na ziemię. Tajemnicza zasłona, która otaczała nasze szczęście, przedarła się. Już wiedziałem, że jest mężatką, żydówką polską, pewnie warszawianką. Żydówka? Natychmiast obskoczyła mnie cała gromada przesądów, uprzedzeń, od dzieciństwa nabywanych wstrętów, ohydnych postaci — wszystko to krzyczało, drwiło, szydziło ze mnie piekielnym chichotem. Uciekam—a ta kocia muzyka za mną."

— Dzień dobry!

Staję — oglądam się. Znajomy warszawski łobuz salonowy.

— Przepraszam, że zatrzymuję... Byłem cierpliwy przez kilka dni i tylko obserwowałem pana. Ale w tej dziurze takie więzienne nudy!... Nie dziwię się, że pan oblegasz Rosenbauchową... Tu ona możliwa, nawet pożądana, bo ładna i smaczna. Najlepszy znawca, nieuprzedzony, nie odczułby w niej cebuli. Udała się? Trzeba zakończyć... W Warszawie niepodobna utrzymywać znajomości z żoną lichwiarza i córką stręczycielki.

Nie powstrzymywałem tych słów, wylatujących z jego ust, jak z armaty pękające bomby, które, oświeciliwszy mnie na chwilę, rozrywały. Pozwoliłem mu podrzeć moją niewiadomość aż do ostatniego strzępka. Być może, iż któreś z tych słów padło w jej uszy, bo, odchodząc, spostrzegłem, że niedaleko stała z mężem.

W dwa miesiące przeczytałem doniesienie o jej śmierci.

Kto ją zabił? Choroba, czy ja? Kto nasz związek rozerwał? Straszne, nielitościwe więdźmy i zmory społeczne, czy ja? Duchu jej, który mnie ciągle nawiedzasz i patrzysz na mnie swoim smutnym wzrokiem, odpowiedz! Dotąd nie jestem pewien, czy cierpi moje serce, czy też sumienie. Kochałem i chciałem za mało!

Słyszę wołania.

— Panie Jakóbie! Panie Czarski! Panie kontrolerze! Mężu! Ojcze!

— Jestem tu—idę, idę!

— Brzmij lesie moimi tytułami, ale milcz o moich myślach i uczuciach.

IV.

MOJA GŁOWA.

W bogatej spuściźnie skłonności i uzdolnień, jaką człowiek, przychodząc na świat, otrzymuje po swych wszystkich przodkach, zdaje się, brak dotąd instynktownego ograniczania swojej swobody. Dziecko ją lubi, może bardziej nawet, niż ci wszyscy, którzy za nią życie poświęcają. Ile ono cierpi przy każdym uderzeniu się o twardy warunek bytu, przy każdym wciśnięciu się w konieczne jego formy!

Zobaczyło w zwierciadle swoją postać — biegnie do niej z uśmiechem i gdy chce pocałować własne odbicie — rozbija kosztowną płytę szklaną. Za szkodę ponosi karę, która mu raz na zawsze zapowiada, że zwierciadeł rozbijać nie wolno nawet dla pocałowania swego obrazu. Ujrzało świeże, rozwinięte w doniczkach kwiaty — zerwało je i przystroiło sobie główkę. Skrzyczane za to lub otrzepane, dowiaduje się, że kwiatków z doniczek zrywać nie wolno. Chociaż wszakże pozwala nakładać sobie pęta nie odrazu, oswaja się z niemi i usiłuje odzyskać straconą wolność. I ja robiłem to, co zapewne robią wszystkie dzieci: kryłem

się w jakiś kąt, jakieś ustronie i tam dogadzałem swoim pragnieniom w przekonaniu, że mnie nikt nie krępuje. Skromne to były pragnienia — kodeks ich nie ograniczał, katechizm nie potępiał, tylko nauczyciel prześladował. Bo cóż naprzykład kodeks albo katechizm mogą mieć przeciwko wykręcaniu na wiosnę fujarek? Nauczyciel, który nie znosił uśmiechu na mojej twarzy i tak skwapliwie uciszał wszelką moją wesołość, jak gdyby cała natura wraz z ludźmi wiecznie spała, a ja ją hałasami budził — ten srogi mistrz surowiej mi zabronił obcinania gałązek z wierzby, niż Bóg pierwszym rodzicom owoców z drzewa wiadomości. Zazdrościłem naszemu kozłowi przywileju łażenia po wszystkich wierzbach — ale poddałem się zakazowi.

Razu pewnego, zrozpaczony i podrażniony ustawicznymi napomnieniami, uciekłem w pole z zamiarem swobodnego udawania głosu sowy, którego mnie pastuszek za dwa jabłka kryjomo nauczył. Lipcowe słońce zlewało na mnie potoki gorących fal, które wsiąkały w odzież, w ciało. Zrzuciłem kapelusz, zrzuciłem zwierzchnie ubranie i, niosąc je w ręku, biegłem — dokąd? Gdziekolwiek, aby tylko poza granicę czujności mojego nauczyciela. Przede mną rozciągał się obszerny łąn zboża. Wszedłem w sam środek niwy i położyłem się śród wysokiej pszenicy. Cisza — kłosa nawet nie drżą. Czasem zaszeleści konik polny lub zawiśnie na słomie biedronka —

zresztą milczenie. Po chwili przesunął się sąsiednią bruzdą sznurek młodych kuropatw, które, spostrzegłszy mnie, pisnęły i znikły. Odtąd już nie nie zakłócało mojego spokoju, a drobne szmery uwydatniały mi tylko głębokość ciszy. Zapatrzony w niebo, którego błękit wybielił się światłem słonecznym, rozmyślałem:

— Jakże ja tu jestem szczęśliwy, swobodny! Ani ten konik polny, ani ta biedronka, ani nikt nie zabroni mi, czego zapragnę! Mogę śmiać się, płakać, uciąć sobie nos, mogę naśladować sowę...

I złożywszy ręce, huknąłem.

Ale w tejże chwili huknął nade mną gruby głos:

— A ty...

Dalszy ciąg tego grzmotu pomijam, gdyż jeśli biografowie moi zechcą ułożyć słownik wymysłów, jakimi mnie przez życie obrzucono, znajdą cały materiał w krytykach pewnej części prasy warszawskiej i nie będą potrzebowali badać, czem mnie uraczył ekonom folwarku, do którego należała pszenica.

Wróciłem do domu. Stojąc pod szluzą łajañ rozniewanego nauczyciela, czułem jeden tylko smutek: stratę kotliny w zbożu, którą uważałem za schronisko wolności.

Szukałem później podobnych schronisk nieraz i tem usilniej, że z wiekiem ścieśniała mi się ciągle przestrzeń swobody. Jak wszyscy ucywilizowani członkowie mojego rodzaju, zostałem pomału niewolnikiem:

krochmalonych kołnierzyków, krawata, dobrego tonu, grzecznego kłamstwa, tradycyjnego obyczaju i innych praw, na których „się opiera ustrój społeczeństwa“. Każdy dzień, niemal każda godzina wydierała mi jakąś część woli. Daremnie wieczorem zamyślałem się w moim pokoiku i, chodząc po nim, usiłowałem odzyskać stratę — mieszkający na niższym piętrze gospodarz poprosił mnie przez stróża, ażebym przerwał te nocne spacer, które mu spać nie dają. Na uczęszczanych ulicach zastępował mi drogę żebrak, na bezludnych rzezinieszek, w mieście najeżdżał mnie pędzący powóz, za miastem gonił pies, a wszędzie nie opuszczały zwyczaje i przepisy, które tamowały wszelki mój krok. Kiedyś w ogrodzie publicznym dla ochłodzenia czoła zsunąłem na tył głowy kapelusz.

— To zapalony kankanista — szepnęła jakaś strojna dama do swego towarzysza.

Zatęskniłem do innych krajów, które znałem z opisów i opowiadań jako dziedziny ziemi obiecanej. Wyjechałem za granicę. Na komorze splądrowano mój kuferek, ale nie zapytano o paszport. W pierwszym wszakże hotelu musiałem na blankiecie policyjnym opisać się ze wszystkich stron.

W Pradze czeskiej wziąłem z kolei na plecy tłómaczek dla przekonania się, czy tam wolno zrobić takie nadużycie porządnie odzianemu człowiekowi. Z przyjemnością zauważyłem, że nikt mnie palcem nie wytyka i nie szydzi, że żaden reporter nie wypię-

suje sobie tego „wypadku“ ku zabawie swoich czytelników. Położyłem kuferek i usiadłem na nim. Nikt nie stanął przede mną zdumiony lub rozśmieszony. W hotelu obeerzano mnie starannie, ale dano pokój.

— Śliczne miasto! — pomyślałem. Nazajutrz zagadnąłem kogoś z przechodniów po czesku. Odburknął i poszedł dalej. Zagadnąłem drugiego po niemiecku — kolnął mnie wzgardliwem spojrzeniem i także poszedł.

Ha, i tu nie raj, i tu wola człowieka podskubana! Trzeba jechać dalej!

Na jednej stacyi śląskiej musiałem kilka godzin czekać następnego pociągu. Było święto — przed dworcem stała gromadka chłopów. Zbliżyłem się do nich, a słysząc ich utyskiwania na gwałty w szkole i kościele, zacząłem radzić im środki obrony. W chwili największego zapалу uczułem na ramieniu czyjąś rękę. Odwróciłem się i ujrzałem barczystego męża w mundurowej czapce.

— Pan zkąd? — zapytał.

— Z Warszawy.

— Paszport pan posiada?

Pokazałem.

— Pan tu przybył podburzać obcych poddanych przeciwko rządowi? Paragraf 42 ustawy...

Jak tę ustawę nazwał i co mi zacytował, powtórzyć nie umiem, dość, że ledwie zdołałem wysliznąć się

paragrafowi 42 i tego dnia wyjechać z miejsca mojej bezwiednej agitacji.

Nie będę tu wyliczał wszystkich rozczarowań, jakie mnie nawiedzały zagranicą. Podarły się w nich pierwotne złudzenia i pod tymi poszarpanymi żaglami przyplynałem nazad do kraju.

Więc niema na kuli ziemskiej takiego kącika, takiej krainy, w której by człowiek mógł zachować całą swoją wolę, być zupełnie sobą? Gdy mnie najmocniej osłaniał cień tej zagadki, błysnęła przede mną myśl, która oświeciła jaskrawo moją naiwność: przecież owa pożądana kraina jest, jest bliżej, niż wszystkie inne, w niej posiadasz nietknięte wszystkie prawa, unieważnione wszystkie zakazy, tam tylko panuje taki kącik... Gdzie?

W mojej głowie.

Czemu tak późno zrobiłem to odkrycie? Wszakże głowę miałem zawsze z sobą, nawet wtedy, gdy mnie ekonom wypędzał z pszenicy lub przedstawiciel władzy ze stacyi śląskiej? Prawdopodobnie nieporozumienie wypłynęło ztąd, że moja głowa długo nie była usamowoloną i że w niej przedtem panował jakiś nietolerancyjny rząd i zbyt srogie obyczaje. Zresztą kwestya ta mało mnie obchodziła wobec rozkoszy, jakiej zacząłem używać i dotychczas używam. Znalazłem na świecie maleńki zakątek, w którym mogę ciągle przebywać i który mi zapewnia wszelkie warunki osobistej swobody.

Od tej chwili obojętne są dla mnie wszelkie systemy polityczne, wszelkie nakazy i zakazy, wszelka prawomyślność i prawowierność.

Jeżeli skutkiem braku wizy konsularnej na paszporcie prusacy zatrzymają mnie w Otłoczynie, to mi wcale nie przeszkadza myślą przerzucić się do Paryża i osądzić ich na zatracenie. Gdybym dziś musiał słuchać paragrafu 42 ustawy o podżegaczach, odpowiedziałbym na nią w duchu:

— Gardzę tem podłym głupstwem i tobą, nadęty prusaku. Zaaresztujesz mnie niewinnie—ja cię kopnę zaśluzenie.

Bo przecie chociażby on mnie związał i wsadził do kozy, nie skępowałby i nie uwięził mojej myśli, nie zawiesiłby swobód mojej głowy, gdzie jestem jedynym panem własnej woli.

Tak samo zachowuję ją we wszystkich innych wypadkach. Siła może mi nakazać: zrób to — i zrobię, ale żadna nie może mnie ubłagać, ażebym coś uznał, czego uznać nie chcę. W mojej głowie wypowiadam głośno i szczerze istotne przekonania i uczucia, chodzę bez krawata i krochmalonych kołnierzyków, sądzę ludzi i rzeczy bez obłudy. Przymus tam żaden nie istnieje — niepotrzebny. Ach, ilu i jakich doznaję wtedy przyjemności!

— Co za miła i ukształcona panienka — szepcze ktoś w salonie.

— Niewątpliwie — podpowiadam jako niewolnik grzeczności.

Ale natychmiast cofam się do mojej głowy i mówię sobie głośno:

— Po co ta poczwara tak uwydatnia swój mdły sentymentalizm, zwracający uwagę na jej brzydotę?

Ktoś inny zaznacza, że druga, obok siedząca kobieta zbyt często się śmieje.

I to spostrzeżenie potwierdzam, a w głowie mojej wyznaję:

— Cudowne stworzenie! Takie usta całować!

— Człowiek, z którym pana przed chwilą poznałam — dodaje cicho gospodyni domu — jest tak rzadką inteligencją, że, pomimo siwych jego włosów, kobiety przepadają za nim.

— Zauważyłem to — oświadczam i zaraz wołam w mojej głowie:

— Ten roznosiciel zdawkowych grzecznostek, ten organista w nabożeństwie babskich próżności, ten stary dworak, który pragnie ogrzać swe ciało przy młodych kobietach, jak przy płonącym kominku, ma być rzadką inteligencją? Ha, ha, ha!

Posiadam stosunki w „literaturze”. Zaśmiecą ją swemi robotami pewien autor, który procesuje się ciągle z krytyką o niewypłacanie mu należnej sławy. Wlewa on i do moich uczuć swoje żale.

— Albo, proszę pana — mówi zwykle — ostatnia moja nowelka... Czy ona jest gorszą od najbardziej

przechwalonych? Tymczasem nikt ani piśnie — tylko każdy jak pies warczy i zęby wyszczerza. Gdyby człowiek w sobie nie czerpał zachęty, złamałby już dawno pióro i plunął na te intrygi.

Nie żałuję mu współczucia, ale zamknięty w mojej głowie, wzdycham:

— Niema jednak nadziei, ażeby ten barłóg literatury przestał czerpać zachętę z siebie.

Słowo publiczne tylko do pewnego stopnia dopuszcza otwartość oraz nazywanie rzeczy i osób po imieniu. Dlatego często musimy milczeć lub półsłówkami zdradzać nasz gniew, oburzenie, wzgardę wobec najohydniejszych widoków. Chodzi po świecie, okadzany szacunkiem, jakiś łotr, prosty złodziej, krzywdziciel — trzeba mu ustępować z drogi, bo inaczej odwoła się do sądu państwa lub opinii publicznej i zdobędzie palmę męczeńską. Zwłaszcza śmierć jest ową królewską wodą, rozpuszczającą najtrwalsze grzechy. Umarł — to znaczy był uczciwym i zasłużonym. Przypomnę jego winy? Nie wolno. Dopiero w głowie mojej mogę mu wrzucić wszystkie brudy do trumny.

Inny szubrawiec, o tyle głupi, o ile zuchwały, a o tyle nikczemny, o ile surowy, piorunuje z ambony jakiegoś pisma lub zakłada sobie w nim kram ze szkaplerzami literackimi; mamże obwołać go po świecie właściwymi tytułami? Nie wypada. Zato w głowie mojej rozpalam hańbiące piętno i przykładam je do wytartego bezwstydem czoła przestępcy.

Jak widzisz czytelniku, posiadam rzeczywiście kraik, którego jestem nieograniczonym panem, gdzie korzystam z bezwzględnej swobody, dokąd nie zdoła przedostać się żadna obca siła, żaden nakaz, żaden przy-mus. Czego pragnę—to mam, co chcę—to robię, co wyznaję — to głoszę. A pomimo że wola moja nie ulega tam skrepowaniu, nikomu nie szkodzę. To moje królestwo bowiem jest odcięte od reszty świata, wy-osobnione, opasane nieprzebyтым murem, nie wiąże się z innemi, nie wkracza w ich prawa.

Gdy czasem przypadek otworzy naościęż moją głowę i wpuści do jej wnętrza ciekawe oczy, słyszę natychmiast okrzyk:

— Straże! Spuścić z łańcuchów brytany!

Uśmiecham się wtedy i zamykam moją głowę. Czy sądzisz czytelniku, że tylko moja być może takim swobodnem schroniskiem? Urządź odpowiednio swoją, a będziesz w niej żył również wygodnie. Powinieneś zaś to zrobić, gdyż głowa jest dziś jedynym przy-bytkiem szczerzej woli.

V.

KLUB SZACHISTÓW.

1.

Wszystkie te opisy—zauważył prezes—zdradzają zbyt widocznie podstęp. Idea naszego stowarzyszenia zaczęła już przesiąkać na zewnątrz, przez tajemnicę... Coraz mniej ludzie wierzą, iż tworzymy klub szachowy i usiłują przeniknąć do prawdy. Ci panowie, których spowiedzie poznaliśmy przed chwilą, skłamali je albo w całości albo w znacznej części, aby tylko wkraść się między nas i zużytkować niegodnie nasze materiały.

— Nawet przypuściwszy, że te wyznania są szczerze—odezwał się jeden z członków—nie dają one nam żadnej wartości psychologicznej. Bo chociażby na przykład autor życiorysu, opatrzonego godłem: „Lisia skóra”, rzeczywiście okpiwał swoją siostrę w grze kręglowej lub udając chorego, wdziawał włosienicę, ażeby ją dostrzegła pobożna ciotka, to czyż on pod grozą ujawnienia tych faktów cofnie się przed niedyskrecją? Zresztą powinniśmy przesiewać materiał i zbierać tylko grubszy, gdyż inaczej nagromadzi nam

się kupa zwyczajnego piasku, z którego nauka nie wyciągnie żadnej korzyści.

— Oba zaznaczone tu względy — rzekł prezes — są tak ważne, że nie możemy ich ani chwili tracić z uwagi i musimy czynić wszystko, co tylko zabezpieczyć zdoła interes członków stowarzyszenia i jego cel. Jestem bogaty, nie posiadam ani rodziny, ani związków, od których byłbym zależny, więc w najgorszym wypadku grozi mi może tylko chwilowa przykrość. Inna sprawa z wami. Gdyby jakikolwiek niepoń odkrył tajemnice waszego życia...

Z kilkunastu ust dobył się okrzyk zgrozy i przerażenia, na niektórych twarzach malowała się rozpacz, a w niejednej duszy zadrgnął żal za utraconym spokojem.

— Ja dostałbym się między dwa zębate koła — zawołał tęgi brunet, który mógłby barkami most podpierać. — Żona, która wie, że jej posag stanowi podstawę mojego bytu i że do żadnej pracy nie jestem zdolny, wraz ze swą matką poddały by mnie torturze. A jeżeli jedna zła żona i jedna zła teściowa wyrównują okrucieństwu miliona dyabłów, to dwie złe żydówki w tych rolach przewyższają całe piekło.

— W potrzebie ty mógłbyś przenosić rzeźnikom ówiertowane woły — szepnął nikły blondyn z cerą i postacią wyssanego szparaga — ale co ja bym zrobił, gdyby mi moja piekarka wypowiedziała miejsce męża? Wątpię nawet, czy wypuściłaby mnie gładko. W ko-

ronkach i brylantach, sprawiając rozkosz zwierciadłu, w którym odbija się jej elegancka figura, woła do mnie: przypatrz się, wymoczku, jaką masz żonę! — przyczem rzuca w górę zaciśniętą pięść. Możecie sobie wyobrazić, jaki ona zrobiłaby z tego kułaka użytek przy rozstaniu.

— Nędza, pięść, kij, sztylet, dyable pazury — wszystko to są żądla i ukłucia komarów w porównaniu ze straszną chłostą, przez jaką przepuszcza mężczyznę kobiecy język — mówił siwawy i podmarszczony męczennik. Nie znam okrutniejszego narzędzia i bardziej morderczej broni. Może ocaliłbym jakąś odrobinę odwagi wobec lwa, bandyty, orkanu; ale gdy moja żona zacznie mówić, truchleję, jak pisklę. Najcięższe plagi wlewają otuchę nadzieją, że się kiedyś skończą, a jej gadanie nie kończy się nigdy. Chociaż Noe wiedział o gniewie i mściwości Jehowy, wypuścił z arki gołębicę dla przekonania się, czy wody potopu nie opadły, bo nie wątpił, że Bóg mężczyzna kiedyś karać przestanie. Tymczasem potop słów mojej żony trwa już od ćwierci wieku i tak zalewa wszystko koło mnie, że nawet koliber nie znalazłby miejsca na odpoczynek, a już o gałązce oliwnej nie ma co wspominać. Artretyzm, ból zębów, rak, astma, wszystkie choroby dają swym ofiarom przerwy wytchnienia, tylko język kobiecy nie ustąpi ani chwili. Nie to mnie przeraża, że moja żona mogłaby się czegoś dowiedzieć,

ale to, że uzyskałaby przyływ do olbrzymiego potoku swej mowy. Na litość, bądźmy ostrożni!

— O, bądźmy ostrożni w przyjmowaniu nowych członków—powtórzył wysoki, niegdyś piękny, a obecnie strawiony jakimś długotrwałym cierpieniem mężczyzna.—Mniejsza o nasze niebezpieczeństwo osobiste, ale nie powinniśmy niszczyć szczęścia innych ludzi, jakkolwiek ono powstało. Z mojej spowiedzi wiadomo wam, że córka moja została jako panna matką z nikczemnikiem, który ją porzucił i że ukrywszy ten wypadek, wydałem ją za syna najserdeczniejszego przyjaciela. Otóż małżeństwo to jest pod każdym względem szczęśliwe: on ją kocha i wierzy w jej niepokalanie, ona go ubóstwia, mają dwoje prześlicznych dzieci, którym swe serca poświęcili... Pojmujecie łatwo, co by się stało z tą rodziną po odsłonięciu przeszłości mojej córki.

— Tak, tak — wtrącił barczysty brunet — to równałoby się niemal rozprawie z bogatą żydówką.

— Lub z gadatliwą żoną — dodał jego sąsiad.

— Wolałbym jednak wszystkie te katastrofy — rzekł ze spokojnym naciskiem chudy, zwiędły i starannie wygolony człowieczek — niż stanąć pod publicznym pręgierzem po odkryciu, że się używa skradzionego majątku. Chociaż oszustwo popełnił mój ojciec, ale jego hańbą napiętnowanoby czoło syna, który wie o tem, czemu zawdzięcza swoje bogactwo.

Podczas tej wymiany obaw twarze obecnych wy-

krzywiły się cierpieniem, do którego przyczepiały się i natychmiast odpadały sztuczne uśmiechy. Powoli nad innemi uczuciami zapanował gorzki smutek, który wbijał w każdą duszę podwójne szpony. Pod wpływem bowiem rozmowy nietylko zbudziły się i szarpać ją zaczęły uśpione wspomnienia, ale uświadomiła się jasno ta pewność, że nikt nie był wyłącznym posiadaczem i stróżem swej bolesnej tajemnicy, lecz powierzył ją innym, którzy przez nieostrożność lub złą wolę oddać ją mogli na łup całemu światu. Wprawdzie każdy, wstępując do klubu, oswoił się z tą myślą i przewidywał możliwe następstwa swych wyznań, ale teraz dopiero ocenił ich wagę, gdy już nie był w stanie ich cofnąć i gdy widział podstępne zamiary osób obcych, pragnących zdjąć ze stowarzyszenia jego maskę. Odgadli to pogněbienie swych towarzyszków dwaj ludzie, z których jeden był głównym twórcą klubu szachistów, a drugi jego przewodnikiem.

— Sądzę — odezwał się prezes — że kilkoletnie trwanie naszej instytucji, w którym wypróbowała się należycie niezachwiana niezem szczerość i dyskretya wszystkich członków, powinno zupełnie usunąć trwogę, o ile pozostaniemy w dotychczasowym składzie. Każdy z nas tylko powiększył swoją istotę, stanowimy razem jedną, ściśle spojona łąnością. Zresztą, jak wiecie, posiadamy w naszej organizacyi dostateczne wędzidło przeciwko nieposzanowaniu tajemnicy. Dziś dbać powinniśmy tylko o to, ażeby nie wpuścić do siebie

zdrajcy, którego tem wędzidłem nie moglibyśmy okiełznać.

— Zamknijmy klub dla nowych członków — zawołało kilka głosów.

— Jeżeli tego żądacie — oświadczył prezes — godzę się.

— A ja nie — powiedział stanowczo wysoki, szczupły mężczyzna z bladą, rzadkim czarnym porostem obrzuconą twarzą, którego hakowaty nos wyrażał energię, a wąskie i zaciśnięte wargi — upór. Gdy odezwał się, z po za okularów błysnął mu ogień.

— Dlaczego? — spytano ze wszech stron.

— Naprzód dlatego, że jeżeli nasze stowarzyszenie założyliśmy nie dla bezmyślnego przyglądania się sobie, lecz dla nauki, to musimy się starać o jak najobfitsze zebranie dla niej materiału.

— Mamy go już dosyć.

— Ona nie zna: dosyć.

— W takim razie nigdy nie skończymy tej pracy.

— A przynajmniej nie dziś. Powtóre...

— Nie chcemy, nie chcemy! — wołano namiętnie.

— Powtóre — mówił nieustraszony oponent — przedstawię wam kandydata, który odpowiada wszystkim warunkom naszego stowarzyszenia i dostarczy naszym badaniom nadzwyczaj ciekawych faktów.

— Kto taki?

— Zgodnie z regulaminem, nazwiska jego nie wymienię, dopóki nie zostanie przyjęty do naszego klubu.

Jest to człowiek, któremu przyznano najzaszczytniejsze tytuły ideału, a on sam nazywa się wielorakim łotrem. Czy wysłuchacie jego własnoręcznie spisanej biografii, którą złożył w moje ręce?

Jednych ogarnęła ciekawość, w drugich wstąpiła odwaga.

— Czytaj! — zawołali wszyscy.

— Naprzód muszę wam dać kilka słów objaśnienia. Miałem serdecznego przyjaciela, który — jak sędzę — otwierał przede mną swoją duszę naościę i nie zakrywał w niej najwstydlivszej tajemnicy. On to właściwie nasunął mi myśl założenia naszego towarzystwa. Umierając, pozostawił syna, którego powierzył mojej opiece. Chłopiec rozwinął się pięknie, wyrobił sobie umysł tęgi, a charakter brylantowej czystości. Powszechnie twierdzono, że do niego najmniejsze zło nie zdoła się przyczepić, ojcowie i matki stawiali go jako wzór już nie swoim synom, ale córkom; posiadał bowiem naturalny smak w enocie i wrodzony wstręt do występku. Nie potrzebował żadnego wysiłku, ażeby być dobrym, a musiałby zadać sobie najgwałtowniejszy przymus, ażeby popełnić coś złego. Otóż ten młodzieniec przychodzi do mnie przed paru dniami i oświadcza, że pomimo największych starań nie może być uczciwym, że obciążył już swoje sumienie wielkiem brzemieniem grzechów, które go rozgniała i do rozpaczyny przyprowadza. Dręczą go niemiłosiernie dwie zgryzoty: jedna — że nie jest takim, jakim być

pragnie, druga — że jest w gruncie rzeczy innym, niż wszyscy mniemają. Na dowód wypowiadał mi się szczerze z kilkunastu lat swego życia. Rzeczywiście, dopuścił się mnóstwa wykroczeń przeciw moralności, a nawet prawu, o które nigdy bym go nie posądził. Ponieważ żądał ode mnie pomocy, więc poradziłem mu, ażeby wstąpił do naszego towarzystwa i spisał swoje zeznanie, które wam przedstawię.

I zaczął czytać spowiedź długą i ciekawą. Widać z niej było zarówno szczerłość, jak bezsilne pasowanie się duszy, która pragnie być czystą, a ciągle albo okurza się pyłem drobnych brzydactw, albo nawet wpada w moralne błoto. Zwłaszcza niektóre ustępy były bardzo wymowne.

— U ciotki mojej służyła śliczna dziewczyna z tragiczną przeszłością. Jej matka podczas nieobecności męża, który powędrował w świat z sitami, uległa gwałtowi kilku żołnierzy. Zataiła ten wypadek, ale gdy uczuła jego skutki, pod wpływem moralnego cierpienia i obawy przed mężem, który ją bardzo kochał, a nieprędko miał wrócić, dostała rozstroju umysłowego. Całymi dniami siedziała w niemem pognębieniu, a gdy urodziło się jej dziecko, chodziła z niem po drogach, poszukując „ojców“, którzy mieli od niej odebrać swą własność. Nareszcie ciotka moja, mieszkająca w sąsiedniej wsi, ulitowała się nad biedną kobietą, która zresztą już nigdy nie odzyskała zmysłów, zwłaszcza iż mąż się zabił — i wzięła na wy-

chowanie dziewczynkę. Wiedząc o tem wszystkim, byłem dla niej ojcowsko czuły i zdawało mi się, że raczej targnąłbym się na świętość, niż na ten owoc nieszczęścia, na tę żywą skargę przeciw zbrodni. Upłynęło lat kilka i nareszcie, dzięki tej mojej czułości, odnawianej podczas corocznych przyjazdów do ciotki na wakacje, dziewczyna miała zostać matką. Przyśięgam z całą szczerością, że tego nie chciałem, że w przeddzień mojej winy byłbym się oburzył na samą myśl o niej, że jakiś szatan, tkwiący w moim organizmie, porwał mnie przemocą i unurzał w grzechu, że ani na chwilę nie straciłem świadomości sromoty mojego czynu, że spełniwszy go, byłbym się zgodził na pokutę w ciełe najnędnieszego zwierzęcia, aby tylko on nie istniał i pamięć o nim znikła. Opluwałem swoją duszę, sumienie, wolę, krew, nerwy, nie widziałem wokoło ani jednej tak podłej istoty, któraby nie miała prawa spojrzeć na mnie ze wzgardą. Wszystkie rozmyślenia nie doprowadziły mnie do żadnej drogi wyjścia. Postanowiłem więc uciec z miejsca występku i od mojej ofiary w dzieciennem złudzeniu, że ona wynajdzie jakiś ratunek, albo też że czyjaś nieznana ręka rozplącze ten przeklęty węzeł. Rozcięła go, ale dziewczyna, która przepadła bez wieści, kryjąc nie tylko swoją, ale moją hańbę. Kiedy mi o niej wspomniała ciotka, dodała z odrazą: „poleciała pewnie do swych ojców, kanalia!“ Ja milczałem i nie obro- niłem jej ani słowem.

Inny ustęp.

— Po śmierci ojca zostało nas dzieci czworo — wszyscy pełnoletni. Ponieważ byłem najstarszy, a przytem używałem sławy człowieka nieskazitelnego, więc dwaj młodzi bracia i siostra zgodzili się na mój podział majątku. Należały do niego, oprócz gotówki, dwie nieruchomości i sumy hipoteczne. Rozpocząłem rachunek bardzo sumiennie, ale w dalszym jego ciągu powoli coraz bardziej obniżałem nominalną wartość mojej części, a przeceniałem działły rodzeństwa. Ostatecznie przyznałem sobie znacznie więcej, niż mi się należało. Zrobiłem to również bez uprzedniego zamiaru skrzywdzenia rodzeństwa, nie tracąc ani świadomości postąpienia źle, ani chęci postąpienia dobrze: Jaka siła zwalczała wszystkie skrupuły i zmusiła mnie do niecnoty? Nie umiem jej nazwać.

Inny ustęp:

— Raz przyszedł do mnie kolega szkolny, z którym pozostawałem niegdyś w serdecznych stosunkach, prosząc o pomoc w zdobyciu jakiejś posady. Był to nędzarz, wysmagany przez los, nieumiejący wielkim rozumem i uczciwością zabezpieczyć się przeciw jego poniewierce. Rzeczywiście, kilku wpływowym znajomym poleciłem biedaka, ale ci nie chcieli, czy nie mogli dać mu pracy. Wkrótce pewna instytucja zaofiarowała mi zyskowną synekurę, którą przyjąłem. W tej chwili stanął mi przed oczami mój kolega z wychudzoną twarzą i wytartym ubraniem. On na to

stanowisko niewłaściwy — powiedziałem sobie, a mówiąc to, pojmowałem jasno niegodziwość tego wykrętu. Nie cofnąłem się jednak — i co mnie powstrzymało? Jaka piekielna moc mną rządzi? Woli, niezłomnej woli!

Inny ustęp:

— Wychodząc z banku, znalazłem na schodach jakąś paczkę. Schowałem ją do kieszeni i otworzyłem dopiero w domu. Zawierała 12,000 rb. Pierwszem wrażeniem przy tem odkryciu była radość z posiadania tak znacznej sumy. Po chwili jednak uświadomiłem sobie, że jest ona cudzą własnością, którą powinienem oddać. Komu? To przekonanie, że owego kogoś nie znam, że on o zwrot pieniędzy nie upomina się, sprawiało mi dziwną przyjemność. Zacząłem snuć przypuszczenia, które ją powiększały: suma ta mogła należeć do banku, który o swej stracie zamileczy; do cudzoziemca, który wyjedzie za granicę, zwątpiwszy o możliwości odzyskania zguby; do prostaka, który nie wie nic o sposobach publicznego poszukiwania jej itd. Kilkakrotnie szepnęła mi natrętna myśl, że powinienem zrobić ogłoszenie w pismach, ale ją odegnałem. Dlaczego ja mam się tem trudzić? Czyż tego nie powinien zrobić sam poszkodowany? Uwolniłem się wszakże od obowiązku czytania we wszystkich gazetach. To jest niepodobieństwem — rzekłem sobie — dość gdy przeglądać będę dziennik najbardziej rozpowszechniony. Ale przez trzy dni wcale nie

Świętochowski. Pisma t. II.

zajrzałem do inseratów, odczytując jedynie tekst i to bardzo ostrożnie. Czwartego dnia uczułem niepokój w sumieniu, postanowiłem więc odczytać ogłoszenia w piśmie najbardziej niemi zapełnionem. Ani wzmianki o zgubie! Śmiało biorę do ręki inne gazety—to samo milczenie. Albo moje przypuszczenia były trafne — pomyślałem sobie — albo ogłoszenie pomieszczono w numerach poprzednich. Nie chciało mi się ich odszukiwać w porzuconych papierach. Upłynęły dwa miesiące, podczas których oswoilem się ze znalezioną sumą, jako moją. Dyrektorowi banku wyprawiono ucztę jubileuszową, na którą i ja otrzymałem zaproszenie. Przy kolacyi pewien podpity przemysłowiec w głośnej rozmowie zaczął bardzo wzgardliwie odzywać się o instynktach ludzkich. „Sam pan w to nie wierzysz“ — zauważył mu jubilat. — Nie wierzę! — zawołał fabrykant. Dam panu dowód: przed dwoma miesiącami zgubiłem w waszym banku 12,000 rb. i nie zrobiłem o tem najmniejszego ogłoszenia, gdyż nie chciałem, ażeby znalazca, wzięwszy moje pieniądze, jeszcze w dodatku uśmiechnął się złośliwie z mojej głupiej nadziei, że on mi je zwróci“.

Argument był silny.

— A właśnie, że je zwrócę, skoro wiem, że do pana należą—rzekłem uroczyście.

Zdumione oczy obecnych zwróciły się na mnie.

— Pan je znalazłeś?—spytał fabrykant zmieszany.

— Tak.

— A dlaczego pan nie ogłosiłeś?

— Bo uważałem, że był to interes i obowiązek właściciela, tem bardziej, że mógł się ktoś inny do nich przyznać. . .

Wypowiedziałem ten frazes z takim przekonaniem, jak gdyby on wyszedł z poważnego namysłu i prawego sumienia. Naturalnie pesymista odwołał zaraz swoje zniewagi przeciw naturze ludzkiej, a nazajutrz we wszystkich pismach brzmiała sława mojej uczciwości. A ja, słuchając jej, znowu plułem w siebie.

Gdy zastępca bezimiennego autora skończył czytanie, zapytał członków klubu:

— Czy przyjmiecie go?

— Przyjmiemy—oświadczyli jednogłośnie.

— Nazywa się Wacław Urbin.

— Urbin?—powtórzył z najwyższem zdziwieniem prezes stowarzyszenia.

Przyjęcie Urbina do klubu było wypadkiem bardzo ciężkim. Naprzód stowarzyszenie zawiązało się niemal odrazu w obecnym składzie jako kółko przyjacielskie, z ludzi dobrze wzajem znajomych, i właściwie dotąd nie wprowadziło żadnego nowego członka. Powtórę, zaznaczone na poprzednim posiedzeniu niebezpieczeństwo zdrady tajemnic i dostrzeżone próby w tym kierunku rzuciły popłoch. Potrzebie, dopuszczenie jeszcze jednego człowieka do znajomości sekretnych wyznań przejmowało każdego, jeśli nie strachem, to niechęcią. Wszyscy oni bowiem, zakładając klub, mieli dość odwagi do szczerzego otwarcia przed sobą swych dusz, ale gdy pierwszy zapal ochłódł, gdy owe spowiedzie, własnoręcznie spisane, spoczywały w skrzyni, z kądem mogły być skradzione i złośliwie zużytkowane, gdy do nich teraz dano swobodny dostęp członkowi nowemu, niemile dreszcze obiegły szachistów. Nadto dołączyła się jeszcze jedna okoliczność: Urbin nie był im obcy; wszyscy pozostawali z nim w dalszych lub bliższych stosunkach i wszyscy — jak

tego wymaga życie — grali przed nim komedję, którą on teraz miał przejrzeć z za kulis. A i on sam uległ bardzo naturalnej febrze: w pierwszym uniesieniu odsłonił swe życie przyjacielowi, ale skoro nadeszła chwila ukazania całej jego nagości innym, którzy dotychczas patrzyli na niego z szacunkiem, a nawet podziwem — uczuł gorąco wstydu. Niepodobna wszakże było cofnąć się — i Urbin przybył na zebranie klubu.

Był to mężczyzna trzydziestoletni, a tak chudy, że prawie znikły mu mięśnie. Z twarzy, ocienionej brunatnymi włosami i jaśniejszym zarostem, bił jakiś namiętny ascetyzm. Píwne oczy gorzały mu mocno, a na ustach ważył się wyraz wielkiego znużenia, czy też bólesci. Można by go nazwać przystojnym, gdyby nie był zbyt chudym i zbyt długim. Za długą miał twarz, za długi nos, brodę, całą wreszcie postać.

Prezes powitał go życzliwie i ośmielająco.

— Jeżeli uroczyste przysięgi ludzkie w poważnych przedsięwzięciach mogą mieć jakąś moc, to mają nasza, którą zobowiązujemy się przed tobą — od chwili wstąpienia do klubu przestajemy być dla siebie panami — że ani jedno słowo twojej spowiedzi nigdy nie wyjdzie po za nasze myśli. Nawzajem ty nam przysięgasz, że pozostaniesz niemym dla świata co do tajemnic naszych, które masz prawo poznać. W tej skrzyni leżą spisane nasze wyzwania, które wolno ci odczytać. Artykuł 15 statutu zastrzega, że gdyby którykolwiek z członków zdradził najdrobniejszą cząstkę

sekreto¹ów stowarzyszenia, inni ogłaszają publicznie, w sposób przez się wybrany, jego własnoręcznie spisane zeznanie wraz z dodatkiem ustnych objaśnień. Dotychczas nie potrzebowaliśmy używać tej broni i zapewne jej nie użyjemy. Nie uznajemy bowiem żadnego z naszych towarzyszo²w zdolnym do popełnienia takiej niecnoty, zwłaszcza że ona nietylko naraziłaby honor wielu ludzi, ale zniszczyłaby pożyteczną instytucję. Nazwaliśmy ją klubem szachistów dlatego, ażeby zakryć przed tłumem rzeczywisty nasz cel i tem swobodniej mó³dz pracować. Cel ten zaś polega na zebraniu ze szczer⁴ych spowiedzi członków materiału psychologicznego, któryby nam pozwolił rozświe⁵tlić trudną i powikłaną zagadkę prawie powszechnej dwoistości, a nieraz wielolico⁶wości natury człowieka. Nie będę ci tłumaczył tego szczegółowo, bo sam to rozumiałeś w swoim życiorysie. Nie przyniosłeś z sobą na świat żadnych złych skłonno⁷ści, pragną⁸łeś być uczciwym i mimo to dopuści⁹łeś się szeregu czyno¹⁰w, do których sam czujesz wstręt moralny. W podobnem położeniu znajdujemy się wszyscy. Otóż staje przed nami ciekawe pytanie psychologiczne: czy przyczyna tych zbocze¹¹ń tkwi w naszej organizacyi, czy w jakiejś osobnej chorobie woli, czy w warunkach życia? Na pytanie to nie można dać odpowiedzi inaczej, tylko po zbadaniu rzetelnych, żadną obłudą lub skrupu¹²łami niesfałszowanych spowiedzi dusz, które umieją się

obserwować. Gdy zgromadzimy wystarczający materiał, jeden z nas przerobi go na dzieło naukowe.

— I mnie — rzekł Urbin — oddawna zajmowała ta kwestya, chociaż nie wpadłem na właściwą drogę jej rozwiązania. Rzeczywiście wasz pomysł jest najlepszy i może jedyny. Co zaś do mojej osoby, zdaje mi się, że ten materiał pomnożę bardzo obficie. Zawsze usiłowałem być jednolitym i uczciwym, ale dziś ta chęć stała się we mnie manią, pragnieniem, górującem ponad wszystkimi innemi. Mimo wszakże tego pragnienia, mimo boleści, jaką uczuвам po tylokrotnem przeniewierzeniu się mu, z doświadczeń przeszłych i ze znajomości natury swojej wnoszę, że nie osiągnę nigdy celu i że ciągle dopuszczać się będę rozmaitych obrzydliwości moralnych. Jestem też bezmiernie nieszczęśliwym, gdy myślę, że dojdę do kresu życia ze wzgardą dla siebie.

Dotychczas ani razu nie panował w klubie szachistów tak tragiczny nastrój. Jego członkowie mieli istotnie poważne zamiary, ale przykre uczucia starali się od czasu do czasu osłabiać rezygnacją. — Cóż robić, kiedy tacy jesteśmy! — powtarzali. Urbin wypłaszał tę pociechę.

— Nie chodzi mi tu wcale o obłudę — mówił z coraz większem przygnębieniem. Może ona być niesympatyczną, nawet szkodliwą, ale nie jest ani głupią, ani nieuleczalną. Wszystkie istoty, które prowadzą walkę o byt, muszą być obłudne. Jeżeli ptak, przy-

tuliwszy się do drzewa, naśladuje kawałek jego kory, ażeby się obronić przed nieprzyjacielem, lub udaje martwego, to go rozumiem i ganić nie mogę. Jeżeli ktoś gra rolę mojego przyjaciela, ażeby mnie oszukać, to również go rozumiem, chociaż ganię. To są czyny świadomie zamierzone i wypływające z woli. Najpodszybszy występki, dokonany w zgodzie z nią, sprawia mi mniejszą odrazę, niż najmniejsze wykroczenie wbrew chęci. Bo czyż to nie oburza, że ja, człowiek ukształcony, rozważny, szczerze pragnący dobra, nie mam tak marnej siły, jakiej potrzeba dla powstrzymania się od kroku, na który przedtem się wstrząsam? Nie zmusza mnie do niego ani gwałtowna żądza, ani interes, ani rachuba, nic — a jednak z całą moją wiedzą i zasadami moralnemi włączę w jakieś błotko, które mi cuchnie. Parę kieliszków alkoholu, często tylko dobry humor i pustota lub lenistwo w zwalczaniu pokusy — i ot z idealisty robi się zwyczajny prosiak. W tej chwili rozprawiam o tej ohydzie, czuję w duszy jej niesmak, piętnuję się i chłoszczę za nią, a za godzinę wyjdę ztąd, pełneta kobietka otrze się o mnie — i cała mądrość, cała skrucha pryśnie, jak bańka mydlana. Czy to nie głupie, nie podle i nie rozpaczliwe?

— Wychowanie — prawili dalej — i wszystko późniejsze wpływy uszlachetniające starają się o to tylko, ażebyśmy umieli na pamięć reguły moralne i uznawali ich wartość. No, ja i wy umiemy je na pamięć, szanujemy ich wartość — i cóż z tego? Włączą

one w nasze myśli, rozplywają się w naszych uczuciach, ale nie wsiakają w naszą wolę. Niechaj ktoś tak mnie wychowa i tak umoralni, ażebym nie zdołał nie takiego popełnić, co dla tych myśli jest głupie, a dla tych uczuć wstrętne. Niech mnie kto nauczyc tego, ażebym, będąc człowiekiem rozumnym i uczciwym, nie zajrzał przeciwnikowi przy grze w karty, nie uwiódł ładnej kobiety, która nie stawia oporu, ażebym nie zamknął oczu na cudzą niedolę itd. Powiedźcie mi szczerze, czy którykolwiek z was potrafi tak mnie lub siebie ukształcić?

Milczeli.

— A czy może zbadaliście, dlaczego ludzie zacni w teorii są niegodziwcami w praktyce?

— Zbieramy dopiero materiał—odezwał się prezes.

— Ha, będę go zbierał z wami, ale jeżeli po upływie pewnego czasu nie wydobędziemy z niego rozwiązania zagadki, machnę ręką na cały wasz bzdurny klub i założę inny. A wiecie jaki? Taki, w którymby członkowie wynajdywali sposoby przerabiania ludzi uczciwych w teorii a niemoralnych w praktyce na skończonych łotrów, podłych w woli i w czyaie, jednolitych. Dla ogółu, dla świata wszystko jedno, czy mu wyrządza krzywdy ideolog, czy niepoń, a przynajmniej ci nieponie będą szczęśliwi, bo się uwolnią od wewnętrznego rozdziwojenia i rozdźwięku.

Ale dosyć już na dziś filozofii. Pożegnaj was, bo muszę wyjść na spotkanie pewnej pokusy, która mi

drogę zachodzi i której prawdopodobnie ulegnę. Mam nadzieję, że z niej dostarczę wam dużo pouczającego materiału.

— Dobry z niego nabytek — rzekł prezes.

— Radykał — wtrącił ktoś z boku.

Inni pogrążyli się w zadumę.

3.

Ze wszystkich woni najlotniejszą, ze wszystkich dźwięków najdonioślejszym, ze wszystkich światel najdalej promieniejącem — jest plotka. Gnijący trup słonia rozpościera odór na milę, armata forteczna rozsyła swój huk na dwie mile, płonące miasto rzuca lunę na kilka mił, obmówiony człowiek obciąga nieraz swoją niesławą cały glob ziemski. My w Warszawie przeżuwaliliśmy plotki o Eminie baszy, przebywającym we wnętrzu Afryki, o prezydencie amerykańskim lub vice-cesarzu chińskim, a to samo robiono w Szwecyi, Hiszpanii, Anglii — wszędzie. Jest to najzupełniej naturalnem i usprawiedliwionem. Śród przedmiotów wiedzy najciekawszym jest dla człowieka człowiek. Od czasu do czasu napada nas chęć przeniknięcia tajemnic słońca lub księżyca, roślin lub wulkanów, ale najstalszem i najgorętszem pragnieniem naszym jest chęć przeniknięcia tajemnic ludzkich. Zadanie to o tyle trudne, o ile ponętne, gdyż korona stworzenia składa się z istot najdoskonalszych, ale i najobłudniejszych. Włóczy się po świecie od wieków bajda, że każdy

najmniej zna samego siebie, a daleko lepiej innych. Że w niej nie tli się ani iskierka prawdy, dostrzedz łatwo, porównawszy naszą wiedzę o sobie z wiedzą innych o nas. Jeżeli zaś takie porównanie przeprowadzimy w szerokiej mierze, to dojdziemy do wniosku, że człowiek ma takie samo prawo wyrokowania o człowieku, jak mrówka o mrówce. I one przecież porozumiewają się wzajemnie, karzą, tworzą społeczeństwa i przedsiębiorają wspólne wyprawy, jednakże każda daleko więcej wie o sobie, niż o innych, których ustroju nie umiałyby objaśnić w najprostszych szczegółach. Ale mrówki są o tyle mędrze od ludzi, że milczą i nie wyrokują o swoich towarzyszkach, nie piszą swoich dziejów, nie wydają sądów równie stanowczych, jak na nieczem nieopartych. Może niema między czytelnikami tych słów ani jednego, który by wielokrotnie nie znalazł się wobec jaskrawej sprzeczności między istotnymi pobudkami swych czynów a temi, które mu inni przypisują. Wzruszył cię los jakiejś biedaczki, którą tajemnie wspierasz; ludzie dostrzegli twoje sekretne u niej wizyty i mianowali ją natychmiast twoją utrzymanką. Kupiłeś sobie jakiś szczególnego kroju surdut, który ci się podobał; ludzie twierdzą, że chcesz nim zwrócić na siebie uwagę. Idziesz do kościoła, ażeby się pomodlić; oni utrzymują, że czynisz to dla przypodobania się bogatej a pobożnej ciotce. Ileż razy niepoń, którego samolubną rachubę nazwano bezinteresownem poświęceniem, rozśmiał się szyderczo,

lub zacny ideolog, którego bezinteresowne poświęcenie nazwano samolubną rachubą, rozśmiał się gorzko! Są nawet charaktery dostojne, które ze szczególną przyjemnością idą gościńcem życia w niepokalanej szacie swej moralnej czystości wśród błotnistego deszczu niegodziwych posądzeń. Na ich twarzach nie widać żadnej boleści, przeciwnie, jakieś wyniosłe zadowolenie i dumna wzgarda.

Wobec tej prawie zupełnej niewiadomości człowieka o innych ludziach, nieocenioną przysługę oddaje mu plotka. Jest to zwykle garść kurzu, schwytanego w powietrzu około kogoś i rzucona potem w oczy innym. Albo jest to twór, który posiada czujny węch, a bardzo słaby wzrok. Zwęszy on coś szybko, ale nie dosłyszcy wszystkiego, a nie dostrzeże czasem takich dowodów, które same rzucają się w oczy. Niepodobna zaprzeczyć, że plotka daleko bardziej dogadza ludzkiej ciekawości, niż złości. Ona nie zawsze bywa potwarzą, najczęściej informacją. Zwłaszcza zaś między osobami wysoko postawionymi a ogółem jest ona jedyną pośredniczką, roznoszącą wiadomości.

Jeśli zaś oblatuje cały świat, to naturalnie bez zbytniego wysiłku skrzydeł może oblecieć największe miasto. Nieraz słyszymy, że Warszawa jest plotkarską. Zarzut niesłuszny, bo równie plotkarskim jest Berlin, Paryż lub Londyn. Kilka kilometrów przedłużenia drutu nie stanowi dla telefonu języków ludzkich żadnej

różnicy. Tylko połączenia rozmawiających są liczniejsze i rozmaitsze.

Miasto, w którem osiadł klub szachistów, liczyło przeszło sto tysięcy mieszkańców, a więc nie narażało plotek na zbyt wielkie zmęczenie. Mnożyły się też one bardzo obficie i okrażały klub stadem brzęczących i kłujących komarów. Co prawda, sam on rozdrażnił ciekawość ludzką. Naprzód, z wyjątkiem prezesa, nie posiadał ani jednego dobrego szachisty, skutkiem czego nasunął podejrzenie, że pod tym szyldem ukrył coś innego. Powtórę otoczył się bardzo ścisłą tajemnicą i nie przyjmował nowych członków. Puszczano w ruch domysłność: jedni odgadli, że jest to loża masonska, drudzy zapewniali, że przybytek gier hazardowych, inni — że miejsce schadzek rozpustniczych i t. d. Między temi przypuszczeniami odzywała się również informacja, że członkowie klubu spowiadają się ze swego życia dla studyów psychologicznych. Naturalnie w każdym wypadku był on przedmiotem zgorszenia i celem napaści. Ludzie wszakże mają w swych duszach głęboko zakopaną słabośćkę do rzeczywistości. Wtedy, kiedy najbardziej kłamią i najzawzięciej roznoszą plotki, chcieliby dotrzeć do prawdy. Ztąd to powstały ciągle ponawiane usiłowania wejścia do klubu, ażeby poznać jego organizację i cele, ażeby je potem w szeptach i poufnych zwierzeniach rozgłosić. Podkopy te jednak — jak widzieliśmy — spostrzegano i niweczono. Ale nareszcie pewnego dnia wpadła do

plotkarskiego młyna wieść, że Urbin został do klubu przyjęty. Dlaczego on?... W szachy nie grał, więc jakież miał kwalifikacje? Twardy ten orzech gryziono z tem większą zapaleczywością, że Urbin był w mieście postacią bardzo znaną, lubianą i szanowaną, a jako człowiek zamożny i zajmujący korzystne stanowisko radcy prawnego w banku, pociągał ku sobie serca wielu mam i ich córek. Przy najbliższej okazji zagadnęła go otwarcie na balu jedna z pięknych dam, która miała nawet wstęp do jego szczerości, gdyż przed paru laty wraz z nią oszukiwał jej męża przez kilka miesięcy u wód zagranicznych i leczył ją z „pustki w życiu”!

Urbin doznał dziwnego wrażenia, uświadomiwszy sobie, że ten obcy człowiek, który na nich patrzy, nie tylko wie, co oni w największej skrytości kiedyś czynili, ale nawet zgaduje, o czem mówią i myślą teraz. Było to wrażenie takie, jak gdyby ktoś nagle wysunął go z ubrania i postawił nagim. Tymczasem prezesowi nie chodziło bynajmniej o proste zadowolenie swej ciekawości i bezcelowe szpiegowanie towarzysza. Miał on ważniejszy ku temu powód. Tuż przy nim siedziała młoda panienka wysokiej urody, która prowadziła z nim przyciszoną rozmowę. Było to jeszcze dziecko — nie przeszła lat 18 — ale dziecko bardzo szybko dojrzewające. Zarumieniona młodością twarzyczka układała się co chwila w jakiś energiczny wyraz, a czarne oczy pod bujnym złocistym włosom

miały bezdenną głębię, w której na przemiany to migał wesóły urok, to płonął mocny zapal. Widząc ją, nie wątpiłeś, że ona szybko przedzierzgnie się ze ślicznej dziewczynki w również piękną, ale dojrzałą kobietę. Potrzeba było na to jednego wypadku, któryby jej uczucie zmroził swym chłodem lub doprowadził do wybuchu swym żarem.

— Co stryj ma przeciw niemu? — pytała natarczywie.

— Nic — odrzekł prezes — dopóki go nie nazywasz przystojnym, miłym, zajmującym...

— W czymże się mylę?

— Naprzód dla twojego gustu powinien być za stary, powtóre w obejściu się jest szorstki, a potrzecie — nudny. Gdyby ta pani, przy której on teraz siedzi, tak mówiła o nim, rozumiałbym, ale ty...

— Ale ja jestem również kobietą i mam oczy, których stryj nie posiada.

— O, nie wątpię — rozśmiał się prezes — daleko ładniejsze.

— Przedewszystkiem inne. Co ja widzę w mężczyźnie, tego stryj nigdy nie dojrzy.

— Przydałby ci się nieraz mój wzrok.

Prezes, który usiłował zniechęcić bratanicę do członka klubu na podstawie wiadomości tajemnych, rzeczywiście dopuszczał się pewnego wiarołomstwa, ale był usprawiedliwiony. Owa bowiem bratanica była jego naturalną córką, co wyznał w swej spowiedzi

piśmiennej, a co starannie ukrył przed światem. I jeżeli w swej przemowie do towarzyszków zapewniał, że jest wolnym od wszelkich związków, któreby na wyjaśnieniu tajemnic jego życia ucierpieć mogły, to nie kłamał tylko formalnie. Iza Radek bowiem nie wiedziała, że on był jej ojcem, ale on o tem nie zapomniał nigdy, wychował ją od dzieciństwa, kochał serdecznie, a gdy niedawno wróciła z Anglii, gdzie się kształciła, doszedłszy do odpowiedniego wieku, miał zamiar ją adoptować i oddać jej po śmierci cały swój majątek. Przywiązany był do niej zawsze, ale teraz, kiedy stanęła przy nim w całym blasku swych wdzięków, rozgorzał ku niej jeszcze większą miłością ojcowską i pragnął jej przyszłość utkać z najświetniejszych promieni szczęścia. Właściwie każdy młody mężczyzna, który zwracał się do jego córki, rzucał według niego na tę przyszłość cień, ale Urbin raził go bardziej od innych, bo był dlań zupełnie przejrzystym. Henryk Radek wszakże posiadał silny charakter i zdolność panowania nad sobą; wkrótce więc spostrzegł, że przestąpił linię honoru i postanowił z Izą dalej się nie spierać.

Zresztą Urbin, umówiwszy się z dawną swoją przyjaciółką o spotkanie, powstał i zbliżył się do nich. Był mocno blady, a mdły uśmiech ciągle odrywał się od jego ust, do których przywarł wyraz niesmaku.

— Żałuję bardzo—rzekł— że nie umiem ani grać, ani śpiewać, ani deklamować, ani żadnej innej sztuki

rautowej. Zabawiałbym szanowną publiczność, a sobie dał niewinne zajęcie.

— Czy pan się nudzi?—zapytała Iza.

— Niestety — nie.

— Czemuż natomiast?

— Człowiek, który się nudzi, nic nie robi, a kto nic nie robi, spełnia mnóstwo cnót negatywnych: nie kradnie, nie oszukuje, nie zabija i t. d. A to bardzo dużo znaczy.

— Czyż koniecznie musi czynić źle?

— Przekona się pani później w życiu, że na najuboższy pokład złota nie wypada tyle piasku, ile złych czynów ludzkich na dobre. Maszyna do młócenia zboża lub walcowania blachy, młóci zboże lub walcuje blachę, ale jeżeli koło niej bawi się gromada dzieci, które w nią wsuwają ręce lub głowy, to ona z równą siłą je miażdży. Są ludzie okrutne maszyny i są ludzie nieostrożne dzieci.

— Ze słów pańskich rozumiem tylko przerażający ton, który odzywa się również w przestrobach mojego stryja. Co za okropności widzicie panowie w życiu, których ja nawet nie odgaduję! Od powrotu z Anglii słyszę tylko naokoło: strzeż się! Czego?

— Siebie.

— Ależ ja sobie niczem nie grożę, ja się kocham, szanuję, jestem dla siebie życzliwa i dobra.

— Wierzę, bo pani jeszcze nie zaczęła się rozdwajać. Jesteś młodą płonką, rosnącą i żyjącą tylko jednym

pniem bez gałęzi, z których jedna kwitnie i wydaje zdrowe owoce, a drugą zjadają mchy, pleśnie i robaki.

— I ja muszę kiedyś być taką?

— Nie jest to konieczność, ale reguła.

— Jakże się przeciwko niej zabezpieczyć?

— Gdybym znał sposób, to naprzód sambym go zużytkował.

— Pan już się rozszczepił?

— Dawno.

— A te mchy, pleśnie i robaki toczą pana?

— Tak.

— I pan tego nie chciał?

— Nie.

— Ha, ha, ha, to zabawne! A wie pan, czym zabawne? Tem, że panowie uważacie mnie za gąseczkę, której już nie można straszyć kominiarzem, ale można jeszcze upiorem. Pojmuję stryja, bo go do tych strachów zachęca... wolno mi stryjowi powiedzieć? — miłość dla mnie...

— Wolno—wtrącił zadowolony Radek.

— Ale co pana skłania — ciągnęła dalej Iza — do wmawiania we mnie, że szatan osiedlił się w ludzkich duszach i zamówił sobie mieszkanie nawet w mojej?

— O kilkanaście lat wyprzedziłem panią w przyszłościu na świat, więcej zatem miałem czasu do obejrzenia go.

— Gdybym tak, jak pan, straciła wiarę w ludzi i w siebie...

— Toby pani, równie jak ja, zwróciła się do jej towarzyszek—nadziei i miłości.

— Ach, więc pan ma jeszcze nadzieję i...

— Tylko nadzieję. Każdy człowiek, niezadowolony lub nieszczęśliwy, oczekuje swojego mesyasza. Otóż i ja wyglądam swojego. Pod jaką postacią on mi się objawi — nie wiem, może będzie to przyjaciel, może mistrz, a może kobieta. Najbardziej pragnąłbym ostatniej. Cierpienia serca bowiem są daleko dotkliwsze, niż cierpienia mózgu; te zaś leczy nieraz mężczyzna, tamte zawsze kobieta. Naturalnie taka, która jest do tego zdolna i powołana. Ponieważ jest to objaw dość częsty i nie należy do owych wysokich szczytów, na których przebywa muza historyi, więc ludzie spopolitowali go. A jednakże jest to cud daleko większy, niż uzdrowienie trędowatego. Bo czyż to nie dziwne, gdy człowiek, przykładając usta do najrozmaitszych źródeł życia, wypił z nich tylko gorycz, gdy przeszedłszy przez szereg związków i stosunków z innymi ludźmi, tylko ich znienawidził, wzgardził lub co najwyżej na zimno zważył—nagle pod czarodziejskim wpływem jakiejś nieznanej mu przedtem kobiety, często prostej dziewczeczki, odradza się, przeistacza, uczuwa podziw dla swego otoczenia, a szacunek i przyjaźń dla tych nawet, którymi poniewierał? Czyż to nie cud?

Przy tych słowach Radek poruszał się niespokojnie, a Iza milczała, utkwivszy swoje rozszerzone, czarne źrenice w Urbina, który prawił dalej:

— Bakteryj nie niszczy tak skutecznie ani woda, ani środki dezinfekcyjne, jak ogień. Dla człowieka, który ma w duszy bakteryje moralne, rozum jest wodą, morały — środkami dezinfekcyjnymi, a dopiero wielkie uczucie — ogniem. Nas wszystkich chorych duchowo może oczyścić i uzdrowić tylko taki ogień.

Zamilkł. Iza jeszcze przez chwilę patrzyła na niego, wreszcie rzekła zamyślona:

— Więc pan ma nadzieję, że pana on uleczy?

— Tak.

— A mnie się zdaje — rzekł z pewnem rozdrażnieniem Radek — że pan przez całe życie będziesz pocierał o swoje serce zapalki i to będzie cały pański ogień.

— Dlaczego panu tak się zdaje? — zapytał surowo Urbin.

— Bo o kilkanaście lat wcześniej od pana na świat przyszedłem — odparł Radek z przymuszonym uśmiechem.

— Zwracam panu uwagę, że mnie wtedy jeszcze na świecie nie było, więc pan nie mogłeś mnie studyować.

Zaproszenie do kolacyi przecięło rozmowę w drażliwym punkcie. Radek usiadł przy córce, Urbin zdaleka. Znalazłszy się między dwoma starymi żarłokami, mógł rozmyślać swobodnie. Uprzytomnił on sobie jasno dwa fakty: pierwszy, że Radek, znający tajemnice jego życia, usiłuje mu przegrodzić drogę do córki, i drugi — że Iza rzuciła na niego silny urok. Zachodziły więc

dwa pytania: czy w Radku zwycięży prezes klubu, czy też ojciec, oraz czy on powinien skazywać go na tę walkę i boleść? A jeżeli Iza będzie moją zbawicielką? — mówił do siebie. Jeżeli ją pokocham a miłość mnie oczyści? A gdyby ona była dla serca mojego tylko zapalką?

— Pan dobrodziej słyszał — skrzypnął jeden z nasycionych już staruszków — że Totkiewicz się żeni?

— Nie — bąknął Urbin.

— W tym wieku, mając dorosłe dzieci. . . pfe!

— Czemuż mu szanowny pan^z nie poradził, ażeby dla zadośćuczynienia moralności i niegorszenia dzieci wziął sobie raczej metrese?

Staruszek spojrzał na niego zezem i zamilkł.

Tego wieczora Urbin nie zbliżył się więcej do Izy.

Rozterka wewnętrzna pędziła Urbina do czynów hazardownych. Spodziewał się on od nich jakiegoś przełomu, zwrotu na drogę, której pragnął i na której mógłby się stale utrzymać.

— Jeżeli mam tak rozdwojoną naturę—rozmyślał— że ciągle robię to, czego robić nie chcę, jeżeli wola moja niezdolna zapanować nad moimi popędami, to może mnie uleczy jakaś wielka awantura, wielkie szczęście lub nieszczęście, które weźmie mocną ręką za kark i pchnie w pewnym stałym kierunku. Niech mnie kto zbije, zelży, sponiewiera, zniesławi, zgodzę się na wszystko, abym tylko wyszedł z tego dręczącego stanu, abym wreszcie kiedykolwiek miał prawo powiedzieć sobie: takim jestem, takim być chcę! Chociażbym nawet miał być złodziejem!...

Pod wpływem tego coraz bardziej natężającego się w nim pragnienia, jednocześnie powrócił do stosunku z porzuconą mężatką, zaczął odurzać serce Izy i na przekór Radkowi występować jako jej konkurent. Sprzeczości zaostrzyły się groźnie.

Na tygodniowym zebraniu członków klubu Urbin opowiedział szczegółowo, może nawet zbyt szczegółowo, swoją schadzkę, nie kryjąc zamiaru ponowienia jej.

— Jest to — dodał — postępowanie dla mnie tem potworniejsze, że oglądam jego brzydotę przy świetle miłości, która w sercu mojem zajaśniała.

— Jakiej miłości? — spytał prezes.

— Ponieważ nie jest ona moim grzechem, lecz enotą. — odparł Urbin — więc do wyznań przed konfesyonałem naszego klubu nie należy.

— Mylisz się, Urbinie — mówił gorączkowo prezes. Jeżeli mężczyzna podaje rękę, zbrukaną romansami, niewinnej kobiecie, to popełnia występki. Nadto nas interesuje twoje czyste uczucie, zmieszane z brudnymi żądzami, jako ciekawy objaw psychologiczny.

— Inaczej patrzę na tę sprawę. Zresztą po za naszym zebraniem pomówię o niej z tobą prezesie i poproszę cię o radę, czy mam i tę moją tajemnicę wyjawiać.

Radek sposepniał, a członkowie klubu zaczęli kolejno przerzucać wzrok na niego i Urbina, jak gdyby domyślając się prawdy i przeczuwając starcie między nimi.

Nazajutrz Urbin przybył rzeczywiście do Radka i po chłodnem powitaniu odrazu przystąpił do rzeczy.

— Odmówiłem wczoraj bliższych objaśnień o mojej miłości, bo jej przedmiotem jest pańska bratanica.

— Pan wiesz—odrzekł Radek, usiłując zapanować nad sobą—że jest to moja córka.

— W rozmowie po za klubem nie powinienem o tem pamiętać. Otóż przychodzę do pana z zapytaniem, czy ja mam na naszych zebraniach przedstawić tę sprawę?

— Jak się panu podoba — odrzekł Radek z drżeniem w głosie — ale czego pan nie powinienesz robić, to starać się o wzajemność Izy, bo ja na związek jej z panem nie zezwolę.

— Dlaczego?

— Dlatego, że znam pańskie życie.

— Jako prezes klubu, ale nie jako Henryk Radek. Jest to z pańskiej strony wyzyskiwanie swego stanowiska przeciwko członkowi stowarzyszenia i łamanie obowiązku, który uroczyście zaprzysięgłeś. Gdybyś pan nie był dopuszczony do moich szczerych wyznań, przyjąłbyś niezawodnie z radością moją rękę dla swej córki.

— Mylisz się pan, nie uważałbym cię nigdy za odpowiedniego dla niej męża.

— Jest to wykręt, którego pan nie udowodnisz.

— Niech tak będzie. W każdym razie wiedząc, że charakter pański jest poplamiony, nie mogę sądzić, że jest czysty.

— Ale panna Iza tak sądzi.

— Ja panu też tylko mówię, jak na małżeństwo z panem patrzy jej ojciec.

— I pan przypuszczasz, że znajdziesz dla niej

męża, który będzie człowiekiem niepokalanym? Ha, ha, ha!

— Przynajmniej będę wraz z nią w to wierzył.

— A więc panu potrzebne jest złudzenie, oparte na obłudzie przyszłego zięcia? Pyszny z pana ojciec, a jeszcze pysniejszy prezes stowarzyszenia szczerości!

— Z ojcostwa dymisyi wziąć nie mogę, a z prezesostwa ją przyjmę.

— A no, pomówimy o tem na zebraniu.

Uklonił się chłodno i wyszedł.

Urbini nie kochał jeszcze tak dalece Izy, ażeby jej ojca wyzywał do walki w imię potężnego dla niej uczucia. Panna podobiała mu się bardzo i obiecywała mu wszystkimi przymiotami szczęście oraz ten wpływ umoralniający, o którym marzył, ale teraz przedewszystkiem chodziło mu o zagłuszenie wewnętrznego rozstroju jakimś wybuchem energii. Radek natomiast cierpiał. Nie spodziewał się on nigdy, że wypadki postawią go między tak ostremi przeciwieństwami, między obowiązkiem dyskretycy i niepamiętania moralnych skaz człowieka, który mu je pod przysięgą tajemnicy wyznał, a miłością dla córki. Z duszą rozdartą nie umiał jeszcze zdać sobie sprawy, co powinien uczynić, co poświęcić i co obronić, a nawet, jaką właściwie wartość moralną posiadał Urbini. Bo rzeczywiście, gdyby nie znał jego zwierzeń, uważałby go może za pożądanego męża dla swej córki. Ale je zna, zna!

Poszedł na posiedzenie klubu ze świadomością, że

będzie musiał wytrzymać gwałtowną burzę, ale bez żadnego pojęcia, jak ją zmoże.

Urbin natychmiast po zebraniu się członków, przedstawił całą sprawę.

— Jeżeli złożone tu wyznania — dodał — mają oddziaływać na nasze wzajemne stosunki i czyny po za klubem, to jego wyłącznie naukowy cel jest blagą, a my wszyscy bohaterami głupiej komedyi, która nie warta jest tego, ażeby ją grali ludzie poważni i uczciwi.

— Kiedy my nie jesteśmy uczciwi — przerwał prezes blady.

— Ale mieliśmy być takimi względem siebie.

— A więc powiedzcie: czy ja mu powinienem dać córkę? — zapytał Radek wzburzony.

Powstał gwar i spory, roznamietniające członków coraz bardziej i niezapowiadające zgody. Radek siedział wzruszony i milczał. Wreszcie odezwał się słabym głosem:

— Widzę, że dziś nie dojdziemy do żadnego porozumienia. Zapraszam was na jutro dla ostatecznej decyzji. Niech każdy z nas rozważy tę kwestyę z samym sobą.

Zdaje się, że on najbardziej tego potrzebował. Powrócił do domu tak zgnębiony, że Iza to od razu spostrzegła i zaczęła dobadywać się przyczyny.

— Niezdrów jestem — odparł.

Ale ona rozpoznała wybieg, po za którym coś się ukrywało. Nalegała więc dalej.

— Nie, stryju, ciobie gryzie jakaś boleść, której zdusić nie możesz. Musiało coś zająść w tym nieszczęsnym klubie, o którym ludzie tyle bajek przędą. Mój drogi, czemu ty mnie zbywasz zawsze żartami i nie chcesz powiedzieć, co to za stowarzyszenie?

Starcie z Urbinem wyczerpało go i osłabiło w nim siłę oporu; ustawa klubu nie zabraniała odsłaniać jego celu osobom zaufanym, więc Radek dał córce rzetelne objaśnienie.

Wysłuchala go z wielką ciekawością.

— Każdy ze wszystkich tajemnie się wypowiadał?—powtórzyła gorączkowo.

— Ze wszystkich—rzekł Radek.

— I ty stryju?

— I ja.

— I Urbin?

— Tak. Ach, zapomniałem, oświadczył mi się o ciebie. Czy chcesz pójść za niego?

Iza nie rzekła ani słowa i zatonęła w rozmyślaniach. Powstawszy, zaczęła chodzić przyspieszonymi krokami po pokoju. Na jej twarzy odbijał się zamęt różnorodnych myśli.

— Prześpij się stryju trochę, to cię wzmochni — rzekła czule.

Radek usłuchał tej rady, przeszedł do swego gabinetu, położył na biurku dwa duże klucze, które trzymał w ręku, zdjął tużurek, oparł się na szeszlunku i zasnął. Iza wpatrywała się w niego uważnie czas

jakiś, wreszcie utkwiała wzrok w owe dwa klucze; po krótkim wahaniu porwała je i wybiegła.

Klub szachistów mieścił się na tejże ulicy o kilka domów dalej. Niebo spuściło ku ziemi szare, wełniste chmury, które płynąc nisko, wysypywały ze swego wnętrza lekkie płatki śniegu. Wieczór już rozpościerał gęste mroki, kiedy Iza weszła do sieni, otworzyła cicho drzwi pokoju klubowego i równie cicho je zamknęła. Następnie zapaliła przyniesioną z sobą świecę i rozejrzała się wokoło. Spostrzegła okutą skrzynię, którą odemknęła drugim kluczem i podniosła wieko. Wewnątrz leżały uporządkowane zeszyty zapisanych papierów. Iza podjęła jeden i przeczytała nagłówek: Śniecki. Położyła go, wzięła drugi, potem trzeci, ale dopiero czwarty zatrzymała w rękach i zaczęła przeglądać. W miarę jak posuwała wzrok po rękopisie, oczy jej rozogniały się, a twarz martwiała. Nagle drgnęła, opuściła zeszyt i wyszeptała:

— On jest moim ojcem...

Długo stała nieruchoma z falującą piersią, z półotwartymi ustami, na których smutek pasował się ze słabszym od niego uśmiechem. Wreszcie położyła i ten zeszyt a wyjęła inny z nadpisem: Urbin. Zdawało się, że każdy wiersz tego pisma był młotem, który uderzał w jej serce. Daremnie załzawiona, dysząca głęboką boleścią wyteżała siły, ażeby doczytać do końca: cisnęła papier i krzyknęła z odrazą:

— Brr... brr... udny!

Nie zamknawszy skrzyni, wypadła z pokoju na ulicę. O kilka kroków spotkała Urbina, który ją poznał.

— A pani co tu robi?

— Wracam z apteki, stryj troszkę niezdrów.

— Pozwoli pani odprowadzić się do mieszkania?

— Proszę—odrzekła po krótkim namyśle.

— Być może — mówił Urbin idąc koło niej — że mimowolnie stałem się sprawcą niedyspozycji stryja. Miałem z nim dość drażliwą rozmowę. Czy pani się niedomyśla treści?... Z milczenia pani wnoszę, że nie tylko on jest przeciwko mnie. Panno Izo, czy i ty nie chcesz być moją żoną?

Stanęli pode drzwiami. Iza targnęła za dzwonek. Radek, który już po drzemce wstał, zdziwił się, zobaczwszy ich razem wchodzących do salonu. Przywitał jednak Urbina grzecznie, a córkę zapytał:

— Skąd ty wracasz, Iziu?

— Chodziłam po lekarstwo dla... ojca.

— Dla kogo?

— Dla ojca—powtórzyła z naciskiem.

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie znacząco, a Iza na nich.

— Spotkałam na ulicy pana Urbina—mówiła dalej ze sztuczną wesołością — który mi zadał to samo pytanie, co ty ojciec: czy przyjmę jego rękę; odpowiem wam obu: nie!

— Dlaczego? — ozwał się ponuro Urbin.

— Ha, ha, ha—zaśmiała się spazmatycznie, pada-

jąc na fotel — dlatego, że to nie jest moim obowiązkiem... ha, ha, ha... dlatego, że nie chcę... dlatego... Wyobrażcie sobie panowie — ciągnęła dalej wśród śmiechu — znalazłam dziś w pułapce mysz, która mi opowiedziała, że uciekła do nas z klubu szachistów, gdyż tam zjadła kawałek zapisanego papieru z jakiejś skrzyni, który był tak gorzki... tak gorzki... ha, ha, ha... że omal się nie otrula.

— Przyzna pani — zauważył Urbin z tłumioną złością — że była to mysz bardzo szkodna.

— Mniej od tych — odrzekła Iza — którzy zostawili tę trutkę.

Urbin skłonił się i wyszedł.

Nazajutrz klub szachistów rozwiązał się, ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich członków. W rok potem Iza została żoną człowieka, który po ślubie okazał się tak wielkim łotrem w idealnej skórze, że wszystkie drzewa podsuwały mu swe gałęzie na szubienicę. Urbin dotąd rozmyśla i pisze ciekawe dzieło o dwoistości natury ludzkiej, a stary Radek powtarza machinalnie przy każdej sposobności:

— Źle wiedzieć i źle nie wiedzieć.

VI.

ON A.

— Głowa otwarta, ale serce zamknięte.

Tak najlaskawiej odzywali się koledzy w uniwersytecie o Henryku Bukowskim, który, jakby na potwierdzenie tego wyroku, odcinał się ostrym charakterem od całego ich grona. Nie widziałem go nigdy zbratanego z kimkolwiek serdecznie. Dumny, chłodny, niepoddający się żadnemu zbiorowemu ich naciskowi, był przedmiotem szczególnej nienawiści patronów — jak szydersko nazywał — „cnoty owczego stada”, którzy ze swych mściwych języków splatali nań ostre bicze. Nikt nie umiał powiedzieć dokładnie, za co go chłciano chłostać; ale chłostano — w poufnych między sobą zwierzeniach, plotkach i przymówkach, bo w otwartym starciu zbyt silnie odpierał najłżejsze zamachy, ażeby nawet ci chcieli z nim walczyć, którzy go najbardziej pokonać pragnęli. Zdawało się, że wiatry późniejszych losów rozwieją po za murami uniwersytetu ten gęsty kurz drobnych waśni, wzbijany gniewnem tupaniem „stada”, a otaczający i duszący odłączonego odeń kozła. Tymczasem jakkolwiek Bukowski po skoń-

czeniu kursów oderwał się zupełnie od stosunków z dawnymi kolegami i naprzód gdzieś wyjechał a potem, jak ukryty w jamie borsuk, pracował za 25 rb. miesięcznie w Archiwum Głównem, ciągle przelatywały mi koło uszu różne o nim wieści. Raz nawet młoda panienka, opowiedziawszy mi pod jego imieniem jakąś bajeczkę, zapytała natarczywie:

— Co to za figura ten pan Bukowski?

Nareszcie i ja sobie to pytanie zadałem. Pamiętałem, że według opinii kolegów miał „głowę otwartą, ale serce zamknięte“ że skutkiem tego rzucano nań przeróżne klątwy, któremi on nie czuł się wcale pognębiony; ale jaki to był właściwie charakter, nie próbowałem odgadnąć. Młode umysły, opanowane wielkością geniuszów, których świeżo z książki lub lekcyi poznały, nie zwracają bacznej uwagi na swoje żywe otoczenie i nie prędzej zastanowią się nad wartością kolegi Pawła i Józefa, aż ochłoną nieco z uwielbienia dla Milla lub Darwina. I ja więc nie zaglądałem w duszę Bukowskiego, pogrążony w przepaściach dusz innych — wielkich. Gdy jednakże, utajone na chwilę pod wpływem studyów i pierwszych wrażeń samodzielnego życia, wspomnienia uniwersyteckie zaczęły się budzić, a towarzysze ławki szkolnej zdaleka przypominać, zapragnąłem po długiem niewidzeniu spotkać Bukowskiego. Chęć tę pobudzały nietylko ustawicznie około niego snute sieci plotkarskiej pajęczyny, ale i pewne rysy, jakie z jego niezwykłej natury zapamiętałem. Szczupły,

blady, wyrazistej twarzy z ciemnym, rzadkim obrostem, sprawiał wrażenie człowieka, który umie i lubi nie zginać, lecz łamać, nie odsuwać, lecz roztrącać, nie żłobić, lecz przebijać—myślą. Znać było jednak, że przyspieszone tętno energii wyczerpywało jej siłę. Gdy mówił, każda komórka w nim drgała a z oczu sypały się błyski gorączkowe; ale gdy zamilkł, po całej postaci rozlewało się takie omdlenie, taka trupia martwota, jak gdyby z ognia, który przed chwilą gwałtownie wybuchnął, nie została w piersi ani jedua iskra. Ponieważ zaś bezwładność ta opanowywała Bukowskiego bardzo często, wnosić więc należało, że była ona znamieniem natury marzycielskiej, która tylko od skrzęsanej w silnych starciach iskry na chwilę się zapalała. Henryk pracował niezmordowanie, nie zdołał jednak nigdy przyzwyczaić myśli do regularnego rytmu badań ścisłych, lecz puszczał ją w niesforny lot po całej dziedzinie wiedzy. Z historii wydobywał wielkie dramaty, z nauk przyrodniczych — wielkie procesy rozwoju świata, z prawa—wielkie starcia żywiołów społecznych, a gdy mu brakło pod śmiałe gmachy teorii faktycznego gruntu, wspierał je na swojej fantazyi. We wszystkich tych rojeniach niezaprzeczoną była uderzająca oryginalność, odwracanie wszystkiego nową na wierzch stroną, co niechętnym dostarczało materiału do szyderstw, dla mnie zaś stało się owym supełkiem, związanym na wspomnieniach, który mi później przywodził na myśl kolegę z „otwartą głową, ale zamknię-

tem sercem“. Raz właśnie, mijając gmach Archiwum Głównego, rozmyślałem nad tym supelkiem, gdy z bramy wyszedł Bukowski. Nie dostrzegł mnie—zawołałem. Przystanął, uśmiechnął się przyjacielsko i rzekł, podając mi rękę:

— Dziś mi się wiedzie. Spotykam ciebie, przed chwilą za brak uniżenia stracili mnie z 25-rublowej godności przepisywacza akt starych, a rano zaofiarowano miejsce w księgarni.

— W księgarni?— spytałem zdziwiony. — Czy do tego zawodu czujesz istotne powołanie?

— Mój kochany — odparł ironicznie — żyjemy, a przynajmniej ja żyję w takich warunkach, że jedynem powołaniem być może nakarmienie głodnego żołądka i odzianie nagiej skóry. Wracając przed pół rokiem ze wsi, spotkałem na drodze Bowińskiego—rok wcześniej od nas skończył wydział filologiczny—wiesz co robił? Mierzył jako konduktor szosowy pryzmy szabru. Takie powołanie i mnie wzywa do księgarni. Wejdę do niej z pociechą, że Böhme szyl buty, Jacobi pieprz sprzedawał, a Spinoza szlifował kamienie. Wreszcie zawsze wyżej ceniłem książki, niż ludzi, którzy po największej części przedstawiają tylko materiał na pergaminowe dla nich okładki.

— A czy pomyślałeś nad tem — wtrąciłem — że gdyby każdy skorzystał z prawa takiej wzgardy i tybyś musiał stracić rację bytu dla innych?

— I Archimedes wyważyłby świat, gdyby... gdyby

każdy mógł być mądrym, wszyscy byliby dla niego głupi. Idzie tylko o gdyby. Ach, mój drogi, w tem jednym słówku mieści się cała filozofia, cała siła i niemoc nasza. Uwolnij mnie dziś od gdyby, a jutro będę...

— Zapewnie — rzekłem — są jednak ludzie, a do nich, o ile mi się zdaje, ty należysz, którzy pogmatwane warunki życia płaczą jeszcze bardziej swoim rozdrażnieniem.

— Bogu, któryby mi dał tę przestrożę — zawołał szyderczo Bukowski—odpowiedziałbym: dlaczego mnie takim stworzyłeś? Cóż więc tobie mam odpowiedzieć?

— A więc szanowny Byronie pozostaje ci tylko pisać poezye.

Żart ten rozweselił mojego kolegę.

— Przeszkadza mi małe gdyby—odrzekł z uśmiechem. Tak nie znoszę jednostajności, że nie mógłbym związać dwu zgodnych z sobą końcówek. A przecież jest to konieczny warunek idealnej poezyi, chociaż rzeczywistość oddawna już u nas rymuje małpę z mędrcem i komara ze słoniem. Widzisz tam...

— Co takiego?—zapytałem po chwili, spojrzawszy na Bukowskiego, który nagle uciał i w jakiś punkt niemo się zapatrzył. Nawet nie zwrócił się do mnie.

— Co takiego?—rzekłem.

On ciągle milczał z utkwionym nieruchomo przed siebie wzrokiem. Byłbym prawdopodobnie nie odgadł właściwej przyczyny tego dziwnego zamilknięcia, gdy-

bym przypadkowo nie zauważył zbliżającej się ku nam młodej kobiety, którą Bukowski przeprowadził poza siebie oślepieniem oczyma.

— Kto to?

— Nie wiem — odparł drażliwie — czy widziałeś tych dwu mężczyzn, którzy...

— Będę szczerzym od ciebie—przerwałem—widziałem tylko tę kobietę, która jest rzeczywiście tak piękną, że będąc Adamem, objadłbym dla niej wszystkie drzewa wiadomości złego i dobrego. Znasz ją?

— Nie, tylko spotykam często.

— I nie dowiedziałeś się nawet, jak się nazywa? Jutro ci powiem.

Bukowski drgnął i rzekł poważnie, kładąc nacisk na każde słowo.

— Nie mów mi o niej ani słowa, chociażbyś wszystko wiedział—proszę cię o to.

— Dlaczego?—spytałem zdziwiony.

Uśmiechnął się smutnie.

— Tajemnice w sercu ludzkim nie są koszykiem wisien, któremi by można na deser częstować przyjaciół, dopóki jeść je zechcą. Poprzestań więc tymczasem na mojem życzeniu.

— Przepraszam cię — odrzekłem nieco zmieszany tą delikatną odprawą—rzeczywiście trudno częstować przyjaciół wiśniami, które są jeszcze tak zielone.

Zamilkliśmy obaj, prawdopodobnie myśląc o tem,

czemby złagodzić ten rozdźwięk i pożegnać się jak najprędzej. Bukowski pierwszy odezwał się po chwili:

— Zabawny widok przedstawiają ludzie, z których jeden udeptawszy drugiego w odcisk, gniewa się, że udeptany z bólu nie syknął.

— Zapewnie—odrzekłem, dzielając słuszość tej uwagi — tyle winien ten, co ma odciski, ile ten, co je mimowoli uraża.

Wyszliśmy na ulicę Senatorską.

— W którą stronę idziesz?—spytał Bukowski.

— Na prawo.

— Ja na lewo.

Podawszy sobie ręce, rozeszliśmy się w przeciwnie strony. W pytaniu mojego kolegi dostrzegłem chęć pozbycia się towarzystwa. Pragnął zapewne pozostać sam i zatonać we wrażeniu, które mu widocznie myśli pętało. I mnie zaczęły snuć się po głowie związane z tem wrażeniem pytania. Kto była owa spotkana kobieta? Jeśli jej Henryk rzeczywiście nie znał, dlaczego tak stanowczo zabezpieczył się przeciwko najdrobniejszemu o niej doniesieniu? Czy w jego tajemnicy spoczywał owinięty dramat, czy niezrozumiałe dziwactwo? W każdym razie kryło się w niej coś, co krwawiło wrażliwą duszę mojego kolegi i co uczyniło go dla mnie przedmiotem zwiększonej ciekawości.

Upłynął miesiąc i Bukowskiego nie spotkałem ani razu. Nareszcie pewnej soboty wybrałem się na koncert do Doliny Szwajcarskiej. Grano symfonię, więc

osób było niewiele. Przeglądając szczupłe ich grono, spostrzegłem z boku przy estradzie Bukowskiego. Siedział on zasluchany w muzykę, od czasu do czasu jednak zwracał spojrzenia w jeden punkt i długo je na nim zatrzymywał. Bez trudu wysledziłem, że w środku Doliny, w towarzystwie dwu matron i jednego mężczyzny znajdowała się też sama kobieta, którą spotkaliśmy na ulicy. Zająwszy dość bliskie miejsce, mogłem jej się uważnie przypatrzeć. Przeliczyła już zapewne lat dwadzieścia kilka. Na wysmukłej, foremnie zaokrąglonej postaci kołysała się swobodnie, choć poważnie cudowna głowa. Czarne włosy pieściły otwarte i rozumne czoło, pod niem głębokie, siwe, może kiedyś swawolne, ale dziś tylko łagodnie rozmarzone oczy płuły tym miłym blaskiem, który więcej ogrzewa, niż parzy. Ruchliwe nozdrza delikatnie zarysowanego nosa zdradzały czujną wrażliwość, a przelatujący po wązkiej ustach i często niknący uśmiech zdobił je nieujęty w słowo czarem. Nikt nie nazwałby jej twarzy smutną, a jednakże pogodny jej wyraz rozpływał się często w jakimś poważnem zamysleniu. Było to poważne zamyslenie, czy też tylko ów złudny wdzięk pięknych głów niewieścich, który nieraz zdobi największą ich pustkę? Głowy te bowiem są podobne do pięknych kwiatów, na które patrząc zdala, jesteśmy przekonani, że barwne ich korony wydają z siebie najrozkoszniejszą woń, gdy tymczasem one po bliższem zbadaniu okazują się bez żadnego zapachu. Tak samo zwodziła

może i twarz uroczej nieznajomej. Ja jednakże w jej piękności widziałem niezwykajny rozum, widziałem z chmur jej czoła przedzierające się oczami błyskawice uczucia, widziałem wszystko, co tylko bogowie i boginie Olimpu, złożywszy swe najcenniejsze dary na stworzenie arcydzieła natury, zaofiarować mu mogą.

Nagle wśród tych rozmyślań poczułem na ramieniu lekkie dotknięcie. Poza mną stał ironicznie uśmiechnięty Bukowski.

— Jakże ci się podobała ta... symfonia? — spytał.

— Bardzo piękna — odrzekłem, budząc się z rozmarzenia. — Siądź przy mnie, stąd lepiej... słychać.

— Za blisko — zresztą teraz przerwa w koncercie — przejdźmy się po ogrodzie.

— Chętnie.

Wyszliśmy w odległą aleję. Bukowski milczał, nucąc jakiś motyw z odegranej symfonii.

— Lubisz muzykę? — zapytałem.

— O ile mi nie przeszkadza — odrzekł krótko i dalej nucić zaczął, widocznie jednak czem innem zajęty.

Mijające nas grupy osób dostarczyły materiału do kilku spostrzeżeń, z których przecieź nie mogła się spleść ciągła rozmowa. Wreszcie zaczęto grać.

— Zostajesz jeszcze? — zagadnął mnie nagle.

— Zapewnie — odpowiedziałem nieprzygotowany na to pytanie.

— Ja idę do domu — rzekł stanowczo.

— Zatem do widzenia.

Rzeczywiście wyszedł z Doliny, chociaż sądziłem, że tylko chciał się ze mną rozłączyć. Co go wypędzało? Czy jakieś przykre wrażenia, czy moja obecność? Zły na siebie, że mimowoli sprawiłem mu może przykrość, wkrótce opuściłem również koncert.

I znowu na kilka tygodni Bukowski zniknął mi z oczu, jakkolwiek nie ustąpił z pamięci. Jednego dnia wreszcie potrzebując kupić sobie jakieś dzieło, udałem się do księgarni, w której on pracował. Zastałem go zmienionym, jak gdyby chorym, ale jednocześnie cieplejszym dla mnie, niż zwykle. Narzekał na zajęcia mechaniczne, nieodpowiadające jego usposobieniu, mówił o powrocie do Archiwum, a przede wszystkim prosił, ażebym go często odwiedzał. Odwiedzałem go też prawie codziennie, pociągany nieprzepartą siłą, która powoli splotała między nami węzeł serdeczniejszego stosunku. Raz — było to w styczniu — umówiliśmy się pójść nazajutrz do teatru. Jak zwykle przybyłem wieczorem do księgarni, i podczas gdy Bukowski załatwiał interesantów, ja przeglądałem na boku świeże wydawnictwa. Właśnie miałem mu zwrócić uwagę, że już pora widowiska się zbliża, gdy do księgarni weszły dwie kobiety. Jedna z nich była to dobra moja znajoma, pułkownikowa Rubowicz, która straciwszy w Kijowie męża i mowę ojczystą, powróciła do kraju, ażeby odzyskać przynajmniej to, co się odzyskać dało. Mimo późnego wieku i otyłości czynna, wiecznie zajęta wielkimi i małymi sprawami miejscowego życia, groma-

dziła obok siebie dość liczne towarzystwo, w którym i ja kilkakrotnie się znalazłem. Opadłszy na krzesło zmęczona, rzekła do Bukowskiego widocznie skażoną polszczyzną:

— Pozwólcie mi, panie, kilka świeżych walców Straussa.

Henryk przyniósł paczkę nut i rozłożył je przed pułkownikową. W tej chwili druga, przybyła z nią kobieta podniosła z twarzy gęstą, czarną woalkę i zbliżyła się do stołu. Bukowski zbladł, ja omal głośno nie objawiłem zdziwienia. Była to bowiem—ona.

— Czy mogę dostać u panów „Życie zwierząt“ Brehma?

— A tobie na co, mileńka?—zawołała pułkownikowa.

— Chowam koty—odrzekła śmiejąc się nieznajoma.

Spojrzałem na Bukowskiego. Stał blady, usta mu drżały, oczy świeciły gorączkowo, a twarz wyrażała jakąś nieprzytomność.

— Czy więc macie panowie Brehma?—powtórzyła młoda kobieta.

Pytanie to otrzeźwiło go. Wyszedł do drugiego pokoju i przyniósł książkę.

— Com winna?

— Dwa ruble—odrzekł Henryk, zupełnie spokojny a nawet ironicznie uśmiechnięty.

Tymczasem pułkownikowa, mruczając ciągle, wybrała kilka walców i kazała je sobie zapakować. Wtem dostrzegła mnie.

— Chwyciliśmy—zawołała podbiegając—ukryć się pan chciałeś—ha? Ślicznie, *comme il faut* młodzieniec. Dom mój omija i przywitać nawet przy spotkaniu nie raczy.

— I owszem pani... — próbowałem się tłumaczyć.

— Nie wykręćcie się, jak wiun.—przerwała.—No, otwarcie, dlaczego pan u mnie nie byłeś tak długo?

— Zajęcia...

— Znam ja wasze zajęcia, ale już prosić nie zacznę. U mnie łaska życzliwych znaczy dużo, a niełaska nie-życzliwych—mało. Przed bramą nie stanę i łapać do-brodzieja nie będę.

— Ależ najchętniej—kiedy pani pozwoli.

— Ze słów sznur do nieba ukręcisz, a na dach po nim nie wleziesz. Pozwolenia nie potrzeba, pan wiesz, że u mnie co wtorki drzwi dla znajomych otwarte. Jeśli więc chcesz mnie przekonać, nie gadaj dziś, tylko przyjdź jutro.

To rzekłszy, odbiegła, wzięła nuty i kłaniając mi się zdaleka, dodała ciszej we drzwiach, puściwszy naprzód swoją towarzyszkę:

— W nagrodę poznam pana z ładną kuzynką.

Wyszła. Bukowski popatrzył długo na mnie, potem w okno, wreszcie rzekł drżącym głosem:

— Nie mam chęci iść do teatru, ale poszedłbym do ciebie.

— Dobrze.

Za chwilę byliśmy na ulicy.

Jako wiele obiecujący krytyk jednego z pism warszawskich i dlatego pobierający aż grosz od wiersza chętnie drukowanych artykułów, mieszkałem do spółki z tyleż obiecującym i tyleż cenionym kolegą w dwu pokoikach na trzecim piętrze, w olbrzymim domu przy ulicy Wielkiej, której nazwa była jedynem zadowoleniem naszej głodnej sławy. Gdym zapalił świecę, spostrzegłem Henryka, stojącego nieruchomie na środku pokoju z oczyma utkwionemi w podłogę.

— Rozbierz się i siadaj—prosiłem.

Zdjął palto i rzuciwszy się na najbliższe krzesło, zapytał:

— Czy jesteśmy sami?

— Zupełnie.

— Bo widzisz — rzekł jakimś przykrym tonem — jeżeli ty jesteś już niepotrzebnym spowiednikiem moich wyznań, to tembardziej zbytecznym byłby jeszcze ktoś drugi.

— Ależ mój drogi — zauważyłem zdziwiony — ja wcale żadnych wyznań od ciebie nie żądam.

— Mimo to przyszedłem tu, ażeby się wypowiadać przed tobą z pewnych grzechów mojego serca; nie dlatego, że chcę, ale dlatego, że muszę.

Umilkliśmy na chwilę.

— Czy nie mógłbyś mnie i siebie uwolnić od tych przykrych zwierzeń?—spytałem zakłopotany.

— Nie—odrzekł Bukowski i znowu zamilkł.

Błada jego twarz to obciągała się chmurami, to

rozjaśniała ironicznym uśmiechem. Czasem robił wrażenie człowieka zbolalego, który ma przed cudzem okiem odsłonić jakąś głęboką ranę, a czasem znowu dumnego, który ma odkryć upokarzającą tajemnicę.

— Jeżeli chcesz mnie zrozumieć—rzekł wreszcie z wysiłkiem—pamiętaj zawsze, że jestem marzycielem nadzwyczajnie wrażliwym. Ludzie otrzymują od natury rozmaite serca: jedni tak twarde, że uczucia zbierają się w nich jak para w kotłach metalowych, której nadmiar może je rozerwać, ale nigdy rozszerzyć; inni znowu tak elastyczne, że każde silniejsze technienie rozdyma je jak balony gumowe. Takie właśnie rozdęte, wielkie, ale wątłe serce prawdopodobnie w spadku po matce ja posiadam. Ukłuj je najdelikatniejszą szpilką, opadnie puste, do powtórnego napelnienia niezdatne.

Przerwał, widocznie strudzony i znowu żywiej mówić zaczął.

— Nazywano mnie zawsze zimnym i złośliwym. Nie dziwnego; dopóki gawrony, składające połowę ludzkiego rodu, nie wykąpią się w wodzie, przypuszczają zapewne, patrząc na nią zdala, że ją szlifować można. Byłem zimny, ale przy zetknięciu się z rzeczywistością, która moje rozpalone marzenia mroziła; byłem złośliwy, bo strzegłem przed zniewagą i rabunkiem skarb uczuć moich. Język jest mieczem, którym bronisz dostępu do swej duszy złodziejom i mordercom, a którym z przyjaciółmi, zwłaszcza gdy ona jest pusta, obierasz spokojnie kartofle na pokarm codzienny.

Ten dziwny, dosadnemi porównaniami naładowany wstęp jeszcze bardziej pobudził moją uwagę. Niecierpliwie też oczekiwałem właściwych wyznań Bukowskiego.

— Przed pięciu laty—rzekł on po długiej przerwie—dobry czy zły los sprowadził mnie pewnego wieczoru do teatru. Usiadłszy w krześle, spostrzegłem niedaleko w łoży parterowej obok podstarzałej kobiety drugą bardzo młodą, do której siedzący poza niemi, średniego wieku mężczyzna coś z zajęciem szeptał. Ona nie odpowiadając mu wcale, wodziła wesołemi oczyma po teatrze, a zauważywszy, że pilnie się jej przypatruję, zatrzymała je dłużej na mnie. Nie chcę zbyt obnażać swego serca, więc nie będę cię szeroko zaznajamiał z tem pierwszym jego odurzeniem. Dość, że doznałem jakiegoś zamętu w głowie, przed wzrokiem zawisła mi mgła, zapomniałem o przedstawieniu, o przyzwoitości, z natręctwem igły magnesowej zwracałem się ustawicznie do niej, olśniony, drżący, nieprzytomny. Wyobrażenia rozwieszała przed moją myślą najrozkoszniejsze i najboleśniejsze obrazy. Raz ukazywała mi tę kobietę w świetle spełnionych marzeń, to znowu w mrokach męczeństwa, wreszcie na niedostępnych dla mnie wysokościach tronu społecznego. Pod wpływem tych zmieniających się obrazów omdlewałem z rozkoszy, konałem z boleści lub drętwiałem z rozpacz. Dreszcz mną zatrząsł, gdy odzyskawszy na chwilę świadomość swego stanu, pomyślałem, że może cały

ten gwałtowny przypływ uczucia nie będzie miał żadnego ujścia i wiecznie burzyć się będzie, zamknięty w mej piersi. Ach, gdyby wtedy oberwał się był świecznik, który wisiał nade mną i roztrzaskał mi głowę!... Nie śmiej się, bo wybiegłszy z teatru, otrzeźwiony świeżem powietrzem, sam się gorzko rozśmiałem... Głupia duszo—powiedziałem sobie—ty tafla fotograficzna, odciskasz na sobie obraz nieznanej, poraz pierwszy widzianej kobiety, która może... Nie śmiałem jednak dokończyć tej przestrogi obudzonego rozumu, bo on całkiem płomienia nie ugasił. Najsilniej wydarte uczucia pozostawiają w pamięci korzenie, z których na nowo odrastają. Mimo więc wszelkich wyrzutów i uwag rozsądku, nietylko nie mogłem zadusić w sobie wspomnienia, ale nawet widziałem, że ono ciągle się odradza. Zacząłem unikać ludzi, towarzystw, miejsc publicznych. Upłynął rok, który mnie nieco uspokoił. Przechodząc raz pewnego przez Ogród Saski, spostrzegłem w równoległej alei owego mężczyznę z loży, prowadzącego kobietę. Zapomniałem o wszystkich postanowieniach i zbliżyłem się spiesźnie. Była to rzeczywiście—ona: blada, z widocznymi śladami choroby na zmęczonej twarzy, śród której żarzyły się tylko spotęgowanym blaskiem piękne, głębokie oczy. Wesołe i żywe dziewczę zmieniło się na poważną kobietę. Spojrzała na mnie tak obojętnie, jak na mijany słup przy drodze. Kto ona jest? Po raz pierwszy to pytanie i tylko to pytanie o władnęło wszystkimi moimi myślami. Gdyby wtedy

znalazł się był człowiek zdolny mi na nie odpowiedzieć, byłby mnie może wyrwał z tego miłosnego kokonu, który na około siebie oprząłem i w którym powoli zasycham.

— Dlaczegoż nie wyszedłeś tej kobiety—przerwałem — nie starałeś się dowiedzieć o jej nazwisku, poznać?

Uśmiechnął się smutnie.

— W tem—rzekł—tkwi właśnie tajemnica mojej natury i mojej miłości. Zrobiłby to człowiek, słabiej odczuwający wrażenia i mniej rozmarzony. Zanim myśli moje nabrały energii do chodzenia po ziemi, już je wyobraźnia uniosła do nieba. Nie mając na razie żadnego objaśnienia, prócz kilku w lot schwytanych i dowolnie wytłómaczonych spostrzeżeń, pozostawiony sam na sam z zagadką, zacząłem ją rozwiązywać tak, jak mi serce doradzało. Rzuć w takie gorące serce obraz pięknej kobiety, a z pewnością narodzi się w niem anioł. A gdy on się narodzi, zamkniesz go i strzedz będziesz, ażeby mu rzeczywistość nie odłamała skrzydeł i nie poplamiała szat białych. Wszyscy ludzie są o tyle piękni, o ile mniej poznani. Huryski raj mahometańskiego dlatego tak uroczę, że mają na ziemi twarz zasłoniętą. Natura dała nam wyobraźnię, ażebyśmy ozdabiali jej twory. Gdyby zwleczono całą tunikę z Fryny, gdyby na wskrós prześwietlono jej ciało, zamiast uniewinnić z zachwyty, sędziowie potępiliby ją z odrazy. Sparta nie знаła idealnej miłości, bo jej

dziewczyny z chłopcami gimnastykowały się nago na placach publicznych.

— Ależ mój Henryku — zawołałem — nie wymagając za wiele, mogłeś jednak przy poznaniu tej kobiety znaleźć w niej bardzo dużo.

— Albo nie — odparł gorączkowo. — Kto mi za to poręczy? Ja ją w samotnych marzeniach moich wypieściłem, ona jest dla mnie wcieleniem wszystkich cnót i uroków, światłem mojego życia, a tymczasem może to tylko piękny zraz podany do spożycia bogatemu panu, może cudownie opierzona gęś, może naładowana namiętnościami maszynka, elektryzująca martwych rozpustników. Wierz mi, najrozumniejszym kochankiem był Don Kichot, który z prostej dziewczki wyidealizował sobie najwznioślejszą istotę i nie znał jej.

— Błąd twój i osnute na nim dziwactwa — wtrąciłem znowu — oparte są na przesadzie. Dlaczegoż ona ma być czemś najgorszem, a nie, przypuścimy — dobrem? Weź prawdopodobieństwo przeciętne, ludzkie...

— I ono ma dość kolców — odparł wzgardliwie. — Posłuchaj. Zdarzyło ci się zapewne spotkać kobietę, która cię oczarowała samym swoim widokiem. Patrzysz na nią, podziwiasz, z jej oczu przegląda niewinność, na jej ustach drga uczucie, spodziewasz się w niej wszystkiego, co tylko marzenie twoje zapragnąć może. Czy nie lękasz się wtedy, ażeby z tych koralowych ust nie wybiegło niedorzeczne słowo? Gdy usłużny znajomy, spostrzegłszy twoje zajęcie, podejdzie i powie:

podobała się panu młoda żona starego radcy, która tyle kosztuje swych wielbicieli, że na dzisiejszą jej toaletę aż trzech podobno się złożyło—czy wtedy nie doznasz przykrości? Czy nie zgrzytną ci w uszach słowa, gdy usłyszysz o innej: dobra dziewczyna, szkoda tylko, że ojciec ukradł majątek nieletnich? Słowem, jednąbyś kochał, gdyby jej przodek psów nie łapał, drugą — gdyby jej matka z oficerami nie uciekała za granicę, trzecią—gdyby nie należała do pewnego wyznania—a niema takiej, któraby, jeżeli nie w sobie, to około siebie, nie posiadała jakiejś skazy lub wreszcie jakiegoś ograniczenia dla twych uczuć. I ty chcesz, ażebyś ja dziś dowiedział się kto ona? Kimkolwiek jest, nie jest w rzeczywistości moim ideałem. Nie szukając nigdy, spotykam ją od lat pięciu ciągle: widywałem ją w najrozmaitszych usposobieniach i sytuacjach, z których zawsze zdjąłem jakąś dla niej ozdobę, które jednak mogły również przekonywać, że ona jest niewinną, czułą, rozumną, zacną a nawet... polką. Kochać można tylko obrazy ludzi, ale nigdy ich wnętrzości, kochać można jedynie kobiety, wyrwane ze stosunków rzeczywistych, bez nazwiska, bez rodziców, bez religii, bez narodowości, bez wszystkiego, same, wyjęte z ram, od których na nie czasem cień pada. Rozumiesz teraz, dlaczego nie chcę nic o niej wiedzieć? Wypowiadałem się zaś przed tobą dlatego, że przyjąłeś zaproszenie pułkownikowej, że ją u niej poznasz, że mógłbyś nieopatrznie słówkiem ukłuć ten wyduły

miłością balon, który się zwie mojem sercem. Najśmieszniejsze dziwactwo jest dla kogoś równie potrzebnym organem życia, jak dla innego najpoważniejszy rozum. Gdybyś więc po tem wyznaniu chciał mnie kiedykolwiek w tem dziwactwie skaleczyć, zmieniłbym wagę szacunku, który mam dla ciebie, na wagę wzgardy.

To rzekłszy podał mi rękę i wyszedł.

Długo rozmyślałem nad tą tajemnicą i groźbą. Opa-miętawszy się, mimowoli zawołałem:

— Pójdę do pułkownikowej i muszę się dowiedzieć, kto ona!

Mimo silnego postanowienia i zaostrzonej ciekawości, zawahałem się w ostatniej chwili: czy pójść i poznać tę, która prawdopodobnie była jej „piękną siostrzenicą“, czy też uniknąć pokuszenia. Odciągały mnie dwa bardzo ważne względy: z jednej strony obawiałem się, ażeby nieostrożnem słowem nie ugodzić później Bukowskiego i nie przeciąć mojego z nim stosunku, z drugiej — ażeby ona nie wydała mi się istotą niegodną jego uniesień. Jeżeli ją poznam, czy zdołam powstrzymać się od uchYLENIA rąbka zasłony, od rozjaśnienia jego wątpliń promieniem radosnej nowiny lub rozdarcia jego marzeń mieczem nielitościwej prawdy? Gdy rozum się waha, ciekawość podsuwa mu zawsze jakiś wybieg do obejścia skrupułów. I ja więc powoli wytłomaczyłem sobie, że obawy moje są płonne a nawet śmieszne: bo i jakąż miałem pewność, że to ona właśnie jest siostrzenicą pułkownikowej i że ją u niej

spotkam? Uspokojony tem przekonaniem, ubrałem się spiesźnie i wyszedłem.

Na wszelkie zabawy do Rubowiczowej towarzystwo zbierało się bardzo wcześnie. Spóźniających się gospodynę witała mniej lub więcej ostrym docinkiem. Była już godzina dziesiąta, gdy po długim namyśle przybyłem wreszcie na ulicę Królewską, gdzie Rubowiczowa zajmowała bardzo wytworne mieszkanie.

— Pan przyszedł świece gasić, bo my już po nabożeństwie—rzekła z właściwą sobie rubasnością, z której przebijała się jednak uprzejmość.

— Zdaje mi się, że dopiero kazanie, szanowna pani—odpowiedziałem z uśmiechem.

— Należy się ono panu—ha?

— Naturalnie.

— Zając w occie—jaki kruchy! No, ja nie mszczę, ale proszę: albo od Rubowiczowej daleko uciekać, albo do jej domu zaglądać. Jeśli wam niewygodny moi mebli, albo nie po guście kuchnia, to możecie powiedzieć, ja zmienię.

Pułkownikowa, która dość czystą zwykle polszczyzną zaczynała rozmowę a dość kulawą kończyła, poczuwszy, że zaplątała się w „ukrainność“, uściśliła mnie tylko za rękę i odeszła.

Po mężu swoim zatrzymała w spadku dwie niechęci: do szlachty i do żydów. Oba te więc żywioły, przynajmniej imiennie, nie wchodziły w skład jej towarzystwa. Rzeczywiście jednak tu i owdzie wyskakiwały z twarzy

zuamiona typu semickiego lub przedzierały się przez demokratyczną maskę szlacheckie półsłówka. Nie mogło nawet być inaczej tam, gdzie towarzystwo stanowiło arystokrację duchową. Naród nasz, jako naród, zbyt niedawno żyje, ażeby mógł swe salony ozdabiać gwiazdami, które zaświeciły pod chłopską lub mieszczańską strzechą.

Zebranie tego dnia było niewyuczajnie liczne. Śród obfitego grona strojnych, przeważnie mi nieznanych kobiet (bo przez dom pułkownikowej przepływała niemal co tydzień nowa fala ukraińskich, wołyńskich, podolskich i litewskich „rybek“), spostrzegłem znaczny zapas literatów, umiejących korzystać ze „staropolskiej gościnności“, kilku młodych malarzów, widzących wszechświat w chudym koniu, dwu aktorów dopełniających tryumfami na estradzie niedobór w powodzeniach teatralnych, jednego muzyka, zaznamiającego publiczność salonową z „urywkami“ swej niedokończonej jeszcze, ale szerokiej kompozycji — a obok tego pośledniejszego, chociaż najkrzykliwszego gatunku kilkudziesięciu ludzi poważnych, wcale niegłośnych, lecz nie mniej stanowiących główny i stały rdzeń towarzystwa Rubowiczowej.

Witając najbliższych znajomych, przeleciałem z ciekawionym wzrokiem po twarzach kobiet, pewien, że zobaczę ją, królującą niepodzielnie, otoczoną tłumem wielbicieli. Nie dostrzegłem nigdzie. Nie wierzyłem własnym oczom—przepatrzyłem salon raz, drugi,

trzeci, może dziesiąty—daremnie. Ogarnęło mnie jakieś dziwne uczucie niesmaku, gniewu. Jakkolwiek w domu usunąłem skrupuły wyjścia przypuszczeniem, że jej tu nie spotkam, teraz nie tailem przed sobą, że przyszedłem tylko dla niej. Zawód spotęgował moją ciekawość, pod której wpływem zapomniałem o Henryku; zdawało mi się, że jej poszukuję dla siebie, dla zadowolenia pragnień własnego serca.

Zły, niezadowolony, usiadłem w kącie salonu, bez chęci przyjmowania udziału w żywo toczącej się rozmowie o jakimś olbrzymim zapisie dla chłopów. Nie zauważyłem nawet, że obok mnie znalazł się znajomy lekarz, daleki krewny Rubowiczowej, jeden z najprzyjemniejszych jej gości—p, Grzywacz.

— Chyba my musimy odmłodnieć—rzekł przyjacielsko—kiedy tacy jak pan się starzeją. Co to, chory pan jesteś?

Zagadnięty niespodzianie, osłoniłem się wymówką:

— Towarzystwo mi nieznane.

— Tem lepiej — zaśmiał się Grzywacz — większe zajęcie budzi. Masz pan dziś bardzo obfity wianuszek pięknych kobiet. Już to pułkownikowa umie wynajdywać róże. Co prawda, posiada ona tyle ładnych kuzynek, że mogłaby ich wdziękami natchnąć cały batalion poetów. Panny, wdowy, rozwódki, mężatki—co kto lubi. A już taka dobra rasa, że jedna w drugą jak łanie.

— Czy ich mężowie również jak—jelenie?

Lekarz, który lubił swobodne a nawet rubaszne żarty, zaśmiał się głośno.

— I to się zdarzało, ale pozrzucali rogi i uciekli. Trudno, mój kochany panie: kobiety są oszczędne — salon serca zostawiają mężom, a jeden lub dwa pokoiki odnajmują kochankom. Chociaż między kuzynkami pułkownikowej jest tu taka, która własnemu mężowi nie pozwoiliła przestąpić nawet progu swego serca i trzyma je dotąd niezajętem.

— Cóż mąż?

— Spróbowałszy różnych kluczków i wytrychów, dał za wygraną i rozwiódł się.

— Która to, jeśli wolno spytać?

Grzywacz spojrział po salonie i rzekł:

— Nie ma jej, musiała w tej chwili wyjść do drugiego pokoju; siedziała tam, pod lustrem. Rzadkie licho — i staremu nieraz w głowie zakręci. Piękna, że odżegnać się od niej nie można. Czyta ciągle, marzy, rwie się do rozmaitych przedsięwzięć, zakłada szkółki, leczy, rozrzuca pieniądze, wspiera biednych i próżniaków, wzlatuje uniesiona jakąś myślą i znowu spada złamana zniechęceniem — a w tem wszystkim marnieje. Jest to cudowny, ale więdnący kwiat, nieszczęśliwszy od najszcześliwszej rzodkiewki, którą ten lub ów wyrwie i ze smakiem spożyje. Jest to jakaś błędna gwiazda, wytracona z kolei.

Wymawiając te słowa, Grzywacz zwykle odwraca-

jący ludzi śmieszną stroną, przeszedł w ton poważny. Słuchałem go ciekawie, bo zdawało mi się, że mówi o niej. Odsunąłem jednak tę myśl, strzegąc się pomyłki.

— Teraz znowu ogarnęła ją chęć badania obyczajów zwierząt—mówił dalej. — Nie jest to potrzeba wiedzy, ale przechodni smak, a raczej niesmak do ludzi. Zdawałoby się, że ta kobieta przepędza życie w miłośckach, a ona nikogo jeszcze prawdziwie nie kochała. Od czasu do czasu, jak gdyby na przekór logice, zajmuje się jakimś trutniem, walczy o niego, obsypuje go łaskami. Rzecz dziwna, im niższy gatunek ludzki, tem silniej ona się do niego przywiązuje. Warto ją poznać. No, ale nie będę pana dłużej zajmował bajaniem, bo panny spoglądają na mnie z wyrzutem. Do widzenia.

Przeszedłem się po salonie, do którego przytykał mniejszy, słabiej oświetlony, gdzie siedziało kilka osób, prowadzących z sobą cichą rozmowę. Zajrzawszy z po za uchylonej portyery — drgnąłem jak uderzony: na małej sofce, obok młodego mężczyzny, siedziała—ona. Jej głębokie, dziwnie przejmujące oczy spoczęły na mnie z taką mocą, że niemal uczułem ich dotknięcie. Nie wiedziałem, gdzie się podziać. Spostrzegłszy tuż przy drzwiach znajomego mi ojca pułkownikowej, który samotnie drzemał, usiadłem obok niego. Staruszek przywitał mnie życzliwie, i rad, że złapał kogoś do gawędki, zaczął po raz setny opowiadać dobro-

czynne skutki Marienbadu. Ja tymczasem łowiłem chciwie każde słowo, które z jej ust głośniejsze się odzywało.

— Może masz pan słuszość — mówiła ona — że rozumem kobiety jest miłość. Ale nawet pod groźbą nierozumu kochać nie umiem ludzi. Pan to nazwiesz kalectwem, a ja doświadczeniem. Byłam już żoną. Człowiek jest zbliska istotą bardzo szpetną, szpetniejszą niż zwierzę, bo ono nas pozorami nie łudzi i do marzeń nie pobudza.

— Pozostaje więc pani tylko — rzekł gorzko młody mężczyzna — przypatrywać się jedynie własnej piękności.

— Nie byłoby to tak niedorzeczne, jak pan przypuszczasz, gdyż tylko o sobie nie mam żadnych złudzeń, a więc nie doznaję żadnych rozczarowań.

— Szkoda, że z filozofii zrobiłaś pani tylko sztukę obrzydzenia sobie życia.

— I upiększenia — dodała pospiesznie. — Czy pan sądzi, że odmówiwszy panu ręki, nie oddaję jej nikomu? Śni mi się codzień mój kochanek.

— Poślubij więc pani widmo.

— Jestem już dawno z niem zamężna.

Młody człowiek uklonił się, wstał i odszedł. Rozmowa ta wywarła na mnie głębokie wrażenie. Zdawało mi się, że słowa jej splatają się harmonijnie z marzeniami Henryka, że nie słysząc się wzajemnie, dwie te dziwnie pokrewne dusze tworzą miłosny duet. Czemu on sz-

lony jej unika? Jak gdyby odgadując to pytanie, ona spojrzała na mnie smutnie i badawczo.

Nagle z salonu wpadła Rubowiczowa.

— Pan tu — zawołała — sądziłam, żeś pan uszedł. Al! obiecałam panu...

Wzięła mnie za rękę i przedstawiając nieznajomej rzekła:

— Pan Okoński, złowiony uciekinier, moja kuzynka, pani..

Tu wymówiła nazwisko.

Nie chcąc waszej ciekawości zadowolnić zmyślonem imieniem, a jednocześnie chcąc uszanować tajemnicę mojego przyjaciela, nazwiska tego nie powtórzę.

.

W dwa dni potem przechodziłem ulicą Królewską. Przed mieszkaniem Rubowiczowej spotkałem Bukowskiego. Zaledwie przywitaliśmy się, tuż około nas stanął powóz, z którego wysiadła ona. Ukłoniłem się jej — Bukowski zbladł i spojrzał na mnie niespokojny. Gdy weszła do bramy, nie mogąc powstrzymać gwałtownie cisnących się słów, zawołałem:

— Henryku, ona jest...

— Nie chcę! — krzyknął Bukowski.

Zamilkłem — on posępny odszedł.

Od tego dnia unika mnie starannie. Widuję go często zgnębionego. Zamiera powoli. Żal mi go serdecznie. Czemuż nie mogę mu powiedzieć chociaż tyle:

legenda perska mówi, że Bóg rozkrawał jabłka na dwie połowy i rozrzucał je po świecie; z połówek tych wyrosły pary mężczyzn i kobiet, które do siebie ciągle dążą i wreszcie się łączą; otóż legenda ta, jak wszystkie inne, kłamie, bo zwykle się—nie łączą.

TESTAMENT ALEGO.

— Nie, mój Hikmecie, nie pocieszaj, bo mnie tem tylko smucisz. Chciałbym, żeby życie moje zgasło z dzisiejszem słońcem. Jak skąpiec pieniądze, z taką chciwością ja odliczałem mijające dni, ciesząc się każdym, który mnie do grobu przybliżał. Już nie-daleko... wreszcie niedaleko!

— Ukryj się, bo chłód przez okno zawiewa.

— Zdrowia mi nie przyniesie, więc go się nie lękam. Ale ty ciągle mnie nie rozumiesz i przypuszczasz że kłamię. Tymczasem... gdybym mógł w jednym kaszlnięciu wyrzucić resztkę płuc z piersi i skonać, zrzekłbym się nawet twego pożegnalnego uścisku. Hikmecie, Hikmecie, bodajbyś z taką rozkoszą wychylał puhar życia, z jaką ja go roztrącam! Jeżeli serce mi jeszcze bije, to tylko dlatego, że drga nadzieją szybkiego ustania. Wpatrz się dobrze w twarz moją, gdy umrę, a zobaczysz na niej szczery uśmiech.

Zmęczony wysiłkiem Ali opadł na poduszki i utkwiał gorejący wzrok w portret jakiegoś chłopczyka, zawieszony na przeciwległej ścianie. Jego blada, wychudła

twarz, oblana światłem zachodzącego słońca, przybrała trupią, żółtawą barwę, którą łagodziły zaledwie siwe, wnieladzierozrzucone włosy i długa, roztrzepana broda.

Hikmet ukrył twarz w dłoniach i mileżał.

— Gdyby wszyscy — szeptał Ali do siebie — zasnęli w płonącym domu, a jam tylko jeden stał zewnątrz niego, rzuciłbym się w ogień dla wyratowania... obrazu... żony... dzieci... Mehmeda... Vefika... razem może trzydzieści... niewiele miałbym trudu.

Po chwili niemego marzenia, podniósł się znowu i usiadł na łóżku.

— Gdybym mógł uwierzyć, że ty, Hikmecie, nie jesteś moim przyjacielem, byłbym ci bardzo wdzięcznym.

— Dlaczego?

— Bo chcę ze świata zejść zupełnie wesołym. Ty zaś, pocciwy Mehmed, zacny Vefik i kilkunastu innych przeszkadzacie mi, psujecie humor. Teraz wołałbym zapomnieć, że znałem ludzi, którzy nie byli: złodziejami, cheiwcami, wiarołomcami, którzy nie ułaskawiali łotrów i nie krzyżowali ucziwych, którzy nie dawali cnocie ślubu z występkiem. Potworny świat: dla znalezienia cnoty więcej trzeba przerzucić spodlonych cielsk, niż rozbić skał dla wyszukania dyamentu. Kto mówi prawdę — ostrzega nasze przysłowie — tego z dziesięciu wsi wyganiają. Wyganiano mnie z tysiąca, ale z grobu nie wypędzą. Sam zostanę, a nawet gdy koło mojej mogiły przechodzić będzie niegodziwiec

ucieknie przestraszony, bo usłyszy dobywający się z niej głos wzgardy. I cóż ja...

Zakrztusił się gwałtownie, krew z ust chustką obtarł i leżał bezwładny. Ale znowu usiadł i rzekł, śmiejąc się gorzko:

— No, zawiniłem względem ludzi: zamiast podawać miednicę do obmycia brudu, ja im nadstawiałem zwierciadło do przejrzenia się. Błądziłem religii, bo Allah wydawał mi się lichym konceptem, a jego prorok pijanym marzycielem, bo drwilem z głupców, całujących nabożnie grzebień, którymi święci czesali swe kołtuny; obrażałem władzę, bo nie uznawałem się za proch na stopach nakładacza fajek ministeryalnych. Gdy raz napisałem w gazecie, że urzędnicy zbyt rabują skarb publiczny, jeden z nich, złodziej, który, gdyby mógł, ukradłby tęczę z twego oka, przytoczył mi starą maksymę: „bogactwo padyszacha jest morzem, nie pije z niego tylko świnia“. Pewien kapłan, z którego trudniej było wycisnąć jałmużnę, niż łzę z oczu trupa, i który w poufnej rozmowie dowodził, że derwisz bez pieniędzy nawet w niebie jest durniem, wyklął mnie jako gorszyciela młodzieży i pozbawił chleba nauczycielskiego. Poeta nasz, który był prawowitym synem swego narodu, przyznał się, że tylko te dźwięki odurzają go i zachwycają: „cisz, cisz! pieczeni, gluk, gluk! butelki z winem i szuch, szuch! szeleszczącej sukni kobiecej!“ Kto ma inne upodobania, kto, paląc fajkę wobec wyższego znaczeniem lub majątkiem, puszcza

kłęby dymu przed siebie, zamiast kątem ust wysuwać go za siebie — ten u nas grzeszy przeciw religii, moralności, społeczeństwu, jest bezbożnikiem, zbrodniarzem, zdrajcą, wszystkim, czem ja byłem. Ha, ha, ha!...

— Nie mów tak dużo — prosił Hikmet, gdy jego przyjaciel dostał nowego napadu kaszlu. — Przecierpiłeś wiele — to prawda, ale dziś stosunki się zmieniły...

— W mojem sercu nic się nie zmieniło; ten grot, który je zranił przed dwudziestu laty, tkwi dotąd, a boleści nikt nie złagodził żadnym balsamem. Wlokłem życie, bo go potrzebowała moja rodzina — teraz jestem wolny. Nie odciągaj mnie Hikmecie, już dosyć męczarni... już czas. Mój syn za długo na ojca w grobie czeka. Marzyłem, że w nim wychowam człowieka doskonałego — byłby takim, gdyby mi go śmierć nie wydarła, zanim zdołałem wszystko mu powiedzieć i zanim on zdążył objawić mi swoją wolę. O ile, wszakże odgadłem, spełniłem ją.

Nastąpiła chwila długiego milczenia, podczas której suchotnik znowu wpatrywał się w portret z niemym wzburzeniem.

— Napij się słodkiej wody — rzekł Hikmet — język masz spieczony.

Ali drżącą ręką dotknął do ust szklankę i nieco uspokoiony, jak gdyby w zachwyceniu, słabym głosem mówić zaczął.

— Kiedy byłem z nim w Aleksandryi, wyszliśmy raz za miasto. Powracając, przechodzimy koło jakiegoś

wzgórza, gdy syn mój zatrzymuje mnie nagle i pyta: co to jest, ojcze? Rzeczywiście spostrzegam dziwny obraz. Owo wzgórze było zasypańcem rumowiskiem starych budynków, jak wielka gąbka podziurawionem niezliczoną ilością jam, z których wyglądały psie głowy. Słyszałem, że ruiny dawnych miast egipskich służą za schronienie tym biednym, dziko żyjącym stworzeniom, ale nie wyobrażałem sobie takiego roju. Później objaśniono mi, że ten należał do największych. Każdy pies wygrzebuje sobie tam dwie nory: jedną od wschodu, drugą od zachodu słońca—i zmienia swe legowisko stosownie do tego, gdzie skwar mniej dopieka. Żywią się wyrzuconą przez miasto padliną, o ile im sępy jej nie odbiorą. Gdy żeru zbraknie, zjadają własne szczenięta. Spostrzegłszy nas, psy zawyły chórem przeraźliwie. Jedne wychyliły się do połowy z jam, inne stanęły na boku wzgórza, a jedna suka przybiegła do mego syna i zaczęła się łaścić. On wyjął z kieszeni bułkę i rzucił jej. Wtedy wypadła ku nam cała gromada chudych, wynędzniałych, z powyszarpowaną sierścią, z dzikiem wejrzeniem, skomląc, szczekając lub wyjąc. Zacząłem cofać się, przerażony obawą napadu głodnych zwierząt. Ale one tylko, wijąc się jak węże i skowycząc przeraźliwie, lizały ręce mojego synka. Czasem tylko zawarczały na siebie, ani jeden na nas. Śród tego bałaśliwego órszaku przysunęliśmy się aż do Aleksandryi. Przed pierwszym domem psy stanęły i zaszczekawszy kilkakrotnie, wróciły do wzgó-

rza. Tylko jedna suka, która właśnie dostała bulkę, szła ciągle w pewnem oddaleniu za nami, nawet przez miasto, mimo gradu kamieni, które na nią ulicznicy rzucali. Dopiero cofnęła się od bram hotelu. W kilka tygodni potem, wyjeżdżając z Aleksandryi, gdym wsiał do dorożki, słyszę po za sobą skomlenie. Oglądam się i spostrzegam ową sukę, która skacze koło nas i ciągle odbiega do kłabu. Syn mój zaciekawiony wchodzi do ogródka i znajduje czworo nowonarodzonych szczeniątek. Jaka ona była uradowana, jak go liziała! Zawołałem portyera, i zostawiwszy mu kilkanaście franków, prosiłem o żywienie biednej matki. Przyrzekł mi, ale ona rozmowy naszej nie rozumiała, bo gdy siedliśmy do dorożki i odjechali, zawyla rozpaczliwie. Już okręt nasz ruszył, gdy syn mój woła: ojczy—jest. Rzeczywiście nad brzegiem stała ta sama ryża suka, skomląc żałośnie, a chwilami nawet gotując się do skoku w morze. Pomału straciliśmy ją z oczu.

Wzruszony tem opowiadaniem, starzec przerwał i zatopił się we wspomnieniach. Ale znowu zaczął:

— Wypadek ten zwrócił moją uwagę na rozdzieraający, przez nikogo ani jednym słowem współczucia nie uczczony dramat wśród psów konstantynopolitańskich. Jak wiesz, mnożą się one swobodnie, ale żyją tylko nieczystościami ulic. Razu pewnego rząd, dla rozwiązania tej kwestyi psiej, kazał je wytruć. Rozrzucano po mieście przynęty ze strychnią. Padło wtedy kilka ty-

sięcy ofiar. W dniu tej sromotnej egzekucyi spostrzegłem przez okno młodego psa, taczającego się na ulicy w męczarniach. Biedny za mało zjadł strychniny i nie mógł zdechnąć. Pokazałem go synowi, który, słysząc przed chwilą naszą rozmowę z żoną o środkach przeciw otruciu, porwał butelkę oliwy, wybiegł na dwór i wlał całą w gardło cierpiącemu zwierzęciu. Po kilku godzinach pies przyczoił się do naszego domu i legł zwinięty. Trzeciego dnia wyzdrowiał i naprzód objawił swą wdzięczność mojemu synowi. Odtąd Kady — tak go nazwałem — do końca życia był naszym serdecznym i nieocenionym przyjacielem.

Kłucia w piersiach przerwały suchotnikowi opowiadanie.

— Innym razem — ciągnął dalej — ja, syn i Kady wyjechaliśmy na morze. Gdy łódka zbliżała się do nagiej skały, która sterczy niedaleko wyspy, usłyszeliśmy jakieś dzikie wycia, a jednocześnie Kady zaczął wietrzyć nosem i objawiać szczególny niepokój. Zauważył to nasz przewoźnik i rzekł z uśmiechem. „Jak on czuje z daleka pole bitwy swych braci. Sułtan (Mahmud) kazał wywieźć na tę skałę kilka tysięcy psów, ażeby się z głodu wzajemnie pożarły. Już się rozdierają od trzech dni“. Łódź przysunęła się dalej. Wtedy ujrzeliśmy straszny widok. Cały grzbiet skały pokryty był szkieletami i kawałkami skór, a wśród tego wrzała wściekła walka gryzących się psów. Nie mogłem pa-

trzeć—krzyknąłem na przewoźnika, żeby wracał. Syn mój płakał, ściskając Kadego, ja skamieniałem.. Podaj mi wodę, Hikmecie...

Ledwie zdołał połknąć napój, chwycił się za piersi i upadł wznak na poduszki. Długa rozmowa, przykre wspomnienia wyczerpały go zupełnie. Zamknął oczy.

— Będiesz spał?— spytał Hikmet po cichu.

Ali potwierdził lekkim poruszeniem głowy.

Słońce już zaszło, mrok rozpostarł się po pokoju, którego ciszę przerywał jedynie częsty oddech chorego. Hikmet nie chcąc go rozbudzić, nie zapalał świecy. Nareszcie, jak gdyby we śnie wyszeptał Ali:

— Idę już... idę... mój najdroższy... Położę się obok ciebie... będziemy znowu... jak zawsze razem. Psy... Ha, ha, ha... doczekałem wreszcie tej chwili... Nikt mnie zabić nie chciał... Śmierć nie zawodzi.. pocziwa! Dobrze mi... choć boli... No, kończ... dosyć, dosyć!

Umilkł, ale za chwilę przytomniejszy nieco zawołał:

— Hikmecie!

— Jestem.

— W tym stoliczku — rzekł omdlewającym głosem — jest kartka papieru, na której spisałem mój testament.

Ostatnie słowo rozwiała się w ciężkiem westchnieniu. Hikmet pochylił się nad Alim, ale już nie usłyszał nawet jego oddechu. Szybko zapalił świecę — na łóżku leżał trup.

Szczery smutek rozlał się po twarzy Hikmeta, gdy

załzawionym wzrokiem wpatrzył się w martwą, a rzeczywiście uśmiechniętą twarz przyjaciela. Wreszcie potarł czoło, wysunął szufladkę stolika, wyjął kartkę papieru i zaczął czytać:

„Majątek mój, składający się z domu i ogrodu owocowego pozostanie dożywotnią własnością mojej żony. Po jej śmierci spieniężony złożyć w bezpiecznym banku jako wieczysty kapitał, od którego procenty przyjaciel mój Hikmet lub osoba przez niego wybrana zużytkowywać będzie na zakupno żywności dla najbiedniejszych i najuczciwszych — psów konstantynopolitańskich.“

— Oszalał?! — syknął Hikmet, mnąc gniewnie w rękę papier.

STARZEC I DZIECIĘ.

— **I** po co ty narodziłeś się?

— Życ chcę.

— Życ? Inaczej, mój maleńki, słowo to brzmi z ko-
leбки, a inaczej z grobu. Ty je wymawiasz tonem na-
dziei, a ja—rozpaczy. A mój ton jest zwykłą pieśnią
schodzących ze świata.

— Olu ludzi, tylu bogów, a każdy syn jest szczę-
śliwszym o całe doświadczenie ojca.

— Doświadczenie!... Gdybyśmy cierpieli jedynie za
winy i błędy własne lub nawet za odziedziczony spa-
dek grzechów rodzicielskich, wierzał mi, że życie by-
łoby rozrywką. Ale ty musisz nieraz pokutować za to,
żeś się narodził, że twoje piersi chcą oddychać tem,
nie innem powietrzem, że twoje serce uderza silniej
na ten a nie inny głos, że... Dziecię, nieświadome wa-
runków ludzkiego istnienia, czy ty wiesz, że może
barwa twojej skóry lub skręty twych włosów będą dla
ciebie kiedyś źródłem utrapień!

— Czas postępuje a z nim wszystko, co on niesie
w swem łonie.

— Zobacz rzekę: środkiem bieży jej nurt ciągle, ale na załamach stromych brzegów tworzą się wiry a po gładkich bokach nieruchome rozlewy. Tak płynie i rozwój cywilizacyi. Nie marz, że będziesz pędził z tą falą, która szybko naprzód się toczy, bo ugrzęzniesz w stojącej łasze, którą tylko powódź z głównym potokiem zlewa, a zwykle ledwie czasem wiatr silniejszy jej powierzchnię pomarszczy.

— Można kręte brzegi wyprostować i wiry usunąć, można także przekopami do łachy ruch wprowadzić.

— Można? Taką niedorzeczną naiwność przebaczyć należy jedynie ludziom, którzy się dziś urodzili. Mów, że opukawszy ziemię, zbadałbyś, gdzie w niej tkwią źródła wulkanów lub zdrojów; mów, że z krzemienia wyrabiałbyś gąbki a z korka brzytwy; mów, że ze śniegu wyrzeźbiłbyś posągi a marmury wydał w balony, ale nie mów, że zawsze i wszędzie bez narażenia się na niebezpieczeństwo kij nazwiesz kijem.

— Przesadzasz, starcze, albo obrzydzasz sobie życie, ażebyś łatwiej mógł się z niem rozstać.

— O, biedne piskłę, nie przeczuwasz rozczarowań swej wiary, którą, jak wątły puch, potracisz strzępkami, przedzierając się przez ciernie, aż dojdiesz do kresu nagi i pokaleczony. Niejeden przytem kolec oko ci rozedrze lub w serce się wbije. Mnie niczego nie żal. Jeśli cię los rzuci w głęboką otchłań i jeśli, spadając, odbijać się będziesz o jej twarde i chropowate

ściany, zapragniesz wreszcie roztrzaskania głowy o jej dno. Taką zaś otehlanią jest zwykle życie.

— Dlaczegoż ludzie nie umierają bezpotomnie i rodu dobrowolnie męczenników?

— Dlatego, że dzieci są zwykle owocami nieprzytomnych upojęń, zwierzęcych namiętności lub lekkomyślnej igraszki. Gdyby w płodzeniu ich uczestniczył rozum, ród człowieczy zmalałby do garstki zadowolonych swą tłustością karmników.

— Błóżniesz, ojcze, mózg ci schorzał.

— Stary mędrzec błogosławił bogów, że każdemu pozwolili pozbawić nas życia, a nikomu — śmierci. Powtórzysz to, zanim opadnie z ciebie ostatni zwój powijaka. Bo czy ty znasz swoją dolę? Ulicznik może stłuc szybę twego schronienia i wpuścić przez nią na ciebie rozwścieklony mróz; złodziej może ci zabrać poduszkę i podesłać swemu psu; morderca może ci zabić matkę dla zrabowania jej srebrnego medalika; możesz spłonąć w ogniu, zgnić w błocie — a struny sprawiedliwości, potracone twym krzykiem, nie wydadzą najmniejszego dźwięku.

— Nad ludźmi nie czuwają już aniołowie, ale czuwają prawa.

— Dla siły gwałtu wynaleziono tylko prawa, które je tłomaczą, a nie takie, któreby je zawsze obezwładnić mogły.

— Nie dręcz mnie, przekorny duchu, bo twych przestroóg nawet nie zapamiętam! Jeśli nie będę mógł

zostać panem świata, zostanę jego żebrakiem—a jałmużnę mi da.

— Mylisz się—nie da. Czy sądzisz, że więcej od niego żądałem? Bynajmniej, nie pragnąłem, ażeby kapota moja była z jedwabiu, tylko żeby mi pozwolono załatać jej dziury; nie wymagałem nawet, ażeby moja torba była pełną, tylko żeby w niej leżał kawałek chleba. I tego mi odmawiano. Gdy pracowałem, oskarżano mnie, że zubożam innych; gdy śpiewałem po podwórzach pieśni, wypędzano mnie, oskarżając, że zakłócam spokój. Raz, usiadłszy przy drodze, zamyśliłem się. Ktoś podszedł, szarpnął mnie za ramię i pogroził: ostrożnie z marzeniami!—Ja spoglądałem na księżyc—rzekłem. — I na księżyc tak długo patrzeć nie wolno.

— Śniesz, staruszk?

— Nie śnię, prawdę mówię... Przodkowie moi dostatnio żyli i nadużywali wszystkiego, bo nawet swej wspaniałomyślności. Dziad mój, dojrawszy na niebie kometę, marzył przez chwilę o lepszej doli. Ale ja nie, ja nie pragnąłem więcej od jaskółki: żeby gniazdo przypiąć pod ulubioną strzechę, w powietrzu nieco much złapać i przy strudze wody się napić. Szkodnicy gniazdo tykami zdrapywali a do mnie ciągle myśliwy dla nabrania wprawy strzelał. Tak, moje dziecię, byłem w żądaniach skromny, mniej niż skromny. Ale świat nie każdemu równą z innymi przestrzeń wymierzył. Jeden może oprzeć nogi o dwa bieguny globu, a drugi mnsi skakać, bo mu nigdzie stanąć nie wolno.

— Czyś ty rzeczywiście pracował, ojcze?

— Tak ciężko, że przez pory mojego ciała nie pot, ale krew przeciekała. Wtedy krzyczano, że w morderstwie zboczyłem ręce. Musiałem kryć się lub uciekać. Gdy sadziłem drzewka, sąsiad ostrzegał: przycinaj, niech nie podrosną zbyt wysoko!...

— Kto?

— Każdy, kto nie lubi zagajników.

— Nie rozumiem cię, starcze. Mówisz językiem zagadkowym, tajemniczym, który skrzypi w uszach, jak chrzest kości szkieletu, ale nie przekonywa.

— Zrozumiesz mnie, gdy sam umierać będziesz.

— Może — teraz nie. Teraz dziękuję ci tylko, że skargi swoje kreślisz jak czarnoksiężskie znaki, dla mnie niepojęte. Gdybym je całkowicie odgadł, straciłbym nadzieję, która jest duszą dziecka.

— Zatrzymaj ją z życzeniem mojem: bodajbyś tym samym wyrazem życie zakończył, którym je zacząłeś. Złudzenie daje odwagę. Najśmielej płynie przez morze ten, kto mniema, że spód okrętu jest dnem głębin, a wiatry sznurami huśtawki. Zresztą, masz młodsze oko, więc może niem dalej widzisz. Przede mną rozpościera się tylko mrok, rozświetlany iskrami, krzesanymi przez zgrzytające lub żrące się zęby.

— A ja dostrzegam oddalone ogniska na ziemi i gwiazdy na niebie, których promienie padają na moją drogę.

— Dostrzegasz rzeczywiście?

— Tak. Ty mi je zasłonisz, ale nie zgasisz.

— Senny lunatyku, co się tobie majaczy! To ślepie wilka lub tygrysa, czatującego na zdobycz, zabłyszczały w gęstwinie. Ha, ha, ha, świat powinien codziennie zmieniać ludzi, bo noworodkom dałby szczęście. Będziesz je miał, tylko nie zapragnij niczego więcej nad to, na czem poprzestaje kamień, który nie myśli i nie czuje, który dziś znosi uderzenia przejeżdżających kół, a jutro tkwi w bruku chodnika, w progu kościoła lub bóżnicy.

— Kłamiesz!

— Umieram.

— A ja żyć będę.

— Musisz, bo chcesz.

— Skonał. Naokoło słyszę jakieś przyciszone głosy: on powiedziałby, że to groźne znowy lub szemrania, a ja przypuszczam, że to miłosne szept. Lulu, lulu — ten świat jest piękny, lulu, lulu — świat rozkoszny, lulu, lulu — świat sprawiedliwy.

CHOLERA W NEAPOLU.

Franciszek Petti, zarówno jak jego siostra Julia, do której poniższe listy pisał i która mi je, zamiast wiadomości o swym bracie, przesłała, byli dobrymi moimi znajomymi. On, jako zdolny rysownik i litograf, pracował w Neapolu, ona miała sklepik z koralami w Rzymie.

Neapol, 20 sierpnia 1884.

Kochana Julio. Niepokoisz się o nasze życie. Dzięki Bogu, wszyscy jesteśmy zdrowi: żona wygląda jak Madonna di Foligno, a dzieci, jak aniołki. Rzeczywiście, zaraza szerzy się z piorunującą szybkością: onegdaj umarło 30 osób, wczoraj 50, a dziś podobno jeszcze więcej. Ale ja mam jakąś dziwną wiarę, że nas nie dotknie. Nie wiem, czy ci znajomy jest następujący fakt. Pamiętasz, że przed siedmiu laty przybyłem do Rzymu, ażeby cię odwiedzić i przyjrzeć się ceremonii wyboru nowego papieża. Ponieważ wyjechałaś do Bolonii, więc włóczyłem się przez całe dnie po mieście. Nudząc się bez zajęcia, zaszedłem do litografii Venu-

tellego, gdzie niegdyś praktykowałem. Właśnie w tej chwili przyniesiono wiadomość, że papieżem obrany został kardynał Pecci. Venutelli kazał przygotować portrety kilku kardynałów, najgodniejszych stolicy apostolskiej; był między nimi i Leon XIII. Natychmiast zaczęto jego portret odbijać w różnych formatach. Gdy Venutelli obejrzał pierwsze egzemplarze, aż krzyknął: „Oszałeliście, taki chudy, surowy, czy to papież tak powinien wyglądać?!“ Rysownicy poprawili twarz i odbili znowu. Daremnie — ostry wyraz nie ustąpił a nawet wykrzywił się jakimś nieprzyjemnym grymasem. Wściekły Venutelli wrzeszczał, tupiąc nogami: „Wy wiecie tylko, że papieżowi trzeba podnieść dwa palce w górę, a gdzie dobroć, łagodność, świętość, anielstwo!“ — „Kiedy portret podobny“ — zauważył jeden z rysowników. „Głupi pan jesteś — ryknął pryncypał — o to nie chodzi! Nie powinien być podobny, ale miły, uśmiechnięty, słyszysz pan — uśmiechnięty! Takiego suchego jezuitę, jak ten, nikt nie kupi“. Wszyscy potracili głowy. Wtedy ja wziąłem pędzelek, zrobiłem kilka zmian w twarzy kardynała, odbiłem i pokazałem Venutellemu. Buchnął radością: „To, co innego, to jest ojciec święty!“ Ścisnął mnie, całował i zaprosił na obiad. Nazajutrz odjechałem do Neapolu. W kilka dni odbieram list: „Kochany panie Franciszku! Zwycięstwo, zupełne zwycięstwo, które po części zawdzięczam Panu i dlatego dzielę się z Tobą radosną wiadomością. Papież ze wszystkich przedstawionych mu

portretów za najlepszy uznał mój. Nie skryłem pańskiego udziału, za co ojciec święty przesyła Panu osobne błogosławieństwo. *Venutelli*“. Od tej chwili, droga siostró, wierzę, iż mnie każde nieszczęście a więc i ta przeklęta cholera ominie! Wczoraj zmarł w naszym domu pieczętarz, ale ja się niczego nie boję. I ty bądź dobrej myśli. Zresztą pisywać będę codziennie. Twój *Franciszek*.

Neapol, 21 sierpnia 1884.

Kochana Julio. Zaraza morduje, jak rozszałały zwierz. Ludzie tracą zmysły z obawy i rozpacz. Dziś przypatrywaliśmy się z okna straszному widowisku. Jakaś stara kobieta, która straciła jedynego syna, zaczęła tańczyć na wybrzeżu, śmiejąc się dziko i klaszcząc w dłonie. W zapamiętałych płasach wykrzykiwała ustawicznie: „Filip, lip, lip!“ Zebrał się naokoło niej tłum ludzi, gdy ona nagle stanęła, umilkła i utkwivszy sztywny wzrok w twarzy obecnego starca, zawyła: „Ty przeklęty żydzie tułacz, ty sprowadziłeś nam cholerę, ty zabiłeś mojego Filipa“. I rzuciła się na niego. Starzec zaczął uciekać, ale tłum zabiegł mu drogę i, jak gdyby porażony obłędem, chwycił go i strącił w morze. Woda przy brzegu była płytka; nieszczęśliwy jednak, spadłszy ze znacznej wysokości, roztrzaskał sobie głowę na kamieniach. Uciekliśmy od okna. Żonę moją ogarnęło takie przerażenie, że nie mogłem jej uspokoić. W nocy zrywała się ustawicznie, krzycząc, że widzi

żyda wiecznego tułacza. Dotąd jest rozdrażniona, ale mam nadzieję, że ten stan przejdzie. Byliśmy wszyscy na mszy i modliliśmy się gorąco. Bóg ludziom grzesznym odmawia, ale prośby dzieci zawsze wysłucha. A Wiktorek, Basia i Ludwiś błagali go o zdrowie gorąco. Niech i ciebie niebo strzeże. *Franciszek.*

Neapol, 22 sierpnia 1884.

Siostro moja, zapłacz nade mną: dziś, po kilkunastogodzinnych zaledwie cierpieniach, umarła żona. W gmachu moich nadziei niespodziewany piorun zrobił straszny wyłom. Do tej chwili nie mogę się opamiętać. Budzę tę moją najdroższą, zdaje mi się, że ona śpi, przecież w cholerze letargi zdarzają się często. Całowałem ją, wołałem sam, wołałem z dziećmi, topiłem na jej ciele lak — leży martwa. Przecież gdyby słyszała naszą rozpacz, gdyby do jej serca dostał się jęk najukochańszego z naszych dzieci, Ludwisia, złamałaby władzę pozornej śmierci. Pisząc ten list, ciągle spoglądam na nią, czy nie drgnie — w oczach migają mi pozory utajonego jej życia, ale wkrótce przekonuję się, że to tylko pozory. Ach ten złowrogi starzec, ten żyd tułacz! On ją zabił, jego widmo nie odstępowało jej ani na chwilę. Konając, jeszcze odpychała go od siebie. A jeśli ona w letargu? Ja jej pogrzebać nie dam! Policja przychodziła do mnie, żebym zaraz ciało uprzątnął. Schowam ją, będę czekał tydzień, dwa, trzy. Aniele mój najlepszy, przyjaciółko wierna, serce szczerą

miłością bijące, ty mnie opuszczasz? Małgorzato, Małgorzato, niech mi cię niebo wróci, bo nawet ono nie będzie umiało tak cię wynagrodzić za twoje cnoty, jak ja cię kochałem. Matko boska, najlitościwsza opiekunko nasza, wskrzesz mi żonę. Zedrę stopy na pokornych pielgrzymkach do twoich kościołów, wszystkie od pracy wolne godziny poświęcę modlitwie, wyżłobię kolanami doły przed każdym twoim ołtarzem i leż w nie dziękczynnych naleję—tylko niech moja Małgorzata zmarłychwstanie! Nie rusza się... skostniała... czarne plamy rozpościerają się na jej ciele! Umarła! Boże, ojciec nasz, umarła! Przez głowę przesuwam mi się czarna opona, na której widzę żydą wiecznego tułacza. Grozi mi! Nie mogę pisać. *Franciszek.*

Neapol, 24 sierpnia 1884.

Nie dziw się; zdruzgotany pierwszym gromem, nie odczułem drugiego. Wczoraj umarła moja córeczka. Wynieśli ją i pogrzebali razem z matką, która jak gdyby uczuła drogie ciało i przycisnęła je do swojego łona. Pozostało mi już tylko dwu synków. Patrzę na nich i szukam śladów zarazy. Obaj zdrowi, trzymają się w objęciach i płaczą. Mnie czasem potoczy się łza wielka, gorąca. W oczach czuję żar, w sercu bolesną ranę, a w głowie zamęt. Świat kręci się koło mnie, a ja nie mogę uchwycić w nim żadnego związku. Paraliż ogarnął całą moją duszę. W mieście słyszę krzyki rozpaczliwe, cholera dusi ofiary już nie dziesiątkami,

ale setkami. Wszystko to nie mnie nie obchodzi. Bez celu i myśli wyszedłem dziś nad brzeg morza i przez kilka godzin topiłem wzrok w jego łagodnie igrających falach. Skoczyłbym w otchłań, gdyby nie ta resztką świadomości, która mi dla dwojga dzieci żyć każe. Znikąd, znikąd pociechy! Co to za okrutny potwór—śmierć! Czy niebo naszych boleści nie rozumie? Uśmiecha się taką pogodą, jak gdyby pod jego sklepieniami ludzie obchodzili najradośniejsze wesele. Wyglądam chmurki, wyglądam znaku, któryby pokazał, że tam przed tronem Boga odbija się żałobą nasz smutek: nie, czysty lazur nie mąci się ani jednym obłoczkiem. Zapuszczam węć wzrok, patrzę, czy z poza tej niebieskiej opony nie wyrzy skrzydlata dusza mojej żony lub dziecka. Nie widać nikogo! Uciekam do domu—cicho, martwo, chłopczyki całują się i płaczą. „Mama—pytają — nawet jutro nie wróci? Ani Basia?“ Odpowiedzieć im nie mogę, gardło zaciska mi się kurczem, siadam, znowu pragnę iść gdzieś, sam nie wiem dokąd. Upadam na kolana, modłę się, ale wkrótce usta sztywnieją i znowu tężeję. Boże, ulituj się. Nie może, czy nie chce? Jakie prawo i za co tak mnie karze? Czyżby ten żyd tułacz... Och, mrok mi na myśli zapada...
Franciszek.

Neapol, 26 sierpnia 1884.

Julio droga, dziś rano skonał Wiktorek! Matko najświętsza, która tyle cierpiałaś, wstaw się za mną przed

Bogiem! Przecież żyłem cnotliwie, sumienie moje nie zardzewiało w grzechach. Precz te daremne błagania! Kogo ludzie ratować nie mogą, a Bóg nie chce, tego morze nie odtrąci! Wabi mnie ono ku sobie nadzieją spokoju. Ale pozostał jeszcze Ludwiś, najukochańsze z naszych dzieci, czyż mam go opuścić? Biedny odurzał zupełnie wśród strasznych widoków, błędnymi oczami wodzi naokoło siebie lub zwraca je ku mnie. Nie wytrzymam w tym przeklętym domu, z którego kątów wysuwa się ku mnie żyd wieczny tułacz ze swą krwawą chustą. Porzucę wszystko, wezmę na ręce dziecko i schronię się do kościoła. Tam mnie cholera nie dosięgnie, progów świątyni nie przestąpi. Bolesć podarłami serce w szmaty, zostawiła tylko jeden strzęp, w którym tkwi niepokój o to ostatnie dziecko. Jeżeli mnie prześladowała jakaś tajemnicza zemsta, to chyba już nasyciła się trzema ofiarami. On, przynajmniej on ocaleje! Dźwignę całe brzemie nieszczęść, gdy on koło mnie iść będzie. Boże, nie powołuj go do siebie, chociaż ci miłą jest jego anielska duszyczka! Tak, cudowny przybytek Chrystusa osłoni mnie. Uciekam. Cholera do okien zagląda, u drzwi szemrze... Ratunku! *Franciszek.*

Neapol, 1 września 1884.

Mieszkam w kościele. Na duszę moją spadł pierwszy balsam, Ojciec święty wysłał do duchowieństwa list, w którym pisze: „Tym, którzy w oznaczonym czasie będą obecnymi na publicznem odmawianiu Ró-

żańca i w myśl naszą modlić się będą, jakoteż i tym, którzy ze słusznych powodów w domu to uczynią, udzielamy na każdy raz odpustu 7 lat i 7 kwadragen. Tym, którzy to samo uczynią przynajmniej 10 razy w kościele lub ze słusznych przyczyn — w domu, którzy, wypowiadawszy się z grzechów, Najśw. Sakrament przyjmą, odpustu zupełnego udzielamy. Całkowitego odpuszczenia grzechów i kar udzielamy także wszystkim tym, którzy albo w samą uroczystość Różańca świętego, albo w którybądź dzień całej oktawy duszę z grzechów oczyszczą, do Stołu Pańskiego z nabożeństwem przystąpią, i również w myśl Naszą w którym-bądź kościele do Boga i Matki Jego Świętej modlić się będą“. Skarżyłem się, że ojciec św. obiecuje tylko odpuszczenie grzechów, a nie mówi o skuteczności różańca przeciwko cholercie, ale spowiednik upewnił mnie, że to się samo z siebie rozumie. Więc odmawiam różaniec; ach, Julio, jak ja gorąco się modłę! Mam nadzieję. *Franciszek.*

Neapol, 3 września 1884.

Ludwik umarł przed ołtarzem. Nie pytaj o mnie. *Franciszek.*

*

*

*

Na kopercie listu, który niespokojna Julia wysłała do swego brata, poczta neapolitańska odnotowała: „Niedoręczony z powodu utopienia się adresata“.

SPIS RZECZY.

	Str.
Tragikomedia prawdy.	
I. On i ona	1
II. Z pamiętnika	27
III. Sam w sobie	37
IV. Moja głowa	57
V. Klub szachistów	69
VI. Ona	113
Testament Alego	142
Starzec i dziecię	155
Cholera w Neapolu	163

